

Marian Brandys. Czcigodni weterani.

Cz.1 cyklu Koniec świata szwoleżerów Rozdział I 1

6 lutego 1815 roku - w trakcie przekształcenia napoleońskiego Księstwa Warszawskiego w kongresowe Królestwo Polskie - uległ likwidacji legendarny korpus lekkokonných polskich gwardii Napoleona. Tego samego dnia dowódca rozwiązanej formacji, generał Wincenty Krasiński, przesłał rezydującej w Puławach Izabeli Czartoryskiej jeden z bojowych sztandarów pułku jako dar dla jej muzeum pamiątek narodowych. Razem z wystrzępioną płachtą atlasu, wyszytego srebrem zrudziałym od starości i deszczów, przekazano księżnej własnoręczny list pożegnalny generała. Historyczny sztandar szwoleżerów nie pozostawał długo w puławskiej Świątyni Sybilli. W czasie któregoś z następnych kataklizmów wojennych przywłaszczyły go sobie obce wojska. Natomiast list Krasińskiego zachował się do dzisiaj w zbiorach rękopisów Biblioteki im. Czartoryskich w Krakowie, w pliku starych papierów, oznaczonym sygnaturą 3132. Przytaczam w całości treść tego pisma - ostatniego zapewne, jakie wysłano z Warszawy pod owalną pieczęcią pułkową z orłem napoleońskim i napisem: "I Reg de Chevau Legers-Lanciers Polonais": "Do Iaśnie Oświeconey Izabelli z Hrabiów Flemingów, Xsieżny Czartoryskiej Mościa Xsieżno! Korpus oficerów niegdyś pierwszego Regimentu Lekkokonnego polskiego Gwardyi Cesarskiej, w zmianie dzisiejszey Świata, po tylo-letnim boiu chcąc dać Waszej Xsiażęcej Mości dowód uszanowania które Jey cnoty, Jey przywiązanie do Oyczystey ziemi w nich wznieciło, ofiaruią Jey ieden ze Sztandarów ich Regimentu do zbiorów Świątych pamiątek sławy kraiowey, które przez Waszą Xsiażęcą Mość zebrane, zostaną obcym Rękom i samemu Czasowi wydarte. Ten znak w stu zwycięstwach przewodząc był na murach Madrytu, Wiednia i Kremlinu zatkniętym. Tysiące młodzi polskiey za nim idąc sądzili się być szczęśliwemi krew dla Oyczyzny i dla iey sławy przelewać. Chciey Wasza Xsiażęcą Mość widzieć w tey Ofierze dowód tych uczuciów które dla Niey kaźden Polak winien i razem przyiąć oświadczenie naszego poważania. Imieniem oficerów, Generał Dywizyi Niegdyś Półkownik tegoż Regimentu Hrabia Krasiński W Warszawie, 16 lutego 1815 dzień rozpuszczenia Regimentu" Kto czytał moją opowieść o szwoleżerach, zgodzi się chyba, że trudno byłoby wymyślić logiczniejsze i bardziej konsekwentne zakończenie dla tej książki niż przytoczony wyżej autentyczny list generała Krasińskiego. Szwoleżerowie - niezależnie od swego wkładu w tradycje ogólnonarodowe - byli od początku do końca formacją elitarną, o wyraźnie określonym charakterze społecznym. Pomysł tej formacji narodził się w magnacko-szlacheckim Towarzystwie Przyjaciół Ojczyzny, założonym i kierowanym przez dwóch młodych arystokratów: Wincentego Krasińskiego i Tomasza Łubieńskiego. Panicze z Towarzystwa Przyjaciół Ojczyzny, ich krewni i powinowaci obsadzili następnie w gwardii polskiej większość wyższych stanowisk oficerskich. Oni to sprawili, że wśród ludu Warszawy i w jednostkach liniowych armii Księstwa - karmazynowo-srebrnych gwardzistów nazywano "pańskim wojskiem". Toteż fakt, że oficerowie owego "pańskiego wojska" w chwili jego likwidacji uczcili hołdem pożegnalnym nie kogo innego, tylko seniorkę polskiej arystokracji - słynną "starą księżną z Puław", matkę księcia Adama Jerzego Czartoryskiego, w którym wyższe

sfery ówczesne widziały przyszłego wielkorządcę kraju - wydaje mi się gestem znamionym, potwierdzającym raz jeszcze przynależność społeczną sztabu szwoleżerskiego. Tego symbolicznego epilogu nie udało mi się, niestety, dopisać do mojej opowieści o lekkokonnych. O istnieniu listu ze zbiorów Czartoryskich dowiedziałem się dopiero niedawno, kiedy książka Koziętulski i inni żyła już własnym życiem i znajdowała się poza zasięgiem ingerencji autorskich. Ale zbyt późno odkryty dokument tak silnie podziałał mi na wyobraźnię, że nie mogłem przejść nad nim do porządku dziennego. Wczytując się w pismo Krasieńskiego, tak dobrze mi znane z rozkazów dziennych lat wielkiej epopei, odnajdując za pomocą lupy miejsca, gdzie korespondent sprzed półtora wieku przerywał pisanie dla umocnienia pióra w kałamarzu bądź dla zebrania myśli - wiązałem się ponownie ze szwoleżerami, przeżywałem z nimi tragiczne chwile likwidacji ich regimentu, zapuszczałem się w gąszcz dramatycznych wydarzeń ich późniejszego życia. Już od dawna zakłóciła mi spokój świadomość, że w olbrzymiej dokumentacji lat 1815-1835 zachowało się mnóstwo interesujących wiadomości o dalszych losach eks-gwardzistów napoleońskich, a zwłaszcza ich dwóch przywódców: Wincentego Krasieńskiego i Tomasza Łubieńskiego. Znaczna część tych materiałów została już wydobyta na światło dzienne przez historyków, polonistów i ekonomistów. Trudno wyobrazić sobie dzieło, traktujące o polskiej poezji romantycznej, gdzie obok poety Zygmunta Krasieńskiego nie występowałby jego ojciec - generał Wincenty Krasieński. Nie ma pracy z zakresu historii gospodarczej Królestwa Polskiego, w której nie wspomniano by często i obszernie o generale Tomaszu Łubieńskim. W dziesiątkach monografii związanych z powstaniem listopadowym na każdej niemal stronie spotyka się znajome nazwiska byłych szwoleżerów. Ale wszystko to razem nie wyczerpuje tematu. Rozrzucone po różnych książkach przyczynki domagają się powiązania w całość oraz uzupełnienia materiałami dotychczas nie publikowanymi, których całe stopy można jeszcze odnaleźć w zbiorach archiwalnych. W sumie tworzywa jest dość, aby zbudować z niego obszerną wielowątkową opowieść o weteranach gwardii napoleońskiej działających w Królestwie Kongresowym - o ludziach, którym po raz drugi przypadła w udziale ważna rola w skomplikowanym i niezwykle dramatycznym okresie historii Polski. Poruszony pożegnalnym listem dowódcy szwoleżerów, zdecydowałem się podjąć próbę napisania takiej opowieści. Bohaterami jej będą dwaj promineneci "Gwardyi Polsko-Cesarskiej": Wincenty Krasieński i Tomasz Łubieński, oraz cały tłum ich krewnych, przyjaciół i dawnych towarzyszy broni. Młodzi junacy oficerowie z okresu Księstwa Warszawskiego zaprezentują się Czytelnikom jako dojrzały i stateczny obywatel Królestwa Polskiego. Oglądać ich będziemy w rolach i sytuacjach bardzo rozmaitych: jako despotycznych ojców, zdradzanych mężów, czułych synów i braci; jako polityków i działaczy społecznych, dygnitarzy wojskowych i cywilnych, mecenasów literatury i pionierów przemysłu, lojalistów i opozycjonistów, sędziów i podsądnych. A kiedy wybije historyczna godzina, prawie wszyscy dawni szwoleżerowie - choć wielu z nich uczyni to wbrew woli i bez przekonania - znowu dosiędą koni, aby po raz ostatni w swej karierze poprowadzić naród do boju o niepodległość. Obok arystokratycznych oficerów dawnego sztabu gwardyjskiego wystąpi w tej opowieści także reprezentant dołów szwoleżerskich, były podoficer ze szwadronu Koziętulskiego - Walenty

Zwierkowski. Ten wybitny działacz i publicysta z okresu Królestwa i powstania pojawiać się będzie w momentach najbardziej krytycznych jako konsekwentny przeciwnik ideowy i polityczny swoich dawnych zwierzchników pułkowych. Sądzę, że dokumentarna relacja o osobistych losach znanych skądinąd postaci przybliży Czytelnikom historyczne wydarzenia sprzed stu kilkudziesięciu lat. Miłośnicy literatury i teatru uzyskają jeszcze jedno naświetlenie okoliczności i klimatu, z których wyrósł największy, a zarazem najbardziej kontrowersyjny dramat polskiego romantyzmu - Nieboska komedia. Rozdział II Siedemdziesiąt kilometrów na północ od Warszawy, w malowniczym ustroniu równiny mazowieckiej, leży miejscowość Opinogóra - dawna siedziba ordynatów Krasińskich. Przed rozbiorami Rzeczypospolitej Krasińscy władali rozległymi dobrami opinogórskimi jako starostowie królewscy, a więc jedynie na prawach dzierżawy wieczystej. Dopiero Wincenty Krasiński, generał i hrabia Cesarstwa Francuskiego, zdobył Opinogórę na własność. Wyrażając się ściślej: musiał ją zdobywać dwa razy. Najpierw dostał ją (nie bez usilnych starań ze swej strony) od cesarza Napoleona za zasługi wojenne. Kiedy jednak sejm warszawski tej darowizny nie zatwierdził, wyprosił ją sobie powtórnie od cara Aleksandra ("w zmianie dzisiejszej Świata") - na rachunek zasług politycznych. Po powrocie z wojen napoleońskich, po rozwiązaniu dawnej gwardii oraz zamianie stroju szwoleżerskiego na nie mniej świetny mundur dowódcy nowej Gwardii Królewsko-Polskiej, trzydziestokilkuletni hrabia Wincenty zabrał się energicznie do przekształcenia rodowego starostwa w dziedziczny majorat, obejmujący około czterdziestu wsi i folwarków. Obok warszawskiego pałacu Krasińskich na Krakowskim Przedmieściu, gdzie w roku 1807 przeprowadzano werbunek do pułku szwoleżerów, zanedbywana dotychczas Opinogóra stała się główną rezydencją pierwszego ordynata. Było mu stąd znacznie bliżej do stolicy niżeli z żoninych dóbr knyszyńskich na Białostocczyźnie czy z matczynych Dunajowiec na dalekim Podolu. Bujna, wysoka zieleń opinogórskiego parku prawie do ostatniej chwili zasłania przed wzrokiem wycieczek zabytkowe budowle, ufundowane przez byłego dowódcę szwoleżerów. Pierwszy wynurza się z zielonej gęstwy biały kościół w stylu neoklasycznym. Imponujący rozmiar i majestatyczny kształt tej świątyni w przedziwny sposób kontrastują z wiejskim otoczeniem. Widać, że generał zamierzał nadać swej rezydencji charakter odpowiadający wysokiej pozycji, jaką zajmował w społeczeństwie. W podziemiach kościoła mieszczą się rodzinne groby hrabiów Krasińskich. W "szufladowych" kryptach, zamkniętych tablicami z czarnego i białego marmuru, śpią wiecznym snem dawni dziedzice Opinogóry. Honorowe miejsca wśród nich zajmują dwaj pierwsi ordynaci: generał Wincenty i poeta Zygmunt. Tak się złożyło, że na krótko przed moim pierwszym przyjazdem do Opinogóry pracownicy tamtejszego muzeum przeprowadzali w celach konserwatorskich badanie wnętrza krypt grobowych. Zastałem ich pod silnym wrażeniem, jakie wywarł na nich kontrast między dwiema historycznymi trumnami. Niemal ze zgorzeniem porównywali wspartą na złożonych lwich łapach imponującą, bogato

rzeźbioną i obitą karmazynowym aksamitem, trumnę ojca generała z małą, czarną, ubożuchną trumienką syna poety. Mieli prawo spodziewać się czegoś wręcz przeciwnego. Dla dzisiejszych mieszkańców Opinogóry wielki poeta Zygmunt

Krasiński jest postacią niewspółmiernie ważniejszą od swego ojca generała. Zygmunta ma się tu za właściwego i jedyne gospodarza. Jemu Opinogóra zawdzięcza charakter rezerwatu kulturalnego i istnienie swego Muzeum Romantyzmu. Dla Niego ściągają tu z całego kraju tłumne wycieczki. Przed Jego grobem młodzież szkolna składa wieńce i bukiety kwiatów. Generał występuje jedynie jako element tła w portrecie synowskim; przewodnicy wspominają o nim z pewnym zażenowaniem i poświęcają mu niewiele słów. Ale w tamtych czasach, o których zamierzam opowiedzieć, było inaczej. Jeszcze dzisiaj wystarczy przejść się po parku opinogórskim - odrzuciwszy wszelkie reminiscencje literackie - aby proporcje ustalone przez przewodników uległy zupełnemu odwróceniu i upodobniły się do proporcji trumien. Bujna, ekspansywna osobowość dawnego dowódcy szwoleżerów odcisnęła na Opinogórze znacznie wyraźniejsze i trwalsze piętno niż poetycka osobowość jego syna. Odnajduje się tu wszędzie ślady inwencji i działalności Wincentego Krasińskiego. Anegdoty związane z jego osobą nasuwają się przy zwiedzaniu każdego z zabytkowych obiektów. Poczynając od kościoła. Kościół jest budowlą piękną i harmonijną. Ale każdy, kto zna się na architekturze, dostrzeże od razu, że jego fronton, ozdobiony kolumnami korynckimi, jest węższy, niż to zazwyczaj bywa w konstrukcjach neoklasycywnych. Upodabnia to kościół opinogórski do antycznej świątyni greckiej. Fenomen ten nie był zamierzony przez fundatora budowli. Dokładny projekt kościoła przywiózł generał Krasiński z jednej ze swoich podróży włoskich. Jeżdżąc często po świecie, miał zwyczaj kopiować plany pięknych budynków, aby następnie odtwarzać je w swoich włościach. Po powrocie z Włoch przekazał plan kościoła do realizacji majstrom budowlanym z Opinogóry, a sam wyjechał na czas dłuższy do Warszawy. W parę tygodni później wybuchła awantura. Nie wiadomo, z czego to wynikło: czy z prostej omyłki w wyliczeniu, czy raczej z oryginalnej inwencji artystycznej chłopskich budowniczych - dość że prostokąt wzniesionych już na pewną wysokość murów kościelnych okazał się węższy, niż przewidywał plan. Generał wpadł we wściekłość i - nie licząc się z tym, że owa zmiana uszlachetnia kształt kościoła - rozkazał mury zburzyć i kosztami przebudowy obciążyć biednych majstrów. Gdyby nie interwencja uproszonej przez chłopów pani starościny opinogórskiej, której dorosły syn bał się ciągle jak mały chłopiec, nieszczęśni nowatorzy musieliby do końca życia wypłacać się za swój eksperyment artystyczny, a kościół opinogórski nie byłby dzisiaj podobny do greckiego Panteonu. W jednej z bocznych naw kościoła rzuca się w oczy piękna grupa postaci, wykuta w białym marmurze: mały chłopiec klęczy u łóża umierającej matki. Jest to dzieło rzeźbiarza florenckiego Pampaliniego - pomnik zmarłej w roku 1822 małżonki generała, Marii Urszuli z książąt Radziwiłłów hrabiny Krasińskiej. Pomnik ma w sobie tyle literackiej treści i siły wyrazu, że dzisiejsi inscenizatorzy Nieboskiej komedii często wzorują na nim układ postaci w scenie śmierci żony hrabiego Henryka. Otóż okazuje się, że każdy szczegół tej rzeźby był obmyślony przez generała. Świadczy o tym jego list z Florencji, pisany do przyjaciela, Kajetana Koźmiana, w kilkanaście lat po śmierci hrabiny Marii Urszuli: "We Florencji kazałem robić u signor Pampalini nagrobek żony mey konayącej, w jednej ręce krzyż trzymającą a drugą syna błogosławiącą, co klęczy przed łóżem...". Taki właśnie jest pomnik opinogórski. W pobliżu kościoła rozciąga się pełen niewysłowionego uroku

stary cmentarz. Właśnie na tym cmentarzu przewodnicy wycieczek najchętniej nawiązują do wspomnień o Zygmuncie Krasińskim. Opowiada się o jego nocnych rozmyślaniach wśród grobów, cytuje fragmenty jego młodzieńczych, pełnych melancholii utworów. Snuje się skojarzenia z pewnymi scenami Nieboskiej komedii. Ale i tu ślady po ojcu są liczniejsze i bardziej dotykalne niż ślady po synu. Większość lokatorów cmentarzyska rekrutuje się spośród rezydentów generała, jego dawnych towarzyszy broni, oficjalistów i służby. Na wielu nagrobkach napisy są całkowicie zatarte, gdzieś tam jednak z zarosłych mchem zniekształconych liter dają się odczytać znane nazwiska szwoleżerskie. Leży tu popularny lekarz pułkowy sławnego regimentu, Francuz, baron Franciszek Girardot, który w wojnach napoleońskich utracił był nogę. Ta odcięta noga figuruje jako element herbu baronowskiego, wyrytego na jego nagrobku. Girardot powrócił z pułkiem do Polski, po czym osiadł w Opinogórze jako rezydent i lekarz domowy Krasińskich. W innym grobie spoczywa kapitan szwoleżerów Stanisław Dunin-Wąsowicz*, który - jak można wnosić z licznych wzmianek w listach Zygmunta Krasińskiego - zarządzał lasami opinogórskimi. (* Przodek rotmistrza Dunin-Wąsowicz, który dowodził szarżą pod Rokitną w 1915 roku. Nie należy go utożsamiać z głośnym pułkownikiem, a później generałem, Stanisławem Dunin-Wąsowiczem, który towarzyszył Napoleonowi w odwróceniu spod Moskwy.) Na cmentarzu dałoby się z pewnością odnaleźć jeszcze niejednego grób szwoleżerski. Generał chętnie przygarniał do siebie dawnych towarzyszy broni, obdarzał ich dzierżawami swoich folwarków bądź innymi funkcjami gospodarczymi w rozległej ordynacji, a później grzebał z honorami w parku opinogórskim. Wiadomo na przykład, że w zarządzie dóbr Krasińskich zatrudnieni byli dwaj znani oficerowie lekkokonnycy: szef szwadronu Marcin Fiutowski, waleczny somosierczyk, który po pierwszej abdykacji Napoleona towarzyszył mu na Elbie i bił się później pod Waterloo, oraz kapitan adiutant Kazimierz Koch, syn znanego księgarza warszawskiego, jeden z nielicznych mieszczan w korpusie oficerskim "pańskiego wojska". O byłym kapitanie Kochu będzie jeszcze mowa w tej książce, gdyż w pierwszych dniach powstania listopadowego odegrał on dość istotną rolę w życiu swego dawnego dowódcy a ówczesnego chlebobdawcy. W czasie mojej ostatniej wizyty w Opinogórze zapewniano mnie również, że w jednym z nie rozpoznanych grobów spoczywają prochy ulubionego "Papy" szwoleżerskiego, francuskiego organizatora pułku, generała barona Piotra Dautancourta (d'Autancourta), postaci znanej doskonale wszystkim czytelnikom napoleońskich powieści Gąsiorowskiego i Przyborowskiego. Ten zasłużony oficer i autor bezcennych dla napoleonistów Notatek historycznych o Polskim Pułku Lekkokonnycy Gwardii Napoleona zdołał sobie zaskarbić szczerą miłość polskich towarzyszy broni. Kiedy pułk powracał z Francji do Polski, szwoleżerowie błagali swego Papę, aby jechał z nimi. Do prośb przyłączył się nawet nowy wódz wojska polskiego, cesarzewicz Konstanty. Ale popularny generał major, choć w pełni odwzajemniał uczucia Polaków, nie uległ tym namowom, uważając, że "ojczyzną Francuza jest Francja". W parę lat później musiał jednak zatęsknić za polskimi kolegami. W liście do generała Wincentego Krasińskiego, pisanym z Paryża 15 grudnia 1819 roku, schorowany Dautancourt dawał do zrozumienia dawnemu dowódcy, że nie czuje się najlepiej we Francji, rządzonej przez Burbonów. Pisał z

rozczeniem o swoich związkach bojowych ze szwoleżerami, nazywając je "najdroższą puścizną, jaka mu do przeszłości została". Wspominając o swoich spotkaniach z paryskimi emigrantami, kończył list dość przejrzyście aluzją: "Mówiłem tym Polakom, że uważałbym się za szczęśliwego gdybym mógł udać się do Polski, by tam umrzeć, i że nie trzeba by mi było niczego więcej, jak tylko małego domku w pobliżu lasu". Pismo Dautancourta odnalazł i opublikował w roku 1899 zasłużony historyk Aleksander Rembowski, wydawca Notatek historycznych Pułku Lekkokonnych Gwardii Napoleona. Publikując to odkrycie, Rembowski uzupełnił je następującą informacją: "W części pragnienia Dautancourta miały się szybko sprawdzić. W roku 1820 przybył do Warszawy i zamieszkał w gościnie u gen. Krasieńskiego, ale już w roku 1821 rozstał się z tym światem pochowany w Opinogórze". Tę autorytatywną informację najlepszego znawcy spraw szwoleżerskich powtórzył w roku 1963 profesor Stanisław Pigoń w swoim opracowaniu Listów do ojca Zygmunta Krasieńskiego. Można by więc mniemać, że nadzieje na odnalezienie grobu Dautancourta w Opinogórze są w pełni uzasadnione. Niestety, muszę te nadzieje rozwiać. W czasie niedawnego pobytu w Paryżu miałem możliwość stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że generał dywizji Pierre d'Autancourt zmarł 2 stycznia 1832 roku w Nevers we Francji i tam został pochowany. Nie wyklucza to oczywiście możliwości jego pobytu w gościnie u Krasieńskiego w latach 1820-1821. Rozpisałem się tak szeroko o cmentarzu opinogórskim, ponieważ wydaje mi się, że stosunki generała Wincentego Krasieńskiego z jego dawnymi towarzyszami broni, a późniejszymi rezydentami i oficjalistami, rzucają ciekawe światło na pełną sprzeczności naturę Pierwszego Ordynata. W tradycji opinogórskiej zachowało się wiele anegdot na ten temat. Opowiada się na przykład, że w miesiącach letnich generał miał zwyczaj zbierać dawnych oficerów regimentu, aby wspominać w ich gronie minione czasy chwały szwoleżerskiej. Uganiano się wtedy całymi dniami konno po okolicy, w stodołach opinogórskich organizowano noclegi żołnierskie, strawę warzono w kotłach nad ogniskami, śpiewano chórem dawne pieśni pułkowe. Dowódca Gwardii Królewsko-Polskiej szukał w tych zabawach odprężenia po męczących rewiach, odprawianych na placu Saskim przez wielkiego księcia Konstantego. Nerwowo chorą hrabinę Marię Ursulę doprowadzały podobno do szaleństwa mężowskie "manewry szwoleżerskie", natomiast żywiołowy zachwyty budziły one u małego Zygmunta Krasieńskiego, utwierdzając w nim kult bohaterskiego ojca. Ale nie tylko przy tak miłych okazjach spotykał się dziedzic Opinogóry ze swymi podwładnymi z gwardii cesarskiej. Raz na miesiąc generał

podejmował obiadem w swoim dworze dzierżawców folwarków, między którymi znajdowało się wielu dawnych szwoleżerów. Każdy z dzierżawców miał wyznaczone miejsce przy stole, obok każdego nakrycia spoczywała kromka razowego chleba. Żle było z tym, przy którego nakryciu owej kromki zabrakło. Oznaczało to utratę łaski pańskiej, a tym samym - dzierżawy. Dzięki tak dowcipnie pomyślanemu urządzeniu, generałowi Krasieńskiemu udawało się łączyć nowoczesną zasadę wypowiedzenia pracy z prastarą instytucją feudalną, występującą w nauce historii pod nazwą panis bene merentium (chleb dobrze zasłużonych). Pan na Opinogórze miał szeroki gest i chętnie nagradzał ludzi zasłużonych. Chciał jednak, aby nie zapomniano, że

dobrodziejstwa swoje może w każdej chwili cofnąć. Zabiegał także pilnie o to, by sława jego wspaniałomyślności utrwałała się w pamięci ludzkiej. Świadczą o tym chociażby nagrobki na cmentarzu opinogórskim. Solenne zaznaczenie na nich, że "kamień ten położył Wincenty hrabia Krasieński", sprawia, że każdy taki nagrobek jest jednocześnie pomnikiem sławiącym dobroczynność fundatora. Opinogórskie Muzeum Romantyzmu mieści się w neogotyckim zameczku, wystawionym przez generała już po powstaniu listopadowym. Styl neogotycki - nawiązujący najchętniej do średniowiecza angielskiego - był w owym czasie ogromnie modny, zwłaszcza wśród młodych romantyków, rozczytujących się w Byronie i w powieściach historycznych Waltera Scotta. Generał skłaniał się do konserwatywnego obozu klasyków i w budownictwie preferował raczej styl neoklasycy. Ale w danym wypadku odstąpił od swych gustów, aby sprawić przyjemność synowi. Neogotycki zameczek został podobno zbudowany jako prezent ślubny dla Zygmunta Krasieńskiego z okazji jego małżeństwa z Elizą Branicką. Generał sądził zapewne, że tym hojnym podarunkiem zrekompensuje synowi krzywdę, jaką mu wyrządził, zmuszając go do poślubienia nie kochanej kobiety. Dramat miłosny Zygmunta Krasieńskiego wykracza poza granice czasowe, przewidziane dla tej opowieści, więc bliżej zajmować się nim nie będę. Wypada tylko stwierdzić, że niedobrani małżonkowie nie przeżyli podobno ani jednego szczęśliwego dnia w swej romantycznej rezydencji. Może dlatego pozostało tu po nich tak niewiele pamiątek. Może dlatego tak rzadko ich się wspomina podczas zwiedzania tego osobliwego muzeum. Raz jeszcze powtarza się paradoks opinogórski. W Muzeum Romantyzmu - w przybytku poświęconym pamięci wielkiego poety na pierwszy plan wysuwa się postać generała jazdy, który w swoich listach wielokrotnie deklarował się jako zdecydowany przeciwnik poezji romantycznej. W głównej sali - obwieszanej starą bronią, medalami pamiątkowymi oraz kopiami znanego obrazu Verneta Somosierra - honorowe miejsce zajmuje marmurowe popiersie Wincentego Krasieńskiego dłuta znanego rzeźbiarza ery napoleońskiej, Franciszka Józefa Bosiego. Jest to ta sama rzeźba, która przed wojną stała w gmachu Biblioteki Krasieńskich przy ulicy Okólnik w Warszawie. W Opinogórze znalazła się w wyniku dość osobliwego splotu okoliczności. W roku 1944 gmach biblioteczny na Okólniku spłonął wraz z bezcennymi zbiorami książek i archiwaliów, gromadzonych przez kilka pokoleń ordynatów Krasieńskich. Okopcone popiersie ordynata i fundatora biblioteki wygrzebał z pogorzelska właściciel sklepu spożywczego z sąsiedniej ulicy Kopernika. Na parę następnych lat przytułkiem dumnego dowódcy cesarskich szwoleżerów stał się ciemny korytarzyk kupieckiego mieszkania. Na szczęście właściciel sklepu postanowił pewnego dnia założyć sobie telefon. Pragnąc pozyskać względy funkcjonariusza, od którego przyspieszenie tej operacji zależało, podarował mu historyczną rzeźbę. Funkcjonariusz okazał się człowiekiem mającym zrozumienie dla historii i sztuki. Po przypadkowym obejrzeniu w telewizji reportażu z Opinogóry bez wahania przekazał cenny marmur zarządowi Muzeum Romantyzmu. Przed wojną widywałem tę rzeźbę parokrotnie, w czasie moich studenckich wizyt w bibliotece na Okólniku. Ale wówczas nie zwracałem na nią specjalnej uwagi. Dziś - kiedy wiem o generale Krasieńskim więcej niż o niejednym z moich przyjaciół - jego marmurowa podobizna wywiera na mnie wrażenie fascynujące. Popiersie powstało w roku 1808,

kiedy generał rozpoczynał dopiero swą szumną karierę jako młodziutki pułkownik lekkokonných. Bosi rzeźbił go niewątpliwie z natury, a że był majstrem nie byle jakim, więc jego marmur żyje i z zadziwiającą wiernością wydobywa wszystkie charakterystyczne cechy portretowanego, znane z pamiątek i korespondencji jego współczesnych. Ileż demaskatorskiej prawdy zawarł francuski artysta w tym marmurowym obliczu, z którego bije pańska duma i niewzruszona pewność siebie! Pod misternie trefionymi loczkami fryzury a la Tite - wysokie, mądre czoło intelektualisty. Wypukłe łuki brwiowe, często spotykane u ludzi nadmiernie ambitnych i upartych. Pięknie sklepiony męski nos nad kapryśnymi ustami o pulchnych kobiecych wargach. W odętych policzkach pycha i próżność. W wyrazie twarzy powaga statysty, a przy tym hedonistyczne umiłowanie przyjemnego, łatwego życia. Wszystkie te kontrasty, uwidocznione przez Bosiego, znajdowały odbicie w skomplikowanej i rojącej się od sprzeczności biografii generała. Wystarczy porównać jego piękne listy z równoczesnym, niekiedy znacznie mniej pięknym postępowaniem. Po abdykacji Napoleona, 6 kwietnia 1814 roku, Wincenty Krasiński pisał z Fontainebleau do żony: "Role nasze skończone. Nigdy nie widziałem nic równie wielkiego jak Cesarz... Nie chcąc już nigdzie służyć, chcę wrócić spokojnie i używać prawdziwego szczęścia przy Twoim boku. - Moja duszo, kominek, ciepłe piwko...". (* Wszystkie listy generała Wincentego Krasińskiego do żony i syna przepadły w pożarze z roku 1944. Niektóre fragmenty tej korespondencji zachowały się jednak w dziele Józefa Kallenbacha, Zygmunt Krasiński. Lwów 1904.) I drugi fragment również z listu do żony, pisanego z Warszawy 25 lutego 1815 roku, a więc w dziewięć dni po rozwiązaniu pułku: "Już się stało... już nie ma szwoleżerów! Co ma dusza cierpi, tego nikt nie wyrazi..." Jak żywo i przekonująco przemawia do wyobraźni czytelnika zawarty w tych listach wizerunek rozczarowanego napoleończyka, wyrzekającego się raz na zawsze wszelkiej służby publicznej, zrozpaczonego dowódcy, którego nic już nie zdoła pocieszyć po stracie ukochanych podkomendnych. A przecież dokładnie w tym samym czasie były dowódca szwoleżerów uruchamiał wszystkie zasoby swej niewyczerpanej energii witalnej, aby per fas et nefas odzyskać u nowych władców utracone darowizny napoleońskie oraz zapewnić sobie jak najwyższe stanowisko w nowej hierarchii wojskowej i politycznej. Wincenty Krasiński zdawał sobie sprawę ze sprzeczności swojej natury. W liście z pierwszych lat małżeństwa tak oto prezentował się żonie: "Kiedy się zastanawiam nad sobą, znajduję, że daję się unieść sercu memu albo pierwszemu porywowi, bez rozmysłu, w chwili decyzji, upór zaś potem nie pozwala mi zmienić postanowienia. Natura dała mi wszystko, aby mnie uszczęśliwić, a ja nie umiałem z jej darów skorzystać. Odziedziczyłem piękne imię, jestem bogatym, przystojnym, umysł mam żywy, górny, śmiały i szlachetny, pełen ambicji, ale bez zawiści; lubię naukę, ale bez trudu; chcę być bogatym, a jestem rozrzutnym; nie jestem bogobojnym, a nie lubię bezbożnych; jestem libertynem, a szanuję moralność; jestem trzeźwym, a lubię zabawić się; rad się podobam, a umiem boczyć się; szanuję płeć piękną, a złe mam o niej wyobrażenie; lubię wykwintne towarzystwo - a nie cierpię przymusu. Dumny jestem i żądny popularności, chciwy pochwał, a nic sobie nie robię z opinii. Rad bym być prawie doskonałym, a miary żadnej zachować nie umiem..." Rzeczywiście, w wielu wypadkach Krasiński miary zachować nie umiał.

Zwłaszcza gdy chodziło o reklamę własnej osoby. Dowody na to można znaleźć w tymże Muzeum Opinogórskim. Wystarczy spojrzeć na obraz Horacego Verneta Somosierra. Nawet najbardziej przychylni swemu dowódcy kronikarze szwoleżerscy pisali o tym obrazie z niechęcią, piętnując jego tendencyjne odstępstwa od prawdy. Krasiński, który w szarży bezpośrednio nie uczestniczył, na płótnie upamiętniającym to sławne zwycięstwo figuruje jako postać centralna. W chwilę po zdobyciu wąwozu objeżdża pobojowisko w towarzystwie Dautancourta oraz dwóch głównych bohaterów bitwy: podpułkownika Kozińskiego i kapitana Jana Nepomucena Dziewanowskiego. Sytuacja całkowicie wysnuta z fantazji. Krasiński przybył na pobojowisko stosunkowo późno, kiedy Koziński i Dziewanowski - obaj ranni w szarży - byli już pewnie w drodze do lazaretu, a w każdym razie nie mogli konno towarzyszyć dowódcy pułku. Trudno to uznać za błąd, wynikły ze złego rozeznania francuskiego malarza. Było powszechnie wiadomo, że Vernet malował swój obraz według szczegółowych wytycznych Krasińskiego. Zresztą nie tylko Vernetowi mącił w głowie próżny generał. W wiele lat później Zygmunt Krasiński pisał w liście do przyjaciela*: (* W liście do Jerzego Lubomirskiego z 13.X.1848 r.) "Niegdyś mój ojciec, odebrawszy pod Somosierrą rozkaz brania skały stromej, najeżonej artylerią szwadronem ułanów, myślał, że cudzoziemców Polaków cesarz francuski posyła na jatki i spiąwszy konia na śmierć odjeżdżając ku skale onej, rzekł do cesarza: N(ou)a savrons mourir... (Potrafimy umrzeć)". Trudno się dziwić, że ta patetyczna wersja przemówiła do wyobraźni syna poety, ale cóż z tego, kiedy była tak samo wymyślona jak sytuacja na obrazie. Bo nie Krasiński odebrał rozkaz przeprowadzenia szarży i nie on "na śmierć odjeżdżał ku skale onej". Albo te medale pamiątkowe z wizerunkiem generała i napisem: "Polacy cnocie. 5 kwietnia 1814". Rzekomy dar społeczeństwa, upamiętniający datę mianowania Krasińskiego naczelnym wodzem powracających wojsk. Tymczasem okazało się, że inicjatorem całego przedsięwzięcia był sam laureat. Wstydlivy fakt został ujawniony przez oficera gospodarczego regimentu szwoleżerów, kapitana Michała Pfeiffera, który otrzymał był od generała rozkaz wybicia medali i później miał z tego powodu wiele nieprzyjemności. Jaki był cel tak niepoważnych poczynań głośnego twórcy i dowódcy polskiej gwardii Napoleona - trudno zrozumieć. Jego zasług dowódczych i osobistego męstwa (zwłaszcza w bitwie pod Wagram i w kampanii francuskiej 1814 roku) nikt nie kwestionował. Ale niepohamowanej ambicji i próżności Krasińskiego to nie wystarczało. Chciał pozostawić po sobie w pamięci rodaków pomnik wyższy i wspanialszy, niż na to zasługiwał. Złośliwy los lubi jednak płać figle takim nienasyceńcom. Przyglądając się z bliska marmurowej podobiznie dowódcy szwoleżerów, można dostrzec na samym środku jego kształtnego nosa niewielką, lecz dość głęboką szramę. W czasie mojej pierwszej wizyty w Opinogórze, próbowano mi sugerować, że jest to ślad po ranie, odniesionej przez generała w drodze powrotnej z Francji, kiedy to w mieście Kottbus napadli na jego kwaterę żołnierze pruscy. Bardzo możliwe, że w taki właśnie sposób tłumaczył pochodzenie tej szramy swemu synowi sam Wincenty Krasiński. O ranie z Kottbus wiedziano przecież w całym kraju. Tłumy mieszkańców miast i wsi polskich, które witały w roku 1814 żołnierzy powracających z Francji, miały okazję podziwiać obandażowaną głowę generała jadącego na czele wojsk. Z ust do ust przechodziła wieść o brutalnej napaści

Prusaków i o godnej postawie Krasińskiego. Zwiększyło to bardzo jego popularność i autorytet w społeczeństwie. Wystarczy jednak przypomnieć sobie, że rzeźba Bosiego powstała w roku 1808, aby zdobyć pewność, że utrwalona na niej blizna nie mogła być śladem po ranie odniesionej w roku 1814. Zagadkę wyjaśnia pamiętnik zaprzyjaźnionego z Krasińskim Kajetana Koźmiana. Tajemnicza szrama pasuje jak ulał do Koźmianowego przekazu o burdzie ulicznej z roku 1807, sprowokowanej najprawdopodobniej przez samego Krasińskiego. Słynny pułkownik wierszokleta Marcin Molski - doprowadzony do furii złośliwymi fraszkami, inspirowanymi przeciwko niemu przez młodego arystokratę - dopadł wreszcie swego prześladowcę w wąskiej, ciemnej uliczce Koziej i zmusił go do zmierzenia się na szable. Rezultat był opłakany. Półślepy weteran kościuszkowski nie tylko że okaleczył nos dziarskiemu dowódcy szwoleżerów, lecz ponadto ośmieszył go przed całą Warszawą. I jakże tu nie wierzyć w złośliwość losu! Wincenty Krasiński odniósł w czasie swej służby wojennej sporo obrażeń bojowych, a wśród nich dwa rzeczywiście poważne: w roku 1808 w czasie powstania w Madrycie hiszpańscy powstańcy przestrelili mu nogę; w roku 1814 w Kottbus pruski żołnierz omal nie rozłupał mu czaszki. Ale cóż z tego! Bliznę na nodze, dolegającą mu notabene do końca życia, zakryły spodnie. Ślady po rozślawnionej szeroko, lecz krótko, ranie głowy zarosły bujne włosy. Na widoku pozostała jedynie wstydliva szrama po bijatyce z sędziwym autorem poematów okolicznościowych. W podobny sposób zakpił sobie los z próżnego generała w sprawach znacznie dla jego biografii ważniejszych. Przez całe życie Wincenty Krasiński gromadził dokumenty i przedmioty, których celem było utrwalenie jego dobrej sławy w pamięci potomnych. Ta naczelna idea przyświecała zarówno jego archiwom prywatnym, jak i jego słynnym zbiorom pamiątek narodowych. Zbierał (w sposób, jak się później okaże, nie zawsze rzetelny) dowody starożytnej świetności swego rodu oraz dowody swoich zasług osobistych. W zbiorach rodzinnych Krasińskich na Okólniku oraz w ich pałacu na Krakowskim Przedmieściu przechowywano pieczołowicie wszystkie listy generała do żony i do syna, gdzie w słowach pięknych i logicznych uzasadniał swoje nie zawsze godne i konsekwentne postęпки w różnych okresach historycznych. Była tam także odręczna autobiografia Krasińskiego. W czasie dla siebie najtrudniejszym - kiedy po ucieczce z powstańczej Warszawy siedział w Petersburgu - zabrał się do pisania swoich życiowych wspomnień. Ten efektowny pod względem literackim utwór, pisany rzekomo na wypadek śmierci, miał w razie zwycięstwa nienawistnej rewolucji obronić go przed zarzutami syna i oskarżeniami potomnych. Generał robił wszystko, aby zostawić po sobie biografom i historykom dość materiałów do napisania obszernej, wielostronnej monografii, w której jego czyny chwalebne byłyby dostatecznie uwypuklone, a czyny wątpliwe - odpowiednio usprawiedliwione. Ale monografia taka nie została napisana. Pożary ostatniej wojny unicestwiły plan zabiegów apologetycznych generała. Pałac na Krakowskim Przedmieściu spłonął w roku 1939, gmach biblioteczny na Okólniku - w roku 1944. Zniszczeniu uległa cała korespondencja rodzinna, przepadły najważniejsze papiery osobiste. Kataklizm nie objął jedynie listów generała, pisanych do osób spoza kręgu najbliższej rodziny; część tych listów - rozsianych po różnych archiwach prywatnych, do których rzadko docierają badacze - istnieje do dzisiaj. Ale te nikłe okruchy olbrzymiej niegdyś

spuścizny rękopiśmiennej nie mogą stanowić przeciwwagi dla zawartości archiwów publicznych, penetrowanych nieustannie i drobiazgowo przez historyków i historyków literatury. A w archiwach publicznych i w wielkiej liczbie pamiętników dziewiętnastowiecznych - jak gdyby na złość Krasińskiemu - zachowała się w całości dokumentacja jego niesławnego postępowania w okresie sądu sejmowego i powstania listopadowego. I ta właśnie dokumentacja kształtuje dzisiejsze sądy o dawnym dowódcy szwoleżerów. Większość czytelników polskich, interesujących się historią, dowiaduje się o ojcu Zygmunta Krasińskiego zaledwie tyle, że najpierw był dzielnym żołnierzem, a później haniebnie się "zeszmacił". Za mało to, jak na wiedzę o osobowości tak bogatej, skomplikowanej i w pewnym sensie wybitnej. Przy rzeźbie Bosiego zakończmy wędrówkę po rezerwacie opinogórskim. Czytelnicy zechcą mi wybaczyć jej nieco bedekerowski charakter. Chodziło mi o pokazanie, w sposób możliwie najbardziej szczegółowy i przekonujący, jak potężne piętno odcisnęła na Opinogórze indywidualność Wincentego Krasińskiego. Sądzę, że ta przechadzka pozwoli lepiej zrozumieć, dlaczego były dowódca szwoleżerów mógł przez całe życie wywierać tak przemożny wpływ na genialnego syna - poetę. Rozdział III Syn Wincentego i Marii Urszuli z Radziwiłłów - małżonków Krasińskich urodził się 19 lutego 1812 roku w Paryżu, a pierwsze miesiące życia spędził w miasteczku Chantilly, odległym od stolicy o 30 kilometrów pod opieką stacjonujących tam szwoleżerów, podwładnych ojca. "Skoro tylko małżonka jego (tzn. generała) do sił wróciła, przeniosła się do Paryża do miejsca pobytu męża. Urodzenie syna pułkownika powitał radośnie pułk cały, który swego dowódcę otaczał miłością i zaufaniem. Drobne niemowlę stało się ulubionym pułku dziecięciem i nieraz wiarusy, okryci bliznami i zaszczytnymi oznakami męstwa, brali go na ręce, pieścili się z nim i bawili". Do tego starego zapisu trzeba dodać, że w zabawach z "dziecięciem pułku" mieli okazję uczestniczyć tylko żołnierze odwodów szwoleżerskich. Szwadrony bojowe pułku wymaszerowały bowiem z Chantilly na wojnę z cesarstwem rosyjskim - już nazajutrz po narodzinach generałowicza. Generał pozostał jeszcze kilka dni w Paryżu, aby być obecnym przy chrzcie syna w kościele Notre Dame de Lorette. Nowo narodzonego wprowadzały do społeczności chrześcijańskiej dwie pary rodziców chrzestnych. Matkowały mu najpopularniejsze damy Polonii paryskiej, znane dobrze czytelnikom moich poprzednich książek: Maria z Łączyńskich hrabina Walewska oraz jej kuzynka i wieloletnia przyzwoitka - Teodora z Walewskich księżna Jabłonowska. Druga z tych pań spłacała dowódcy szwoleżerów dług wdzięczności za to, że kilka tygodni wcześniej przyjął był na adiutanta do swego sławnego regimentu jej starszego syna, dziewiętnastoletniego księcia Antoniego Jabłonowskiego (nie przeczuwał generał, ile zmartwień przysporzy mu kiedyś ten młody protegowany). Jako ojcowie chrzestni małego Krasińskiego wystąpili dwaj zasłużeni szwoleżerowie, dawni członkowie Towarzystwa Przyjaciół Ojczyzny: pułkownik Ludwik Michał Pac, późniejszy generał dywizji i dowódca całej kawalerii polskiej w kampanii 1814 roku, oraz szef szwadronu Piotr Krasiński, który musiał wycofać się z szeregów szwoleżerskich wskutek ciężkich ran, odniesionych w szarży na Somosierre i w bitwie pod Wagram. Trudno się dziwić, że chrześniak, posiadający tak wielu chrzestnych, został obdarzony aż pięcioma imionami. Wpisano go do paryskich ksiąg stanu cywilnego jako Napoleona Stanisława Adama Feliksa

Zygmunta hrabiego Krasińskiego. Bezpośrednio po chrzcinach generał pożegnał się z żoną i synem i podążył za swymi szwoleżerami, aby dopędzić ich jeszcze przed wkroczeniem do Polski, przepadał bowiem za pokazywaniem się na czele pułku w momentach szczególnie uroczystych. Do następnego spotkania rodziny doszło dopiero po zakończeniu fatalnej dla Napoleona kampanii rosyjskiej, a więc w wiele miesięcy później. W czasie długiej rozłąki generał bardzo dbał o podtrzymywanie z żoną stałej łączności listowej. Z obfitej korespondencji małżonków zachowały się, niestety, tylko nieliczne fragmenty, cytowane w dziełach wczesnych biografów Zygmunta Krasińskiego, którzy mieli dostęp do nie zniszczonych jeszcze archiwów rodzinnych. Ale i z tych szczątków można się dowiedzieć, jak troskliwym i kochającym mężem i ojcem umiał być dowódca szwoleżerów. Trudy marszów bojowych, radości zwycięstw i gorycze klęsk nie przesłaniały mu ani na chwilę obrazu pozostawionej we Francji rodziny. Marznąc na biwaku polowym pod Witebskiem, krzepił się myślami o hrabinie Marii Urszuli, spacerującej po jesiennym lesie w Chantilly z małym Napoleonkiem (w owym okresie przyszły poeta występował jeszcze pod pierwszym imieniem chrzestnym, nadanym mu na cześć wielkiego cesarza). Biografowie zapewniają, że nawet podczas pożaru Moskwy generał troszczył się o zdrowie syna i drobiazgowo pouczał hrabinę, jak należy go wychowywać. Ukochany Napoleonek był głównym tematem wszystkich listów. Czuły ojciec kazał sobie opisywać szczegółowo jego wygląd, dopytywał się o jego cechy charakteru i skłonności, zaklinał żonę, aby zbytnio nie rozpieszczała jedynaka, i zaraz potem, z właściwym sobie brakiem konsekwencji, zapowiadał, że po powrocie "zje go z pieśczoł". Po wycofaniu się z Rosji resztek Wielkiej Armii, kiedy rodzina Krasińskich znowu połączyła się na krótko, a pokonana Francja mobilizowała gorączkowo wszystkie rezerwy do ostatniego starcia zbrojnego z koalicją - generał zabrał się energicznie do zakładania pierwszych realnych fundamentów pod przyszłą karierę syna. W wyniku odpowiednich zabiegów cesarz Napoleon, uznając zasługi dowódcy swojej polskiej gwardii, zgodził się zaszczyścić jego dwuletniego jedynaka honorową godnością adiutanta następcy tronu. Nie chodziło bynajmniej o jakąś dziecinną zabawę w wojsko. Z obu stron traktowano rzecz jak najpoważniej. Tak generał, jak i jego najwyższy zwierzchnik byli jeszcze wówczas przekonani, że mały król rzymski - starszy od małego Krasińskiego zaledwie o kilka miesięcy zasiądzie w przyszłości na tronie francuskim jako cesarz Napoleon II. Polski adiutant i przyjaciel cesarza z lat dziecinnych miałby wtedy otwartą drogę do najświetniejszych stanowisk w napoleońskiej Polsce, kto wie - może nawet do korony. Do ostatniej wojny w zbiorach ordynacji Krasińskich w Warszawie przechowywano dziecinny mundurek szwoleżerski z adiutanckimi akselbantami, małą czapkę z generalskim otokiem ze srebrnych liści oraz miniaturową szabelkę z literą "N" na rękojeści. Ten piękny ekwipunek, wykonany z dbałością o każdy szczegół w warsztatach pułkowych w Chantilly, świadczył najlepiej o poważnym stosunku generała do początków dworskiej kariery syna. Zimą i wczesną wiosną roku 1814 - kiedy ojcowie dwóch Napoleonków walczyli na francuskich polach bitew w obronie cesarstwa i świetnej przyszłości synów - przebywający w stolicy szwoleżerowie z rezerw gwardyjskich mieli możliwość podziwiania "dziecięcia pułku" w pełnym blasku jego adiutanckich

splendorów. Okazji po temu dostarczały parady wojskowe, odbywające się na placu du Caroussel przed pałacem cesarskim. "Na dole pałacu w oknie - wspomina jeden z pamiętnikarzy - przypatrywał się paradzie król rzymski, syn cesarstwa, mający wtedy 4-ty rok. Obok niego bywał syn g-ła Wincentego Krasińskiego, Zygmunt, w równym będąc wieku z tamym*, w stroju polskim występował, z karabelą u boku. (* Pamiętnikarz [pułkownik F.S. Gawroński] niedokładnie określa wiek chłopców - syn Napoleona urodził się 20.III.1811 r., Zygmunt Krasiński - 19.II.1812 r.) Obydwa strzeżeni przez hrabinę Montesquieu, ochmistrzynię dworu, krzyczeli: Vivat! jak pułk polskiej jazdy przechodził..." Po paradzie młodzutki adiutant następcy tronu bywał zazwyczaj zapraszany na obiad przez dwoje monarchów, przebywających w Paryżu: cesarżową Marię Ludwikę i króla hiszpańskiego Józefa Bonapartego, który po odjeździe brata na front pełnił w stolicy funkcję cesarskiego namiestnika. Warto od razu zaznaczyć, że nie były to jedyne zetknięcia z ludźmi koronowanymi, w dzieciństwie przyszłego autora Irydiona i Nieboskiej komedii. W dwa lata później mały "Zygmuntek" (pierwsze imię chłopca ustąpiło miejsca piątemu natychmiast po upadku cesarstwa napoleońskiego) zadziwił i zachwycił całą Warszawę niezwykłą ripostą, udzieloną cesarzowi Aleksandrowi I. Zdarzyło się to na balu dziecięcym wydanym przez księżną Izabelę Czartoryską z okazji pobytu w stolicy nowego króla Polski. Cesarz-król Aleksander zaszczylił bal swoją obecnością i brał żywy udział w zabawie dzieci. Zafascynowany inteligencją i erudycją niespełna czteroletniego Krasińskiego, zaproponował mu zadeklamowanie jakiegoś wierszyka. Wtedy to syn szwoleżerski, patrząc śmiało w oczy pogromcy Napoleona, wyrecytował fragment Wolterowskiej Śmierci Cezara, rozpoczynający się od słów: "Ty śpisz, Brutusie, a Rzym w niewoli..." Wrażenie "takich słów w takiej sytuacji" było - jak zapewniają pamiętnikarze - potężne. Hrabia-generał musiał wysilić cały swój dowcip, aby obrócić w żart ten antycezaryczny występ syna. Równie zdumiewający refleks wykazał generalski jednak w rozmowie z rosyjską cesarżową-matką, która w roku 1819 zjechała była do Warszawy dla ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy małżeństwa wielkiego księcia Konstantego z Joanną Grudzińską. Kiedy starej carycy Marii Teodorownie przedstawiono siedmioletniego Krasińskiego, zapytała go żartem, czy zechce być jej rycerzem i obrońcą. Chłopiec skłonił się, zgodnie z obowiązującą etykietą dworską, po czym wypalił piękną francuszczyzną: "Non, hotre Majeste n'a pas besoin de defenseurs n'ayant point d'ennemis" (Nie, Najjaśniejsza Pani nie potrzebuje obrońców, gdyż nie ma żadnych wrogów). Ta dyplomatyczna odpowiedź, godna Talleyranda, rozeszła się szerokim echem i syn popularnego generała został uznany za drugie cudowne dziecko salonów warszawskich; miejsce pierwszego było już zajęte przez starszego od "Zygmuntka" o dwa lata - "Frycka" Chopina. Proszę nie sądzić, że to zestawienie małego Krasińskiego z małym Chopinem jest moim pomysłem. Przed kilkudziesięciu laty w papierach pośmiertnych Juliana Ursyna Niemcewicza odnaleziono nie publikowany drobiazg literacki Nasze stosunki towarzyskie. Główna wartość tego żartobliwego obrazka scenicznego polega na tym, że występują w nim pod prawdziwymi nazwiskami różne znane osobistości z towarzystwa warszawskiego. W mieszkaniu ordynatowej Zofii Zamoyskiej (córci księżnej Izabeli Czartoryskiej) arystokratyczne grono pań i panów układa program koncertu na cele dobroczynne. Padają różne atrakcyjne projekty. Z pierwszym

występuje sama gospodyni: Ordynatowa: "Przewyborny przychodzi mi koncept: mały Chopinek ma już lat dziewięć, ale żeby większą w ludziach wzbudzić ciekawość, wydrukujemy w okazach, że Chopinek ma tylko lat trzy. Trzyletnie dziecię, grające wielki koncert na klawikordzie, latające na krzyż z rączkami swemi, to na prawo, to na lewo, ach! jakże ludzie będą się zlatywać, żeby zobaczyć to cudo..." I zaraz potem druga propozycja: Ks.Sapieżyna: "Wiecie państwo, że pani Krasieńska ma ślicznego dowcipnego synka Zygmunta. Il est vraiment etonnant, c'est un delicieux petit chien, il dit des choses les plus spirituelles et les plus aimables. (Jest naprawdę zadziwiający, to rozkoszne diablątko mówi rzeczy najdowcipniejsze i najprzyjemniejsze)... Wszyscy słyszeli o nim nadzwyczajności i ciekawi go widzieć". Ordynatowa (zrywa się z uniesieniem): "Le ciel meme vous a inspire ma chere! (Samo niebo natchnęło cię, moja droga). Będziemy go pokazywać za pieniądze, po dukacie za bilet, je me charge de le costumer en chevalier francais, il declamera (podejmuję się przebrać go za francuskiego rycerza, będzie deklamował)..."

Ponieważ w Naszych stosunkach towarzyskich podany jest ówczesny wiek Chopina, łatwo ustalić, że Niemcewicz pisał swoją komedyjkę w roku 1819, kto wie, czy nie bezpośrednio po dyplomatycznym występie Zygmunta Krasieńskiego przed cesarżową rosyjską. Satyryczna ostrość tego obrazka pozwala zrozumieć, dlaczego damy z arystokracji warszawskiej bały się jak ognia jadowitego Juliana Ursyna. Księżna Zajączkowa mawiała podobno, że "gdyby Niemcewicz kogo ukąsił, ukąszony zaraz by się wściekł". W latach późniejszych ojciec Zygmunta Krasieńskiego miał się przekonać na własnej skórze, jak boleśnie potrafi kąsać autor Śpiewów historycznych. Ale w roku 1819 było jeszcze daleko do dramatycznych wydarzeń, które ściągają na generała gniew sędziwego poety. Na razie stosunki układały się jak najlepiej i Niemcewicz bywał częstym gościem na literackich obiadach czwartkowych* (* Wielu poważnych biografów Zygmunta Krasieńskiego upiera się przy twierdzeniu, że obiady literackie odbywały się nie we czwartki, lecz w soboty. Może tak było w okresie późniejszym, kiedy początkowe "obiady-śniadania" ustąpiły miejsca "obiadom-kolacjom", wydawanym w godzinach wieczornych, po prelekcjach Ludwika Osińskiego.) Krasieńskiego w jego pałacu na Krakowskim Przedmieściu (obecny gmach Akademii Sztuk Pięknych). Znakomity pisarz lubił sobie dobrze podjeść i znany był z łakomstwa, a wyborna kuchnia pana Wincentego miała ugruntowaną sławę jeszcze z czasów, kiedy odgrywała historyczną rolę w organizowaniu Towarzystwa Przyjaciół Ojczyzny. niesprawiedliwy wszakże byłby sąd, że Niemcewicza i innych koryfeuszy intelektu sprowadzały na obiady czwartkowe Krasieńskiego wyłącznie względy natury kulinarnej. Dowódca szwoleżerów miał wieloletnią wprawę w urządzaniu podobnych zebrań i umiał stwarzać na nich atmosferę, atrakcyjną nawet dla najbardziej wyrafinowanych umysłów. Jedną z jego niewątpliwych zalet było snobowanie się na stosunki z wybitnymi literatami, artystami i naukowcami. Zasmakował w tym jeszcze na uczonych przyjęciach wydawanych w pruskiej Warszawie przez ojczyma swej żony, starego marszałka Stanisława Małachowskiego. Zaprzyjaźnił się wtedy ze Staszicem, Niemcewiczem, Lindem, Ludwikiem Osińskim, żołnierzem poetą Franciszkiem Morawskim, muzykiem Elsnerem, malarzem Voglem i wieloma innymi przedstawicielami świata kultury i nauki. Dzięki Staszicowi i Osińskiemu został

później wprowadzony jako "członek przybrany" do Towarzystwa Przyjaciół Nauk, gdzie starał się odgrywać rolę jak najbardziej czynną. Wspierał Towarzystwo hojnymi dotacjami, często zabierał głos w dyskusjach na sesjach naukowych, a od czasu do czasu zgłaszał nawet projekty własnych rozpraw z zakresu geografii, językoznawstwa i historii, choć później, wskutek takich czy innych przeszkód, nie udawało mu się zazwyczaj tych projektów realizować. Także w latach wojen napoleońskich pan Wincenty nie szczędził wysiłków dla podtrzymywania bliskich kontaktów z warszawską elitą kulturalną. Często i wylewnie przypominał się pamięci Staszica, Niemcewicza, Osieńskiego oraz czcigodnego Samuela Bogumiła Lindego, autora monumentalnego Słownika języka polskiego. W listach do malarza Zygmunta Vogla vel Ptaszka, pisanych bezpośrednio po historycznych bitwach, przekazywał uczoneму przyjacielom stołecznym relacje o swoich sukcesach militarnych, podbarwiane niekiedy istic literacką fantazją. Z okupowanego Madrytu nadesłał szczegółowy konspekt dzieła Rzut oka na Hiszpanię, które to dzieło obiecywał napisać w wolnym czasie gwoli oświecenia rodaków. Donosił o solennym tropieniu w hiszpańskich, francuskich i rosyjskich bibliotekach cennych białych kruków, którymi pragnąłby zasilić zbiory Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Krótko mówiąc: nie dopuszczał, aby zapomniano o nim na warszawskim parnasia. Po wojnie i powrocie do Warszawy, pomimo naporu dokonujących się przemian historycznych, zabrał się niezwłocznie do ponownego skupiania wokół siebie dawnych towarzyszy sjest literacko-naukowych. Inauguracja obiadów czwartkowych w pałacu na Krakowskim Przedmieściu nastąpiła jeszcze przed rozwiązaniem pułku szwoleżerów. Świadczy o tym list jednego ze stałych bywalców tych zebrań, pułkownika (a wkrótce potem generała) Franciszka Dzierżykrajca-Morawskiego, utalentowanego pisarza i zacnego człowieka, niezwykle popularnego w ówczesnym świecie kulturalnym. List pisany 20 października 1814 roku był odpowiedzią na zaproszenie generała. "Wezwanie na obiad odebrałem dopiero o godzinie 9-tej rano - pisał Morawski - a sądząc po gorliwości o mowę Ojczyństą, którą w tem piśmie widzę, nietrudno mi było w Janie Czystopisie odkryć Krasieńskiego Co pięknym działem fortuny tyle w sobie darów mieści. Wczoraj rozrzucił pioruny, Dzisiaj z muzami się pieści..." Z dalszego ciągu listu można się dowiedzieć, jak wyglądały owe "pieszczoty z muzami" zasłużonego szwoleżera. Już żartobliwy kryptonim "Jana Czystopisa", którym Krasieński podpisywał zaproszenia, pozwala się domyślać, że obiady czwartkowe były z góry starannie reżyserowane jako szczególnego rodzaju zabawy literackie. W zaproszeniu, na które odpowiadał Morawski, określono temat najbliższego zebrania. Gospodarz rozpisywał - jakby to dzisiaj powiedziano - zamknięty konkurs poetycki, wzywając każdego z gości do przygotowania wiersza "głoszącego pochwałę czapki". Morawski, który z powodu choroby na obiad nie mógł się stawić, wiersz "głoszący pochwałę czapki, która się zachowała, podczas gdy tyle koron z głów pospadało", załączył do listu. Utwór ten, podobnie jak list, nie był nigdy dotychczas publikowany, lecz jego długość nie pozwala przytoczyć go tu w całości. Ograniczę się do zacytowania zwrotki, poświęconej nowym orłom na czapkach wojskowych. Weterani napoleońscy nie mogli początkowo do nich przywyknąć i nazywali je ironicznie "kogutkami". Wielu mówi, że to wada I prędkości zowie skutkiem Ale mnie milczeć wypada I ostrożnie bydź z kogutkiem.

Może on ziści nadzieje Może nam Polskę zapieie Może obroni dziedziny Może też dla tey przyczyny O tak wielkie względy proszę Że sam kogutka noszę... Takimi to rymowanymi igraszkami zajmowali się wybitni poeci warszawscy pod batutą pomysłowego dowódcy szwoleżerów cesarskich. Było to zresztą całkowicie zgodne z duchem czasu. List Franciszka Morawskiego nie tylko ujawnia rytuał obiadów czwartkowych Wincentego Krasińskiego, lecz ponadto demaskuje jedną z istotnych cech poezji pseudoklasycznej. Poezja ta - przynajmniej w swym stadium schyłkowym - była przede wszystkim sztuką pięknego pisania. "Klasycy" warszawscy bez trudu i oporów wewnętrznych potrafili płodzić wiersze na każdy zadany temat. Mogły to być równie dobrze panegiryki na cześć Napoleona lub Aleksandra, jak pochwała zwykłej żołnierskiej czapki. Byle wiersz przestrzegał reguł klasycznej wersyfikacji i nie naruszał konwencji dobrego smaku. W eleganckie zabawy poetyckie warszawskich salonów miała już wkrótce wtargnąć burza poezji romantycznej. Ale w czasie, kiedy Franciszek Morawski odpowiadał na zaproszenie Krasińskiego, wielcy poeci polskiego romantyzmu byli jeszcze dziećmi. Adam Mickiewicz miał lat piętnaście, Juliusz Słowacki - pięć, a najmłodszy z przyszłej trójcy wieszczów, Zygmunt Krasiński, zbliżał się ledwo do trzeciej rocznicy urodzin. Oderwijmy się na chwilę od ojca, byłego szwoleżera, i zajmijmy się synem - przyszłym poetą. Wypada raz jeszcze powrócić do Opinogóry i wyobrazić sobie jej krajobraz i mieszkańców z lat 1815-1820. Niech ożyją na krótko postacie uwiecznione na pomnikach i na marmurowych tablicach. W ówczesnej Opinogórze nie ma jeszcze neogotyckiego "zameczku", jest natomiast obszerny, szeroko rozparty dwór pański, odwieczne gniazdo starostów Krasińskich. Stoi tam, gdzie dzisiaj rozpościera się zielona pusta polana. W alejach parku przechadza się z książką w ręku nauczyciel Zygmunta pan Józef Korzeniowski, znakomity pedagog i literat, późniejszy autor Kollokacji i Karpackich górali. Jego mały uczeń doskonali się w tym czasie we francuszczyźnie pod kierunkiem swej drugiej nauczycielki i bony, emigrantki francuskiej, baronowej Delahaye. A owa drobna i jakby nieco ułomna dama o wielkich czarnych oczach i bladej, smutnej twarzy, nienaturalnie ożywionej chorobliwym rumieńcem, ta, która właśnie rysuje coś ze skupieniem na kartonie rozpiętym przed jej ogrodowym krzesłem, to sama jaśnie wielmożna generałowa Krasińska de domo Radziwiłł. Kiedy w roku 1803 młodziutki Wincenty Krasiński zenił się z księżniczką Marią Ursulą, nie wynikało to ze spontanicznego odruchu dwóch zakochanych serc. Chodziło raczej o formalne dopełnienie kontraktu familijnego, przygotowywanego długo i pracowicie przez marszałka Małachowskiego i starościny opinogórską z Dunajowiec. Narzeczona była niezbyt urodziwa, chorowita i o kilka lat starsza od narzeczonego, ale wnoszona przez nią w posagu ogromna fortuna Radziwiłłowska miała podreperować majątek Krasińskich, mocno nadwyrężony przez hulaszczy tryb życia młodego starościca. Sztucznie skojarzony mariaż okazał się jednak małżeństwem wyjątkowo dobranym, związkiem dwojga ludzi doskonale się uzupełniających. Chorobliwie wrażliwa, egzaltowana i skłonna do melancholii, młoda hrabina znalazła uzdrawiającą podporę w bujnej żywotności męża, próżność i snobizm pana Wincentego podporządkowały go całkowicie przewagom moralnym i intelektualnym żony. Materiał informacyjny, dochowany w starych papierach, każe wierzyć, że hrabina Maria Urszula była

indywidualnością naprawdę wybitną. Świadczy o tym wyjątkowa adoracja, jaką otaczano tę pełną chorobliwych urojeń gruźliczkę i mizantropkę w kapryśnym i cynicznym towarzystwie warszawskim; świadczy o tym sporo zapisów pamiętnikarskich. Przybysze ze stolic zagranicznych, którzy w pierwszych latach XIX stulecia odwiedzali Warszawę i mieli szczęście dłużej rozmawiać z młodą panią Krasińską, do tego stopnia ulegali jej urokowi osobistemu, inteligencji i erudycji, że przedstawiali ją potem w pamiętnikach nie tylko jako osobę wyjątkowo interesującą, ale i bardzo piękną, chociaż, jak można wnosić z zachowanych portretów, urodą się nie odznaczała. Dopiero w latach późniejszych przykre, zatrute chorobą usposobienie generałowej poczęło przesłaniać ludziom zalety jej umysłu i serca. Kajetan Koźmian gromił ją za "humor hipokondryczny". Kronikarz szwoleżerów Józef Załuski nie mógł wybaczyć żonie szefa, że w roku 1812 w Paryżu, kiedy wszyscy upajali się nadzieją na rychłe zwycięstwo nad Aleksandrem i "wrócenie Królestwa", ona jedna zadreśla otoczenie swoją melancholią i czarnymi wizjami przyszłości. Światły Józef Korzeniowski tak dalece poróżnił się z nerwową matką swego pupila, że ku żalowi generała musiał wyrzec się intratnej posady w domu Krasińskich. Hrabina Maria Urszula była osobą odczytaną i miała talent do rysunków. Najbardziej lubiła rysować gotyckie zamki i tłumaczyć z angielskiego i francuskiego średniowieczne legendy rycerskie. Rysunki matki i jej opowiadania o dawnych rycerzach wywierały potężny wpływ na kształtowanie się wyobraźni Zygmunta. Hrabina zdołała też przeszczepić na syna cały swój patriotyzm i głębokie przywiązanie do religii katolickiej. Jeśli jesteśmy już w Opinogórze z tamtych czasów, to trzeba ożywić jeszcze jedną jej mieszkanekę. Ona także, chociaż inne nosiła nazwisko, spoczywa w grobach rodzinnych Krasińskich. Pamięć o niej przetrwała na dwóch marmurowych tablicach w kościele i w sentymentalnym napisie na ławce parkowej. Turyści zwiedzający dzisiaj Opinogórę lubią zatrzymywać się na dłużej przy tej kamiennej ławeczce. Wryte na niej przed półtora wiekiem słowa: "Niech pamięć moja zawsze ci będzie miła" - działają im na wyobraźnię i podniecają ich ciekawość. Przewodnicy chętnie zaspokajają zainteresowania wycieczkowiczów, racząc ich romantyczną opowieścią o miłości poety do starszej o osiem lat kuzynki - Amelii Bronikowskiej, późniejszej hrabiny Romanowej Załuskiej. W krypcie grobowej kościoła opinogórskiego pochowano pod tym nazwiskiem i imieniem starą zasuszoną zakonnice. Ale w czasie, który nas interesuje, Amelia pojawia się w Opinogórze jako młode urocze stworzenie, zniewalające wdziękiem, urodą, szlachetnością serca i bystrą inteligencją (tak przynajmniej opisywali ją współcześni kronikarze). Podobnie jak Zygmunt, była dzieckiem napoleońskiego żołnierza. Jej ojciec, generał dywizji Mikołaj Oppeln-Bronikowski, organizator i dowódca Drugiej Legii Nadwiślańskiej (której notabene nigdy nie sformowano do końca), powrócił z wojny beznadziejnie chory. Żony nie zastał już przy życiu. Kiedy więc i on wkrótce poczuł zbliżającą się śmierć, przekazał opiekę nad jedyną córką swemu krewnemu i towarzyszowi broni - Wincentemu Krasińskiemu. Generał Bronikowski zmarł w styczniu 1817 roku. Od tego czasu aż do chwili zamążpójścia Amelia wychowywała się w domu państwa Krasińskich. Zygmunt zakochał się w pięknej krewniaczce dziecinną miłością egzaltowanego, przedwcześnie dojrzałego chłopca. Później ta beznadziejna, nie odważajmiona miłość odżywała w nim jeszcze dwukrotnie - w najtragiczniejszych

dniach jego młodości: w okresie sądu sejmowego i bezpośrednio po powstaniu listopadowym. Ale o tym będzie mowa w dalszych rozdziałach książki. Na razie chciałem tylko ukazać dwie muzy, patronujące dzieciństwu szwoleżerskiego jedynaka. Nerwowo chorej matce i uroczej kuzynce zawdzięczał przyszły wieszcz swoje pierwsze wzruszenia poetyckie. Rysy tych dwóch pań odnaleźć można bez trudu w niejednym z jego młodzieńczych utworów. Dopóki żyła hrabina Maria Urszula, hrabia Wincenty nie zajmował się bezpośrednio wychowaniem syna. Ograniczał się do oddziaływania na jego wyobraźnię swoim bohaterским mitem. Wydawał się chłopcu kimś równie romantycznym i godnym najwyższego uwielbienia, jak legendarni wojownicy króla Artusa, o którym tak pięknie opowiadała matka. Rozdział IV 13 czerwca 1811 roku Napoleon mianował dowódcę swojej polskiej gwardii hrabią Cesarstwa Francuskiego; razem z tytułem hrabiowskim nadano mu wtedy nowy herb z dewizą: "Męstwo i Lojalność". Projektantem herbu musiał być ktoś dobrze znający Krasińskiego, bo dewiza pasowała do nowego hrabiego bezbłędnie. O jego męstwie świadczyły biuletyny Wielkiej Armii i opinie zwierzchników wojskowych, o lojalności - dokumenty równie wiarygodne, choć mniej oficjalne. Kajetan Koźmian przytacza w swoich Pamiętnikach charakterystyczny epizod, który miał się rzekomo przyczynić do zaskarżenia Krasińskiemu specjalnych łask Napoleona. "Na obiedzie u jednego z marszałków francuskich, na którym się wielu generałów znajdowało, znajdował się i generał, a podówczas jeszcze pułkownik Krasiński; wśród rozmów o kampaniach i o waleczności wojska polskiego jeden z generałów miał się odezwać: że wojsko polskie z chwałą służy Francji. Na to pułkownik Krasiński odrzekł: Nie mylcie się, panowie, nie służymy Francji, lecz wskrzesicielowi naszej ojczyzny Cesarzowi Napoleonowi, służymy z wiernością, wdzięcznością i poświęceniem, czujemy zaszczyt, że należymy do straży jego osoby, rozkazy jego ślepo wykonujemy i gdyby mi wszystkich panów, jak tu jesteście, kazał wziąć na piki, ani momentu bym się nie wahał. (podkreślenie moje - M.B.). - Nastąpiło nieukontentowane milczenie - kończy swoją relację Koźmian - lecz te słowa, doniesione Napoleonowi, dały mu ujrzeć w Krasińskim takiego osoby swojej strażnika, jakiego szukał i jakiego w Francuzach niełatwo mógł znaleźć". Nie chciałbym tu kwestionować szczytnych pobudek kierujących wystąpieniem Krasińskiego, ale wierność oparta na zasadzie ślepego posłuszeństwa nie powinna wzbudzać zaufania u władców. Obawiam się, że następna deklaracja ideowa dowódcy szwoleżerów nie ucieszyłaby już tak bardzo cesarza, gdyby mu o niej doniesiono, może nawet by go zaniepokoiła. Chodzi o list generała, pisany 10 listopada 1812 roku ze Smoleńska, a zachowany dla potomności w dziele Józefa Kallenbacha o Zygmuncie Krasińskim. Przytaczając ów list, Kallenbach wyraża przekonanie, że dowódca szwoleżerów polemizował w nim ze swą matką, usiłującą odciągnąć syna od Napoleona. Trzeba bowiem wiedzieć, że czcigodna pani Antonina z Czackich Krasińska, starościna opinogórska - rezydująca stale w swoich podolskich Dunajowcach, położonych w zaborze rosyjskim - przez cały czas była lojalną poddaną cara Aleksandra i odnosiła się z demonstracyjną niechęcią do "francuskiego potwora". Syn tak wykladał matce swoje stanowisko wobec obu monarchów: "Gdybym służył Aleksandrowi, służyłbym mu wiernie (podkreślenie J. Kallenbacha), ale skoro raz służę Cesarzowi, nie ma takiego wyrzeczenia, straty czy

ofiary - jakich bym dla niego nie poniósł... W trzy lata później starościna opinogórska nie miała już powodów do niezadowolenia z jedynaka. Nie stało Napoleona, więc generał przeszedł na służbę do Aleksandra i - zgodnie z deklaracją, wyrażoną w liście spod Smoleńska - służył nowemu panu tak samo wiernie jak poprzedniemu. Przejścia Wincentego Krasieńskiego od Napoleona do Aleksandra nie można oczywiście rozpatrywać w oderwaniu od sytuacji ogólnej. Zmianę orientacji politycznej historia narzuciła wówczas wszystkim obywatelom Księstwa Warszawskiego. Po upadku Napoleona, uosabiającego dla Polaków nadzieje na odzyskanie niepodległego państwa w dawnych granicach, trzeba było szukać nowego wskrzesiciela. Historia podsuwała go w osobie cesarza Aleksandra. Zgnębieni klęską Napoleona, Polacy dalecy byli od tej niezachwianej pewności, z jaką utrzymuje się dzisiaj, że po siedmioletnim istnieniu Księstwa Warszawskiego nie mogło już być dojsz do powtórnego unicestwienia państwowości polskiej. Brak tej pewności wyziera ze wszystkich ówczesnych listów i pamiętników. Nic więc dziwnego, że w Warszawie wdzięcznym uchem łowiono nadchodzące z kongresu wiedeńskiego wieści o wysiłkach wspaniałomyślnego zwycięzcy, zmierzających do zachowania państewka polskiego w powiązaniu unią personalną z cesarstwem rosyjskim. Państewko było żałośnie małe - mniejsze od dawnego Księstwa, ale Aleksander robił nadzieje na przyłączenie do niego w przyszłości tak zwanych zachodnich gubernii cesarstwa, czyli ziem utraconych przez Polskę w drugim rozbiore. Brano też pod uwagę, że napięta sytuacja polityczna między trzema dawnymi zaborcami wróżyła rychłą wojnę, która z kolei mogła doprowadzić do odzyskania ziem polskich, zagarniętych przez Austrię i Prusy. Poza tym Aleksander zdobył się na gest, którego daremnie domagano się przez siedem lat od Napoleona: przywrócił nowemu państewku nazwę królestwa i przybrał tytuł króla polskiego. Ustawa konstytucyjna, podpisana przez cesarza-króla w listopadzie 1815 roku, była wprawdzie mniej demokratyczna od konstytucji Księstwa Warszawskiego, lecz i tak uchodziła za najbardziej liberalną w kongresowej Europie. Wszystko to razem sprawiało, że te same względy patriotyczne, które w roku 1806 kazały Polakom opowiedzieć się po stronie Napoleona, w roku 1815 skłaniały ich ku Aleksandrowi. Ale podyktowana przez historię zmiana orientacji dokonywała się w społeczeństwie polskim z poważnymi oporami. Zunifikowane narody rozdzielał mur nieufnej obcości, narosły w wyniku rozbiorów, nadużyć i gwałtów cesarskiej administracji, powstania kościuszkowskiego, krwawej pacyfikacji Pragi i napoleońskiej wyprawy na Moskwę. Każdy Polak rozumiał, że maleńkie Królestwo Polskie, złączone wspólnym berłem z olbrzymim cesarstwem rosyjskim, nie osiągnie nigdy tego stopnia odrębności państwowej, z jakiej korzystało napoleońskie Księstwo Warszawskie. Jedyną warstwą społeczną, która (poza nielicznymi wyjątkami) przechodziła na stronę Aleksandra bez wewnętrznych oporów, była arystokracja. Dynasta rosyjski w polskiej koronie, znacznie pewniej niż wyrosły z rewolucji cesarz Francuzów, gwarantował magnatom utrzymanie ich materialnego stanu posiadania, feudalnych przywilejów, a przede wszystkim - rządów w państwie. W wypadku Wincentego Krasieńskiego, arystokracja do szpiku kości, obok interesu klasowego działały jeszcze bodźce indywidualne, które od pierwszej chwili ustawiły go w pozycji ultralojalisty wobec nowej władzy. Dowódca Gwardii Cesarsko-Polskiej, a następnie Gwardii

Królewsko-Polskiej, był gwardzistą nie tylko z przydziałów służbowych, lecz także z najgłębszych skłonności osobistych. Kiedy przegląda się jego materiały biograficzne, aż zdumienie ogarnia, że ten potomek wodzów barskich, chlubiący się republikańskimi tradycjami, tak uwielbiał samowładców i tak lubił uwijać się przy ich boku, że ten pan z panów, słynący z dumy i próżności, skory do obrażania się i pojedynków z lada powodu, z potulną uniżonością znosił publiczne zniewagi Napoleona (patrz Wspomnienia Leona Sapiehy) i ordynarne wybryki wielkiego księcia Konstantego. Musiało mu najwidoczniej dogadzać, kiedy czuł nad sobą potężnego rozkazodawcę, któremu mógł służyć z oddaniem i być ślepo posłuszny. Zapewne już w chwili przechodzenia na stronę Aleksandra niósł w sobie święte postanowienie "wzięcia na piki" każdego, kogo wskaże mu nowy władca. Trudno powiedzieć, co było główną przyczyną psychologiczną tego serwilizmu Wincentego Krasińskiego: czy jakieś mistyczne oddziaływanie charyzmatu władzy, czy nadzieja na sutą zapłatę za wierną służbę? W każdym razie z materiałów biograficznych wynika, że momenty karierowiczowskie odgrywały w życiu generała rolę nie byle jaką. Wierna służba przy boku Napoleona opłacała mu się sownie. Osiągnął wszystko, co mógł osiągnąć dowódca satelickiej gwardii: stopień generała dywizji, tytuł hrabiego cesarstwa, najwyższe order i bogate dotacje. W królestwie Aleksandra otwierały się przed nim widoki jeszcze wspanialsze. W Księstwie Warszawskim młody dowódca szwoleżerów był mimo wszystko postacią marginesową. Jako kandydat do wielkiej kariery politycznej i do najwyższych stanowisk w państwie nie liczył się zupełnie. Przy całej swej pysze i pewności siebie nie ośmielał się nawet marzyć o rywalizowaniu w tej dziedzinie z ludźmi tej miary, co Józef Poniatowski, Jan Henryk Dąbrowski czy inni doświadczeni mężowie stanu, jakich w Księstwie nie brakowało. W Królestwie rzeczy przedstawiały się inaczej. Krasiński powrócił do kraju jako naczelnny wódz chwałą okrytego wojska, żywy symbol legendy niepodległościowej, a ponadto jako człowiek znany już z najlepszej strony nowemu władcy i cieszący się jego łaskami (on przecież wysłał z Fontainebleau pierwszy hołdowniczy list do Aleksandra, on podejmował cesarza w czasie jego pobytu w Saint-Denis). W tej sytuacji mógł śmiało startować do wielkiej kariery politycznej. Nikt by się nie dziwił, gdyby cesarz-król mianował zasłużonego generała swoim namiestnikiem* w Królestwie. (* Namiestnik (wicekról) zastępował króla w jego nieobecności. Był nominalnym szefem rządu krajowego. Prawa Królestwa obdarzały go władzą niemal monarszą (wyłączone z jego kompetencji były tylko niektóre prerogatywy najwyższe, jak zwoływanie sejmów i sejmików, znoszenie reskryptów królewskich, wydawanie statutów organicznych).) Początkowo, co prawda, naturalnym kandydatem na najwyższe stanowisko w kraju był ktoś inny, znacznie godniejszy i odpowiedniejszy od Krasińskiego. Według powszechnej opinii urząd namiestnika z wieku i zasług należał się księciu Adamowi Jerzemu Czartoryskiemu, wieloletniemu rzecznikowi orientacji prorosyjskiej i osobistemu przyjacielowi cesarza, a jednocześnie wypróbowanemu patriocie i mężowi stanu, cieszącemu się ogromnym

autorytetem w całym społeczeństwie. Ale nienawiść wielkiego księcia Konstantego do tego kandydata, wsparta intrygami komisarza cesarskiego przy rządzie polskim, Mikołaja Nowosilcowa, wyłączyła Czartoryskiego z gry całkowicie. Z pewnych

wzmianek w materiałach biograficznych można wnosić, że Krasieński starał się niełaskę Czartoryskiego od razu wykorzystać dla siebie i już wtedy zabiegał o nominację na namiestnika. Ale spotkał go zawód. Aureola legendy napoleońskiej, otaczająca młodego generała, i jego popularność nie mogły usposabiać do niego przychylnie dwóch prokonsulów carskich w Warszawie, tym bardziej że stopień jego lojalności nie został jeszcze należycie wypróbowany. Postarano się tedy o wygodniejszego kandydata. Ku powszechnemu zdumieniu szefem rządu Królestwa został mianowany stary, beznogi generał Józef Zajaczek. Z narodowego lamusa, jak na uragowisko, wydzwignięto postać ongiś świetną, teraz już tylko żalonną. Dzielny generał z czasów jeszcze kościuszkowskich, jeden z najlepszych dowódców jazdy napoleońskiej, bohater wyprawy egipskiej oraz kampanii roku 1809 i 1812, po utracie nogi i zdrowia oraz paroletnim pobycie w więzieniach carskich, stał się strzępem człowieka zarówno pod względem fizycznym, jak i moralnym. Z natury egoista i zazdrośnik, nigdy niesyty zaszczytów i pieniędzy, znieawidzony przez arystokrację jako dawny jakobin i wskutek tego pozbawiony zaplecza w warstwie rządzącej, nadawał się Zajaczek w sam raz na reprezentacyjną kukłę w rękach Konstantego i Nowosilcowa. Krasieński nie zniechęcił się tym pierwszym zawodem. Namiestnik był stary, schorowany i lata jego wywyższenia były policzone. Żądny władzy szwoleżer uznał się za jego naturalnego następcę i postanowił zrobić wszystko, aby wyczekiwany spadek go nie ominął. Nie jest to tylko moja hipoteza. Z listów i wspomnień najbliższych przyjaciół Krasieńskiego wynika, że właśnie to obsesyjne pragnienie objęcia najwyższego urzędu w kraju było głównym motorem późniejszych posunięć politycznych generała, które miały pogrzebać jego karmazynowo-srebrną sławę szwoleżerską. Już w pierwszych latach Królestwa lojalność dowódcy Gwardii Królewsko-Polskiej została wystawiona na bardzo ciężką próbę. Mam na myśli wielokrotnie opisywaną sprawę adiutanta Krasieńskiego - kapitana Michała Wilczka. Wilczek był dawnym szwoleżerem. Jego nieustraszone męstwo przy wyjątkowo niskim wzroście i dziecinnym wyglądzie zdobyło mu szeroką popularność w całej gwardii napoleońskiej. Rodzina Wilczków, wywodząca się także z konfederatów barskich, była blisko związana z domem Krasieńskich i generał znał swego podwładnego od dziecka. Mimo jego zbyt młodego wieku (piętnaście lat), przeforsował przyjęcie chłopca do regimentu lekkokonných, a po pierwszym bohaterskim wyczynie młodzieńczego szwoleżera pod Madrytem przedstawił go osobiście Napoleonowi i gorąco polecił cesarskim względem. Uważał więc Wilczka za swoje odkrycie i darzył go uczuciem niemal ojcowskim. Nic też dziwnego, że po powstaniu Królestwa zabrał go ze sobą do nowej gwardii i zrobił swoim adiutantem. Początek tej smutnej historii rozegrał się w maju 1816 roku, w czasie jednej z parad, celebrowanych na placu Saskim przez wielkiego księcia Konstantego. Było to w okresie najdzikszych szaleństw cesarzowicza, który ze szczególnym upodobaniem udreślał dawnych oficerów napoleońskich, wyczuwając w nich wszystkich swoich potencjalnych przeciwników. Owego dnia Konstanty, po odkryciu jakiegoś nieznacznego uchybienia przy przeglądzie 3 pułku liniowego piechoty, zwymyślał brutalnie dwóch oficerów tego pułku, po czym kazał im wziąć karabiny od żołnierzy, stanąć w szeregu i dwukrotnie przemaszerować dokoła placu. Kara ta, nie stosowana dotychczas w wojsku polskim, była tym dotkliwsza dla ukaranych oficerów, że

wymierzono ją w obecności ich podwładnych oraz tłumu cywilnych widzów, przyglądających się rewii. Po zakończeniu parady korpus oficerski 3 pułku przedsięwziął osobliwą demonstrację. Koledzy znieważonych udali się tłumnie do znajdującej się jeszcze na placu grupy polskich generałów i oświadczyli im, że nie mogą służyć z ukaranymi oficerami, gdyż karę wymierzoną przez wielkiego księcia uważają za jednoznaczną z pozbawieniem ich stopni oficerskich. Oczekiwano, że pod wpływem tej desperackiej rezolucji generałowie zdecydują się na interwencję u Konstantego i skłonią go do złagodzenia swego postępu. Nie było to przedsięwzięcie beznadziejne, gdyż jak powszechnie wiedziano, cesarzowicz łatwo ulegał zmianie nastrojów i nie był pozbawiony poczucia sprawiedliwości. Ale generałowie nie zdobyli się na oczekiwaną interwencję. Wówczas w obronie ukaranych wystąpił obecny przy tej scenie kapitan Wilczek. Z taką samą zuchwałą śmiałością, z jaką kiedyś pod Madrytem nacierał w pojedynkę na hiszpańskie armaty, natarł na tłum wyorderowanych zwierzchników. Nie przebierając w słowach, "począł czynić im wyrzuty, że dbają jedynie o swe osobiste korzyści, zapominając o ojczyźnie i swoich podwładnych, że zachowują się obecnie z taką samą uniżonością względem Rosjan, z jaką przedtem zachowywali się względem Francuzów". Na koniec oświadczył, że choć jest tylko kapitanem, uważa za swój obowiązek postępować tak, "jak winni postępować generałowie, gdyby czuli się w obowiązku iść drogą honoru". Tym razem reakcja ze strony generałów była szybka i zdecydowana. Uwłączającą zasadom hierarchii wojskowej szarżę szwoleżerską Wilczka z miejsca ukarano. "Generał Krasieński, oburzony tymi ostrymi wyrażeniami, skazał kapitana na areszt domowy". Ale bohaterski "mały Wilczek" nie pozwolił się sprowadzić z drogi honoru. W trzy dni po aresztowaniu - w wigilię 24 rocznicy swych urodzin - strzałem z pistoletu pozbawił się życia. Byłoby przesadną niesprawiedliwością obciążać generała Krasieńskiego odpowiedzialnością za śmierć ulubionego adiutanta i protegowanego. Sam Wilczek w pożegnalnym liście uwalniał go od tej odpowiedzialności, stwierdzając wyraźnie, że odbiera sobie życie na znak protestu przeciwko metodom wielkiego księcia. Wraz z nim z tego samego powodu popełniło samobójstwo czterech innych młodych oficerów, wśród nich owi dwaj nieszczęśnicy z 3 pułku, którzy zapoczątkowali całe zajście. Z formalnego punktu widzenia generałowie nie mieli obowiązku interweniowania u cesarzowicza w sprawie znieważonych oficerów, natomiast Krasieński miał prawo ukarać swego bezpośredniego podwładnego za publiczne znieważanie generałów. Formalnie rzecz była w porządku. Ale dawny dowódca szwoleżerów nie miał przecież natury tępego żołnierza. Przy wszystkich swoich wadach i słabostkach był człowiekiem myślącym, zdolnym do szlachetnych uczuć. Nie mógł więc nie zdawać sobie sprawy ze swego udziału w tej tragedii. Nie mógł nie ugiąć się choć przez chwilę pod ciężarem strasznej myśli, że gdyby jego koledzy zachowali się z większą godnością, gdyby on sam bardziej po ludzku potraktował namiętny wybuch swego wychowanka, którego znał tak dobrze i od tak dawna, "mały Wilczek" nie musiałby może szukać honorowego rozwiązania w lufie pistoletu. Wyższe towarzystwo stolicy szybko przeszło do porządku dziennego nad udziałem popularnego generała w "przykrym incydencie". Ale ludzie skazani na dalszą walkę w obronie swej godności na warszawskim placu defilad nie zapomnieli Krasieńskiemu jego zachowania. Można

śmiało stwierdzić, że był to pierwszy otwarty konflikt między lojalnym hrabią gwardzistą a szerokimi kręgami patriotycznych oficerów, wychowanych w postępowych tradycjach Legionów i armii Księstwa Warszawskiego. Relację tę chciałbym jeszcze uzupełnić pewnym osobliwym, mało znanym szczegółem. Samobójstwo kapitana Wilczka i czterech innych oficerów przeraziło nie na żarty wielkiego księcia. Wolno przypuszczać, że zarządzono gruntowne zbadanie tła zajścia i że zajął się tym organ szczególnie do takich zadań predystynowany - "Wyższa Wojenna Sekretna Policja". Otóż wiele przemawia za tym, że jeden z szefów tej instytucji, otoczonej już wtedy dość ponurą sławą, interesował się samobójstwem kapitana Wilczka nie tylko w aspekcie profesjonalnym, lecz także w ściśle osobistym. Bo funkcję naczelnika warszawskiego oddziału tajnej policji cesarskiej pełnił w owych latach major Konstanty Vandernoot, dawny oficer Pułku Szwoleżerów Gwardii Napoleona, dobry znajomy bohaterskiego samobójcy. W książce Kozietułski i inni wymieniałem nazwisko Vandernoota parokrotnie, gdyż powtarzało się ono dość często w rodzinnej korespondencji zdobywcy Somosierry i innych szwoleżerów. Przeważnie w związku z usługami handlowymi, jakie ów obrotny i uczynny oficer świadczył kolegom. W listach nazywano go z reguły "pocziwym Vandernootem". Przypominam sobie m.in., że właśnie on kupował w Paryżu różne drobiazgi toaletowe dla siostry Kozietułskiego i że od niego nabyto konia, którego szwoleżerowie w roku 1814 podarowali Kościuszcze. W papierach Kozietułskiego odnalazłem list Vandernoota z 27 września 1817 roku i opublikowałem go w książce o szwoleżerach jako dowód, że Kozietułski jeszcze w Królestwie podtrzymywał żywe stosunki z dawnymi podwładnymi. List był wzruszający. Ciężko chory Vandernoot w serdecznych słowach dziękował Kozietułskiemu za pomoc finansową, udzieloną mu w chorobie, nieśmiało prosił o odroczenie spłaty pożyczki i zapewniał o swym "dozgonnym przywiązaniu". Ogłaszając ten list, nie miałem pojęcia o sekretnych funkcjach autora. Jeszcze teraz trudno mi skojarzyć "pocziwego Vandernoota", stale zajętego świadczeniem kolegom usług handlowych, pożyczającego od nich pieniądze i pisującego do nich wzruszające listy, z potężnym naczelnikiem tajnej policji wielkiego księcia. Ale ze źródeł historycznych wynika niezbicie, że chodzi o jedną i tę samą osobę. To zaskakujące przekwalifikowanie dawnego szwoleżera tak mnie zaintrygowało, że zadałem sobie trud zbadania jego stanu służby z czasów napoleońskich. I okazało się, że nie był to trud daremny. Konstanty Vandernoot (van der Noot) urodził się 12 kwietnia 1787 roku w Dzikowie, prawdopodobnie jako syn jakiegoś zagranicznego "metra" czy oficjalisty na dworze Tarnowskich. 4 kwietnia 1804 roku - a więc w wieku lat siedemnastu - zaciągnął się w Niemczech ochotniczo do polskiego pułku ułanów Legii Naddunajskiej. Razem z pułkiem powędrował do Włoch i po trzech latach służby (8 października 1807 roku) uzyskał awans na podoficera (marechal-des-logis). Niemal równocześnie - na podstawie rozkazu wicekróla Włoch (marszałka Eugeniusza de Beauharnais) - nowo mianowany podoficer Vandernoot przydzielony został jako oficer do sztabu generała dywizji Savary'ego księcia Rovigo, przy którym, jak wynika z karty służby, pozostał przez blisko dwa lata. 10 marca 1809 roku (bezpośrednio przed wybuchem wojny z Austrią) pojawił się w stopniu podporucznika w pułku Szwoleżerów Gwardii. 4 maja

1811 roku awansował w tymże pułku na porucznika. 1 stycznia 1814 roku przeszedł w stopniu kapitana do formowanego przez Kozietulskiego pułku Eklererów Gwardii. Tam przebył całą kampanię francuską, po czym powrócił z wojskiem do kraju. Jest w tej karcie służby jedna zagadka, wpadająca od razu w oczy: nagłe odkomenderowanie podoficera polskiego pułku jazdy do dyspozycji wysokiej francuskiej instancji sztabowej z jednoczesnym awansowaniem go na oficera. Jakim zasługom Vandernoot to zawdzięczał? Z pewnością nie bojowym. Jego karta służby jest jedną z nielicznych kart oficerskich pułku, na których nie odnotowano ani jednego odznaczenia, ani jednej rany. Ale jasne staje się wszystko, skoro się wie, że generał Savary pełnił w owym czasie funkcję szefa tajnej policji wojskowej Cesarstwa Francuskiego. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że Konstanty Vandernoot po odbyciu dwuletniego przeszkolenia pod okiem księcia Rovigo, przybył w 1809 roku do pułku Szwoleżerów Gwardii już jako konfident tajnej policji francuskiej. Po tym dodatkowym wyjaśnieniu nie może dziwić późniejsza kariera "pocziwego Vandernoota". Policja napoleońska była uważana w całej Europie za niedościgny wzór i na jej podobieństwo organizowano także policję w Królestwie. Oficerowie z francuskim stażem policyjnym byli cenieni na wagę złota. Kozietulski, świadcząc grzeczności dawnemu koledze, z pewnością nie wiedział o jego sekretnych funkcjach, jak nie wiedziano o nich przedtem w pułku szwoleżerów i w pułku eklererów. Konstanty Vandernoot - podobnie jak jego bezpośredni zwierzchnik w tajnej służbie, generał jazdy Aleksander Roźniecki - niezależnie od funkcji policyjnych zajmował w armii Królestwa różne oficjalne stanowiska: był majorem sztabu głównego, a następnie dowódcą eskorty przybocznej wielkiego księcia. Zmarł na szczęście dla siebie już w roku 1818. zanim jeszcze zasadniczym celem policji Królestwa stało się zwalczanie wszelkich przejawów polskiego patriotyzmu. W tym samym czasie, kiedy dawny szwoleżer Vandernoot odchodził z tego świata, łudząc się, że zabiera z sobą do grobu tajemnicę swego podwójnego życia, generał Wincenty Krasiński przygotowywał sobie start do kariery politycznej. W roku 1818, po trzech latach zwlekania i rozmaitych przeszkód, doszło wreszcie do zwołania sejmiku Królestwa. Dowódca Gwardii Królewsko-Polskiej, wybrany posłem z powiatu przasnyskiego w województwie płockim, miał przewodniczyć obradom sejmowym w charakterze marszałka z nominacji. Cesarz-król zapowiedział przyjazd na sejm, chciano więc, aby wszystko odbyło się w spokoju i porządku. Krasiński w pełni docenił okazane mu zaufanie i przygotowywał się do funkcji parlamentarnych z właściwym sobie rozmachem. Przed wszystkim zadbał oczywiście o to, aby jego historyczne wywyższenie zostało należycie upamiętnione. Drukarnie warszawskie zawnocześnie otrzymały dyskretne zamówienie na "kopiersztychy" z podpisem: "Marszałek Seymu Wincenty Korwin Hrabia Krasiński" tudzież herbem napoleońskiego hrabiego z dewizą Vaillance et Loyaute. Z taką samą dyskrecją, jak portret, przekazano do powielenia drukiem tekst uroczystej mowy, którą nowy marszałek zamierzał powitać w sejmie swego monarchę. Cała ta machina propagandowa została puszczona w ruch w ostatnich dniach marca 1818 roku, bezpośrednio po uroczystym otwarciu sejmiku. 27 marca cesarz-król przekazał generałowi Krasińskiemu w senacie łaskę marszałkowską Izby Poselskiej, po czym nader łaskawie wysłuchał jego przemówienia inauguracyjnego. Z mniejszym

entuzjazmem odniosła się do tej oracji polska opinia publiczna. Jakkolwiek Aleksander znajdował się wtedy u szczytu popularności i Polacy rzeczywiście uważali go za swojego króla, jakkolwiek przesadna i kwiecista retoryka w wystąpieniach publicznych była wówczas na porządku dziennym, wiele osób uznało, że gorliwy marszałek gwardzista przeholował w swym przemówieniu i wykroczył poza granice uprzejmości, obowiązującej go wobec monarchy. Zwłaszcza dawnym napoleończykom musiały zęby cierpnąć, kiedy najżarliwszy pretorianin dogorywającego na skalistej wyspie "bohatera wieku", człowiek, który jeszcze przed czterema laty widział w Aleksandrze głównego wroga Polski, takimi słowami witał go na pierwszym sejmie Królestwa: "Racz, Najjaśniejszy Królu a Panie nasz Miłościwy, widzieć w naszych uczuciach te dowody wdzięczności i przywiązania, które z krwią najpóźniejszym Potomkom przeleimy. Niech kiedyś po licznych wiekach niezmiennie w dziejach naszych i niezłomne nigdy uczucia dla najpóźniejszego Twego plemienia dowiodą, iż Twe dobrodzieystwa są nieśmiertelne". Wincenty Krasiński, jak sam to niegdyś wyznał w samokrytycznym liście do żony, "był chciwy pochwał, a nic sobie nie robił z opinii". W roku 1818 raz jeszcze potwierdził prawdziwość tego wyznania - sposobem, w jaki przewodniczył obradom sejmowym. Rozegrał ponoć przed cesarzem i obecnymi na sali obrad dostojnikami wielki popis bezwzględnej lojalności dla rządu i absolutnego lekceważenia dla wszelkiej opozycji. Wtrącał się do przemówień poselskich i przerywał je bez skrpułów, skoro tylko zabrzmiał w nich najłżejszy ton krytyki w stosunku do polityki rządowej. Przyjaciel i biograf Krasińskiego, Kajetan Koźmian, który był naocznym świadkiem tych jego poczynań w izbie poselskiej, stwierdza oględnie w Pamiętnikach, że "zręczność Marszałka Seymowego umiała umysły zatrzymać w szrankach umiarkowania". Jednakże zaraz potem przytacza konkretny przykład owej "zręczności" Krasińskiego, dzięki czemu rzecz nabiera właściwych kolorów. "Gdy przyszło do użycia atrybucyi Sejmu czynienia uwag nad raportem Rady Stanu - pisze Koźmian - niechęć przeciw rządowi zaczęła się objawiać". I tu następuje opis zdarzenia, znanego także z innych źródeł. Jako rzecznik niezadowolonych wystąpił wymowny poseł z Mariampola Józef Godlewski, wytaczając skargę o bezpodstawne uwięzienie jednego z obywateli przez wielkiego księcia Konstantego. Stworzyło to dla rządu bardzo kłopotliwą sytuację, gdyż "skarga miała za sobą prawość, ale obrażała pośrednio W. Księcia i byłaby niemiłą Cesarzowi przez zbyt głośne wyjawienie tego gwałtu przez brata popełnionego". Ale od czego niezawodna "zręczność" Krasińskiego! - "Marszałek chcąc upiastować ukontentowanie Cesarzkie z Seymu - jak to pięknie formułuje Koźmian - nie bez trudności wziął na siebie przedstawienie skargi Cesarzowi". Tylko rzecz w tym, że ostatecznie Krasiński wcale tej skargi Aleksandrowi nie przedstawił. Chodziło mu jedynie o zażegnanie publicznego skandalu w sejmie, a nie zamierzał bynajmniej narażać się osobiście ani cesarzowi, ani naczelnemu wodzowi. Ale podstępnie skłonieni do wycofania skargi posłowie nie dali za wygraną. Dopadli zręcznego marszałka w kuluarach i urządzili mu piekielną awanturę, a Godlewski wyzwał go na szable za niewypełnienie honorowej obietnicy. Do pojedynku w końcu nie doszło, ale sprawa musiała być głośna, jeżeli nawet Koźmian o niej wspomina. Bo trzeba wiedzieć, że Koźmian na sejmie 1818 roku nie był obserwatorem bezstronnym. Jako

radca stanu, składający przed przedstawicielstwem narodu generalne sprawozdanie z działalności rządu, sam był najbardziej zainteresowany w przytłumieniu wszelkiej opozycji i z całego serca sprzyjał "zręcznym" manewrom przyjaciela marszałka. Najdokładniej i chyba najprawdziwiej opisał zachowanie się Wincentego Krasińskiego na sejmie 1818 roku Leon Dembowski w drugim (nie wydanym) tomie swoich Pamiętników. Relacja ta zasługuje na szczególną uwagę, gdyż właśnie Dembowski i Samuel Bogumił Linde łagodzili z polecenia izby poselskiej spór między Krasińskim a Godlewskim. Charakteryzując ogólnie Krasińskiego, pamiętnikarz stwierdza, że "Marszałek obok wielu zalet i przymiotów, jakimi były np. grzeczność, dowcip, bystrość i łatwość wysłowienia, miał jednakże dwie wielkie wady: pewien rodzaj fanfaronady i żywość niepohamowaną". Następnie Dembowski przytacza kilka konkretnych wypadków, kiedy marszałek, wyraźnie przekraczając swe uprawnienia, odbierał głos posłom, "ściągając przez to na siebie nieukontentowanie ich i kolegów". Pogorszył się ten stan jeszcze, "kiedy na owej Sessyi, w której przerwał głos Chmielewskiemu, sam zaczął mówić z przechwałkami o swojej waleczności, o której nikt nie wątpił, i chwając się, że przelał krew pod Somosierrą, chociaż wszystkim było wiadome, iż w tej bitwie w ogniu nie znajdował się. kiedy patetycznie okazał bliźnę na nosie, którą tam miał otrzymać, a którą, jak cała Warszawa wiedziała, otrzymał w pojedynku z Pułkownikiem Molskim". (Proszę zauważyć, że nie są to już moje domysły, wysnuwane z rzeźby Bosiego w Opinogórze, lecz relacja miarodajnego świadka, który słyszał tę fanfaronadę generała na własne uszy). Sam opis akcji mediacyjnej między Krasińskim a Godlewskim wydaje mi się tak interesujący i cenny, zarówno ze względów biograficznych, jak ogólnoowyczajowych, że - nie bacząc na jego długość - chciałbym go przytoczyć w całości. "Zadanie było niełatwe - pisze Dembowski. - Od owej chwili z Lindem kilka razy przejeżdżaliśmy się od Marszałka do Godlewskiego i na powrót. Na koniec udało nam się nakłonić Godlewskiego, iż jeżeli Marszałek w obecności komisyjów oświadczy, iż nie miał zamiaru go obrazić, to tym rodzajem satysfakcji będzie się kontentował. Do tego rezultatu doprowadziliśmy rzecz około godziny 1-ej; to jest do chwili, w której na śniadaniu u Krasińskiego było kilkadziesiąt posłów. Ci, jak zaczęli Krasińskiego błagać, ażeby przyjął podobną propozycję, zdołali od niego otrzymać przyrzeczenie i nie chcąc, aby rzecz szła w odwłokę, prosili, by Linde i ja zaprosili Godlewskiego, by przybył do Marszałka, którego wobec wszystkich zebranych oświadczenie to uczynić przyrzekł. Jak to zwykle bywa, jeszcze nimeśmy wyjechali, zaczęto z radości pić rozmaite zdrowia, a tego skutkiem, iż największa część przytomnych zanadto winem była rozgrzana. Przyjechawszy do Godlewskiego zastaliśmy go także w gronie posłów augustowskich przy obiedzie, spełniających zdrowie, muzyka przygrywała vivatom, a jeżeli towarzystwo u Marszałka zebrane nie grzeszyło trzeźwością, Augustowskie już także w dobrym było humorze. Na radosną wiadomość o odniesionym zwycięstwie, znowu się rozpoczęły libacje, a Godlewski oświadczył, że punkt o 4-ej będzie u Marszałka i że ta jego bytność zadecyduje, czyli pojedynek nastąpi, lub nie. Wróciliśmy tedy do Krasińskiego, lecz tu zastaliśmy cokolwiek zmienione okoliczności. Podczas naszej niebytności zapytał ktoś, jaką ma broń Krasiński, w razie gdyby Godlewski upierał się co do pojedynku. Kazał więc przynieść pistolety z

fabryki Bouleta (?), które jak mówił miał w darze od Napoleona, wszyscy robotę chwalili, a chcąc się przekonać, czy pistolety dobrocią strzałów wyrównują piękności, udano się do ogrodu i zaczęto strzelać do celu - a gdy Generał trafił w sam środek, zaczęto wołać: tak będzie z Godlewskim. - Zgoła, że pokojowe przedśniadanne zamysły ustąpiły jakiejś wojowniczej chęćce. Szczęściem, że dosyć pozostało czasu do usunięcia pistoletów i ułożenia frazesów, które mogły zaspokoić Godlewskiego a nie kompromitować Marszałka, a po przybyciu Godlewskiego nastąpiła zgoda i znowu libacje tą razą już tak obfite, że podobno prócz Lindego i mnie nikt obronną ręką z tej biesiady nie wyszedł..." Sejm 1818 roku nie spełnił wprawdzie pokładanych w nim nadziei na przyłączenie do Królestwa "ziem zabranych", ale rozdmuchał te nadzieje do punktu kulminacyjnego. W orędziach skierowanych do sejmu i w rozmowach prywatnych - przeważnie z pięknymi damami z arystokracji polskiej - Aleksander zapowiadał niemal otwarcie dwa wydarzenia: nadanie konstytucji całemu cesarstwu rosyjskiemu oraz przyłączenie Litwy do Królestwa Polskiego. "Podaliście mi sposobność okazania mojej Ojczyźnie tego, co dla niej od dawna gotuję... - mówił w sejmie cesarz-król. - Reprezentanci Królestwa Polskiego, wnieście się do wysokości waszego zadania. Wezwani jesteście dać znakomity przykład Europie, wzrok swój na was zwracającej. [...] Skutki prac waszych nauczą mnie, czyli wierny swoim przedsięwzięciom będę mógł dalej rozszerzać to, co już dla Was uczyniłem". Podobnie jak przed dziesięciu laty, za Napoleona, każdemu ze słów cesarskich starano się w Warszawie nadać interpretację jak najbardziej odpowiadającą życzeniom powszechnym. Aleksander także był z sejmu "w miarę ukontentowany". Koźmian zauważa jednak, że w dyskusjach sejmowych "zaczął się już przebijać duch opozycji, lecz słaby i jeszcze niesystematyczny". Cesarz z pewnością zdawał sobie sprawę z tego, że spokój na sejmie zawdzięczał w znacznej mierze energii i zręczności marszałka Krasieńskiego oraz umiarkowaniu głównego referenta Koźmiana. Przed wyjazdem wezwał do siebie radcę Koźmiana na specjalną audiencję prywatną i wyraził mu zadowolenie z prac rządu oraz serdeczne podziękowanie za właściwe zredagowanie raportu. Marszałek zainkasował swoją nagrodę z góry, gdyż jeszcze przed inauguracją obrad sejmowych doręczono mu nominację na cesarskiego generała-adiutanta. Pan na Opinogórze musiał być z przebiegu i rezultatów sejmu najzupełniej zadowolony. Jeżeli coś zakłócało mu spokój ducha, to chyba tylko spotęgowany jeszcze apetyt na spuściznę po Zajączku, jako że dostojny inwalida uzyskał od sejmu tytuł książęcy i zwać się począł odtąd księciem-namiestnikiem. Natomiast Kajetan Koźmian - bardziej od Krasieńskiego wrażliwy na opinię - miał jednak pewne wątpliwości co do swoich wystąpień sejmowych. Z rozbrajającą szczerością przyznaje się do tego w Pamiętnikach: "Raport ten (tzn. sprawozdanie, wygłoszone przez niego w sejmie - M.B.) nie przypadł jednak zupełnie do smaku tej części publiczności, która się nie ogląda na okoliczności i na roztropności względy. I Molski, który przy każdej sposobności odzywał się wierszem nieraz satyrą zaprawnym, w liście rymowanym do mnie te cztery wiersze umieścił: "Twój raport w Sejmie był na rany plastrem Uwielbiam Chemika głowę, Co umiał zrobić wapno alabastrem Przez czarodziejską wymowę". Ciekawe, czy wierszopis Molski w swej satyrze ustosunkował się także do postępowania marszałka Izby Poselskiej? Był to przecież ten sam pułkownik

Marcin Molski, który przed laty z taką brawurą rozorał nos młodemu dowódcy szwoleżerów. Niezależnie od sukcesów politycznych, rok 1818 wyróżnia się w biografii Wincentego Krasińskiego ożywioną działalnością pisarską. Organizator czwartkowych sympozjów literackich już w latach poprzednich zabierał się wiele razy do pisania na rozmaite tematy, lecz żadna z tych wcześniejszych prób nie doczekała się uwieńczenia drukiem*. (* Wyjąwszy pracę ściśle instruktażową, dotyczącą posługiwania się lancą. Ukazała się ona pod nazwiskiem W. Krasińskiego w roku 1811, dedykowana Napoleonowi). Za to w roku 1818 zabłysnął aż trzema drukowanymi publikacjami, wydanymi w krótkich odstępach czasu w trzech oddzielnych broszurkach. Przetrwały one jako dowód rozległych zainteresowań generała gwardzisty i jako wymowne świadectwo jego poglądów społecznych. Na krótko przed sejmem w księgarniach warszawskich pojawiła się niewielka broszurka w języku francuskim *Apercu sur les Juifs de Pologne* (Rzut oka na Żydów w Polsce). Autorowi - występującemu pod dość przejrzystym kryptonimem "Generała Polskiego i Posła na Sejm" - wyraźnie nie zależało na szczelności incognito, gdyż w panegirycznej apostrofie na cześć namiestnika Zajączka, wydrukowanej na wstępie dziełka, jeszcze bardziej uchylił maski, podpisując się pod dedykacją pierwszą literą nazwiska. Ponieważ wśród świeżo wybranych posłów na sejm nie było drugiego generała o nazwisku rozpoczynającym się od litery "K", od razu stało się wiadome, że autorem publikacji mógł być tylko Wincenty Krasiński. Trudniej było zgadnąć, dlaczego słynny kawalerzysta wybrał sobie na debiut pisarski temat tak kłopotliwy i kontrowersyjny, jak "sposób urzędzenia" mniejszości żydowskiej w Polsce, problem, nad którego rozwiązaniem już od trzydziestu lat biedziły się najteższe umysły krajowe. Wszystko wskazuje na to, że źródłem inspiracji Krasińskiego było konkretne zamówienie polityczne. W początkach roku 1817 - czyli mniej więcej na rok przed wszczęciem przygotowań sejmowych - Rada Stanu, spełniająca funkcje rządu Królestwa, odrzuciła była, jako przedwczesny, projekt przywrócenia Żydom praw obywatelskich, przyznanych im konstytucją 1807 roku, lecz wkrótce potem zawieszonych na okres lat dziesięciu. Do utracenia projektu w Radzie Stanu głównie przyczynił się znany z konserwatywnych poglądów referendarz Kajetan Koźmian*, (* Kajetan Koźmian awansował z referendarza na radcę stanu dopiero bezpośrednio przed sejmem.) jeden z najbliższych przyjaciół generała Krasińskiego. Jakkolwiek decyzja rady w tej sprawie uzyskała wymaganą aprobatę cesarza-króla, w kołach rządowych musiano się liczyć z ewentualnością, że bogata i rozporządzająca potężnymi wpływami burżuazja żydowska nie zrezygnuje z walki o "uobywatelnienie" i będzie starała się dotrzeć ze swoją petycją bezpośrednio do Aleksandra, podczas jego pobytu w Warszawie w okresie sejmowym. Tym bardziej, że temu projektowi sprzyjał "siedzący w kieszeni u żydowskich bankierów" Nowosilcow. Kajetan Koźmian, doskonale zorientowany w poglądach społecznych pana na Opinogórze, mógł więc podsunąć przyjacielowi pomysł poparcia decyzji rządowej "głosem opinii publicznej", aby tym dosadniej wykazać monarsze, że mniejszość żydowska w Polsce rzeczywiście nie dojrzała jeszcze do emancypacji politycznej. Za hipotezą, że publikacja Krasińskiego wynikała z inspiracji rządowej i przeznaczona była przede wszystkim dla cesarza-króla, przemawia fakt, iż "Jan Czystopis", bezwzględny przeciwnik ("w zmianie dzisiejszey Świata") wszelkiej

cudzoziemszczyzny w słowie i piśmie, wydał swój debiut pisarski po francusku*. (* Później rozprawka ukazała się w tłumaczeniu polskim na łamach dodatku do "Gazety Korespondenta Warszawskiego" nr 25-29 z 1818 roku.) Apercu... nie był pracą odkrywczą. Krasiński nie mijał się z prawdą, wyznając żonie (w cytowanym już dwukrotnie liście autoportrecie), że "lubi naukę, ale bez trudu". Wszystko, co w jego broszurce miało rzeczywisty walor informacyjny, pochodziło z wydanej w roku 1807 Rozprawy o Żydach, pióra znakomitego uczonego i działacza społecznego Tadeusza Czackiego. Na usprawiedliwienie generała można by dodać, że miał on specjalny tytuł do korzystania z tego dzieła, gdyż nieżyjący już Czacki był rodzonym bratem starościny opinogórskiej z Dunajowiec, a więc jego najbliższym wujem. Trzeba stwierdzić, że autor Apercu... korzystał z pracy czcigodnego krewnego w sposób dość bezceremonialny. Dzieło Czackiego - oparte na wnikliwych studiach, przeprowadzanych jeszcze na użytek Sejmu Czteroletniego - ukazywało w sposób rzetelny i obiektywny przyczyny uformowania się w Polsce największego skupiska żydowskiego na świecie, okresy szczytowej i pożytecznej dla kraju koniunktury Żydów polskich za rządów Kazimierza Wielkiego i Zygmunta Starego, późniejsze - niezwykle szkodliwe dla całokształtu życia krajowego wyobcowanie i zwyrodnienie "stanu żydowskiego" w państwie stanowym, rządzone przez szlachtę. Czacki stawiał sobie za główny cel znalezienie środków na "ucywilizowanie" i spolszczenie mniejszości żydowskiej,

wynoszącej wówczas około dziesięciu procent ludności kraju i około trzydziestu procent ludności miast. Krasiński pozornie podporządkował swój Apercu... temu samemu celowi. Naprawdę jednak - opierając się na faktach historycznych, dowolnie i jednostronnie dobieranych z księgi Czackiego, przeważnie w oderwaniu od ich kontekstu społecznego i politycznego - starał się dowieść, że rzeczywista asymilacja Żydów jest w ogóle niemożliwa. W zgodzie z tą tezą w niektórych partiach swojej broszurki najostrzej występował właśnie przeciwko Żydom "ucywilizowanym" i spolszczonym. Oburzał się na "zwolenników nowości, co pragnąc wszystko zniszczyć, przed przygotowaniem materiałów na nowe budowle, wysuwali projekty, aby Żydów od razu asymilować z innymi klasami społecznymi, a nawet z szlachtą". W zdecydowanie nieprzychylnym oświetleniu przedstawił tak zwanych frankistów, czyli neofitów, wywodzących się z reformistycznej sekty żydowskiej, która w drugiej połowie XVIII wieku wyłamała się z posłuszeństwa ortodoksyjnym rabinom i razem ze swym przywódcą Jakubem Frankiem przyjęła chrzest, uzyskując w zamian za to rozmaite przywileje, a wśród nich także prawo do nobilitacji. W czasie kiedy Krasiński pisał Apercu..., frankiści (a raczej ich potomkowie) dużo znaczyli w życiu kulturalnym i politycznym Królestwa. Byli już wśród nich ludzie legitymujący się w drugim pokoleniu klejnotem szlacheckim, wojskowi i urzędnicy wysokich stopni, artyści o światowej sławie i wybitni uczeni, posłowie na sejm i obywatele ziemscy. Generał stykał się z nimi często i w różnych miejscach: na balach u namiestnika i senatora Nowosilcowa, w biurach najwyższych komórek sztabu głównego i na rewiach na placu Saskim, w teatrach i na koncertach, nawet w gronie kolegów posłów, wybranych na sejm z tego samego, co on, województwa płockiego. Panu na Opinogórze - arystokracie i konserwatyście społecznemu, żarliwemu obrońcy państwa stanowego, zdominowanego przez szlachtę - trudno się było pogodzić z

istnieniem tych "wciskających się wszędzie przechrztów", zwłaszcza gdy chodziło o przechrztów nobilitowanych. W książce Koziętulski i inni pisałem, że Wincenty Krasiński lubił demonstrować swój życzliwy stosunek do ludzi "źle urodzonych". Tak było istotnie. W rozmowach ze światłymi przyjaciółmi często ubolewał nad dolą chłopstwa, chętnie dawał pieniądze na stypendia dla ubogich artystów pochodzenia mieszczańskiego. Nie odmawiał swoich łask także Żydom. Faktorzy i arendarze z Opiniogóry i Knyszyna ogromnie sobie chwalili ludzkość, szczodrość i wesołe usposobienie "Jaśnie Wielmożnego Hrabiego-Jenerała". Opowiadano mi, że pierwszy ordynat miał upodobanie do folkloru żydowskiego i chętnie włączał go jako element dekoracyjny do urządzanych w Opiniogórze festynów ogrodowych. (W tradycji tamtejszej zachowała się pamięć o licznych udziałach ordynackich Żydów w uroczystościach weselnych Zygmunta Krasińskiego). Wiadomo także, iż na zebraniach Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk generał ostentacyjnie sadzał obok siebie odzianego w tradycyjny strój żydowski Abrahama Szterna*, utalentowanego samouka-wynalazcę z Hrubieszowa. (* Warto tu wspomnieć o pięknej wypowiedzi A. Szterna, na którą zwrócił mi kiedyś uwagę jego prawnuk: znakomity pisarz polski Antoni Słonimski. Po pierwszych wynalazkach Szterna zainteresowała się nim Królewska Akademia Nauk w Berlinie i zaprosiła go na swego członka. Mędrzec z Hrubieszowa nie przyjął tej propozycji, a w jakiś czas później, w liście do Komisji Rządowej Wyznań i Oświecenia Publicznego tak motywował swą odmowę: - "Nie chciałem przypuścić myśli opuszczenia mego rodzinnego kraju, owszem, powiem to nawet, że uniesiony, że tak rzekę, szlachetną, dumną, miałem nadzieję, że mnie Bóg dozwoli cokolwiek sławy, a stąd powiększyć chwałę imionowi rodaków, na której ziemi powziąłem życie". To także był niebagatelny głos w dyskusji na temat "urządzenia Żydów w Polsce". [Pełny tekst listu A. Szterna odnaleźć można w cennej pracy Salomona Łastika, Z dziejów oświecenia żydowskiego. PIW 1961].) Ale wszystkie te pańskie fantazje nie oznaczały wcale, że łaskawy dla niższych stanów magnat skłonny był uznać za równych sobie intruzów z najbardziej pogardzanej grupy społecznej, owych oficerów, posłów i ziemian, których dziadkowie nosili jeszcze biblijne imiona i byli pachciarzami w podolskich miasteczkach, całą tę "szlachtę jerozolimską", bezprzykładnie gwałcąca święte zasady podziału stanowego, świecąca w oczy świeżo malowanymi herbami na karetach i sztucznie spreparowanymi nazwiskami. Szczególnie musiała irytować generała, ze względu na podobieństwo nazwiska, liczna i bardzo wówczas eksponowana rodzina Krysińskich, legitymująca się najstarszym wśród frankistów patentem szlacheckim. Z materiałów biograficznych można wyczytać, że z przedstawicielami tej rozgałęzionej rodziny Krasiński miał wiele do czynienia. W wypadkach jakichś poważniejszych awantur w jednostkach Gwardii Królewsko-Polskiej zmuszony był przeprowadzać długie i przeważnie przykre rozmowy służbowe z generałem-audytorem armii Królestwa - Ksawerym Krysińskim. W okresach ożywionej działalności politycznej atakował go z trybuny sejmowej "chciwy popularności... uczeń liberalnej szkoły francuskiej" (określenie Kajetana Koźmiana), profesor ekonomii i deputowany warszawski Dominik Krysiński. W latach późniejszych, kiedy syn generała, Zygmunt, wstępował na Uniwersytet Warszawski, beniaminkiem i pierwszym złotym medalistą uczelni był

piętnastoletni geniusz matematyczny - Zygmunt Krysiński. Jeszcze później - w najcięższych chwilach Krasińskiego po wybuchu powstania, kiedy dumny potomek wodzów barskich przygotowywał się do upokarzającej ucieczki z ojczyzny w chłopskim przebraniu - nazwisko przechrztów Krysińskich rozbrzmiewało po całej Warszawie, ponieważ dyktator powstania, Chłopicki, przybrał był sobie na najbliższego współpracownika, w charakterze "sekretarza dyktatury", swego wieloletniego przyjaciela i powiernika, mecenasa Aleksandra Krysińskiego. Jeżeli w zachowanych strzępach biograficznych daje się odnaleźć aż tyle punktów stycznych (a raczej odpychających) między Krasińskim a Krysińskimi, to w życiu z pewnością było ich jeszcze więcej. Dowcipni przyjaciele literaccy generała na pewno nieraz drażnili jego arystokratyczną próżność żarcikami, wyprowadzanymi z podobieństwa tych dwóch nazwisk. Wiadomo przecież, że przekręcanie nazwisk i nazw należało do ulubionych zabaw uczestników zebrań czwartkowych. Jeden z pamiętnikarzy opowiada, że Juliana Ursyna Niemcewicza doprowadzano do furii, przekręcając nazwę jego podwarszawskiej majątności Ursynów i mianując czcigodnego patriotę "panem Niemcewiczem z Rusinowa". Może za bardzo pozwalam ponosić się wyobraźni, ale intuicja mi mówi, że kompleks Krysińskich w niemałym stopniu zaciążyć musiał nad pewnymi sformułowaniami Apercu... W broszurce Krasińskiego frankiści przedstawieni są w taki sposób, że trudno zorientować się, które informacje dotyczą pierwszych lat po ich chrzcie, a które okresu o pół wieku późniejszego, czyli współczesnego wydaniu broszurki. Czytając to dziełko, odnosi się wrażenie, że generał wierzył, iż współcześni mu potomkowie frankistów byli katolikami tylko pozornie, a po kryjomu nadal trwali w judaizmie. Że tworzyli jakąś tajemniczą "polityczno-mistyczną sektę", zmierzającą, w sobie tylko wiadomych a przewrotnych celach, do "opanowania administracji, wojska, policji, skarbu i handlu"* (* Krasiński nie był w tej nieufności do frankistów odosobniony. Z akt Kanclarii Tajnej wielkiego księcia Konstantego wiadomo, że jeszcze w latach 1823-1825 "ochrzczeni Żydzi Warszawy" byli stale inwigilowani przez policję polityczną [raporty szpiega Mackrotta].) Mimo woli nasuwa się myśl, że w tej broszurce publicystycznej z roku 1818 jest już zapowiedź demonicznego "chóru przechrztów", który za kilkanaście lat zabrzmie w Nieboskiej komedii. Publikacja "Jenerała K..." sprowokowała szeroką dyskusję, niewolną od akcentów, których nie życzyli sobie z pewnością ani Kajetan Koźmian, ani namiestnik, nie mówiąc już o samym autorze. Zabrali głos ludzie różni: przeciwnicy Żydów, ich obrońcy, sami Żydzi. Nie ma tu miejsca na streszczenie wszystkich broszurek polemicznych, których komplet złożyłby się na sporą książkę. Trzeba natomiast przedstawić dwa głosy - niezwykle charakterystyczne, a reprezentujące krańcowo przeciwne stanowiska. Anonimowa broszurka Sposób na Żydów, czyli środki niezawodne zrobienia z nich ludzi uczciwych i dobrych obywateli, wydana w kilka dni po ukazaniu się Apercu..., rozpoczynała się od pochwał dla tego "światłego i bardzo uczonego pisma" oraz jego twórcy, "którego musi kochać każdy, kto tylko ma serce polskie". Autor Sposobu... podzielał całkowicie pogląd "Jenerała K...", że Żydów zasymilować się nie da, i proponował własne rozwiązanie, "jedyne do wykonania podobne" - "przymusową emigracją" wszystkich Żydów z Polski. Miał już nawet szczegółowo opracowany plan ich wymarszu: w "trzystu kolumnach po tysiąc ludzi" (z wiosną 1819 r. zaraz po

"żydowskiej wielkanocy"), tempo i czas marszruty (około ośmiu miesięcy), metodę organizowania na trasie marszu "magazynów etapowych", zaopatrzonych w żywność (oczywiście na koszt wychodźców). Pozostawała tylko kwestia, kogo obciążyć realizacją tego olbrzymiego przedsięwzięcia. Ale i tu autor Sposobu... miał przygotowaną odpowiedź. "Trafem Opatrzności dostało nam się hołdować Królowi, którego potęga równie się daleko rozciąga jak jest nieograniczoną Jego miłość ludzkości. Sam jeden w całej Europie, posiadając nieprzejrzaną niwy, czekające tylko ręki ludzkiej do wydania wszystkich swoich skarbów, mógłby na prośby narodu Polskiego wyznaczyć Żydom na granicach wielkiej Tartary lub gdzie indziej w południowych częściach obszernego Państwa swojego, taką część ziemi która by im pozwoliła żyć wygodnie, i wygodnie plemię swoje rozmnażać". Krasieński nie był w tej nieufności do frankistów odosobniony. Z akt Kancelarii Tajnej wielkiego księcia

Konstantego wiadomo, że jeszcze w latach 1823-1825 "ochrzczeni Żydzi Warszawy" byli stale inwigilowani przez policję polityczną (raporty szpiega Mackrotia). Niektórzy historycy utrzymują, że autorem Sposobu na Żydów również był Wincenty Krasieński (ostatnio tę hipotezę już jako twierdzenie powtórzyła ku memu zdziwieniu Hanna Dylągowa w swojej świetnej i arcsolidnej pracy Towarzystwo Patriotyczne i Sąd Sejmowy 1821-1829). Trudno mi się z tym zgodzić. Krasieński mógł sobie pozwolić na wyolbrzymianie swej roli pod Somosierrą czy nawet na wybijanie medali na własną cześć, ale polemizowanie z samym sobą w duchu Sposobu... byłoby robotą zbyt grubo szytą i wiązałoby się z ryzykiem zbyt wielkiej kompromitacji. Znacznie bardziej trafia mi do przekonania inna hipoteza historyków (prof. Rafał Gerber), dowodząca na podstawie źródeł współczesnych, że autorem Sposobu... był protegowany Kajetana Koźmiana - Gerard Witowski, urzędnik komisji skarbu i członek tak zwanego Komitetu Starozakonnych, pisujący w konserwatywnej "Gazecie Warszawskiej" felietony jako "Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia". Założeniom i tezom Apercu... i Sposobu... udzielono zdecydowanej odprawy w nie podpisanej broszurze polemicznej Uwagi pewnego oficera nad uznaną potrzebą urzędzenia Żydów i nad niektórymi pisemkami w tym przedmiocie teraz w druku wyszły. Anonimowy oficer nie rozdrabniał się w szczegółach i nie odwracał kota do góry ogonem. Dyskusję w sprawie żydowskiej potraktował jako pretekst do generalnej rozprawy z obskurantem spadkiem po szlacheckiej Rzeczypospolitej. Potwierdzał szkodliwą dla kraju degenerację stanu żydowskiego, lecz przedstawiał ją jako funkcję ogólnego zwyrodnienia państwa stanowego. Potrzebę reformy urzędzenia Żydów rozpatrywał łącznie z potrzebą reform ogólnych, a zwłaszcza oświecenia chłopów. Szerując przykładami historycznymi z książki Czackiego - ale rzetelniej i pełniej, niż czynił to Krasieński - stwierdzał: "Z tego, co się tu mówiło, łatwo można zrobić następujący wniosek: że epoki świetności kraju naszego były razem przychylnie oświeceniu Żydów i przeciwnie. Chcąc wiedzieć, dlaczego ci nie zostali u nas lepszymi, można razem pytać się: dlaczego Polska tak długo zostawała w bezrządzie? Czemu nasi rolnicy są nieoświeceni, biedni i próżniacy? Dlaczego miasta upadły? Wreszcie dlaczego cały kraj zostaje dotąd w stanie prawie dzikim? Są to skutki z jednych prawie pochodzące przyczyn". Pisząc o wyzysku ekonomicznym ludności wiejskiej przez żydowskich arendarzy gorzelni, szynków i młynów - której

to sprawie Krasiński poświęcał wiele miejsca w Apercu... - autor Uwag doszukiwał się przyczyn takiego stanu rzeczy w wielowiekowym postępowaniu szlachty: "Byliście dumni, swawolni i chciwi ucisku rolnika, znalazłszy więc w Żydach godne swych chęci narzędzie, używaliście ich przemysłu do oszukiwania poddanych. Wasza to chciwość potrzebowała, aby Żydzi doprowadzili swój charakter do najwyższego stopnia skażenia, w ich bowiem występkach własną korzyść upatrywaliście..." Podobnych oskarżeń ze strony anonimowego oficera pan na Opinogórze i komendant "Gwardyi Królewsko-Polskiej" ścierpieć nie mógł. Ruchem, jakim zazwyczaj sięgał do szabli, chwycił za pióro i w najwyższym gniewie wyrębał (tym razem po polsku) następną broszurę Odpowiedź na uwagi pewnego oficera... Ale gniew nie jest dobrym doradcą w sprawach publicystycznych. Czytając tę drugą publikację, trudno uwierzyć, że pisał ją ojciec przyszłego autora wspaniałego dialogu między Hrabią Henrykiem a Pankracym. Zasadnicza treść Odpowiedzi... poświęcona była naiwnej bezkrytycznej apoteozie szlachty, a raczej magnaterii. Ten "rząd obywateli świetny dziedzicznym poświęceniem się krajowi, męstwem i wrodzoną szlachetnością" - był zdaniem Krasińskiego całkowicie zrównany w prawach z innymi stanami społeczeństwa, a różnił się od nich tylko "cnotą i poświęceniem dla dobra ojczyzny". W broszurce było dużo żółci i ironii nie najlepszego gatunku. Z postulatem autora Uwag... w sprawie oświecenia chłopów "Jenerał K..." załatwiał się za pomocą kpin: "...gdy Żydzi są źli, trzeba podług żądania autora, by my ieszcze gorszemi zostali; by ci nie oszukańcami, ale oszukanemi być mogli". Ponieważ autor Uwag... odnosił się niechętnie do odrębnego stroju Żydów, odróżniającego ich od reszty obywateli i utrudniającego asymilację - "Jenerał K..." postanowił tego stroju bronić: "Możemy posądzić autora, iż dosyć lubi mody, by za zmianą w tygodniu był ubioru, roku lub wieku, co na jedno wychodzi". Zakończył Krasiński swój elaborat słowami obłudnej skromności, przez które przebijała buta i tłumiona irytacja: "Te są uwagi wieśniaka, który oddalony od stolicy, z imaginacyi nie piszący historyi, daleki od bibliotek publicznych, cytacyami podług lat i numerów nie iest w stanie odpowiedzieć na uczynione mu zarzuty..." Poziom polemiki "Jenerała K..." w znacznym stopniu osłabiał zamierzoną ironię tego zakończenia. Cała dyskusja pozornie toczyła się anonimowo. Ale szczególnej pikanterii przydawał jej fakt, że wszyscy wiedzieli, kim był "Jenerał K...", a wielu rozszyfrowało także jego zuchwałego oponenta. Autorem Uwag pewnego oficera... był major 4 pułku piechoty liniowej Walerian Łukasiński, przyszły założyciel Wolnomularstwa Narodowego i Towarzystwa Patriotycznego - człowiek, któremu miało przypaść w udziale trwałe, lecz nad wyraz tragiczne miejsce w polskim panteonie bohaterów i męczenników walk o wolność i postęp społeczny. Trzeci swój utwór, Rzut oka na wieszczów Prowancyi zwanych Trubadurami, napisał Krasiński już po sejmie - w czasie zasłużonego odpoczynku po trudach marszałkowania w izbie poselskiej. Rzecz była wydana, podobnie jak dwie poprzednie, w niepozornej broszurce w cenie jednego złotego polskiego, ale już tytuł świadczył, że dotyczyła spraw znacznie wznioślejszych niż "urządzenie mniejszości żydowskiej". Generał - prawdopodobnie pod wpływem romantycznej żony - zainteresował się starą poezją prowansalską jeszcze w latach napoleońskich, kiedy Krasińscy przebywali stale we Francji. Później - na zebraniach czwartkowych w Warszawie czytywał podobno wiersze poniektórych trubadurów we własnym

przekładzie na polski. Niestety - o ile wiem - żadne z tych tłumaczeń nie dochowało się do naszych czasów. Książeczka o poezji miała zapewne przyczynić się do rozproszenia "czadu politycznego", snującego się wokół Krasińskiego od czasu jego wystąpień na sejmie i przed sejmem. Jednocześnie podkreślała jego twórczy wkład (nie tylko kulinarnej natury) w sympozja literackie na Krakowskim Przedmieściu. Wyszukany temat wskazywał, że dziełko zadedykowane przyjacielowi Franciszkowi Morawskiemu ("Ty! co świetnym orężem kraiu broniłeś, a sławę jego wieszczym głosem opiewałeś, równie rycerz jak wierszopis, przyym tę małą ofiarę") było przeznaczone przede wszystkim dla szczupłego grona smakoszy literatury z najbliższego kręgu autora. Ale dwie poprzednio wydane pozycje Krasińskiego narobiły już tyle hałasu, że i trzeci wyczyn pisarski nie mógł przejść nie zauważony przez zaczepnych krytyków, szukających dziury w całym. Znowu doszło do polemiki. Tym razem w prasie. Jakiś anonimowy znawca poezji zarzucił szkicowi o trubadurach zupełny brak oryginalności oraz sporo błędów rzeczowych. W obronie generała wystąpił jedynie osławiony wierszopis pieczeniarsz Kajetan Jaxa-Marcinkowski, który zjechał był właśnie z rodzinnego Wołynia na stały pobyt do Warszawy i zabiegał pilnie o nawiązanie stosunków z gospodarzem głośnego salonu literackiego, słynącego z wybornych obiadków. Generałowi niewiele pomogła obrona autora Gorsetu i Rzek polskich, ale dla niego samego miała skutki dalekosiężne. Wielbiciel poezji prowansalskiej wywdzięczył się swojemu obrońcy biletem wstępu na parnas. Żądni zabaw literackich intelektualiści, zbierający się co czwartek w pałacu na Krakowskim Przedmieściu, przyjęli nowego współbiedniaka z otwartymi ramionami, odgadując w nim źródło niewyczerpanej wesołości. Pocziwy grafoman wołyński stał się na wiele lat trefnisiem warszawskich obiadów czwartkowych... Wprowadziło go to w jakiś sposób na karty historii literatury, ale na zdrowie mu nie wyszło. Pomimo kłopotów z krytykami Wincenty Krasiński musiał być na ogół zadowolony ze swoich osiągnięć literacko-publicystycznych, gdyż przez kilka następnych lat płody swego pióra pilnie rozprawdzał wśród bliższych i dalszych przyjaciół, opatrując każdą z broszurek własnoręczną dedykacją i potwierdzając tym samym oficjalnie swoje autorstwo (sporo takich dedykowanych egzemplarzy przetrwało do dzisiaj w rozmaitych bibliotekach publicznych i prywatnych). Wśród obdarowanych znajdował się także Julian Ursyn Niemcewicz. Świadczy o tym jego list do Krasińskiego, przechowywany w zbiorach rękopisów Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie. Nie wnosi ten list do sprawy żadnych nowych elementów, ale jako jedyny ślad korespondencji między Niemcewiczem a Krasińskim (na jaki udało mi się natrafić) zasługuje na uwagę. Tym bardziej że sam w sobie jest zabawnym i cennym dokumentem obyczajowym, bo ukazuje autora Śpiewów historycznych w roli obywatela ziemskiego, borykającego się w swojej posiadłości podwarszawskiej z rozmaitymi kłeskami żywiołowymi. "Nieskończenie Jenerałowi dziękuję za przyslaną książeczkę, będzie ona rozerwaniem w moich kłopotach gospodarskich. Czoray skaleczono mi konia, pies mi oszalał, przeciesz zastrzelony, dziś ogrodnik zachorował, pszczoły z gorąca powaryowały i ia podobno wkrótce za niemi. Wołam całej mey filozofii na pomoc (przeciw) tylu dopuszczeniom i tak srogim upałom. Niebo z miedzi i ziemia w żółtaczce. Ściskam Jenerała J.U.Niemcewicz". Rozdział V Po urozmaiconym, bogato udokumentowanym roku 1818 badacz drogi życiowej

Wincentego Krasińskiego natrafia na dwuletnią lukę w materiałach biograficznych. W obszernej spuściźnie kronikarskiej 1819-1820 nie ma prawie żadnych informacji o byłym dowódcy szwoleżerów. Ale w opowieści o weteranach gwardii napoleońskiej nie można tego okresu pominąć,

gdyż właśnie w latach 1819-1820 nastąpiły wydarzenia, których skutki miały w decydujący sposób zaciążyć na całej późniejszej historii Królestwa Kongresowego i na osobistych losach bohaterów tej książki. Gdyby procesy historyczne oceniało się tylko na podstawie powierzchownej obserwacji faktów, wypadłoby uznać, że konstytucyjne Królestwo Polskie przerodziło się w państwo terroru policyjnego głównie z winy pewnej młodej cudzoziemskiej aktorki. W ówczesnych recenzjach teatralnych tak mało miejsca poświęcano grze aktorów, że nie wiadomo nawet, czy mademoiselle Jenny Philis, primadonna francuskiego teatru w Warszawie, zdobyła sobie szczególne względy wielkiego księcia Konstantego i oficerów z jego otoczenia talentem aktorskim czy zaletami natury pozaartystycznej. W każdym razie musiała uważać swoją pozycję za bardzo pewną, skoro pozwoliła sobie na wybryk nieczęsto notowany w dziejach teatru. 8 maja 1819 roku, występując w operetce Nicolego Michał Anioł, ośmieliła się wyjść na scenę z cukierkiem w ustach ("z karmelem w gębie" - oburzył się Niemcewicz), wskutek czego dykcja jej utraciła klarowność i niektóre z wypowiedzianych kwestii stały się trudne do zrozumienia. Warszawiaci nigdy nie pozwalali się lekceważyć. Karygodny nietakt francuskiej "komedyantki" wywołał wśród polskiej części publiczności, "niesforne okrzyki i poświsty, zakończone wtargnięciem policyjności na salę i aresztowaniem demonstrantów". Awantury w teatrach były dla Warszawy chlebem powszednim od bardzo dawna. Stolica dobrze jeszcze pamiętała, co wyrabiali w oczach pruskich na przedstawieniach Chińskiego sieroty przyszli oficerowie szwoleżerów: "Wicus" Krasiński ze swoimi kompaniami z Towarzystwa Przyjaciół Ojczyzny oraz ich adwersarze z pałacu Pod Blachą, późniejsi sztabowcy księcia Józefa Poniatowskiego. Tylko że wtedy skandale teatralne wynikały przeważnie z rozgrywek między zwaśnionymi koteriami towarzyskimi; dopiero potem w Księstwie Warszawskim nabrały charakteru demonstracji patriotycznych, a w Królestwie ich wymowa polityczna stała się dla władz źródłem poważnych kłopotów. Teatr Francuski w Warszawie był faworyzowany i popierany przez wielkiego księcia z wyraźną szkodą dla drugiej sceny stołecznej - Teatru Narodowego. Każda więc awantura w Teatrze Francuskim stawała się od razu aktem politycznym, wymierzonym przeciwko Konstantemu. Cesarzewicz był na to odpowiednio wyczulony. Na wygwizdanie mademoiselle Philis zareagował z właściwą sobie gwałtownością, w sposób dowodzący absolutnej nieznajomości psychiki polskiej, a zwłaszcza warszawskiej. Następnego dnia "na życzenie wielkiego księcia" namiestnik Zajączek polecił prezydentowi miasta Woydzie umieścić na rogach ulic, hotelach i na murach teatru "obwieszczenie zakazujące ubliżać aktorom pod zagrożeniem natychmiastowego uwięzienia opornych i kar policyjnych". W stolicy Królestwa zawrzało. Z tego rodzaju ograniczeniami wolności osobistej stykali się Polacy po raz pierwszy. Ostatnim władcą europejskim, który próbował regulować zarządzeniami policyjnymi zachowanie się (a nawet strój) publiczności w teatrach, był król pruski Fryderyk II, ale fryderycjańskie Prusy nie rościły sobie nigdy pretensji do tytułu państwa konstytucyjnego. Popędliwa reakcja

Konstantego przekształcała drobny skandalik o charakterze porządkowym w sprawę zasadniczą. Teraz nie chodziło już o karmelek w ustach panny Philis, lecz o obronę konstytucji Królestwa, gwałconej przez policję na rozkaz carskiego brata. "Zakaz tego rodzaju obudził szemranie wśród wszystkich sfer towarzyskich w stolicy - odnotował kronikarz warszawski - lecz gazety miejscowe nie śmiały się odezwać słówkiem protestu przeciw tak dziwacznemu rozporządzeniu". Można sobie wyobrazić, jak szeroko i gorąco musiano komentować tę historię na zebraniu czwartkowym w pałacu na Krakowskim Przedmieściu. Krasieńskiemu i niektórym z jego gości temat był szczególnie bliski, gdyż - jak już się rzekło - przed kilkunastu laty sami nieraz wywoływali podobne skandale. Bywających na "czwartkach" koryfeuszy scen stołecznych: Alojzego Żółkowskiego i Bonawenturę Kudlicza oraz ściśle ze sceną związanych literatów, jak Ludwik Osieński czy Ludwik Dmuszewski, rzecz poruszyła z przyczyn profesjonalnych, bo od dawna leżało im na wątrobie protegowanie przez wielkiego księcia teatru francuskiego. Niemcewicz szydził pewnie po swojemu z głupoty "Apolla Belwederskiego z utraconym nosem", jak złośliwie przezywał kurnosego mieszkańca Belwederu. Możliwe, że dowcipny generał Morawski poświęcił nawet burzy teatralnej jakieś uciężne rymy. Ale nikt z tego błyskotliwego grona nie zdobył się na publiczny protest przeciwko absurdalnym zakazom. Gospodarz salonu - główny inspirator wybryków teatralnych Przyjaciół Ojczyzny - był teraz z racji swych wysokich stanowisk jednym z najzagorzalszych obrońców spokoju i porządku: większość jego gości - żyjąca jeszcze w stanie euforii, wywołanej liberalnymi oświadczeniami cesarza-króla na sejmie 1818 roku - troszczyła się przede wszystkim o to, aby nie drażnić monarchy wskrzesiciela lekkomyślnymi demonstracjami i nie psuć mu dobrego mniemania o Polakach. Należy więc przypuszczać, że towarzystwo z Krakowskiego Przedmieścia, po odpowiednim wygadaniu się między sobą, starało się jak najszybciej przerzucić uwagę z kłopotliwej awantury teatralnej na nową rozrywkę literacką, jakiej dostarczał świeżo do czwartkowych zebrań dopuszczony poeta wołyński Kajetan Jaxa-Marcinkowski. A jednak odważni się znaleźli. Nie na Krakowskim Przedmieściu w salonie Krasieńskiego, lecz na Długiej, w domu rodziców młodego historyka Joachima Lelewela, tego samego, który z czasem stać się miał przywódcą duchowym całej postępowej Warszawy, prezesem Polskiego Towarzystwa Patriotycznego i ministrem rządu powstańczego. Wprowadzając na karty książki sławne nazwisko Lelewela, chciałbym na chwilę oderwać się od zasadniczego wątku, aby opowiedzieć o pewnej ciekawostce kulturalnej, związanej z tą postacią. W czasie mej pracy nad korespondencją Krasieńskiego i jego przyjaciół cię wielkiego humanisty nawiedzał mnie parokrotnie. Musiałem myśleć o Lelewelu, ilekroć w którymś z czytanych listów udało mi się zauważyć, że staroświecka litera "y" była już zastąpiona przez nowoczesne "J". Zdarzało się to rzadko i pojedyncze "joty" kryły się wstydliwie w tłumie tradycyjnych "ypsylonów", ale sam fakt ich obecności w korespondencji uczestników obiadów czwartkowych uświadamiał, jak silny i twórczy wpływ wywierał Lelewel na współczesnych od samego początku swej działalności pisarskiej. Bo przecież to właśnie on - jeszcze u schyłku Księstwa Warszawskiego - wyszperał był w Biblii gdańskiej z roku 1632 całkowicie zapomnianą "jotę ogoniastą", a że "wydała mu się właściwsza niż ypsylon, więc ją natychmiast z

tryumfem do pism swoich wprowadził". Zmartwychwstała litera zmobilizowała przeciwko sobie potężny opór konserwatystów. "Herezja gramatyczna" ściągnęła na głowę młodego uczonego gromy ze strony najpoważniejszych autorytetów naukowych. Dwie prace Lelewela: Uwagi o Mateuszu herbu Cholewa i Pisma pomniejsze geograficzno-historyczne, w których "jota ogoniasta" wystąpiła po raz pierwszy, spotkały się z miazdzącą krytyką uczonego gramatyka księdza Onufrego Kopczyńskiego oraz sławnego Jana Śniadeckiego, rektora Uniwersytetu Wileńskiego. Pijar Kopczyński, ogarnięty namiętą nienawiścią do "joty ogoniastej", czynił wszystko, aby śmiałego reformatora pisowni (a swego dawnego ucznia) zdyskredytować w oczach wydawców i drukarzy. Czcigodny rektor Śniadecki głosił wszem wobec, że "nie dopuści do tego, aby się ta zaraza po świecie rozchodziła". Zacietrzewienie poważnych uczonych z tak błahego powodu może się dzisiaj wydać śmieszne, trzeba jednak pamiętać, że po podziale Rzeczypospolitej dbałość o czystość języka była uważana za obowiązek patriotyczny (zwłaszcza wśród polskiej inteligencji w Wilnie) i każdy zamach na nią traktowano nieomal jak świętokradztwo. W odpowiedzi na list Lelewela, szczerze zmartwionego atakami szanowanych profesorów, Śniadecki pisał między innymi: "Naród nasz nie jest tak głupi i barbarzyński, aby go uczyć pisać i wymawiać na nowo iak sobie w Warszawie wystawiono. Jest to krok zuchwalstwa i lekkomyślności..." - Nie tylko "jota ogoniasta" oburzała znakomitego uczonego. Równie żarliwie zwalczał rozmaite słowa, wprowadzane przez Lelewela do mowy polskiej. Natrząsał się bez litości z takich na przykład dziwolągów językowych, jak "nieszczęśliwie i niepotrzebnie" wymyślane słowo... krajobraz. Z dziwnym uczuciem odczytuje się te opinie Śniadeckiego dzisiaj, kiedy w języku polskim panoszy się coraz więcej takich słów potworów, jak klubo-kawiarnie czy kurso-konferencje. Czyżby Lelewelowski krajobraz brzmiał w uszach Śniadeckiego równie okropnie? Ale powróćmy do awantury wywołanej przez karmelek panny Jenny Philis. Od jesieni 1818 roku, czyli od chwili przeniesienia się Joachima Lelewela z Wilna do Warszawy i objęcia przez niego posady zastępcy bibliotekarza w zorganizowanej niedawno przez Lindego Bibliotece Publicznej, dom starszych państwa Lelewelów przy ulicy Długiej stał się ulubionym miejscem spotkań postępowej inteligencji stolicy. Rozgłos pism historycznych trzydziestoletniego uczonego oraz autorytet moralny, jaki zdążył był sobie wyrobić w Wilnie - ściągały na skromne herbatki państwa Lelewelów elitę młodych intelektualistów warszawskich. Stałymi gośćmi przy ulicy Długiej byli między innymi dwaj redaktorzy poczytnej "Gazety Codziennej": kuzyn Joachima, literat Bruno Kiciński, oraz młodziutki historyk z Sieradzkiego, Teodor Morawski. Ci właśnie dwaj utalentowani i przedsiębiorczy dziennikarze zdecydowali się (prawdopodobnie nie bez podniety ze strony Lelewela) na wydanie wielkiemu księciu i rządowi Królestwa nierównej walki w obronie swobód obywatelskich. Przebieg siedmioletnich bojów Kicińskiego i Morawskiego odtworzył na podstawie dokumentów archiwalnych historyk i szperacz Aleksander Kraushar w 54 tomie swoich nieocenionych

Miscellaneów historycznych. Stosując nomenklaturę sportową, można by rzec, iż walkę tę stoczono w trzech dramatycznych rundach. Wkrótce po awanturze w Teatrze Francuskim w "Gazecie Codziennej" z 14 maja 1819 roku ukazał się artykuł O

nadużyciach policji w państwie konstytucyjnym, podpisany nazwiskiem trzeciego bywalca zebrań u Lelewelów - młodego pedagoga i publicysty Franciszka Skomorowskiego. W artykule tym sformułowano "spokojny, lecz stanowczy protest przeciwko zarządzeniom prezydenta Woydy". Następnego dnia "Gazeta Codzienna" powróciła do tej samej sprawy. Ogłoszono list otwarty tegoż Skomorowskiego, który dolewał jeszcze oliwy do ognia, zwracając się do redakcji z następującym oświadczeniem: "Od jakiegoż to czasu i w jakim to kraju nieukontentowanie ze złej gry aktorów przez publiczność okazane, uważane jest... za przestępstwo policyjne i policyjnie jest dochodzone i policyjnie karane? [...] Policja musi cofnąć wyrok przez siebie wydany. Woła o to głos wszystkich, wołać będzie póty coraz silniej, aż sprawiedliwość otrzyma, a jeśli wyraźna wola Rządu postanowienie to nakazała - w imieniu konstytucji, w imieniu praw naszych, wołamy do Rządu samego, aby nam sprawiedliwości nie odmówił". Pod listem Skomorowskiego dano dopisek redakcyjny: "Każdy prawy Polak, przywiązany do konstytucji krajowej, śmiałoby przemówił, gdy ta konstytucyjna tarcza swobód naszych zgwałconą zostaje".

Artykuły "Gazety Codziennej" wywołały niesłychane poruszenie w Warszawie. - "W dniu jednym - pisał Julian Ursyn Niemcewicz - dwie edycje tej gazety wyszły i pewnie wzbogacą wydawcę". Stało się inaczej: zamiast wzbogacenia, udziałem młodych wydawców stały się prześladowania i straty materialne. "Apollo Belwederski z utraconym nosem" wpadł w szal. Tupiąc nogami i parszając jak rozwścieczony kot, znieważał brutalnie wezwanych do Belwederu dziennikarzy i groził im zakuciem w kajdany. Potem - jak to się często zdarzało u tego nieodrodnego syna półnormalnego cesarza Pawła I - nagle złagodniał i przeszedł do ojcowskiej perswazji. Głaszcząc młodych wydawców "Gazety..." po twarzach, prosił ich tylko, aby już nigdy więcej nie występowali przeciwko rządowi. Zapomniał jednak odwołać nagany, jakiej na kilka godzin wcześniej, w napadzie pierwszej wściekłości, udzielił był namiestnikowi Zajączkowi za to, że ten nie wykazał należytej energii wobec "zuchwałych pismaków". Zajączkowi nie trzeba było takich rzeczy dwa razy powtarzać. Na jego rozkaz puszczone w ruch mechanizm represji policyjnych. Brunona Kicińskiego, Teodora Morawskiego i Franciszka Skomorowskiego usunięto z zajmowanych przez nich posad rządowych, a drukarnię "Gazety Codziennej", mieszczącą się w domu ojca Brunona - starego kasztelana Piusa Kicińskiego, dawnego szefa gabinetu króla Stanisława Augusta - zamknięto i opieczętowano. Równocześnie gorliwy namiestnik przeforsował w radzie administracyjnej (wbrew opozycji nie tylko ministrów polskich, lecz także komisarza cesarskiego Nowosilcowa) dekret o poddaniu cenzurze prewencyjnej wszystkich wydawnictw periodycznych. Z punktu widzenia czysto formalnego nie było to pogwałceniem praw zasadniczych Królestwa: konstytucja z roku 1815 gwarantowała wprawdzie wolność druku (w konstytucji Księstwa Warszawskiego takiej gwarancji w ogóle nie było), lecz jednocześnie dopuszczała w tej dziedzinie wydawanie dodatkowych praw, określających "środki dla ukrócenia nadużyć". Po wydaniu dekretu pozostawało już tylko do rozstrzygnięcia, co jest, a co nie jest nadużyciem wolności druku. Inni mieli na to pogląd wielki książę i namiestnik, inny - redaktorzy "Gazety Codziennej", reprezentujący w tej sprawie większość opinii publicznej. Pomimo licznych szykan Kiciński i Morawski nie uznali się za pokonanych. Wkrótce potem, zręcznie omijając

postanowienia dekretu namiestnikowskiego, przystąpili do wydawania pisma, "nieperiodycznego", to znaczy wychodzącego w formie zeszytów w nieregularnych odstępach czasu, a więc nie podlegającego uprzedniej kontroli. Ale i temu wydawnictwu, noszącemu tytuł "Kronika drugiej połowy roku 1819", nie był sądzony długi żywot. W trzecim zeszycie "Kroniki z lipca 1819 roku" opublikowano utwór alegoryczny Sen Plutarcha, w którym - pod przesłoną antycznego sztafażu - każdy jako tako zorientowany czytelnik warszawski mógł się bez trudu doszukać zabójczej satyry na księcia-namiestnika i jego najbliższe otoczenie. Zaatakowani nie pozostali bierni. "Dygnitarze Komisji Oświecenia Okołów i Kossecki udali się do Belwederu ze skargą na doznaną obrazę - czytamy u Kraushara - wskutek czego Wielki Książę wezwał do siebie Kicińskiego i zgromiwszy go surowo, zagroził jemu, jak i domniemanemu autorowi Snu Plutarcha Niemcewiczowi wysłaniem ich do więzienia petersburskiego". W rezultacie dnia 16 lipca 1819 roku ukazał się drugi dekret namiestnika, "rozszerzający cenzurę na wszelkiego rodzaju dzieła i pisma w Królestwie wydawane, choćby peryodycznymi nie były". Tym razem dekret był kontrasygnowany przez radcę stanu Staszica. Podpis jednego z najświetlejszych i najofiarniejszych patriotów polskich na dekrecie ograniczającym swobody współobywateli świadczy najlepiej o ówczesnym rozbiciu poglądów. Oddany całą duszą akcji uprzemysłowienia kraju, kierownik Wydziału Rzemiosł i Kunsztów uważał, że dla zrealizowania rozległych planów gospodarczych konieczny jest przede wszystkim zupełny spokój polityczny. Atakowany później przez liberalną opozycję sejmową za kontrasygnowanie dekretu uparcie bronił słuszności swego stanowiska, a w prywatnych rozmowach z przyjaciółmi wylewał potoki żółci na "rozchukanych liberałów". "Toż nas zrozumieć nie chcą - zalił się przed Kajetanem Koźmianem - żeśmy widzieli konieczność położenia tamy rozpasanym piórom i językom, aby krajowi oszczędzić nieszczęść, które by niebaczość i głupota sprowadziły. Nie! naród, który tak z doświadczenia korzysta, który nie rozumie co jest wolność, a co swawola, i że w pewnych okolicznościach i położeniach to jest swawolą, co by w innym czasie było tylko wolnością, naród, który tak ceni zasługi i zasłużonych prześladuje i losy swoje, konstytucją i dolę potomków na szwank wystawia, nie daje rękami poprawy i zdolności utrzymania swego bytu..." Bruno Kiciński i Teodor Morawski niewątpliwie doceniali wiekopomne zasługi Staszica, ale w danym wypadku nie podzielali jego poglądów. Po zamknięciu "Kroniki drugiej połowy roku 1819" zdecydowali się dzieło swoje kontynuować w zmienionej formie. W wyniku intensywnych narad roboczych, odbywanych przez dłuższy czas z udziałem Joachima Lelewela w jego mieszkaniu przy ulicy Długiej, we wrześniu 1819 roku Bruno Kiciński rozpoczął wydawanie nowego pisma pod nazwą "Orzeł Biały". Trzecie wcielenie niezwykłej gazety było już formalnie podporządkowane nowym przepisom policyjnym, ale pełni inwencji i dowcipu redaktorzy nie szczędzili wysiłków, aby przepisy te jak najczęściej obchodzić. Na herbatkach Lelewelowskich opracowywano pieczołowicie zasady nowej strategii, jaką "Orzeł Biały" miał się kierować w kampanii wszczętej przed czterema miesiącami z powodu nieszczęsnego karmelka. W trzeciej rundzie bojów prasowych postanowiono załatwić się z ludźmi odgrywającymi rolę złych duchów przy księciu Konstantym. Na cel pierwszego ataku wybrano powszechnie znienawidzonego organizatora i szefa "Wyższej Wojennej

Sekretnej Policji", generała Aleksandra Roźnieckiego, oficjalnie pełniącego obowiązki dowódcy całej jazdy Królestwa. Wybór był jak najbardziej na czasie, gdyż w konsekwencji skandalu teatralnego Roźnieckiemu przypadła w udziale jeszcze jedna intratna posadka: rząd postanowił powierzyć mu naczelną dyrekcję obydwóch teatrów warszawskich: Francuskiego i Narodowego. W pamiętnikach z czasów Królestwa Kongresowego, a także w późniejszych opracowaniach historycznych, nazwisko notorycznego zdrajcy i sprzedawczyka Roźnieckiego wymienia się często jednym tchem z nazwiskiem Wincentego Krasińskiego. To krzywdzące dla Krasińskiego zrównanie dowodzi, jak bezlitosne uproszczenia potrafi stosować historia w ocenie osób, które swoim postępowaniem naraziły się na utratę zaufania współczesnych. Niedawno ktoś, interesujący się zawodowo Zygmuntem Krasińskim, usiłował mnie przekonać, że ojca poety najniesłuszniej przedstawia się jako odstępce sprawy narodowej. Zdaniem mego rozmówcy, generał Krasiński - nawet w krytycznych dniach sądu sejmowego i powstania - był tylko konsekwentnym wyrazicielem określonej koncepcji politycznej, którą w swoim sumieniu uważał za zbawienną dla kraju. Trudno się wypowiadać na temat tajemnic sumienia człowieka zmarłego przed przeszło stu laty, natomiast śmiało można zaryzykować twierdzenie, że w wypadku generała Roźnieckiego nikt nie odważyłby się wystąpić z podobnym wnioskiem rehabilitacyjnym. Postawa polityczno-moralna szefa tajnej policji Królestwa była i jest oceniana jednoznacznie. Obszerna i wiarygodna dokumentacja świadczy ponad wszelką wątpliwość, że jedyną ideą przyświecającą niechlubnej działalności Roźnieckiego była ordynarna prywatna: żądza władzy i chęć zdobycia jak największej liczby pieniędzy na karty, hulanki i kobiety. Dygnitarz Królestwa wywodził się ze zbiedniałej rodziny ziemian kresowych. Ojciec jego, tytułujący się starostą romanowskim, przejechał do cna rozległe dobra rodzinne w gubernii podolskiej i wołyńskiej, po czym "osiadł zbankrutowany w Warszawie, gdzie jeszcze przez stosunki udało mu się z łaski dostać poczmistrzostwo generalne". Na stanowisku tym - jak się później okazało - służył nie tylko ojczyźnie. W roku 1794 - po zagarnięciu przez powstańców archiwów carskiej ambasady w Warszawie - odnaleziono nazwisko starosty romanowskiego na liście osób opłacanych przez ambasadora Bułhakowa za "specjalne usługi". Aleksander Roźniecki jako czternastoletni kadet zaciągnął się w roku 1788 do służby wojskowej. W wojnie 1792 roku, mając lat osiemnaście, walczył już jako porucznik. W ciągu następnych dwudziestu lat uczestniczył we wszystkich kolejnych kampaniach polskich, zbierając zaszczytne rany i odznaczenia - i wspinając się coraz wyżej w hierarchii wojskowej. Był równie walecznym żołnierzem jak Krasiński, a znacznie lepszym od niego dowódcą kawalerii. W przerwach między wojnami powierzano mu trudne zadania wywiadowcze, z których zawsze wywiązywał się z wielkim pożytkiem dla obronności kraju, gdyż w tej dziedzinie pracy mało kto dorównywał mu talentem. Ale złe skłonności odziedziczone po ojcu od początku znaczyły ciemnymi plamami chlubną kartę zasług wojskowych syna. "Syn wdał się w ojca, lecz lepiej sobą pokierował - pisze o Roźnieckim historyk Szymon Askenazy - giętki, przedsiębiorczy, żołnierz śmiały, wysoko mierzył i poszedł; a zachował smak do zbytku, pociąg do rozpusty brutalny, aż pod siwym nienasyconym włosem, żądze znaczenia i władzy; tym namiętnościom gotów był poświęcić wszystko. Szpetne

wieści jakie o nim krążyły jeszcze z czasów legionowych, ponowiły się wyraźniej za Księstwa; miał podobno w 1809 roku, odebrawszy od Poniatowskiego rozkaz wyekwipowania kilku tysięcy jazdy w Galicyi, pobrać od dostawców monturowych łapówkę po dwa dukaty od konia; oskarżono go podobnie o poważne sprzeniewierzenia na inspektorstwie generalnym jazdy. Podczas wyprawy moskiewskiej on jeden z generałów polskich splamił się łupiestwem; wbrew najostrzejszemu w tym względzie zakazowi ks. Józefa miał wywieźć z Moskwy łup zagrabiony na kilkunastu wozach. Ale co więcej daje do myślenia, a polega już nie na pogłoskach, lecz na dokumentach wierzytelnych, to ta okoliczność, że jeszcze za Księstwa przedsięwziął on w Rosyi pewne osobliwsze starania względem rekuperacyi subhastowanych od dawna dóbr ojcowskich, do których nie miał żadnego prawnego tytułu... Kiedy następnie w 1811 roku, podczas przedwojennego już przesilenia między Francją a Rosją, podejmowane były z Petersburga tajemne wysiłki celem skaptowania Księstwa, a zwłaszcza wojska warszawskiego, i obrócenia go zniemacka przeciw Napoleonowi, w tych podziemnych knowaniach odnajduje się nazwisko Roźnieckiego, jako człowieka, na którego uczestnictwo w tej imprezie wtedy liczono. Później też za porażkę pod Mirem podejrzewano go wręcz o zdradę, najpewniej niesłusznie, lecz samo tylko podobne posądzenie dawało miarę opinii, jaką już podówczas się cieszył. Podobnie zarzucano mu, że pod Lipskiem, przy ginącym Poniatowskim, nie wypełnił swojej powinności..." Po przejściu do armii Królestwa Roźniecki dał się wkrótce poznać jako prawdziwy geniusz we wszystkich dziedzinach działalności policyjnej. W roku 1816 zorganizował żandarmerię Królestwa, która posłużyła później jako wzór dla osławionej żandarmerii carskiej. Z niespożytą energią i pomysłowością rozbudowywał i ulepszał skomplikowaną strukturę rozmaitych agend tajnej policji. Zdobył sobie także uznanie międzynarodowe jako wynalazca i racjonalizator w dziedzinie urzędzeń penitencjarnych. Wymyślone przez niego "pudło Roźnieckiego" - pochyłe oszalowanie okien więziennych, dopuszczające światło tylko od góry - stało się na przeszło sto lat udręczeniem więźniów w różnych krajach Europy. Jego też dziełem była precyzyjna sieć intryg i prowokacji, którą w późniejszych latach oplótł stolicę Królestwa, pogrążając ją w trudną do zniesienia atmosferę terroru psychicznego. Z działalnością policyjną Roźnieckiego wiązał się organicznie rozległy system wymuszeń finansowych. Głównymi pomocnikami generała w tej dziedzinie byli: wiceprezydent Warszawy Mateusz Lubowidzki, stojący na czele policji komunalnej, oraz syn warszawskiego szynkarza, Mateusz Józef vel Mojżesz Joel Birnbaum, wytrawny prowokator, szpieg i oprawca - specjalizujący się przede wszystkim w rozpracowywaniu dla swego szefa zamożnych kupców żydowskich. "Roźniecki [...] ciągnął zyski zewsząd - czytamy u Askenazego - jako dowódca całej izby kazał opłacać się za patenty oficerskie; jako tajny nadpolicjant uczestniczył we wszystkich pokątnych praktykach zarobkowych swego fachu, w drodze przeniecierstwa, przekupstwa, wymuszenia [...] Wszędzie też był obecny, w przedpokoju Belwederu, w sztabie generalnym, na ratuszu głównym, za kulisami teatru, w kantorach wielkich monopolistów i bankierów, po modnych restauracjach, brudnych szynkowniach i domach podejrzanych, energiczna postać żołdacka, sceptyk skończony, świadomy własnej deprawacyi, idący prosto do rzeczy, opuszczony, zaniedbany w ubiorze,

niewypoczęty, jakby pijany noc w rymsztoku przepędził, a zawsze sprawny, sprężny, uważny, z wyrazem ciągłego napięcia na wyniszczonej, ziemistej twarzy, z sarkastycznym uśmiechem i zjadliwym dowcipem w ustach, w gorączkowym ciągle pościgu za grubym interesem, intrygą polityczną, ładną kobietą i spiskiem patryotycznym..." Tę właśnie ciemną i groźną figurę postanowili pograć ostatecznie w opinii publicznej bojownicy prasowi spod znaku "Orła Białego". Zadanie było trudne i niebezpieczne, bo szef tajnej policji był w zażyłej przyjaźni z komisarzem carskim Nowosilcowem, a w Petersburgu popierał go wszechwładny minister Arakcejew. Ale młodzi redaktorzy byli ludźmi odważnymi i nie brakowało im dowcipnych pomysłów. Akcja przeciwko Roźnieckiemu rozpoczęła się od pozornie niewinnej notatki w dziesiątym numerze "Orła Białego" z 22 stycznia 1820 roku. "Wybory marszałków sejmikowych nie zależą wprawdzie od obywateli, jednakże przestrzeganie godności narodowej i tu jest ich udziałem. Świeży tego przykład dali obywatele jednego powiatu, którzy człowieka mniej godnego piastowania łaski przymusili do złożenia jej sposobem bardzo naturalnym - zagrożeniem wydrukowania własnego jego życia". W następnym tomiku pisma z dnia 1 lutego 1820 powrócono do tego tematu, tym razem uderzając już wprost z całą siłą: "Przykład obywateli pewnego powiatu (zob. "Orła Białego" t.I nr 10), którzy zagrozili marszałkowi wydrukowaniem jego życia, stał się zaraźliwym, i nie tylko do marszałków, ale nawet i do innych godności przechodzi. Oby z równym skutkiem! Gdyby się upowszechnił zwyczaj drukowania takich biografij, wytykających prosto i historycznie czyny osób, ileż to ludzi niegodnych odsunięto by od urzędów! Każdy starając się o jakiś stopień, przynajmniej wtedy zajrzałyby do sumienia i obrachowałyby się z niem, czy może śmiało tym w oczy spojrzeć, którym ma przodkować; czy - jeżeli był urzędnikiem - nie umaczał ręki w groszu publicznym? jeżeli był żołnierzem - czy zawsze lubił zapach prochu? - albo czy się czasem nie ukrywał po jakich młynach, karczemkach lub drwalniach". Cios był dobrze wymierzony. Czytelnicy warszawscy nie mogli nie odgadnąć, o kogo chodziło w publikacji. W stolicy już od lat krążyły pogłoski, że Roźniecki jako szef sztabu VIII korpusu, w ostatniej fazie bitwy pod Lipskiem, opuścił był swoje stanowisko bojowe i ukrył się w jakimś bezpiecznym schowku w mieście, przez co - jak głosiła wyolbrzymiona plotka - przyczynił się pośrednio do śmierci księcia Józefa. W związku z tym w roku 1814 warszawski tłum uliczny napadł na "byłego patriotę" (jak nazywano Roźnieckiego) i chciał dokonać na nim samosądu. Całej Warszawie znana była szarada, utworzona z jego nazwiska: Na pierwszym z drugim ogień obracają, Na drugim z trzecim ciasto zagniatają, Wszystko ma imię tego wojownika, Co w pokoju szpieguje, a na wojnie zmyka. Zresztą redakcja "Orła Białego", aby rozwiać ostatnie wątpliwości co do tożsamości zaatakowanego, tuż pod swym artykułem umieściła nadesłany do opublikowania komunikat oficjalny: "Sejmik powiatu siennickiego odbył się w dniu 24 zeszłego miesiąca. Znaczną większością kresek wybranym został poseł J.W. Jenerał Roźniecki!" Efekty poprzednich wyczynów Kicińskiego i Morawskiego były niczym wobec burzy wywołanej przez "Orła Białego". Wielki księżę szalał, oskarżając dziennikarzy o perfidną napaść na wojsko. Od jego chrapliwych ryków trząsał się w posadach biały pałacyk na Ujazdowie. Zuchwałe wystąpienie "paczki lelewelowskiej" wywołało popłoch nawet wśród umiarkowanych przedstawicieli sfer

urzędowych. Niemal otwarte zaatakowanie w prasie potężnego dygnitarza stwarzało stan zagrożenia dla wszystkich wyższych urzędników Królestwa. Najmniej przejął się atakiem sam Roźniecki. "Usposobienie jego jest zupełnie spokojne... - raportował o przyjacielu do Petersburga Nowosilcow. - Martwi go jedynie to, że Jego Cesarzowiczowska Mość mógł wysnuć pewne wnioski ze złośliwych przytyk jego wrogów..." Jeżeli Roźniecki rzeczywiście obawiał się, że zarzuty "Orla Białego" mogły mu zaszkodzić w oczach Konstantego, to obawy jego były płonne. Cesarzewicz, dopatrując się w awanturze dziennikarskiej zamachu na autorytet ukochanej armii, posunął się aż za daleko w obronie honoru dowódcy swojej kawalerii. Wezwał do Belwederu wydawców "Orla Białego" i po należytym zmyciu im głowy zmusił redaktora naczelnego Brunona Kicińskiego do podpisania następującego oświadczenia: "Wydawcy Orła Białego, przeświadczeni, że artykuł wydrukowany w jednym z numerów tegoż pisma mógłby ubliżyć całej armii, uprzedzają fałszywe komentarze, które mógłby wywołać. Ponieważ nikt nie odczuwa lepiej nad nich poświęcenia, będącego siłą i dostojnością armii, która po wszystkie czasy naszych dziejów służyła jako przykład, proszą o przebaczenie im tego, cokolwiek mogło być dla niej obelżywym w pomienionym artykule. Polecę zamieścić to oświadczenie w najbliższym numerze wtorkowym. (-) Kiciński Nizej podpisany zobowiązuje się nie pisać nigdy więcej przeciw wojskowemu, bądź Polakowi, bądź obcemu i przeprosić w numerze najbliższym Gazety wszystkich wojskowych za artykuł, dotyczący jednego z nich w numerach poprzednich. (-) Kiciński". Ale wymuszone na Kicińskim przeprosiny nie zostały wydrukowane ani w "Orle Białym", ani w żadnej innej gazecie; przeszkodził temu senator Nowosilcow. Mądry i cyniczny komisarz pełnomocny cesarza-króla - orientujący się w sytuacji znacznie lepiej od Konstantego - zdołał wytłumaczyć narowistemu bratu carskiemu, że wszczynanie publicznego skandalu na łamach prasy w odpowiedzi na artykuł, który zawierał tylko aluzje i nie atakował nikogo z nazwiska - byłoby "troskliwością, obraźliwszą od obrazy samej" i dałoby satysfakcję jedynie sprawcom napaści. Zdaniem Nowosilcowa "niebezpieczeństwo, na jakie każdy mógłby być narażony w wyniku nadużyć", powinno być podcięte u korzeni nie przez publikowanie sprostowań, lecz w drodze usprawnienia i zaostrzenia aparatu cenzury. Wielki książę, po ochłonięciu z pasji, przyznał rację tym argumentom, zażądał tylko od Nowosilcowa sformułowania ich na piśmie. W rezultacie - między dwoma prokonsulami doszło do wymiany pisemnych oświadczeń. 7 lutego 1820 roku Nowosilcow pisał po polsku do Konstantego: "Wskutek rozmowy, którą Wasza Ces. Mość zaszczylić mnie raczyłeś, mam honor mu donieść, iż mam w zamiarze przedłożyć na jutrzejszym posiedzeniu Rady Administracyjnej z urzędu mojego, jako pełnomocny Jego Cesarsko-Królewskiej Mości, izby wyznaczoną była komisya ad hoc do dochodzenia opieszałości cenzury w dozwalaniu drukowania w pismach peryodycznych wyrazów wcale nieprzystojnych, nieprzyzwoitych i obrażających, a to celem usunięcia od obowiązków tego, ktoby w tej mierze winnym być się okazał. Donosząc o tem W. Cesarzowiczowskiej Mości, ośmielałem się przedstawić, czyli nie będzie wolą Jego wstrzymać aż do dalszych Waszej Ces. Mości rozkazów wydrukowanie w jutrzejszym numerze Gazety przygotowanego artykułu?" W trzy dni później, 10

lutego 1820 r. "Jego Cesarzowiczowska Mość" odpisał (w oryginale po francusku): "Z chwilą gdy rząd sam się zajął sprostowaniem tego, co było niewłaściwym i ubliżającym dla armii w jednym z artykułów dziennika Orzeł Biały, nie mogę, Panie Senatorze, jak tylko chętnie przychylić się do prośby w sprawie odstąpienia od zamiaru mego, by odwołanie obrazy podpisane przez p. Kicińskiego, jednego z redaktorów, było wydrukowanem w następnym numerze owego pisma peryodycznego. Pochlebiam sobie, że w tej okoliczności, jak również w każdej innej, Wasza Ekscellencya nie omieszka uznać, ile jestem skłonny do stosowania się do wskazówek i do zarządzeń tych, którzy są zaszczytzeni zaufaniem Jego Cesarzowiczowskiej Mości w sprawach Jego rządu. Przyjemnie mi jest przytem zapewnić cię, Panie Senatorze, o wysokim mojem dla ciebie poważaniu. Wódz naczelny Konstanty". W ten sposób doszło do całkowitego uzgodnienia poglądów i zharmonizowania współpracy na przyszłość między dwiema postaciami historycznymi, doskonale znanymi każdemu średnio wykształconemu czytelnikowi z dwóch arcydzieł literatury polskiej. To porozumienie Wielkiego Księcia z Kordiana Słowackiego z Panem Senatorem z Dziadów Mickiewicza nie wróżyło Królestwu Polskiemu niczego dobrego, więcej - było chyba najgorszą konsekwencją awantury, wywołanej przez nietakt panny Philis. Dwaj pełnomocnicy warszawscy cesarza-króla mieli zupełnie odmienny stosunek do zunifikowanego z cesarstwem rosyjskim odrębnego państwa polskiego. Konstanty - przy całej swej dzikości, wariactwach i despotycznym sposobie rządzenia - odczuwał jakiś swoisty sentyment do Polaków i snobował się na polskość. Dawał tego dowody jeszcze w młodości, kiedy w niedługi czas po stłumieniu przez Katarzynę II insurekcji kościuszkowskiej przebierał się skrycie w pałacu petersburskim w strój polskiego powstańca, aby pozować w nim Aleksandrowi Orłowskiemu do portretu powstańca, przeznaczonego dla swojej ówczesnej miłości - Heleny Lubomirskiej z Równego (musiał wiedzieć, że księżniczka była najrodzeńszą córką Ludwiki Sosnowskiej, w której tak nieszczęśliwie kochał się Tadeusz Kościuszko). Później jeszcze wiele razy zadziwiał Polaków równie nieoczekiwanymi demonstracjami sympatii propolskich, aż po incydent ostatni, zanotowany przez kronikarzy, kiedy to uchodząc z wojskami z ogarniętego powstaniem Królestwa - próbował rzekomo siłą rozbroić interwencyjny korpus rosyjski Rosena, zamierzający wkroczyć na terytorium polskie. Ale pogląd cesarzowicza na sprawę polską wynikał nie tylko z sympatii do Polaków. Niezależnie od względów sentymentalnych Konstanty był osobiście zainteresowany w istnieniu Królestwa Polskiego i równie jak Polacy dążył do poszerzenia jego granic. "Wielki książę nie lubił konstytucji i liberalizmu, ale chciał mieć duże państwo polskie" - powie o nim znakomity historyk epoki. W pierwszych latach Królestwo było dla Konstantego tylko ukochaną zabawką, okazją do pełnego zaspokojenia pokretnych ambicji wojskowych. Później - kiedy z miłości do Joanny Grudzińskiej rzekł się tronu (z całej Europy zjeżdżali się do Warszawy dziennikarze, aby oglądać człowieka, który zrezygnował dla kobiety z władzy imperatora Wszechrosji) - istnienie odrębnego państwa polskiego stało się dla cesarzowicza racją bytu. Senator Nowosilcow - w przeciwieństwie do Konstantego - nie żywił do Polaków żadnych sentymentów, przeciwnie: z całego serca nienawidził wszystkiego, co polskie. Przekupny karierowicz, mistrz dyplomacji i intrygi, zdolny w każdej chwili do

całkowitej zmiany poglądów w zależności od wiejącego wiatru - w jednej sprawie był nieugięty: w swojej niechęci do stworzonego przez Aleksandra odrębnego Królestwa Polskiego. Uważał tę kreację za ciężki błąd młodego cesarza, z którym był zresztą zaprzyjaźniony osobiście i z którym wspólnie starał się podważać autonomię Królestwa i paraliżował wszelkie próby poszerzenia jego granic. Był wiernym kontynuatorem polityki Repnina i Bułhakowa, grabarzy dawnej Rzeczypospolitej. Jego głównym dziełem było odsunięcie od władzy w Królestwie księcia Adama Jerzego Czartoryskiego, dawnego przyjaciela i protektora, któremu zawdzięczał pierwsze wprowadzenie w świat wielkiej polityki i w łaski cesarskie. Nawet liberalizacyjne zamierzenia Aleksandra starał się Nowosilcow obrócić przeciwko odrębności państwowej Polaków. W projekcie konstytucji cesarstwa rosyjskiego, której przygotowanie zlecił mu Aleksander w roku 1818, odrębne Królestwo Polskie miało być zdegradowane do roli jednego z dziesięciu autonomicznych namiestnictw cesarstwa. Awantura teatralna i jej prasowe konsekwencje dostarczyły Nowosilcowowi wymarzonej okazji do wzmocnienia swych wpływów. Rozegrał tę partię po mistrzowsku - jednocześnie na trzech szachownicach. Wobec Polaków (a zwłaszcza wobec kolegów z Towarzystwa Przyjaciół Nauk, w którym udział bardzo sobie cenił) grał rolę liberała, sprzeciwiając się konsekwentnie zamykaniu pism i restrykcjom policyjnym wobec dziennikarzy. Porywczego wielkiego księcia ratował od lekkomyślnych gaf i kompromitacji, a w zamian nakłaniał go do posunięć bardziej zasadniczych i znacznie dla kraju groźniejszych. Cesarza-króla informował szczegółowo o wypadkach w Warszawie, starając się wywołać u władcy mniemanie, że w jego Królestwie "dzieją się złe rzeczy". We wszystkich trzech rozgrywkach odniósł pan senator zdecydowane zwycięstwo. Pozornym liberalizmem wobec dziennikarzy udało mu się zwieść nawet bystrego Niemcewicza; przy całej swej nienawiści do Zyzowatego*, (* Tak nazywano Nowosilcowa w Warszawie. Prawdopodobnie wymyślił to przezwisko sam Niemcewicz.) jego udział w konflikcie teatralno-prasowym ocenia Julian Ursyn w swoich Pamiętnikach zadziwiająco łagodnie. Konstantemu zdołał Nowosilcow narzucić przekonanie o swej niezbędności i w konsekwencji osiągnął w Belwederze wpływ przemożny, który miał już trwać aż do powstania. Aleksandra swymi raportami poważnie zaniepokoił i ostudził w jego liberalnych zapalach. Posiew niepokoju trafił w Petersburgu na grunt wyjątkowo podatny, co doskonale zorientowany w polityce międzynarodowej komisarz musiał z góry przewidywać. Odbierając raporty Nowosilcowa, Aleksander wiedział już o przewrotach rewolucyjnych w Hiszpanii i Neapolu, o wzburzeniu rewolucyjnym ogarniającym Włochy, Niemcy, Francję. Ze wszystkich stron wykazywano mu, do jak niebezpiecznych skutków może doprowadzić jego zbyt liberalizm. Z Wiednia zapraszano go do Opawy na zjazd monarchów Świętego Przymierza, który miał radzić nad przywróceniem porządku w Europie. W tej sytuacji raporty nadchodzące z Polski były oliwą laną na ogień. Na skutki nie czekano długo. W piśmie odręcznym do prezesa Rady Administracyjnej w Warszawie, Sobolewskiego, cesarz "dał wyraz swemu niezadowoleniu i oświadczył, iż dopiero teraz poznaje, że Polacy są niespokojni i krnąbrni i że Bóg dał mu w ręce dość siły, ażeby wszelkie ich zamachy zniszczył i skruszył". "Kto tu myśli o buntach, o poruszeniach - oburzał się na niesprawiedliwość zarzutów cesarza-króla Julian Ursyn Niemcewicz. - Poddani z

pokorą pod losy przeznaczenia, wdzięczni za wyświadczone nam dobro, za nadane swobody, czyż winą jest naszą, że uwierzywszy, że swobody te doprawdy nie dla żartu były nam dane, piśmem i mową ujęliśmy się za ich zgwałcenie?" Warto tu podać za Kajetanem Koźmianem, że w okresie szczytowego nasilenia konfliktu prasowego z kół prorządowych, zbliżonych do Koźmiana i Wincentego Krasińskiego, wysunięto pomysł rozładowania atmosfery w drodze polemiki publicystycznej. Proponowano stworzenie w tym celu polemicznego pisma politycznego pod redakcją Ludwika Osińskiego, jednego z koryfeuszy zebrań na Krakowskim Przedmieściu. Do pisma tego najwybitniejsi publicyści kraju "mieli dostarczać artykułów prostujących fałszywą polityczną opinię, skłaniającą do umiarkowanego używania swobód konstytucyjnych i okazujących, że w położeniu Polski tak i tyle obdarzonej od cesarza Alexandra, prawdziwą miłością ojczyzny i patriotyzmem jest szanować obecne dobro i oglądać się na zniszczenie obietnic Cesarza". Kiedy jednak przedstawiono ten projekt wielkiemu księciu, ów go odrzucił "oświadczając, że nie chce piśmiennej polemiki z młodzieżą, bo takowa raczej by rozdmuchała zło, któremu zaradzić należy przez skrócenie lub zakaz pism nieważnych i szkodliwych". Nauki Nowosilcowa, jak widać, nie poszły w las. Potem nastąpił "nieszcześnie" sejm roku 1820. "Od tego sejmu - świadczy Kajetan Koźmian - zaczyna się w istocie zupełne zwichnienie stosunków i szereg nadużyć i gwałtów z jednej strony, niechęć i rozjątrzenie z drugiej". Cesarz-król przyjechał do Warszawy źle usposobiony. Był chmurny, nieufny, podejrzliwy. Wprost z sejmu miał się udać do Opawy na zorganizowany przez Metternicha zjazd monarchów Świętego Przymierza. Aleksandrowi musiało ogromnie zależeć na tym, aby mógł w Opawie pochwalić się przed areopagiem reakcyjnej Europy dowodami, że stworzony przez niego w Polsce ustrój konstytucyjny zdaje dobrze egzamin i nie zagraża rewolucją. W inauguracyjnej mowie do senatorów i posłów ostrzegał przed "złym duchem, który się nad Europą unosi", zarazem jednak zdawał się potwierdzać wszystkie poprzednie obietnice złożone Polakom: "Jeszcze kilka kroków, a staniecie u celu moich i waszych nadziei!" Ale w czasie obrad sejmowych wyładowało się całe niezadowolenie opinii publicznej, narastające i domagające się ujęcia od fatalnej awantury teatralnej i wynikłych z niej ograniczeń wolności słowa. Stało się to, czego tak bardzo obawiał się Kajetan Koźmian na sejmie poprzednim. Sformułowała się jawna opozycja liberalna pod przywództwem posłów ziemi kaliskiej, uczonych i wymownych braci Wincentego i Bonawentury Niemojowskich (odtąd będzie ona już stale występować pod nazwą Partii Kaliskiej, jej filarami staną się w przyszłości: młody redaktor zlikwidowanych pism Teodor Morawski oraz eks-szwolęzer Walenty Zwierkowski). Zaciekli obrońcy konstytucji (zwłaszcza Wincenty Niemojowski) pozwalali sobie na niezwykle śmiałe wystąpienia pod adresem poszczególnych ministrów. W niektórych sprawach przeciwstawiano się rządowi wprost demonstracyjnie. Wiele wniosków rządowych odrzucano przygniatającą większością głosów. Cesarz-król był rozgniewany i rozgoryczony. "Zapytajcie się sumienia waszego - zęgnął ostrymi słowami sejm - czy w ciągu obrad waszych położyliście dla Polski wszystkie te usługi, jakich od waszej oczekiwała mądrości, czy też przeciwnie, poświęcając nadzieję, którą przezorna ufność byłaby ziściła, nie opóźniliście w jego postępkach dzieła przywrócenia ojczyzny waszej? Ta ciężka odpowiedzialność na was

spadać będzie!" Irytacja i rozgoryczenie Aleksandra były z pewnością szczere. Ale słusznie chyba przypuszcza historyk epoki, że cesarz skwapliwie chwycił się pierwszego pozoru, aby zrzucić z siebie odpowiedzialność za dzieło, gdyż "nie stało mu siły ducha na dokończenie rzeczy napoczętej". Pobyt Aleksandra w Warszawie zamknęła osobliwa scena, którą później, na podstawie bezpośredniej relacji uczestniczącego w niej wielkiego księcia Konstantego, utrwalił w odręcznej notatce książę Adam Jerzy Czartoryski. "Wyjeżdżając nazajutrz po Sejmie z Warszawy, Aleksander kazał Konstantemu towarzyszyć sobie do Błonia i tutaj na pożegnanie rzekł mu krótko: Nieograniczone pełnomocnictwa... - Jak to, Najjaśniejszy Panie, nieograniczone pełnomocnictwa - zapytał Konstanty - a konstytucja? - Konstytucję ja biorę na siebie - odparł Aleksander - działaj swobodnie i nie troszcz się o resztę." W ten sposób Królestwo Polskie przestało być państwem konstytucyjnym. Wielki książę Konstanty zdobył nieograniczone prawo łamania konstytucji. A że na coraz więcej pozwalał Nowosilcowowi i coraz częściej ulegał jego inspiracjom, więc otrzymana od brata władza - wbrew intencjom i interesom cesarzewicza - stała się narzędziem walki z samą zasadą odrębności politycznej i administracyjnej Królestwa. Pan senator, wiernie i skutecznie wspierany przez najbliższego przyjaciela i współpracownika, generała Roźnieckiego, konsekwentnie zmierzał do swego upragnionego celu, posługując się bez skrupułów wszystkimi rozporządzalnymi środkami: terrorem fizycznym i moralnym, intrygą i prowokacją. Z drugiej strony - młodzi ludzie, którym odmówiono prawa do walki na łamach prasy, których konsekwentnie spędzano z legalnej trybuny opozycyjnej w sejmie, chronili się do nielegalnego podziemia, aby łączyć się w tajne związki rewolucyjne z wojskowymi, którzy nie mogli się pogodzić z praktykami stosowanymi na placu Saskim, bądź nie widzieli dla siebie przyszłości w małej, cierpiącej na przerost oficerów armii Królestwa. Ciągłe zderzanie się dwóch przeciwstawnych tendencji: policyjnej Nowosilcowa i rewolucyjnej spiskowców - prowadziło nieuchronnie do wybuchu powstania. I pomyśleć, że wszystko zaczęło się od karmelka mademoiselle Jenny Philis! Ale nie obciążajmy młodej aktorki przesadnie wielką odpowiedzialnością. Gdyby nawet nie znosiła słodyczy i była najbardziej zdyscyplinowaną i najtaktowniejszą ze wszystkich primadonn - sytuacja polityczna w Królestwie Polskim prędzej czy później przybrałaby podobny obrót. Bo w Europie Świętego Przymierza, podminowanej spiskami rewolucyjnych karbonariuszy, nie było miejsca na liberalnokonstytucyjne państewko polskie u boku ogromnego absolutystycznego cesarstwa rosyjskiego. Nieszczęsny karmelek tak czy owak musiał być schrupany. Na koniec, z obowiązku biografy, wypada jeszcze wspomnieć, jak zachowywał się na przełomowym sejmie 1820 roku Wincenty Krasiński. W nie wydanym tomie pamiętników Dembowskiego jest na ten temat trochę wiadomości. Można się stamtąd dowiedzieć, że w dyskusji nad niektórymi projektami i petycjami generał Krasiński - działając ramię w ramię z generałem Roźnieckim - ścierał się gwałtownie z przywódcami liberalnej opozycji: posłem kaliskim Wincentym Niemojowskim i posłem sieradzkim Stanisławem Kaczyńskim. O niezachwianym lojalizmie pana na Opinogórze najlepiej zresztą świadczą nagrody, jakimi obsypano go po tym sejmie. Najpierw więc senat przyznał mu tytuł hrabiego (dotychczas był tylko hrabią napoleońskim), następnie - 19 października 1820 roku, tuż po odjeździe cesarza -

otrzymał rosyjski Order Św. Włodzimierza drugiej klasy, a jeszcze w kilka miesięcy później - order Orła Białego i dożywotnią godność senatora-wojewody. Pedantyczni kronikarze zwracają uwagę, że ta ostatnia nagroda została mu przyznana w trybie nadzwyczajnym, gdyż nie wpłynął w tej sprawie wniosek ani do senatu, ani od namiestnika. Rozdział VI Lata 1821-1822 upłynęły Wincentemu Krasińskiemu pod znakiem zmartwień, kłopotów materialnych, chorób, śmierci i pogrzebów. W lutym 1821 roku zmarł po długich męczarniach wieloletni towarzysz broni i podwładny generała z czasów napoleońskich - pułkownik Jan Leon Hipolit Koziętulski. Nieszczęsny bohater, którego śmierć cywilna i duchowa o parę lat wyprzedziły śmierć fizyczną, przeżył ostatni okres życia w oderwaniu od świata i kompletnym zapomnieniu. Ale śmierć przywróciła mu dawną sławę i jego pogrzeb stał się dla Warszawy okazją do tłumnej manifestacji patriotycznej. Z pewnych wzmianek w papierach rodzinnych zmarłego wynika, że Wincenty Krasiński osobiście zabiegał u wielkiego księcia Konstantego o to, aby uroczystości pogrzebowe wypadły jak najokazalej. Potem widziano generała, gdy uczestniczył w kondukcje, krocząc z opuszczoną głową tuż przy trumnie zdobywcy Somosierry. Jako autor książki o Koziętulskim nie mogę się w tym miejscu opędzić od przykrej refleksji. Studiując obfite materiały biograficzne, związane z ostatnim, tragicznym okresem życia dzielnego szwoleżera, na próżno szukałem w nich dowodów upoważniających do przypuszczeń, że bogaty i ustosunkowany generał-wojewoda interesował się w tych latach losem swego dawnego podkomendnego. Dlatego ostentacyjna gorliwość Krasińskiego w oddawaniu Koziętulskiemu ostatniej posługi nie wzbudza we mnie zaufania. Kojarzy mi się natrętnie z zafałszowaną sytuacją historyczną w Somosierze Verneta. W parę miesięcy po pogrzebie Koziętulskiego zaczęły się kłopoty domowe generała. W maju zapadł na ciężką "febrę kataralną" jego ukochany jedynak, dziewięcioletni "Zygmuntek" (nazywano go niekiedy także "Stasiem Zygmuntkiem", bo po likwidacji pierwszego historycznego imienia powstał spór między rodzicami a apodyktyczną babką z Dunajowic, które z dalszych imion chrzestnych wybrać na główne; generałostwo opowiadali się za ostatnim, starościna opinogórska upierała się przy drugim). Choroba chłopca wywołała w domu popłoch. Pan Wincenty drżał na myśl, że syn mógł się zarazić od matki gruźlicą. Generał sam był dzieckiem gruźlików i bał się panicznie tej groźnej plagi wieku, a u hrabiny Marii Urszuli - poza jej stałymi dolegliwościami natury nerwowej - w ostatnim roku coraz wyraźniej poczęły występować symptomy nieuleczalnej "gorączki suchotowej". Na szczęście w wypadku Zygmuntka obawy okazały się płonne. Po dwumiesięcznej chorobie chłopiec całkowicie wyzdrowiał. Z korespondencji rodzinnej widać, że okres rekonwalescencji spędzał razem z chorą matką w Opinogórze. 17 sierpnia 1821 roku pisał stamtąd do przebywającego w Warszawie generała: "Dziękuję Ci, drogi Ojcze, za książkę i za dukata. Byłem bardzo zły, że papa nie przyjechał 15-go, a wierzę, że zrobisz nam przyjemność i szybko przyjedziesz. Proszę o oddanie mych pozdrowień pani Trojanowskiej i pani Girardot. Ściskam Cię z całego serca i proszę, żebyś szybko przyjechał". Przy czytaniu króciutkiego liściku rzuca się od razu w oczy, że syn aż trzykrotnie domaga się przyjazdu ojca. Z tego, co piszą przedwojenni biografowie poety, którzy mieli jeszcze dostęp do kompletnych archiwów rodzinnych - można wywnioskować, że ostatnie wakacje spędzane z matką musiały być dla

Zygmunta bardzo smutne i bardzo trudne. Generałowa nie opuszczała już prawie łóżka, co pogarszało jeszcze stan jej nerwów. Kaprysy, urojenia i lęki ciężko chorej osoby dominowały w atmosferze dworu opinogórskiego i zatruwały życie jego mieszkańców. Ale nie tylko to gnębiło Zygmunta. Pomimo upalnego lata chłopcu nie pozwalano korzystać z wakacji i zmuszano go do nauki intensywniejszej niż kiedykolwiek przedtem. Po odejściu ulubionego nauczyciela Józefa Korzeniowskiego edukacją młodego Krasińskiego zajmował się od sierpnia 1820 roku poważny, bardzo uczony, lecz nadmiernie surowy i wymagający Piotr Chlebowski. Biografowie poety załamywali ręce nad metodami jego kształcenia. "Tylko nadzwyczajne zdolności - pisał Tadeusz Pini - pozwoliły biednemu dziecku znieść bez szkody te wszystkie zbrodnie pedagogiczne, których się na nim dopuszczano, a o których wyraźnie świadczą przechowywane w zbiorach opinogórskich jego wypracowania pisemne". Inny biograf Zygmunta - Józef Kallenbach - przytacza dla przykładu jedno z zadań arytmetycznych, jakich setki rozwiązywać musiał dziewięcioletni chłopiec: "Robotników 17 przez 6 dni na tydzień, a po 12 godzin na dzień pracujących, zrównało ziemię na ogród w 9 tygodniach i 4 dniach, co godzina trzy stopy kwadratowe wyrównując. Jakież było pole tego ogrodu? I co ta robota kosztowała, rachując po dwa grosze za każdą stopę kwadratową?" Po długiej przerwie w nauce, spowodowanej chorobą, wymagający profesor Chlebowski, pragnąc nadrobić zaległości, męczył ucznia w dwójnasób. Niekiedy w obronie Zygmunta występowała chora matka. Skrzętni biografowie odnotowali, że w sierpniu 1821 roku - a więc w tym samym okresie, z którego pochodzi przytoczony list - doszło między hrabiną Marią Urszulą a bezlitosnym mentorem do "wielkiej kłótni" na tle "nauki ułamków". Ale profesor Chlebowski nie był człowiekiem tak wrażliwym jak jego poprzednik, subtelny literat Korzeniowski. Zwycięsko przetrwał dramatyczne sceny, urządzone przez chorą hrabinę, i nadal z całkowitym spokojem wtłaczał do głowy ucznia trudne "ułamki". Może właśnie dlatego Zygmunt pragnął tak gorąco przyjazdu ojca do Opinogóry. Ale mylił się chyba, jeżeli przypuszczał, że generał byłby skłonny potępić profesora Chlebowskiego za jego wygórowane wymagania. Wszyscy biografowie zgodni są co do tego, że Wincenty Krasiński kochał jedynaka bezgranicznie, lecz miłością bardzo egoistyczną. Pysnił się nim przed przyjaciółmi, popisując jego niezwykłymi zdolnościami i erudycją, angażował się ambicjonalnie w każdy sukces syna na balach dziecięcych, marzył dla niego o zawrotnej karierze, która okryłaby ród Krasińskich nie znaną dotąd świetnością, ale głównym motorem tych ojcowskich pragnień była własna nienasycona próżność generała. Udęczony Zygmuntek z pewnością nie znalazłby w ojcu obrońcy przed surowym pedagogiem. Generałowi bardziej jeszcze niż profesorowi Chlebowskiemu zależało na tym, by fenomenalnie zdolnego chłopca jak najprędzej przygotować do egzaminu z pięciu klas szkoły średniej, a potem zadziwić nim stolicę. Klasę szóstą, czyli ostatnią, miał młody Krasiński ukończyć w publicznym liceum warszawskim, prowadzonym przez znakomitego językoznawcę - rektora Bogumiła Lindego. W liście Zygmunta zwraca uwagę wyrzut, że "Papa nie przyjechał 15-go". Syn mógł mieć o to uzasadnioną pretensję do ojca, gdyż 15 sierpnia wypadały imieniny hrabiny Marii Urszuli. Z drugiej strony - generał był tak czułym mężem, iż trudno uwierzyć, aby o tej ważnej dacie po prostu zapomniał. Jeżeli zabrakło go w tym dniu w

Opinogórze przy łóżku chorej żony, to niewątpliwie dlatego, że przeszkodziły mu w przyjeździe zajęcia służbowe bądź jakieś kłopotliwe sprawy, wymagające jego obecności w stolicy. Takich kłopotliwych spraw, przeważnie natury finansowej, miał wówczas generał sporo. Rok 1821 był dla całego polskiego ziemiaństwa rokiem wyjątkowo ciężkim. Mianowany w lipcu ministrem skarbu, książę Lubecki zmierzał za pomocą drakońskich środków do uzdrowienia bilansu państwowego, znajdującego się od kilku lat w stanie katastrofalnym. Pierwszym posunięciem ministra było uzyskanie od cesarza-króla pozwolenia na bezwzględne ściągnięcie od właścicieli ziemskich zaległych należności wobec skarbu państwa. Generał był człowiekiem bogatym, ale podobnie jak większość ziemian cierpiał na chroniczny brak gotówki, tym bardziej że żył na wielkopańskiej stopie i nigdy nie liczył się z groszem. Konieczność natychmiastowej spłaty zaległych należności postawiła go w sytuacji bardzo trudnej. W gazetach z tego czasu można odnaleźć ogłoszenia o wystawieniu na licytację kilku folwarków z dóbr knyszyńskich na Białostoczczyźnie. Bardzo możliwe, że w tym także czasie rozegrała się awantura z komornikiem, o której wspomina w pamiętnikach Kajetan Koźmian. "Wydarzyło się - pisze Koźmian - że generał Krasieński, gdy komornik sądowy jakieś zajęcie w pałacu jego miał robić, źle się z tym urzędnikiem obszedł i wypchnąć go kazał. Znieważone sądownictwo i prawo, zwłaszcza w kraju konstytucyjnym, mocno uczuło ten gwałt i sądownie upomnieć się kary zamierzało. Publiczność wzięła stronę pokrzywdzonego urzędnika. Gdy ta wiadomość doszła Zajęczka, rozważył rzecz i lękając się wdania W. Księcia, które zapewne nie byłoby przychylnie prawu i sądom... rzekł do mnie: - Powiedz ode mnie Badeniemu*, niech się stara ułagodzić sądownictwo i to wydarzenie zatrzeć; (* Minister sprawiedliwości Marcin Badeni.) trzeba wydobyć z tego kłopotu Krasieńskiego, to jest żołnierz waleczny, z honorem sprawie ojczystej służył i za granicą wstydu nam nie robił. Jakoż sprawa zagodzona została". Znam jeszcze jeden dowód, świadczący o ówczesnych kłopotach finansowych Opinogórczyka (tak nazywał Krasieńskiego w listach do Koźmianów generał F. Morawski). Jest to nie publikowane dotychczas pismo w sprawie sprzedaży podkrakowskiej posiadłości Łobzów (obecnie dzielnica miasta Krakowa), którą Krasieński kupił był w roku 1809 po zajęciu Krakowa przez wojska napoleońskie. Od roku 1815, czyli od czasu kiedy na kongresie wiedeńskim utworzono autonomiczną Rzeczpospolitą Krakowską, Łobzów znajdował się poza granicami Królestwa Polskiego. W liście z 11 stycznia 1822 roku do zamieszkałego w Warszawie byłego pułkownika Franciszka Salezego Gawrońskiego, dawnego podwładnego z gwardii napoleońskiej, generał pisał, co następuje: "Podług pozwolenia Łaskawego Pana posyłam plenipotencję sprzedaży. Żadnych warunków nie kładę, gdyż wiem... (dalsze słowa nieczytelne - M.B.). Jak pieniądze odbierzesz, to odrachuj koszta, a co się zostanie, pocztą mi przyslij. Inne były nadzieie kraiove, gdy kupowałem, dzisiay wszystko inaczey, ręce opadają, nie są zdolne do pracy. Więc odstąpię komu szczęśliwsze losy więcej nadziei sposobności nadały. Zupełnie się na Twą przyjaźń spuszczam co do osoby kupującego, ceny etc. A teraz dzięki składając za tyle dowodów przyjaźni, proszę, byś nie wąpił o tym szczerym przywiązaniu, z którym Ci na wieki zostanę szczerym sługą". Tych parę przykładów dosadnie maluje ciężką sytuację Wincentego Krasieńskiego w jesieni roku 1821 i w zimie roku 1822. Sądzę

jednak, że pomimo wszystkich kłopotów, pomimo nawału zajęć służbowych żadna przeszkoda nie zdołałaby powstrzymać generała od przyjazdu na imieniny żony, gdyby mógł przewidzieć, że będą to jej imieniny ostatnie. Na przedwiośniu roku 1822 stan zdrowia generałowej Krasieńskiej uległ gwałtownemu pogorszeniu. Nie zdołały jej już uratować ani wysiłki najlepszych lekarzy warszawskich, ani modlitwy bliskich. 12 kwietnia umarła "na łonie męża", po raz pierwszy całkowicie spokojna i pogodzona ze światem. Łaciński napis na pomniku w kościele opinogórskim głosi, że "w ostatniej chwili życia błogosławiła syna swego Zygmunta". Mąż i syn głęboko odczuli bolesną stratę. Generał Krasieński "nie mógł się pogodzić z brakiem tej, którą za ducha swego opiekuńczego uważać był przywykł. Godzinami modlił się przy kanapie, na której nieboszczka umarła; błagał ją, by mu się objawiła". Czy błagania generała zostały wysłuchane? Nie wiem. Mówiono natomiast, że zmarła hrabina, jeszcze w wiele lat po śmierci, "objawiała się" w snach i na jawie swemu nerwowemu i wrażliwemu synowi. Relacje o tych "objawieniach" poety można odnaleźć w pamiętnikach jego przyjaciół. (Pisze o tym Kazimierz Wł. Wójcicki: "Nie zapomnę tej chwili, gdy Zygmunt, siedząc z nami [...] opowiadał nam, jak w tej komnacie ujrzał po śmierci swoją matkę Maryę z księżąt Radziwiłłów. - Kiedy siedziałem na sofce - mówił - i zadumany podniosłem oczy ku stronie kominka, ujrzałem moją matkę, jak stała i spojrzenie swe łzawe a rzewne we mnie utopiła. Ręce białe jak alabaster miała załamane. Ach! uczułem w sobie najprzód dreszcz lodowy, ale później zaczęło mnie ogrzewać jakieś nieopisane uczucie radości; promień jej oczu, padając na mnie, coraz mnie więcej ożywiał. Znikło widzenie, a ja długo z miejsca ruszyć nie mogłem". Śmierć matki wtrąciła dziesięcioletniego Zygmunta w "otchłań takiej rozpacz, że nie można go było utulić". Generał, obawiając się o jego zdrowie psychiczne, zdecydował się przerwać wszystkie swoje zajęcia warszawskie i - po uzyskaniu od wielkiego księcia kilkotygodniowego urlopu - wyruszył z jedyńskiem w daleką na owe czasy podróż do podolskich dóbr starościny opinogórskiej. Jest rzeczą zastanawiającą, że Józef Kallenbach - najskrupulatniejszy i najdociekliwszy biograf Zygmunta Krasieńskiego - całkowicie przeoczył jego miesięczny pobyt u babki w roku 1822 i mylnie informuje w swojej książce, że przyszły poeta odbył pierwszą podróż do podolskich Dunajowiec dopiero w roku 1825. Tymczasem w tekach korespondencji Kajetana Koźmiana ocalały dwa listy Wincentego Krasieńskiego z maja 1822 roku, w których generał dość dokładnie opisywał przyjacielowi swój pobyt z synem na Podolu. Przytaczam treść tych listów z drobnymi tylko skrótami w rzeczach mało istotnych. "18 maja 1822, Dunajowiec. Znając twą dobroć donoszę Ci żeśmy tu 7-go maja stanęli i bardzo dobrze byli przyjęci. Nie wiem skąd się wzięło panu Ianowi* (* Chodzi prawdopodobnie o wuja Krasieńskiego Jana Tarnowskiego.) pisać, że ja nie mogę przyjechać tak prędko i gdybym się był sposobiał 6 godzin (dłużej) już nie byłbym zastał matki. Unika ze mną gadań o interesach, niezmiernie się zmieniała. Źle ie, mało śpi. Tak się żywość wzmogła, że gdy mówi o rzeczy najmniey ważney to z ogniem i coraz więcej się zapalając kończy na gniewie. Jeszcze się na mnie nie zmarszczyła nawet, gdyż zapomniałem co to jest tak lub nie. Stan ten osłupiałości przystoi mey duszy. Dziecko mnie martwi gdyż gdy kicha czuie w piersiach ból dotąd nieznan. I mey matki stan mnie nie cieszy. Ta raptowna zmiana moralnego i fizycznego postępowania nic

dobrego nie wróży. Sama dodaie słabości imaginację nayszarniejszą widząc śmierć gdy się kładzie lub wstaie, a słowo pociechy byłoby iskierką zapalającą gniew silny. Proszę cię przypilnuj mi Biskupa Płockiego*, (* Adama Michała Prażmowskiego.) by prędko oddzielił mi wieś mu wiadomą a działał filią kościoła Ciechanowskiego w Opiniogórze. Powiedz mu, że nadano dobrze i daleko więcej iak jest w akcie sporządzonym [...] za łaskę i dowód przyjaźni przyimę pośpiech. Gdyż to iuz dwa lata się ciągnie. Posłałem ci kilka egzemplarzy z Lublina nowej Edycyi. Marcinkowski powiedział żeś mnie namówił, bym wykupił to dzieło, ale to się nie uda bo zachował dla potomności coś większego. Szczery sługa. Krasiński". "28 maja 1822, Dunaiowce Podpułkownik Orliński oddawca tego listu opowie Ci naysłepiej nasz stan i byt tutaj, gdyż go moia matka bardzo lubi. Pod protekcją Stasia Zygmunta łaskawa na mnie, tylko iey stan mocno mnie martwi. Humor zmieniony od rana do wieczora w gniewie ale nie na nas. O naysłabsze rzeczy po nocach nie sypia. Chce dużo iść ale mało ie i to szkodzi, womituie i bole iak mówi okrutne cierpi. O doktorze wspomnieć nie można gdyż się gniewa. Może potrafię ią nakłonić, by przyjechała mieszkać z nami. Ja chce wyjechać 6 Juni, 15 bydź w Opiniogórze, 20 w Knyszynie, 24 u was. Orliński ma Interes z Kosseckim z swą pensją Inwalidzką. Chciey mu pomódz. Jeśli 25 lat służby 20 ran nie potrafią skłonić, niech twa łaska dla mnie rzuci w szale choć łucik za nim. Syn mi katar mocny miał, teraz zdrowszy. Nie uwierzysz jak wzdycham - do momentu uściskania Cie. Ucałuy Niemcewicza i Józefa Krasińskiego* (* Józef Krasiński z Radziejowic, kuzyn Wincentego - ten sam, który uwiecznił w swoich pamiętnikach historię Towarzystwa Przyjaciół Ojczyzny i genezę powstania polskiego pułku gwardii Napoleona.) a pamiętay o nayszczerszym przyjacielu i słudze Krasińskim". Te dwa listy Wincentego Krasińskiego - podobnie jak przytoczone wcześniej inne fragmenty jego korespondencji - dowodzą niezbitie, że był on o wiele lepszym listopisem niż literatem i publicystą. Nawet Kallenbach, życzliwie nastawiony do ojca swego ulubionego poety, przyznaje, że "jako autor nie odznaczał się gładkością stylu i poprawnością". Pod wrażeniem świeżej lektury trzech broszur "Jenerała K..." mogę do tej oceny dodać, że w żadnej z jego prac nie odnalazłem śladu oryginalności myśli ani talentu pisarskiego. Ton jego narracji wydawał się nudny i nadęty, kompozycji utworów brakowało precyzji, argumentom - logicznego podkładu, a przez to i siły przekonywania. Co innego listy. Styl listów - zwięzły i funkcjonalny - wiernie służył intencjom autora, nie tracąc barw ani świeżości. Relacje o ludziach i zdarzeniach kreślił generał w lapidarnym skrócie, ale nadzwyczaj plastycznie i sugestywnie. W niektórych listach, zwłaszcza z okresu późniejszego, udawało mu się osiągać szczyty sztuki epistolarnej. Ośmielam się twierdzić, że listy z Pymontu i Neapolu, pisane w latach trzydziestych do Kajetana Koźmiana, nie ustępują w niczym najpiękniejszym listom Zygmunta Krasińskiego. Ale i dwa skromne listy z Dunajowic, z roku 1822, mają dla biografów wartość nieocenioną. Wyłaniają się z nich jak żywi: starościna opinogórska i sam generał, a o przyszłym pocie również dowiadujemy się ważnych rzeczy. Walor informacyjny tych listów ujawnia się najlepiej w zestawieniu z innymi materiałami biograficznymi. Z innych materiałów chciałbym tu przede wszystkim przytoczyć list Wincentego Krasińskiego do kuzynki Walerii Tarnowskiej*, (* List ten opublikował w roku 1965 zasłużony badacz korespondencji Krasińskich, Z. Sudolski: "Ruch Literacki" 1965, nr

6.) uzupełniający w sposób naturalny korespondencję dunajowiecką. W drugim liście z Dunajowiec generał wyrażał nadzieję, że uda mu się nakłonić matkę, "by przyjechała mieszkać z nami". Starościna opinogórska nie była przeciwna połączeniu rodziny, lecz wyobrażała to sobie inaczej. Sama nie zamierzała ruszać się z Dunajowiec, żądała natomiast, by syn zostawił u niej Stasia Zygmuntka, na co znowu nie chciał zgodzić się generał. Rozpoczęty w roku 1822 spór na ten temat między matką i synem ciągnął się przez parę następnych lat. W liście z 11 października 1824 roku, pisanym do mieszkającej na Podolu kuzynki, Wincenty Krasieński wyłuszczał swoje stanowisko w tej sprawie, licząc zapewne na to, że Tarnowska przekaże jego wywody staroście opinogórskiej. "Co do bycia mego na Podolu nie śmiem, gdyż widziałem chęć, bym najprędzej wyjechał. Co do posłania syna, bojąc się by nie skończył jak mój ojciec i ma żona, nie śmiem go narażać na bycie przy osobie mającej gorączkę suchotową. Jeżeli mi Matka rozkaże i sam, i on tam będzie, gdyż przed jej rozkazem wszystko ustąpić powinno. Ta choroba w wieku mej matki może wiele lat trwać i nie jest niebezpieczną, ale dziecku nią być może..." Argumenty syna musiały w końcu przekonać despotyczną starościenę, gdyż po wieloletnim oporze "Babula" zjechała do Warszawy i - na utrapienie swego faworyta Stasia Zygmuntka - zamieszkała w pałacu na Krakowskim Przedmieściu. Ale nastąpiło to dopiero w roku 1828. Biografowie Zygmunta Krasieńskiego, opierając się na świadectwach pamiętnikarzy, kreślą sugestywny, acz niezbyt pochlebny wizerunek matki generała. "Starościna opinogórska nie odznaczała się wdziękiem niewieścim - pisze Józef Kallenbach. - Rysami przypominała znakomitego brata swego, Tadeusza Czackiego, ale męska jego piękność tu jakby w karykaturze się odbiła: małe, przenikliwe, wąsko oprawione i złośliwie zmrużone oczy przedzielał nos długi, bardzo długi, zwieszający się nad ustami, skrzywionymi w brzydki grymas [...] Starościna opinogórska była postrachem rządców swych, rezydentów, ekonomów i domowników. Ludzie dorośli, nawet wojskowi, najchętniej kryli się przed nią; służba drżała. Niewiasta to była dziwnego autoramentu, niesłychanej powagi, despotycznego usposobienia, wielkiego skąpstwa. Obiegał o niej następujący czterowiersz: Nieładna, lecz rozumna, Grzeczna - ale dumna, Wolność broni ustami. Chce być równą, lecz z królami." Widać z tego opisu, że pani na Dunajowcach nie należała do osób najprzyjemniejszych. Syn nie odziedziczył po matce wyglądu i charakteru, lecz jakieś podobieństwo między nimi musiało istnieć, gdyż wierszyk przypisany staroście można było z równym powodzeniem (odmieniwszy nieco pierwszą linijkę) przypisać generałowi. Stosunki matki z synem układały się niedobrze, i to od samego początku. Praprzyczyny tego konfliktu generał doszukiwał się w wydarzeniach, związanych z jego przyjściem na świat. Stwierdzał to wyraźnie w szkicu autobiograficznym, pisanym dla Zygmunta w Petersburgu tragiczną jesienią 1831 roku: "Moja matka w ciąży będąc, dawnym zwyczajem jechała, by rok nowy 1783 zacząć w domu rodzicielskim. Wywrócona w Boremlu, dobrach swej stryienki, musiała się u niej zatrzymać, a po 30 kilku dniach cierpień na świat mnie wydała; zawieszony jako nieżywe dziecko do kościoła wtenczas; gdy mój oyciec dowiedziawszy się o chorobie i przypadku żony, przemieniał konie w Boremlu, gdzie usłyszawszy o nieszczęściu, iakie mą matkę spotkało, 30 stycznia udał się do kościoła, mnie pod szubę wziął, a uczuwszy jeszcze trochę życia, szukał mamki, którą znalazłszy, mnie oddał iey; trzy dni oczu nie

otworzyłem i piersi nie przyjąłem, a do siedmiu lat słabowity, nie miałem żadnej nadziei życia. Wyratowany przez ojca, byłem jego ulubieńcem. Nadto wiele matkę kosztowałem, bym nie zaznał cierpkich przypomnień, a nieraz był przyczyną między małżeństwem utarczek. Może więc do ojca przywiązany, nie zasłużyłem na to przywiązanie, które mój brat młodszy posiadał. Lecz gdy w dzieciństwie śmierć go zabrała, nigdy nie potrafił obiać jego miejsca w sercu matki". A więc okazuje się, że mało brakowało, a Wincenty Krasiński w ogóle by nie ujrzał światła dziennego. Bardzo to interesujące i działa na fantazję. Ostatnimi laty medycyna i psychologia poświęcają wiele uwagi dzieciom reanimowanym. Podobno dzieci takie przejawiają często skłonności do pewnych aberracji psychicznych. Leczy się je wtedy kwasem glutaminowym. Ciekawe, co by też z tego wynikło, gdyby starościcowi opinogórskiemu dawano w dzieciństwie kwas glutaminowy? Może zachowałby się zupełnie inaczej podczas sądu sejmowego, a w poezji jego syna nie byłoby tylu akcentów rozpacz i melancholii? Ale kwasu glutaminowego wtedy jeszcze nie stosowano. Trzeba przyznać, że zarówno listy dunajowieckie, jak i dokumenty, które przytoczyłem dla ich uzupełnienia, przedstawiają Wincentego Krasińskiego w świetle nader korzystnym. Czytelnicy, którzy zdążyli już sobie wyrobić jednostronnie ujemny sąd o ultralojalnym i konserwatywnym generale-gwardziście, znajdują się teraz w trudnej sytuacji. Pan Wincenty w roli syna, męża i ojca to postać wzruszająca, której nie sposób odmówić ciepłej sympatii. Jakiż to rozczulający widok, gdy jeden z najdostojniejszych generałów Królestwa, potężny pan na Opinogórze i Knyszynie, senator-wojewoda i patron intelektualno-literackiej "łóży szyderców" - zmienia się nagle w zastraszonego chłopca, który lęka się każdego zmarszczenia brwi u surowej matki, znosi potulnie jej humory i usilnie zabiega o jej łaski. Z jaką serdeczną troską pisał generał o rzeczywistych i urojonych cierpieniach chimerycznej starościny opinogórskiej. Jak dalece skłonny był ulegać despotycznym kaprysom i zachciankom tej, "przed której rozkazem wszystko ustąpić powinno". Ileż poczucia winy i uznania dla delikatności matki kryło się w zdaniu: "Unika ze mną gadać o interesach" (wiadomości o sprzedaży Łobzowa i folwarków knyszyńskich musiały już dotrzeć do Dunajowic, a syn wiedział, że matka za zbrodnię uważa jego rozrzutność i wystawny tryb życia). Jak wzruszająco brzmi w liście generała echo rozpacz po śmierci żony: "Stan tey osłupiałości przystoi mey duszy". I nieustanny lęk o zdrowie Zygmunta, który "gdy kicha czuie w piersiach ból dotąd nieznan". A przy tym cóż za wspaniała żywotność! Pomimo "stanu osłupiałości" generał aż kipi energią. Za pośrednictwem radcy Koźmiana zabiega u biskupa płockiego o ustanowienie filii parafialnej w Opinogórze i oddzielenie "wiadomej mu wsi". U sekretarza stanu generała Kosseckiego stara się wyrobić rentę inwalidzką dla dawnego towarzysza broni. Samemu Koźmianowi przypomina, że jadąc do Dunajowic przesłał mu z Lublina nową "Edycję" Jaxy-Marcinkowskiego. Trzeba w tym miejscu wyjaśnić, że zabawa literacka kosztem nieszczęsnego obrońcy broszury o trubadurach była już wtedy rozkręcona na całego. Andrzej Edward Koźmian (syn Kajetana) pisze w pamiętniku, że "w roku 1821 generał Krasiński zebrał wszystkie wiersze przeciwko Jaxie wymierzone i w swojej własnej drukarni, którą miał w pałacu, wydrukować je kazał pod nazwą "Niesnasków Parnasu". Możliwe, że w liście z Dunajowic chodziło o nową edycję tego właśnie dzieła"* (*

Prawdopodobniejsze jest jednak, że Krasinowski przesłał Koźmianowi poemat Jaxy, Pobyt u przyjaciela w Lublinie, wydany drukiem w Lublinie właśnie w roku 1822 [w drukarni K. Szczepańskiego]). Niespożyta energia ojca musiała być wówczas błogosławieństwem dla przyszłego poety. Biedny Staś Zygmuntek przeżywał najtrudniejsze chwile swego dzieciństwa. Po smutnym, nad wyraz ciężkim roku, spędzonym w Opinogórze przy dogorywającej matce, po gwałtownym wstrząsie spowodowanym przez jej śmierć - sam fakt przywiezienia chłopca na Podole nie dałby mu jeszcze koniecznego odprężenia. Atmosfera Dunajowiec - przesycona cierpieniami i histerią Babuli - była tak samo niezdrowa dla nadwrażliwego, wytraconego z równowagi dziesięciolatka, jak atmosfera Opinogóry z czasów choroby i śmierci matki. Ale w Dunajowcach Zygmuntek miał przy sobie ojca. Wspaniałego, romantycznego bohatera z legendy. Niezrównanego towarzysza konnych przejażdżek po historycznych szlakach Podola, który opowieściami o konfederatach barskich tak samo umiał rozplomienić wyobraźnię syna, jak dawniej udawało się to matce z pomocą mitycznych rycerzy króla Artusa. Generał nie miał w Dunajowcach wiele do roboty, więc cały czas poświęcał jedynakowi. Dbał pilnie o to, aby suche wiatry podolskich stepów przepędzały z jego dróg oddechowych niebezpieczne katary. Odwracał myśli chłopca od smutnych przeżyć ostatnich miesięcy, skupiając jego uwagę na odległej przeszłości. Uganiał się z synem konno po naddniestrzańskich jarach, pokazywał mu miejsca otoczone historyczną sławą: mury Kamieńca Podolskiego, pole bitwy pod Chocimiem, a przede wszystkim Okopy Św. Trójcy - twierdzę, której bronił niegdyś z garstką konfederatów Kazimierz Pułaski. Okopy Św. Trójcy - więc oczywiście skojarzenia z Nieboską komedią! Nie ja pierwszy je odkrywam. Zwracali na nie uwagę biografowie Zygmunta Krasinowskiego. Tyle że przedtem to pierwsze zetknięcie przyszłego autora Nieboskiej z ruinami historycznej twierdzy, która stać się miała miejscem akcji sławnego dramatu, lokalizowano niesłusznie w czasie o trzy lata późniejszym. Odbiorcy literatury na całym świecie podczas spotkań z pisarzami najczęściej pytają o to, w jaki sposób rodzi się i rozwija pomysł literacki. Pierwszy pobyt Zygmunta Krasinowskiego u babki na Podolu dostarcza w tej materii nader pouczającego przykładu. Spróbujmy na chwilę przenieść się myślą w tamte czasy i w tamto miejsce. Oto na stromej skarpie w widłach Dniestru i Zbrucza ruiny "baszty Pułaskiego" w Okopach Św. Trójcy... Przy nich ci dwaj jeźdźcy: opowiadający z ferworem o konfederatach barskich ojciec generał i zapatrzony w niego ze swojego kucyka dziesięcioletni zakatarzony syn. Wtedy właśnie to się zaczęło. Nazwa starej barskiej fortecy zapadła po raz pierwszy w pamięć przyszłego poety. Ale trzeba było całych następnych dziesięciu lat - wypełnionych burzliwymi wydarzeniami, upokorzeniami i rozpaczą, miłością i nienawiścią, bohaterstwem i zdradą, rozmyślaniami w samotności i podróżami po dalekich krajach - aby historyczne Okopy Św. Trójcy znad Dniestru mogły się przeistoczyć w uogólnienie literackie w Nieboskiej komedii, a potem utrwalić w mowie polskiej jako pojęcie pospolite, symbolizujące ostatnie reduty obronne walki skazanej na przegraną. Rozdział VII "Generał oddał się całą duszą wychowaniu jedynaka. Zygmunt Krasinowski chętnie później opowiadał, że ojciec jego po zgonie jenerałowej nieraz długie poświęcał mu godziny. Zamykał się z nim w osobnym pokoju, tam wpajał weń miłość ojczyzny i nienawiść obcego jarzma; kazał powtarzać

przysięgi Hannibala przeciw Rzymowi. Opowiadał mu dzieje ojczyste, utwierdzał w umyśle jego wyobrażenia o obowiązkach obywatela, tam kazał sobie przysięgać, że tym obowiązkom i uczuciom zawsze wierny pozostanie..." Ta piękna pochwała patriotyzmu i zasług wychowawczych generała Wincentego Krasińskiego pochodzi z wydanego w roku 1904 dwutomowego dzieła Józefa Kallenbacha o Zygmuncie Krasińskim i należy ją odnieść do czasu, kiedy ojciec i syn, po powrocie z Podola, rozpoczynali nowe "sieroce" życie w Warszawie i w Opinogórze. Trudno kwestionować kompetencje tak zasłużonego i rzetelnego badacza, jak Kallenbach, ale w danym wypadku musiał chyba zbyt zaufać mitom rodzinnym, zasłyszczanym od potomków poety. W zestawieniu z późniejszymi postępami generała, o których informują wszystkie polskie encyklopedie i podręczniki historii, hymn pochwalny biografu przekształca się w nie zamierzone szyderstwo. Znacznie krytyczniej oceniał rolę Wincentego Krasińskiego w wychowaniu syna drugi obok Kallenbacha najwybitniejszy badacz życia i twórczości Zygmunta - Tadeusz Pini. Nie podważając samego stanu faktycznego rodzinnej legendy, Pini starał się wyjaśnić, "jakie to wyobrażenia o obowiązkach obywatela utwierdzał generał w umyśle jedynaka i jak pojętym obowiązkom kazał wobec siebie wierność zaprzysięgać?" Dla znakomitego polonisty było jasne, że patriotyzm może być rozumiany w sposób bardzo rozmaity, że "różnica między Rejtanem a Branickim jest tylko różnicą w sposobie pojmowania przez nich obowiązków względem ojczyzny". Odpowiedzi na swoje pytania szukał Tadeusz Pini w Opinogórze, gdzie za zgodą jej ówczesnego właściciela, ordynata Adama Krasińskiego (prawnuka generała), studiował przez kilka tygodni rękopisy autora Nieboskiej komedii. W starym dworze opinogórskim (po którym dziś została już tylko pusta polana w parku) wszystko było urządzone tak, jak za życia generała i poety. Miał tedy Pini zadanie ułatwione, nie musiał zbyt wysilać wyobraźni, aby odtworzyć sobie wzory, na których Wincenty Krasiński - "w osobnym pokoju" - kształtował patriotyzm syna. "Przez ocienioną dzikim winem werandę i przez halę wchodzimy do pracowni poety - relacjonuje biograf. - Naprzeciw biurka [...] uderza nas rozwieszona na ścianie olbrzymich rozmiarów tablica genealogiczna, przedstawiająca ogromne drzewo, wyrastające z rzymskiego bohatera Valeriusa Corvusa, z mnóstwem odgałęzień i owoców: to najważniejsi przedstawiciele rodu Krasińskich o godności wojewodów, kasztelanów, podkomorzych, biskupów, prałatów itd. Na ścianach tego i przyległych pokoi wiszą obrazy, przedstawiające sceny z bliższej już przeszłości. A więc najpierw sceny z konfederacji barskiej z marszałkiem jej Michałem Hieronimem Krasińskim i z jednym z jej twórców, biskupem kamienieckim, Adamem Stanisławem Krasińskim na czele. Dalej widnieją w ogromnej liczbie obrazy, przedstawiające najważniejsze czyny wojenne szwoleżerów gwardii... z których pułk generała Krasińskiego spletał sobie wieniec nieśmiertelnej chwały... Wśród tego bogatego zbioru ilustracji do półwiekowej blisko epoki walk o niepodległość Polski na próżno szukalibyśmy portretu Kościuszki, który miecz oburącz trzyma. Rejtana żałosnego po wolności stracie lub Jasińskiego z Korsakiem stojących na szanćach Pragi. Historia Polski z tych przełomowych lat zapisana jest na ścianach dworu opinogórskiego długim szeregiem czynów bohaterskich, ale czynów dokonanych wyłącznie przez rodzinę Krasińskich, przede wszystkim przez generała Wincentego..." Rzeczowy reportaż z ordynackiej

Opinogóry podbudowuje pochwalne ogólniki Kallenbacha konkretną treścią. Fakt, że w opinogórskiej kolekcji obrazów historycznych zabrakło miejsca dla bohaterów czczonych w każdym patriotycznym domu szlacheckim (aluzje Piniego do Soplicowa z Pana Tadeusza) - charakteryzuje najlepiej istotę patriotyzmu Wincentego Krasieńskiego. Był to patriotyzm utożsamiający historię i interesy kilku rodów magnackich z historią i interesami całego narodu, patriotyzm mający bliskie parantele z tradycjami nie tylko Baru, ale również Targowicy. Pryncypia takiego właśnie, ciasnego, arystokratycznego patriotyzmu wpałał były dowódca szwoleżerów synowi od chwili, gdy po śmierci hrabiny Marii Urszuli "stał mu się ojcem i matką" (słowa Andrzeja Edwarda Koźmiana). W tym miejscu może ktoś się zainteresować, dlaczego to generał wojewoda musiał być dla swego jedynaka "ojcem i matką", skoro w domu Krasieńskich wychowywała się na prawach najbliższej krewnej dorosła już Amelia Bronikowska, od dawna opiekująca się z macierzyńską czułością młodszym o osiem lat kuzynkiem "Sizysiem". Ale tak się właśnie niefortunnie złożyło, że jeszcze na kilka miesięcy przed śmiercią hrabiny Marii Urszuli osiemnastoletnia wychowanka wyszła za mąż i opuściła dom generała. W karnawale 1822 roku - według relacji Andrzeja Edwarda Koźmiana - wdzięczna Amelia już jako "nowa mężatka ozdabiała i ożywiała towarzystwo warszawskie żywością dowcipu, przyjemnością rozumu, który rozświecał jej czarne oczy..." Mężem pierwszej muzy Zygmunta Krasieńskiego został syn prezesa warszawskiego Sądu Apelacyjnego - trzydziestoletni Roman Thabasz z Załuskiego hrabia Załuski d'Archot de la Riviere et de Houmont, baron (w XVI pokoleniu) de Houffaliere, ostatni potomek tej linii sławnego rodu Załuskich, która w wyniku zagranicznego mariażu jednego ze swoich antenatów nabyła prawo do znaczących dóbr feudalnych we Flandrii i do najdłuższego nazwiska w Polsce. Każdemu, kto czytał książkę Koziatulski i inni, mąż Amelii Załuskiej skojarzy się niewątpliwie ze słynnym kronikarzem szwoleżerów - szefem szwadronu, a później generałem, Józefem Załuskim. Byli rzeczywiście kuzynami, ale Roman Załuski miał ze szwoleżerami powiązania bliższe. Oficerem pułku był jego starszy brat Adam, który zginął w roku 1812, wkrótce po dramatycznym pożegnaniu szwoleżerów z Napoleonem w Smorgoniach. W czasie gdy starszego z polsko-flandryjskich hrabiów grzebano w zaśnieżonej ziemi białoruskiej, niespełna dwudziestokilkuletni brat młodszy dosługiwał się w 11 pułku ułanów Księstwa Warszawskiego awansów i krzyży, płacąc za nie straszliwym odmrożeniem rąk i nóg, którego ślady miał zachować do końca życia. Z kampanii napoleońskiej Roman Załuski wyszedł w stopniu majora, w Królestwie awansował na podpułkownika i przez pewien czas był przybocznym adiutantem wielkiego księcia. Po wystąpieniu z wojska poświęcił się wzorem ojca zawodowej karierze urzędniczej. W czerwcu 1825 roku osiągnął stanowisko referendarza rady stanu "z pensją". Skorzystam z okazji, aby przedstawić Romana Załuskiego możliwie obszernie, gdyż zarówno on, jak i jego żona wystąpią w tej książce jeszcze parokrotnie - i to w epizodach wcale niebłahych. Czteroletni okres między powrotem Krasieńskich z Podola latem 1822 roku a wstąpieniem Zygmunta do liceum warszawskiego jesienią roku 1826 pozostawił po sobie obszerną i barwną dokumentację. W różnych archiwach publicznych i prywatnych zachowało się sporo nie wykorzystanych dotychczas materiałów rękopiśmiennych: listów samego Wincentego Krasieńskiego oraz odnoszącej się bezpośrednio do niego

korespondencji jego przyjaciół. Niestety, poważna część tych listów nie ma dat (specjalną niechęcią do datowania korespondencji odznaczał się generał poeta Franciszek Morawski), wskutek czego ułożenie ich w porządku chronologicznym nastrocza nie lada trudności. W niedługi czas po powrocie z Dunajowiec Wincenty Krasiński popadł w poważny zatarg ze stołeczną "Komisją Kwaterunkową", instytucją potężną, dobierającą się do skóry wszystkim właścicielom nieruchomości miejskich bez względu na przynależność stanową, pozycję społeczną czy majątek. Zarzucano generałowi, że rozporządził się samowolnie zajęty na kwaterunek apartamentem w jednej ze swoich posesji warszawskich. Komisja twardo domagała się zwrotu lokalu, a Krasiński, który - jak się zdaje - nie był w tej sprawie całkowicie w porządku, usiłował ratować się kumoterską protekcją wpływowego członka rady stanu, Kajetana Koźmiana. Zachowany list do Koźmiana z 9 maja 1823 roku dotyczy właśnie tej sprawy. Niestety nie daje on pełnego obrazu sytuacji, gdyż najwidoczniej poprzedzała go już jakaś korespondencja na ten temat. Poza tym jest bardzo trudny do odczytania. Krasiński pisywał na ogół wyraźnie, wyjąwszy wypadki, kiedy był czymś zdenerwowany lub podniecony. List z 9 maja musiał być pisany w takich właśnie okolicznościach, gdyż pomimo najszczerzych chęci i usilnych starań nie udało mi się go w całości rozszyfrować. We fragmentach odczytanych również nie wszystko jest jasne. Wydaje mi się jednak, że warto ten ułomny dokument wydobyć na światło dzienne, aby wzbogacić nim o jeszcze jeden rys portret literacki pana na Opinogórze. "Długom myślał, czy się Przyjacielowi czy urzędnikowi tłumaczyć, gdyż do pierwszego trza sercem mówić, do drugiego logiki i filozofii używać, a i o sofizmach nie zapomnieć. Wolałem kochając szczerze iść za sercem nie za głową. Jak mogłeś mnie posądzić, iż będę mógł użyć przyiaźni przeciwko powinności... że nie przekonany o prawdzie będę pisał, a później zmienny iak wiatr inaczej rzecz (przedstawię), przyznając, że wczoray byłem głupi; iż nie mając interesu płaszczyć się będę. Nie mogę mieć za złe urzędnikowi iż inaczej widzi iak ia.. (następuje długi retoryczny wywód bardzo zawikłany i trudny do odczytania; odnosi się wrażenie, że Krasiński wyrzuca przyjacielowi jego niechęć do interwencji w tej sprawie - M.B.) ...Słowo ci daie iż ten apartament nie nymowałem dla kwaterunku i że tenże nymuię na iakaś pensją Panieńską za 150 florenów, więc nie są to pustki iak podobało się wyrazić. Mam w Bogu nadzieję iż nie nadużywam mey Cześci dowodząc sądząc i będąc przekonany iż ieden raz się tylko podatek płaci in natura lub pieniędzmi. Oddałem apartament użyciu Komisji Kwaterunkowej, gdy nie użyła - mnie zawsze go pozbawiła, a nigdy Magazynier nie rości praw do Obywatela o drugie danie liwerunku, gdy zboże w Magazynie się zepsuło, nie będąc użytym. To są me dowody i powody. Racz darować i poszukay w Wirgiliuszu iakiego wiersza na me wytłumaczenie, lub powtórz za nim: Parce, Domine quia nesciunt quid faciunt*. (* "Przebacz im, Panie, bo nie wiedzą, co czynią". Zacytowany zwrot łaciński pochodzi nie z Wergiliusza, lecz z Pisma Świętego. Podobne lapsusy zdarzały się Krasińskiemu często.) Do śmierci Krasiński. 9 maja 1823 Warszawa". Sprawy lokalowe - jak widać z tego dokumentu - zawsze były skomplikowane i trudne do jednoznacznego osądu. Tym bardziej że w czasach Królestwa Kongresowego warszawska komisja kwaterunkowa słynęła z oszustw i łapownictwa. Ale z tego, co z listu daje się odczytać, po odrzuceniu całej retoryki, jasno wynika, że w tym wypadku racja

formalna była po stronie komisji, gdyż generał najpierw oddał lokal na kwaterunek, a później - uznawszy samowolnie zobowiązanie wobec komisji za przedawnione - odnajął go za 150 florenów jakiejś pensji żeńskiej. Krasieński był jednak człowiekiem upartym i nie dawał się zbić z raz zajętego stanowiska. Jedynym skutkiem korespondencji z Koźmianem było to, że rozważny radca stanu rozjątrzył przeciwko sobie przyjaciela. Wkrótce potem trzeci uczestnik obiadów czwartkowych, generał brygady Franciszek Morawski, donosił Kajetanowi Koźmianowi: "Miałem list od W. Kr. Cóż on to na ciebie pisze. Zgrozę okropną rozgłasza, musiałeś mu doiechać w interesie jakim i korpuśny* (* Tak nazywano generałów dowodzących korpusami. Krasieński był dowódcą korpusu mieszanego gwardii i grenadierów.) tak się rozbestwił na ciebie..." Generał Franciszek Dzierżykraj-Morawski dowodził w tym czasie brygadą piechoty w Lublinie. Błyskotliwy światowiec, wytworny tłumacz Racine'a, Schillera i Byrona, satyryk, bajkopisarz, krytyk literacki i teatralny - usychał z nudy w prowincjonalnym mieście, gdzie "tylko kabak* (* Szynek) i błoto". Główną jego rozrywką było korespondowanie z warszawskimi przyjaciółmi: Kajetanem i Andrzejem Koźmianami, Ludwikiem Osińskim i Wincentym Krasieńskim. Ponieważ miał niezwykłą łatwość pisania, barwny język i cięty dowcip, listy jego stanowią rozkoszną lekturę, a zarazem przekazują spory ładunek wiedzy o ówczesnej kulturze i obyczajach. Trudno zrozumieć, dlaczego nikt nie spróbował dotąd zebrać tej korespondencji porzucanej po różnych archiwach i wydać jej w większym zbiorze. Osoba Opinogórczyka zajmuje sporo miejsca w listach Morawskiego do obu Koźmianów, ale zachowało się także kilkanaście listów pisanych bezpośrednio do Krasieńskiego. Niestety, jak już wspominałem, Morawski rzadko korespondencję datował, można więc tylko ogólnie stwierdzić, że wszystkie te listy, związane tematycznie z Lublinem, pochodzą z lat 1822-1826, gdyż jesienią 1826 roku Morawski został przeniesiony z Lublina do Radomia. Fragmenty listów będę przytaczał w takiej kolejności, w jakiej odnajdywałem je w archiwach. Pierwszy list pochodzi niewątpliwie z roku 1822, gdyż poświęcony jest prawie cały "poecie" Kajetanowi Jaxie-Marcinkowskiemu, którego właśnie w tym roku Morawski zaprosił był sobie dla zabawy do Lublina. "Odebrałem list Jenerała, którego się już nie spodziewałem, bo tak długo zwlekać odpowiedź zwłaszcza w przedmiocie Jaxy nie było zwyczajem Jenerała, mais tout degenerate (wszystko się degeneruje) i Jenerał więc stygnie. Nowy figiel. Jaxa odebrał list od jednego z ministrów, że wkrótce urząd dostanie; lata, cieszy się, puszy i każdemu w kaszę dmucha; dziś mu wykradli ten list, który był zmyślony - i inny na nowo zmyślony w tej samej kopercie włożyli z tą samą treścią, lecz jest podpisany: Minister w szpitalu głupich prezydujący. Zapewne da komu do pokazania. A co za awantura będzie, jak dostrzeże tego, a zwłaszcza nie będzie mógł pojąć, jak list w szkatule zamknięty, mógł się przeistoczyć! Dobry przedmiot na farsę. Że dotychczas nikt na niego komedyi nie napisał, mogła by być grana, lecz trzeba by go Acinkowskim nazwać... Moja żona niedługo wyjeżdża, a ja będę prosił, żebym mógł być na półóg mojej żony na 25. Przecież mi W. Xiążę tego nie odmówi... Jaxa zachęcony Pszonki tryumfem przerabia swoją Irenę Xiężnę Kiyowską... W Pszonce jest mowa o niejakim Panu Jakrze, co zaprasza do siebie na śniadanie szanownego Poetę z Ukrainy, aby drwił z niego. Powiedział mi do ucha, że to sztych dla Jenerała ale żebym o tym nie donosił, boby Jenerał namówił przez

zemstę jaką gadzinę do nowego paszkwilu. Poiedynek rozdarł nie czytając, ale teraz mu kawałkami ze wszystkich stron recytują i wścieka się ze złości. Pewien, że to Niemcewicz zrobił. Cóż warte było ostatnie posiedzenie?... Wszystkim znanym kłaniam, Zygmuntka serdecznie ściskam. Przepraszam, że dziś tak krótko, jest tylko podziękowanie za pamięć Jenerała. Czy prawda, że ktoś przez figiel napisał Koźmianowi na kamienicy Karbonaro* (* Żart polegał na tym, że konserwatysta Koźmian był biegunowym przeciwieństwem rewolucyjnych karbonariuszy i z całego serca ich nienawidził.) Może to będzie plotka. Proszę też Jenerała donieść mi o tem, czy Pan Niemcewicz czytał ten numer Monitora Polskiego, gdzie Waszyngtona nazywają szczęśliwym zbrodniarzem, gorsze to jest iak... (słowa nieczytelne)... o czym mi Jenerał donosisz. O tempora, o mores! Widzę, że chcąc się troszkę rozerwać trzeba koniecznie o Jaxie pisać... a więc kończę, bo oprócz tego tylko kwadransik czasu miałem, przyczem list Jenerała nie był dłuższy od mego. JWnemu Jenerałowi służby moje polecam. Co słychać w Warszawie? W Europie? w Płocku? F. Morawski" Kajetan Jaxa-Marcinkowski tak dużo miejsca zajmuje w listach Morawskiego, że należałoby go jakoś bliżej przedstawić* (* Pełny życiorys Jaxy-Marcinkowskiego odnaleźć można w znanej pracy Jana St. Bystronia, Literaci i grafomani

z czasów Królestwa Kongresowego.) Ale na temat tej osobliwej postaci napisano już więcej, niż zdołał za życia napisać on sam, chociaż weny twórczej nigdy mu nie brakowało. Dziwna to była historia. Czytając listy Morawskiego trudno zrozumieć, jak ten literat z prawdziwego zdarzenia, a przy tym człowiek mądry i zacny, mógł sobie na kilka lat obrać za jedno z głównych zadań życiowych płatanie żakowskich figlów klasycznemu grafomanowi (poza tym zresztą, jak stwierdzają miarodajni kronikarze, człowiekowi poczciwemu i sympatycznemu), który przyjmował wszystko w najlepszej wierze i utwierdzał się coraz głębiej w swej manii aż do... zupełnego szaleństwa. Przy środkach i wpływach, jakimi dysponowali Morawski i Krasiński, żarty z Jaxy przybierały nieraz rozmiary monstrualne. Morawski po zaproszeniu Marcinkowskiego do Lublina zorganizował mu tam huczną premierę jego sztuki Pszonka, z czego śmiało się później całe Królestwo. Uczestniczyli w tej mistyfikacji prawie wszyscy oficerowie Lublina, zmobilizowani przez swego dowódcę. O Jaxie wydawano drukowane utwory i pisano ballady, sam Morawski wydawał pod jego nazwiskiem polemiczne wiersze, ośmieszające ich rzekomego autora. Szczególną sławę zyskał sobie wierszyk, w którym Morawski podszywając się pod Jaxę strofował redaktora pisma Wanda Cypriana Godebskiego: Panie Godebski, Wiersz twój jest kiepski Lepiej, młodziku, Nuć kukuryku; Ja piszę wiersze Nie jak ty piersze; Mnie Muza pieści Już lat czterdzieści; Jeszcześ był w jajku, Mały hultajku, Gdym w Parnas wkroczył itd... itd... Z listu generała żartownisia poza historyjkami o Jaxie można wyczytać tylko jedną rzeczową informację dotyczącą spodziewanego połogu generałowej Morawskiej. Z treści dalszej korespondencji wynika, że Wincenty Krasiński proponował przyjacielowi, aby generałowa odbyła poród w pałacu na Krakowskim Przedmieściu. Morawski z zaproszenia nie skorzystał. W liście do Kajetana Koźmiana wyjaśnił motywy swojej odmowy: "Krasińskiego łaski nie przyjmę, bo między nami mówiąc pokoje jego na górze są puste iak ordynackie w Balladzie (chodzi prawdopodobnie o humorystyczną balladę Ordynackie, opiewającą

wyjazd Jaxy-Marcinkowskiego do Lublina. O autorstwo jej Jaxa podejrzewał Krasińskiego, lecz rzeczywistym autorem był młody literat Dominik Lisiecki - M.B.), na żadnym kominku ognia dla ugotowania czegoś położnicy zrobić by nie można, bo się wpędzi dymu; mebli mu psuć nie chcę a reperacja więcej niż trzy razy tyle co... (słowo nieczytelne - M.B.) kosztowałyby zapewne, bo ja te pokoje dobrze znam. Zresztą pałac ten iest trochę nadto głośny dla położnicy a wreszcie iakże ten dziedziniec, który grzmi zawsze pod poyazdami lecących na śniadania, obiady i fayki, zawalać gnoyem (stosowano taki zabieg dla ściszenia turkotu - M.B.)? I mnie, i jego by to żenowało, a więc uważamy rzecz tę iako zatartą zupełnie. Pewien iestem, iż żona twoja zgodzi się z moim zdaniem, a pozatym po co szukać łaski u wyższych, nie trzeba w te stosunki wchodźć z magnatami, bo to do ukłonów, do względów zmusza, które krępują wolność czynienia i mówienia..." W następnym liście do Krasińskiego Morawski poleca jego możnej protekcji znanego magika włoskiego Pinettiego, który swymi występami zabawiał właśnie Lublin. "Jenerale Pan Molduano Pinetti drugi, bo trochę lepszy niż Bosko, choć nie tak wystawny, prosił mnie o rekomendacją do Jenerała, aby go tam polecieć i wyiednać mu liczną reprezentacją. Czynień to, bo zasługuje przez swoje piękne sztuki na to i bo mam jedną okoliczność więcej przypomnienia się Jenerałowi. Macieź tam Państwo różnych sztuczek dużo, a zwłaszcza tych, gdzie pieniądze iakby oczarowane nikną po kassach, ale i te, które on przedstawia, mogą mile zaiąć. Żegnam Jenerała, aby go wkrótce pozdrowieć w Warszawie. F. Morawski, Lublin". Przed przytoczeniem następnego listu Morawskiego do Krasińskiego muszę z góry prosić o wyrozumiałość Czytelników uwrażliwionych na tak zwane rzeczy nieprzyzwoite. List zaczyna się od wiersza o tematyce dość drastycznej, ale wierszyk jest tak zabawny i tyle w nim ukrytej drwiny z poezji klasycznej, że grzechem byłoby skazywać go na zapomnienie. "Kochany Jenerale Niepiękney, chociaż modney uległszy chorobie, Siedzę na urynale i zgadniesz, co robię, Czyli raczey w klasycznym przemawiając tonie. Nadymam się iak Jowisz, siedzący na tronie. Marszczę brew, gniewnie w koło rzucając zrzenice I okropną pod sobą tworzę nawałnicę Tysiąc wichrów z Eola iaskini wypada Ryczy burza i Echo Echu odpowiada Lecz deszcz! Lecą gromy! A Jaxa zdumiały Pędzi swoją Naiadę w nowe pole chwały I mieszcząc nocną urnę w rękę tey biedaczki Dodaie do rzek* swoich wielki potop sraczki. (* Głównym dziełem Jaxy-Marcinkowskiego był poemat Rzeki polskie [wydany w roku 1821]). W takim jestem stanie (przekreślone). Odebrałem list Jenerała i tak dziękuję za niego, iak za posiłek na puszczy. Chmurno trochę ten list wygląda, nie ma w nim dawney wesołości. Wyobrażenia posepne, atrament nawet czarniejszy. Niechże przynajmniey tak długo nie będzie. Splin jest kontrabandą angielską i z pogodą sarmackiego czoła niezgodny. Piszę tylko te kilka słów, aby podziękować za obietnicę przysłania mi czegoś nowego i aby nie opuścić okazji pisania. Piszę na koniec dlatego, aby Jenerał spytał klasyków, co to jest w mowie Osińskiego wykonywać płody karności. Mówi on to do Panienek i każe im te płody tworzyć. Niech mnie czarci porwą, iezeli co rozumiem... Nie ciągnij psa za ogon, mógłby mu nieieden romantyk powiedzieć, bo potrafi odszczeknąć... (Następują dwa wyrazy nieczytelne - M.B.)... ...o Byronie w kilku miejscach, a zwłaszcza gdzie maluje zmartwychwstającą Grecją, iest cudowna i przepraszam, że powiem, iż w żadnym naszym klasyku warszawskim takiej

piękności nie widziałem. Lecz zresztą jest rozwlekła i czasem bez gustu. Koźmian powiada, że wszystko głupie, bo o Byronie dobrze pisze. Kiedy ja nabiorę tej szczęśliwej śmiałości krytykowania podobnie, bo iakże to jest wygodnie powiedzieć zgóry wszystko głupie. Taka powaga samym tylko klasykom przystoi, a my dobre dusze zaraz wierzymy, co powiedzą. Jaxa, drogi Jaxa podobno chory i prawie tak nędzny iak iego wiersze. Niech się generał dowie, czy to prawda. W Wielkiej Polsce, w Śląsku nawet mówiono mi o nim. Zastanawiałem się, jak iego rymy mogły go tak głośnym uczynić, i wytłumaczyłem sobie to takimi wierszami, które kiedyś sam zrobiłem. Sława, co życie nasze przedłuża za grobem, Szczególnym dzieła ludzkie rozgłasza sposobem Z dwóch stron sobie przeciwnych dwie trąby przytyka Jedną głosi Byrona, a drugą Jaxika Sługa i przyjaciel F.M." Następny list do Krasińskiego - wyjątkowo datowany - z 16 grudnia 1824 roku, jest bardzo długi, więc przytaczam go tylko w najistotniejszych fragmentach. Pełno w tym liście pogłosów zażartych bojów literackich między klasykami a romantykami, wszczętych z chwilą przeniknięcia z Litwy do Królestwa pierwszych tomików poezji Mickiewicza, a potem z miesiąca na miesiąc przybierających na sile. Dla dostojnych koryfeuszy literatury pseudoklasycznej - takich, jak Kajetan Koźmian czy Ludwik Osiński - było kamieniem obrazy wszystko, co przynosili z sobą młodzi poeci romantyczni. Drażniły ich i oburzały do głębi rozwichrzone wiersze, wyłamujące się z kanonów klasycznej wersyfikacji, egzaltowana uczuciowość przeciwstawiana "mędrca szkiełku i oku", ludowa tematyka czerpana z "gminnych wierzeń i zabobonów", a nade wszystko ciągle podkreślanie przez romantyków narodowego i patriotycznego charakteru nowej poezji. Morawski - formalnie przynależny do obozu klasycznego, lecz świadomy wszystkich jego wad i śmieszności - potrafił jednak dostrzec, że klasycy powoli łamali się pod naporem romantyków i częściowo przejmowali ich sposób pisania. "Mimo wielkich niedorzeczności Mickiewicza zazdroszczą mu oni skrycie niektórych ballad, umięją cenić bogactwo farb poetycznych w Świteziance... i uznają wreszcie, że mogą być lepsze i gorsze ballady. Niech przecież Generał nie powiada im o tem, bo iakby się pomiarkowali, toby gotowi z przestachu na dwa wieki w tył odskoczyć, a takie wielkie skoki psują foremność klasyczną i smętnymi by były dla olbrzymów naszej sławy, a co gorsza iżby znowu swoje starożytne monopolium wprowadzali na wszystkie płody i jakby nie dosyć ich było w naszej ziemi, jeszcze na Parnasie mielibyśmy Newachowiczów*... (* Leon Newachowicz, zniechęcony w Warszawie dzierżawca monopolu: wódczanego i tabacznego. Protegowany Nowosilcowa i Roźnieckiego.) Pisze mi Koźmian, że Generał chory. Czemu? Na co? Po co? Ja będąc w mieyscu Generała byłbym zdrów iak ryba. Majątek, starostwa, syn jedynak, cały firmament na piersiach, sława własna, sława nawet od przodków pożyczona, mieszkanie w stolicy, wesołość humoru, skryty pokoik i co dzień Girardot*, (* Lekarz pułkowy szwoleżerów, stale rezydujący w domu dawnego dowódcy.) cóż tu może zdrowie popsuć, co szczęśliwszym uczynić? Reszta od nas zależy. Aide toi, le ciel t'aidera (Pomagaj sobie, niebo ci pomoże). Jakże się tam skończył nasz proces? Mówią, że Jaxa był raz pozwany na Ukrainie i choć stanął, osądzono go in contumaciam (zaocznie - M.B.), dlatego, że się zawsze całych ludzi pozywa, a nie bez głowy, uznany więc był za nieprzytomnego (nieobecnego - M.B.) i na baty skazany. Chciał on tą kontumacją tylną część obronić,

ale się nie udało i tam był uznany w całej swojej przytomności... ..Proszę Jenerała donieść mi co w Warszawie... a zwłaszcza o sobie i o Zygmuntku, którego ściskam serdecznie. Proszę przypomnieć mnie także Panu Niemcewiczowi, gdyż ani wątpię, iż Jenerał starasz się jak najczęściej uzacniać dom swój jego obecnością. Koźmiana, Osińskiego ściskam i chciałbym aby w swoim sercu czuli prawdę tego przysłowia, kto się kłóci, ten się kocha. Niech mi Jenerał przyśle rozprawę Osińskiego czytana gdzieś tam na posiedzeniu o tłumaczeniach, bom iey bardzo ciekaw. Będziez to tam zapewne na romantyków, iakże się tam zaperzyć musiała Klasyczność. Co przeklętw! Co piorunów!

Raz ieszcze żegnayac Jenerała z całym domem i całą armią przodków prawdziwych czy nieprawdziwych byle z krukami*, (* Kruk po łacinie - corvus, był elementem herbu Ślepowron, którym pieczętowali się Krasińscy. Stąd kultywowana przez Wincentego legenda o rzymskim protoplaście rodu - Valensie Corvusie.) mam honor pisać się Jenerała najniższym podnóżkiem. F. Mor... Lublin dn. 16-go Grudnia 1824". Wzmianka generała poety o jego nieporozumieniach z Koźmianem i Osińskim upoważnia do domysłów, że spór klasyków z romantykami doprowadzał do kłótni nawet na szczycie klasycznego parnasu. Bo za cóż innego mogli się gniewać Koźmian i Osiński na swego przyjaciela, uroczego dowódcę brygady z Lublina, jeśli nie za jego liberalizm wobec "litewskich śmierdziuchów" albo "smorgońskich parobków literatury", jak wdzięcznie nazywał poetów romantycznych nie przebierający w epitetach radca Kajetan. Sam gospodarz sympozjów czwartkowych, generał Wincenty Krasiński, mniej od swych przyjaciół zaangażowany w sprawy literackie, nie opowiadał się wyraźnie za żadną z walczących stron, traktując te spory przede wszystkim jako dobrą zabawę i rezerwując sobie w nich stanowisko kibica i arbitra. Judził natomiast jednych literatów przeciwko drugim, jak tylko mógł: Morawskiego przeciwko Koźmianowi i Osińskiemu, Koźmianów przeciwko Morawskiemu, młodych romantyków (specjalnie w tym celu zapraszanych na obiady) przeciwko starym klasykom, klasyków przeciwko romantykom, a wszystkich razem przeciwko nieszczęsnemu Jaxie-Marcinkowskiemu. To bawienie się ludźmi i napuszczanie ich na siebie było ulubionym zajęciem Opinogórczyka jeszcze z czasów Towarzystwa Przyjaciół Ojczyzny. W książce Koziętulski i inni opisałem dwa charakterystyczne incydenty, wynikłe z poduszczenia ówczesnego "prezesa Wicusia": brutalną napaść na porucznika Łabęckiego za to, że ośmielił się nosić frak, zbliżony krojem do munduru Przyjaciół Ojczyzny, oraz okrutną "zgrywę" z Franciszka Ostrowskiego, po której biedny prowincjusz musiał z Warszawy uciekać, gdzie pieprz rośnie. Z chwilą urządzenia w pałacu na Krakowskim Przedmieściu salonu literackiego - przykra skądinąd cecha natury hrabiego generała okazała się dla tej imprezy prawdziwym błogosławieństwem. Jego niestrudzona pomysłowość w wynajdywaniu spornych problemów i skłócaniu z sobą ludzi powodowała stały ferment kulturowy, zmuszała do polemik i nieraz - wbrew założeniom - torowała drogę nowym prądom. Salon Krasińskiego, zarówno dla klasyków, jak i dla romantyków, był źródłem nie ustającej prowokacji kulturalnej. Nie bez kozery ten właśnie salon warszawski uwiecznił Adam Mickiewicz w II części Dziadów. Gorzej się działo, gdy zręczny inspirator sporów kulturalnych osobiście wszczynał kłótnie. W takich wypadkach ożywały awanturnicze nastroje z epoki Przyjaciół Ojczyzny i

rzecz nieodmiennie kończyła się skandalem. W tymże samym roku 1824 - kiedy inspirowane przez salon na Krakowskim Przedmieściu spory klasyków z romantykami sięgały swego pierwszego apogeum - generał-wojewoda uczył stolicę skandalicznym zatargiem z rektorem Lindem, zasłużonym autorem sześciotomowego Słownika języka polskiego. Wydarzyło się to 1 lutego w Hotelu Wileńskim na Tłomackim, podczas uroczystego obiadu, wydanego przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk na cześć swego prezesa Stanisława Staszica. Pełną dokumentację incydentu można odnaleźć w monumentalnej monografii Towarzystwa Przyjaciół Nauk, opracowanej przez historyka Aleksandra Kraushara. Między innymi jest tam także przytoczona treść oficjalnego pisma, które nazajutrz po zajściu przesłał Staszicowi rozżalony Linde. "Przewielebnemu Królewskiemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk Do własnych rąk Jaśnie wielmożnego Radcy Stanu Staszica Prezesa w Warszawie Pilno! Z ochotą udałem się za odezwą współczłonków do mnie wydaną dnia 1 lutego na ucztę, w dowód szacunku dla Szanownego Prezesa przeznaczoną, lecz przewidzieć nie mogłem, że tam pozbawionym zostanę czci i honoru. Podobało się albowiem naszemu współczłonkowi, JW. Wincentemu hr. Krasińskiemu*, (* W roku 1820 Wincenty Krasiński, będący uprzednio "członkiem przybranym" TPN, uzyskał godność "członka rzeczywistego".) generałowi dywizji, zacząwszy już przy stole zaczepki z powodu umieszczenia przeze mnie w programie liceowym tłumaczenia mówki... (nazwiska autora "mówki" Krausharowi widocznie nie udało się odczytać - M.B.) o korzyściach z nauki historii powszechnej, po obiedzie w innym pokoju, otoczonemu gronem licznych i najpoważniejszych współczłonków, na cały głos mi oświadczać: że się spodlił, że utracił szacunek młodzieży, rodziców, obywateli, że nie pozwala mi przystępu do siebie i do domu swojego, że zakrawał na order, lecz że wielki książę już uprzedzony, że niegodny znajdować się w Towarzystwie itd... - Słyszeli te zniewagi nie sami tylko członkowie Towarzystwa, lecz i służący kawę między nami roznoszący. Rozmaite od dosyć długiego czasu zaczepki puściłem mimo siebie jako żarty; lecz te, tu wyrażone oświadczenia przechodzą już wszelkie granice żartu i przyzwoitości, tak że pomyśleć należy o środkach poprawczych i zaradczych. Uważając ucztę tę jak zgromadzenie nadzwyczajne Królewskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, bo obcych gości tam nie było, zważywszy dalej, że w swoich zgromadzeniach Towarzystwo samo utrzymuje porządek, uważając tu w osobie JW Wincentego hr. Krasińskiego współczłonka naszego, udaję się z wyrządzoną mi przez tego współczłonka w zgromadzeniu Towarzystwa krzywdą do tegoż Towarzystwa z wyrażeniem: że życie bez czci nie ma dla mnie powabu, jeżeli za poważnym stawieniem się Królewskiego Towarzystwa krzywda moja publicznie, a to jak najprędzej powetowaną nie zostanie, zmuszonym będę, choć bardzo niechętnie, udać się drogą, która by pamięć tak uroczystego dnia zaszkodzić mogła. Dan w Warszawie dnia 2 lutego 1824". Trudno jest po stu pięćdziesięciu latach bezstronnie rozpatrywać konflikt między ludźmi, z których każdy ma już swoje ustalone miejsce w podręcznikach historii. Spróbujmy to jednak uczynić. Samuel Bogumił Linde - pomimo epokowych zasług w dziedzinie leksykografii i pedagogiki (był jednym z organizatorów Uniwersytetu Warszawskiego i Biblioteki Publicznej oraz wieloletnim rektorem słynnego Liceum Stołecznego) - nie rysował się w oczach swoich współczesnych jako postać

specjalnie sympatyczna. Zarzucano mu "chwiejne przekonania, kierowanie względami osobistych faworów" oraz "polowanie na zaszczyty i honory". Jego "wymowa kaleczona z niemiecka", brak towarzyskiej ogłady oraz staroświecki sposób ubierania się - były przedmiotem nieustannych żartów studentów. Szczególną wesołość wywoływał, kiedy na popisach liceum - odziany w "długi surdut koloru ciemnozielonego, węgierskie buty i niezbyt śnieżnej białości chustkę, którą zazwyczaj okręcał szyję" - recytował z namaszczeniem swój ukochany wiersz Karpińskiego, zaczynający się od słów: "Oto mój dom ubogi...", co w jego interpretacji brzmiało: "Oto maj tom uboki..." W Towarzystwie Przyjaciół Nauk nie lubiano go również. Nie był odpowiednim partnerem towarzyskim dla salonowych literatów i arystokratycznych snobów, którzy nadawali ton "sekcji literatury" TPN. Próbowano nawet podważać jego zasługi naukowe. Było "wielu zazdrosnych, którzy złośliwie rozpuszczali wieści, jakoby swego słownika manuskrypt już gotowy miał znaleźć w jakiejś bibliotece klasztornej"*.

(* K. Wł. Wójcicki wyjaśnia, iż bajka ta wzięła się stąd, że Linde jeździł z upoważnieniami ministra oświaty po zniesionych klasztorach i zabierał stamtąd zbiory biblioteczne, z których utworzono później Bibliotekę Publiczną w Warszawie.)

Awantura w Hotelu Wileńskim wiązała się z wydarzeniem sprzed paru miesięcy, którym rektor liceum zraził do siebie wielu patriotów, zwłaszcza wśród młodzieży. "W roku 1823 na popisie licealnym - pisze Kraushar - uważał Linde za właściwe przedstawić przekład jakiejś licej rozprawki o znaczeniu historii i w niej zaznaczyć, iż upadek narodów jest jakoby zawsze zasłużony i usprawiedliwiony". Historyk, który badał okoliczności tej sprawy, wyraża pogląd, że niefortunne wystąpienie Lindego wynikało nie tyle ze złej intencji, co z braku taktu. I tak chyba było. Zasłużony autor Słownika nie wziął po prostu pod uwagę, że ze swą ryzykowną tezą (wymierzoną prawdopodobnie przeciwko anarchii schyłkowego okresu Rzeczypospolitej szlacheckiej) występuje nie przed gronem uczonych dyskutantów, lecz przed patriotyczną młodzieżą, która - rozjątrzona zaostrzającą się w kraju walką patriotyczną - mogła odczytać wystąpienie niezbyt lubianego i często krytykowanego za przesadny lojalizm rektora jako próbę usprawiedliwienia rozbiorów Polski. Pan na Opinogórze przez wiele lat obnosił się ze swą przyjaźnią dla Lindego. Autor modnego Słownika był jednym z tych "źle urodzonych", na przykładzie których Krasiński demonstrował swoje "postępowe" poglądy społeczne. W listach z epoki szwoleżerskiej często odnajduje się pozdrowienia dla "Czcigodnego Lindego". Wiadomo także, iż w pierwszych latach Królestwa profesor bywał stale zapraszany na zebrania czwartkowe na Krakowskim Przedmieściu. Później stosunki uległy ochłodzeniu. Kto wie, czy nie od czasu głośnej polemiki na temat "urządzenia Żydów", kiedy to major Walerian Łukasiński miał nieostrożność swoje Uwagi pewnego oficera... zadedykować właśnie Lindemu. Mógł się także rektor narazić dumnemu magnatowi swoim pośrednictwem w jego sporze sejmowym z posłem Godlewskim. Tak czy inaczej - sposób, w jaki Wincenty Krasiński zaatakował dawnego przyjaciela, zadziwia brutalnością. Nie można tego tłumaczyć stanem afektu, gdyż awantura w Hotelu Wileńskim rozegrała się już w parę miesięcy po zakwestionowanym występie Lindego. Prawdopodobnie wydaje się raczej, że Krasiński działał w podnieceniu alkoholowym (co sugeruje zresztą Kraushar), ponieważ skłonność do nadużywania szampana i węgryna należała do

powszechnie znanych słabostek generała-wojewody. Ale to go bynajmniej nie usprawiedliwia w oczach dzisiejszych

czytelników. Każdy, kto ma na honorowej półce swojej biblioteki sześć wielkich tomów Słownika Lindego, musi się poczuć osobiście dotknięty ordynarną napaścią magnata z Opinogóry. Niezależnie od stopnia winy Lindego (a nie musiała ona być wielka, skoro nie wspomina o niej żaden z rozplotkowanych kronikarzy owego czasu) trzeba pamiętać, że ofiarą patriotycznego amoku krewkiego gwardzisty padł stary zasłużony profesor, który - pomimo obcego pochodzenia i niewątpliwych skaz w postawie obywatelskiej - całe swe pracowite życie poświęcił krzewieniu kultury polskiej wśród młodzieży, i kulturę tę wzbogacił dziełem naprawdę epokowym. Z drugiej strony - Krasieński absolutnie nie wzbudza zaufania w roli patriotycznego Katona. Wystarczy, że się wie, iż swój "patriotyczny" odwet na Lindem realizował przez składanie na niego donosów wielkiemu księciu oraz że w tym samym czasie powszechnie znienawidzonego zdrajcę Roźnieckiego nazywał w swej korespondencji (prywatnej!) nie inaczej, tylko "Czcigodnym Seniosem naszej iazdy". Zresztą sam pan Wincenty wykazał najlepiej, że nie należy zbyt serio traktować jego hałaśliwych demonstracji. W dwa lata po awanturze w Hotelu Wileńskim ruszył pokornie do Canossy i - pomimo zdecydowanego oporu obrażonego Lindego - zdołał "spodłalemu" i "pozbawionemu szacunku młodzieży, rodziców, obywatelów" rektorowi liceum wmusić na ucznia i wychowanka swego ukochanego jedynaka Zygmunta. Wydaje mi się, że epizod z Lindem nieprzypadkowo znalazł się w biografii Krasieńskiego. Ten rodzaj patriotyzmu, jaki zademonstrował generał-wojewoda w Hotelu Wileńskim, służy zazwyczaj do pokrywania jakichś własnych grzechów obywatelskich. Takim właśnie patriotyzmem - agresywnym, hałaśliwym, zawsze zwróconym przeciwko komuś - szermował na Sejmie Wielkim późniejszy wódz targowicy - hetman Ksawery Branicki. Ale skończmy z tą sprawą i powróćmy do korespondencji Franciszka Morawskiego. Oto list z ostatnich dni roku 1825, pisany najwidoczniej już po otrzymaniu wiadomości o nagłej śmierci cesarza Aleksandra, która zaskoczyła Warszawę w początkach grudnia. ("Wiadomość ta piorunem rozeszła się po mieście - zanotował świadek tamtych dni Tymoteusz Lipiński. - Każdy, jeżeli nie zapłakał, to osłupiał usłyszawszy ją"). Razem z cesarzem-królem ostatecznie schodziły do grobu nadzieje Polaków na zachowanie konstytucyjnego ustroju państwa i odzyskanie ziem przedrozbiorowych. Ponury ton listu wyraźnie odbija od niefrasobliwej atmosfery poprzedniej korespondencji. "W dzień pocztowy odebrałem zasmucające listy, a przez zaniedbanie poczmistrza oddano mi list Jenerała w trzy dni po iego przyjsciu to iest dzisiai... Przesyla mi Jenerala zyczenia na rok nowy. Day Boze, aby sie sprawdzily, a razem i moze dla Jenerala. Ale iakaz nadzieje ich spelnienia miec mozna? Kiedy sie iuz nie zlemu, ale dobremu dziwic trzeba, a cnota tak chwalic iakby cos nadnaturalnego w czlowieku. Przejdmy w inną sferę, bo ta nadto zimna, ciemna i głupia. Mówmy o wierszach, prozie, rozumie i bredniach, to ieszcze moze rozproszyć smutki. Z łaski rudey peruczki* (* "Rudą peruczka" albo "Infamisem" nazywano radcę stanu i dyrektora wychowania publicznego w Komisji Wyznań i Oświecenia Józefa Kalasantego Szaniawskiego [autorem obu tych przezwisk był podobno Niemcewicz]. Szaniawski - zaufany Czartoryskich, niegdyś jakobin, przyjaciel Sułkowskiego - w czasach

Królestwa Kongresowego stał się najwierniejszym wykonawcą antypolskich zarządzeń Nowosilcowa. Jako dyrektor wydziału wychowania zyskał sobie opinię szczególnie gorliwego tłumiciela wolności słowa i myśli.) to jest nietoperza naszego, co po trzy miesiące paki ksiąg zatrzymuje, nie wiem, co się dzieje w stolicy z odgłosu coś posłyszę..." W stolicy zaczynało się dziać źle. Po wstąpieniu na tron nowego cesarza-króla Mikołaja I i stłumieniu powstania dekabrystów, petersburskie organy śledcze wpadły na trop powiązań między spiskowcami rosyjskimi a tajnymi organizacjami polskimi. W Warszawie rozpoczęły się aresztowania. Złowróźbna karetka szefa policji municypalnej, wiceprezydenta Mateusza Lubowidzkiego zajeżdżała nocą pod najbardziej szanowane domy w mieście. Wyrwanych ze snu ludzi odwożono do więzienia w dawnym klasztorze Karmelitów na Lesznie. W pałacu Bruhlowskim wielki książę Konstanty w obecności Nowosilcowa osobiście przesłuchiwał wojskowych, podejrzanych o zbrodnie stanu. Sympatyczny generał poeta, nudzący się nadal w Lublinie, zdawał się rzeczywiście nie wiedzieć o tym wszystkim. W swoich następnych listach do Krasieńskiego po dawnemu dowcipkował na temat Jaxy-Marcinkowskiego, zajmował się sprawami literatury i teatru, wypowiadał sądy o klasykach i romantykach. Niekiedy jednak trafiały się w tej rozkosznej paplaninie akcenty poważniejsze, doskonale charakteryzujące zarówno autora, jak i adresata listów. "Posyłam Jenerałowi wiersze Olizara*", (* Hr. Gustaw Olizar (1798-1865), poeta romantyczny, stale mieszkający w swoim majątku na Ukrainie.) Będzie o nim mowa w jednym z następnych rozdziałów. nie prześlę wyjątku Andromaki*, (* Nad przekładem Andromachy Racine'a pracował Morawski przez kilka lat, nie odważając się pokazać go na scenie; ubiegli go w tym autorzy dwóch innych przekładów: Franciszek Salezy Dmochowski i Ludwik Dmuszewski. Premiera Andromachy w przekładzie Morawskiego odbyła się dopiero w roku 1829, zyskując sobie ogólny poklask krytyki i publiczności. W związku z tym sukcesem przekładowym Kajetan Koźmian pisał o przyjacielu: "Kto tak Racinowi sprostał, jakby pióra jego dostał".) bo nie chcę, a Satyrę Marcinkowskiego moy mały zupełnie podarł*. (* Chodziło o nieznaną satyrę Marcinkowskiego, zwróconą przeciwko Krasieńskiemu. Jest na ten temat kilka wzmianek w korespondencji. Nie wiadomo, czy utwór ten rzeczywiście został zniszczony przez małego Tadzia Morawskiego, czy też zacny generał odmawiał jego wydania Krasieńskiemu nie chcąc narażać Jaxy na gniew możnego protektora.) Podkreślam w wierszach Olizara miejsca lepsze, może się na iedno zgodzimy. Tak niewyraźnie Pan Dobrodziey swoje listy pisze, żem połowy nie przeczytał, i dlatego nie wiem na co odpisać. Ale że nigdy osnowy nie braknie mówiąc z Jenerałem więc dalej piszę. A naprzód proszę ieszcze i ieszcze o nowinki, bo tu głucho iak na cmentarzu. Jeden bęben i dzwon Bernardyński budzą zaspany Lublin... Nie wszczynam na nowo naszej kłótni wieczney o Arystokracyi do której Jenerał zdaiesz się mnie wzywać. Kiedy tyle historycznych dowodów, a zwłaszcza krayowych nie przekonało was, moi Panowie, i tyle wzorowych rozumowań o tem, na cóż by się zdała moia gadanina. Nie odmień Jenerał swego zdania, ale i ia swego nie odmienię. Proszę mi tylko pozwolić abym bez obrazy krwi Jowiszowey śmiał się z takich figur iak Mniszek*, (* F. Morawski popełnia tu omyłkę, nader często spotykaną w ówczesnych listach i pamiętnikach - miesza pisownię nazwisk dwóch rodzin magnackich: Mniszchów herbu Kończyc i

Mniszków herbu Poraj. To właśnie rodzina Mniszchów [a nie Mniszków] spokrewniona z królewską linią Poniatowskich, słynęła z pychy i snobizmu. W danym wypadku chodziło niewątpliwie o ciotecznego wnuka Stanisława Augusta hrabiego Karola Mniszcha, znakomitego znawcę spraw heraldycznych.) chez qui naissance est le premier merite d'un etre moral (u którego urodzenie jest pierwszą zasługą istoty moralnej) i który Bogu dziękuje nie że Człowiekiem, lecz że się Mniszkiem urodził. Nigdy ja nie utrzymuję aby gardzić chwałą swoich przodków, lecz to, że nie należy z niej się chlubić, bo ona nie jest prywatną lecz narodową własnością, a więc nie do nich należy, lecz do ogółu. Przywłaszczać sobie spływającą jej zaletę, jest to żądać przywileju od Publiczności za cudze zasługi. Mówią Magnaci iż to jest bodźcem dla potomków do szlachetnych czynów. O iak to smutne przeznaczenie, kiedy źródła szlachetności nie w sercu, nie w godności Człowieczy natury lecz w tym pożyczanym zaszczycie szukać potrzeba! Ci tak sławni Przodkowie w sobie je znaleźli. Bóg inaczej sądzi niż świat. Adam starszym był zapewne od wszystkich familli, a przecież Diabli wzięli Kaina. Nic mu nie pomogła czysta krew Rodzicielska, a czyściejsza zapewne niż wszystkie najsławniejsze krwie Magnatów. Ale dość tego! Wyklóciwszy się z Arystokratem ściskam przyjaciela i życzę mu zdrowia i wszystkiego co Polaka i Człowieka cieszyć może". "Wyczytawszy (z nachyleniem czoła) powrót Jenerała Korpuśnego do Stolicy*", (* Latem 1826 roku generał Krasieński wyjechał do Petersburga. W drodze powrotnej zatrzymał się na dłuższy czas na Litwie, gdzie stacjonował poddany jego zwierzchnictwu pułk gwardii litewskiej. W wyniku tej podróży otrzymał awans na generała jazdy.) którym wszystkie gazety zabrzmiały spieszę mu odpisać na list z Sokółki odebrany. Ściagałem ja myślą moją Jenerała po Litwie, iak zwiedzałeś ślady Kieystutów, Olgierdów, Gedyminów, iak powtarzałeś na rewiach plany ich bitew, szturmy do ich grodów, i iak przed niejednym uroczyskiem ceremonialnym defilowałeś marszem. Przyśnił mi się raz nawet Jenerał siedzący i dumający na iednym kurhanku*, (* Wyrażna aluzja do Ballad i romansów Mickiewicza.) i z tego romantycznego Olimpu gromiący zaciekłość Koźmiana. Obudziłem się przed jego odpowiedzią, ale zapewne była to cytacya z Horacyusza, bo nie tylko czuć i myśleć bez niego, ale gadać nawet bez słów iego nie może... Miałem list od Jaxy pełen frazesów i zimno-głupi. I on także upada, iuż to nie ów olbrzym szaleństwa, ów autor Pobytu lecący cwałem do Bonifratrów, zmądrzał i dlatego mniey smaczny! Szkoda niepowetowana, ale cóż robić, wszystko biednie i wędnie, laury i chwasty pełzną zarówno. Bóg wie co Jenerałowi pisać z Lublina gdzie tak głucho iak na Seymie Gallicyiskim a ciemno iak w głowie Jaxy. Jenerał ma to obfite żniwo w Warszawie, gdyby tylko chciał wszystko wypisać i urubrykować nowinki w porządnym raporcie. Nie wiem skąd się wzięła wiadomość o woynie. Jenerał naylepiey będzie wiedział, proszę mi z pewnością o tem donieść, iak o wszystkim, co po przybyciu z Petersburga zaydzie nowego. Grano poprawioną Andromakę Dmochowskiego, Jenerał zapewne był na niej, proszę mi o tem donieść [...] Moja iak leży, tak leży skończona. Nie mogę się zdobyć na iey przepisanie na czysto i wygładzenie reszty. Gdyby dobrą była, miałbym ochotę do tego, czułbym może nawet niecierpliwość miłości własney, iak naypręcey wyiechania z nią na świat, choć to nie dla mnie zostawione, puszczać na świat wiersze i drukować się. Cóżby na to powiedziano.

Lepiej cicho siedzieć i faykę pałac drzymać - ale bez marzenia. A propos muszę też Jenerałowi donieść, że starożytnik tutejszy znalazł dowody, że Sławek* (* Protoplastą Krasińskich herbu Ślepowron był Sławko, dziedzic Krasnego z pierwszej połowy XV wieku.) miał za sobą córę Ziemowity. Jest na to medal bity przez Rzymianina iednego wówczas trzymającego w arendzie kabak w Kruszwicy. Sławka figura bardzo butna, a kruki lecą mu en aureolle około głowy. Za wieś można tego medalu dostać, inaczej ani się wdawać w targi... Cóż tam porabia Familia Klasyków, piszę i do Syna, i do Oyca, a milczą iak posągi! Niech ich Jenerał obudzi. Zygmuntowi serdecznie uściśnienia, panu Chlebowskiemu ukłony, a Jenerałowi to co zawsze. Przepraszam, że bazgrzę bez sensu, bom bardzo zatrudniony. Wszystkim pamiętającym o mnie moje uszanowanie i przyiaźń zwłaszcza Panu Niemcewiczowi. F.M." "Znamy się na niewinnych figielkach JW-o Opinogórskiego. Jaxa nam oczy otworzył. Magnat chce się biedną szlachcią bawić. Ani Hohenlohe, ani nawet Tomasz Grabowski* (* Dyrektor generalny w Komisji Wyznań i Oświecenia.) nie dokazałby tego cudu, aby mnie z Koźmianem pokłócić, którego serce moje tak kocha iak rozum szacuje. Roźniemy się zdaniem, bo często może nie chcemy się rozumieć, lecz w sercach zgoda zawsze gotowa... Śmiało więc oddam mu tę pochwałę, że Ziemiaństwo* (* Poemat Kajetan Koźmian Ziemiaństwo polskie (owe sławne "tysiąc wierszy o sadzeniu grochu" z Dziadów) ukazał się w druku w całości dopiero w roku 1839, ale we fragmentach był już drukowany od roku 1812.) wiele się przysłużył do wykształcenia romantyzmu. Wiem ia, iż wolałby być posądzony o Alkoran i Biblią Lutra niż o romantyzm, ale cóż ia temu winien, że go na każdej znajduję karcie czary, widma, duchy, zabobony, tradycje mieyscove, obyczaje narodowe i naygminniejsze przedmioty. Powie on że w Wirgiliuszu i Tassie toż samo się znajdzie, lecz nie życzyłbym użyć tego dowodu na zgnębienie romantyzmu, bo mogłoby się okazać, że romantyzm ten iest w naturze Poezji, ponieważ iuż wówczas w nayklasycyniejszych przebijał się pismach. Jak więc był Medicin malgre lui (Lekarz mimo woli!) tak Koźmian musi być romantique malgre lui (romantyk mimo woli)... Że też mi Jenerał ani słowa nie piszesz, co się tam dzieje. Wnosząc z wesołego listu wszystko musi mlekiem i miodem płynąć. Biedny Nam (Namiestnik - M.B.) stracił w paraliżu pół głowy, pół serca, a drudzy się weselą i śmieją. Któż go zastąpi? Ja na wszelki wypadek szukam po herbarzach, czylim choć przez nieprawę łożę nie był przed kilku wiekami pokrewniony z Krukami... Żegnam Jenerała i kończę, bo iuż ciemno, a świecy nie dali. Smutek wielki mam w domu, moia mała Marynia rękę złamała, lecz mówią, że u dzieci łatwo się to goi. F.M. Kłaniać się tym co o mnie pamiętają, nie przypominać mnie innym". Generał Morawski miał dużo wolnego czasu, więc nie ograniczał się do wymiany listów z "arystokratem" z Opinogóry. Równocześnie korespondował stale z obydwoma Koźmianami - ojcem i synem. Dzięki temu pewne sprawy poruszane w listach do Krasińskiego uzyskują nieoczekiwane oświecenie i uzupełnienie. Przytoczę tu dla przykładu kilka najbardziej charakterystycznych fragmentów tej korespondencji. Pierwszy poświęcony jest w całości kpinom z arystokratycznego snobizmu Opinogórczyka: "Cóż tam Korwin robi? Wydobyłże znowu obraz iakiego antenata przedpotopowego. Prózne wysilenia, ród Jaxów daleko starszy zostanie w dziejach. Powiedz mu Że na samo wspomnienie Pan Inspektor Płocki* (* Dzięki poparciu generała Krasińskiego i

Kajetana Koźmian Jaxa-Marcinkowski otrzymał w roku 1826 posadę inspektora oświatowego w Płocku.) Występuje do rymu nie tylko Paprocki Ale wszystkie Prokosze i cały wiek gocki A zaś na imię Pan Korwin Krasieński Ledwie Burmistrz Piński* (* Aluzja dziś już niezrozumiała, musiała się odnosić do jakiegoś zdarzenia z życia Krasieńskiego. Pińsk był w owym czasie symbolem ciemnoty i zacofania, powstawało na ten temat wiele żartów.) Co ten człowiek zamyśla? Mógł przestać na medalu, który sam sobie wyrobił. Nie dosyć że jednego głupstwa. Trzebaż koniecznie fundatorów różnych imion po kościołach skupywać i na Korwinów przerabiać? Dosięgnął już swymi portretami do Ziemowidza, któż wie, gdzie nie dojdzie Jak ów Rzym szukający skąd niegdyś pochodził Początek swego rodu z wilczycy wywodził Tak też kiedyś Korwinów linia wysoka Dojdzie aż do cielęcia, które struło smoka. Spalże ten list, niech się nie poniewiera po twoim stole iak zwykle, bo nie... znasz go, rzuciłby się na mnie. Miłość własna tak wygórowana nie przebacza obrazy..." Drugi z kolei list do Kajetana Koźmiana odnosi się do spraw znacznie poważniejszych: lubelski wygnaniec dzieli się z przyjacielem wrażeniami z lektur przesłanych mu nowości księgarskich*: (* Mam wrażenie, że ten list zaplątał się z okresu wcześniejszego. Wspólne wydanie Ballad i romansów oraz pierwszych fragmentów Dziadów musiało dotrzeć do Krakowa nie później niż w roku 1824.) "Przeczytałem już trzy księgi; między innymi Mićkiewicza. Niezaprzeczony ma talent, ale kto chce nowy rozdział wprowadzić trzeba go okazać w całej doskonałości, inaczej odrazi. Ballady jego, mimo wad języka, są przyjemnym tworem. Gryzelda (chodziło oczywiście o Grażynę - M.B.) nudna, a Dziady tak w swoich wyobrażeniach subtelne, niedociekłe, iż ciągle dorozumiewając się, niczego na koniec nie rozumiałem. Czyż to tak bardzo trudno pisać naturalnie i jasno? Z rozkoszą Mićkiewicza piękne płody słyszę Lecz w swoich ciemnych Dziadach tak mi ciemno pisze Iż zda się, że chwytając same cienie myśli Cień wieszczą, cienkiem pióra cienie wierszów kryśli*... (* Krytyka ta dotyczyła II i IV cz. Dziadów.) ...Gorsze stokroć od romantyzmu to złodziejstwo. O Boże Ojców naszych, także się to łatwo Narod stary i szlachetny mieni. Są to wprawdzie zbrodnie kilkunastu tylko osób, lecz dawniej nie stowarzyszała się zbrodnia i nie śmiała się z tą bezwstydną spokojnością bronić... Chlubiliśmy się, że krwawe zbrodnie nie są w naszym charakterze i jakby lepszym wyborem, podłych się chwytamy. Na toż broniliśmy sławy, honoru, Polski, aby to wszystko zblądzić". W liście do Andrzeja Edwarda Koźmiana Morawski zrozpaczony po stracie młodszego synka, który w roku 1826 padł ofiarą "febry kataralnej", wraca do swego ulubionego tematu: lekarstwa na ból ojcowski szuka u Jaxy-Marcinkowskiego: "Mój mały może tydzień jak umarł i Matce już powiedziałem. Tak płakała, że aż krwią pluła* (* Aniela ze Zwierzchowskich generałowa Morawska zmarła wkrótce po śmierci syna na "gorączkę suchotową".) i co dzień jeszcze płacze, lecz po coż ci łzy posyłać, gdzie może pociechy potrzebujesz. Widzę, że przeznaczeniem jest Jaxy w nieszczęściu nawet wracać mi uśmiech wesołości. Odczytałem coś mi przysłał. Smutnym zdarzeniem w samym tytule jest pięć błędów, a między temi dwa kłamstwa. Co zaś do przedmowy nic jeszcze tak głupiego i zuchwałego nie czytałem. Dla rozproszenia moich smutków zrobię krytykę pierwszego arkusza..." I wreszcie ostatni fragment z listu do Koźmiana starszego. Morawski nawiązuje do wiadomości o chorobie generała Zajączka: "Cztery karty

listu odebrałem od Krasińskiego, ale niech mnie diabli wezmą, jeżeli więcej nad dwa peryody zrozumiałem. Pachniał jeszcze papier szampanem. Namiestnik podobno chory, pewno się Opinogórczykowi będzie po łbie roilo, wszakże on myślał w Fontainebleau, że go królem obiorą, więc i tu mógłby znowu marzyć..." Adresat listu - pozostający w stałym kontakcie służbowym z Zajączkiem - wiedział równie dobrze jak Morawski o apetytach Krasińskiego na namiestnictwo. Dał temu wyraz w swoich Pamiętnikach, nadmieniając ogólnikowo, że "Rząd i sam W. Książę kołysali w nim (tzn. w Krasińskim - M.B.) nadzieję przyszłego namiestnictwa, co jego żądze słynności lechtalo". - W innym miejscu Pamiętników - opisując ostatnie dwa lata Zajączka - Koźmian raz jeszcze tę informację potwierdził w sposób bardziej konkretny. Epizod, opowiedziany przez pana radcę stanu, jest sam w sobie tak interesujący, że warto go przytoczyć w całości. "Razu jednego (Namiestnik) wyjechał do Opatówka*, (* Posiadłość ziemską generała Zajączka.) parę niedziel tam bawił. W nieobecności jego okradziono jego pokój, wzięto jego drogie tabakierki, które miał darem od monarchów, i porozrzucano papiery... Publiczność, wszyscy otaczający Namiestnika, podobno i on sam, przekonani byli, iż to była sprawka policyi sekretnej [...] Zajączek dotknięty do żywego, umyślił prosić Cesarza o dymisyę. Zostałem go rano zasmuconego i rozżalonego; gdy zapytałem, czyli nie chory, rzekł do mnie: Wyrzyj, czyli kto pod drzwiami nie podsłuchuje, czy kamerdynera nie ma. Gdy odpowiedziałem, że nie ma nikogo, rzekł: Ja tego łajdaka za to płacę, żeby mnie szpiegował; kiedy już mnie nie ufają, kiedy ja im nie dogadzam, niechże sobie wybiorą innego, już raz trzeba te męki skończyć, podam się do dymisyi. Mości Książę, odpowiedziałem, czy to jest chwila porzucać to miejsce dla osobistej obrazy, czyż nie lepiej uchwycić chwilę obrazy instytucji krajowych? ta nieufność nawet ku Waszej Książęcej Mości jest jego usprawiedliwieniem przed potomnością... Zamyślił się i odpowiedział: Ale to wszystko, co ja cierpię już nie jest do zniesienia. Potem przeproszony od W. Księcia pozostał..." - Z dalszej relacji Koźmiana można wywnioskować, że generał Krasiński był nader czujnym i zainteresowanym obserwatorem podobnych kryzysów w pałacu namiestnikowskim. "Będąc u generała Krasińskiego - wspomina pamiętnikarz - zostałem zagadnięty:

Cóż to, Namiestnik podał się do dymisyu? Zdziwiło mnie to. Udajesz, odrzekł generał, a jeżeli nie wiesz, to ja ci powiadam, że tak jest. I w istocie tak poniekąd było, i już zrobiono temu generałowi propozycję i nadzieję następstwa, którą przejrzałem. Gdym wychodził, generał tylko dodał: Był wczoraj u mnie Kuruta i Mornheim* (* Generał Kuruta - szef sztabu wielkiego księcia, baron Mohrenheim - szef gabinetu wielkiego księcia.) i zapewnili mnie będziecie więc mieli innego Namiestnika. - Może ciebie, jenerale, alebym ci nie wieszował. Uśmiech jego potwierdził we mnie to mniemanie..." Namiestnik Józef z Wrzący książę Zajączek zakończył życie 30 lipca 1826 roku, mając lat siedemdziesiąt cztery. Stolica żegnała go dowcipami i niesmacznym paszkwilem Niemcewicza, odczytywanym przez samego autora po zaprzyjaźnionych salonach. Stało się tak, jak prorokowano namiestnikowi od początku, że "na tym stanowisku albo urząd, albo cześć stracić trzeba". Generał Morawski z przyrodzonym sobie darem poetyckiego obrazowania, w liście do Kajetana Koźmiana gromił "okropnego Zajączka, który jak Samson porwał Polskę i tak nią trząsł, aż wszystko się rozleciało i... jak Samson upadł sam

pod zwaliskami". Atmosferę towarzyszącą odejściu namiestnika najlepiej charakteryzowało zachowanie się jego przyjaciół. Radca Koźmian, który sam się do nich zaliczał, opowiada o tym z zadziwiającą szczerością. "Podczas przygotowań do pogrzebu generał Kossecki przyszedł do mnie z wezwaniem i prośbą od samej księżny, abym przemówił na pogrzebie jej męża. Znalazłem się w trudnym położeniu z przyczyny głośno wybuchłej przeciw niemu i nienawistnej mu opinii powszechnej. Odpowiedziałem Kosseckiemu, iż na pogrzebie powinienby mówić minister lub senator (ja jeszcze nim nie byłem), a i to wojskowy; a jeżeliby tylko przyjaciel miał mówić, ty jesteś bliższy do tego i wszelkie względy i obowiązki są za tobą. A przy tym mówmy otwarcie: jeżeli księżna żąda tej ofiary ode mnie, abym się narażał opinii, powiem i nie zaprę się przyjaźni. Ale ani ja, ani ty, ani kto bądź nie zdołamy tak powiedzieć wobec W. Księcia i uprzedzonego gminu, żebyśmy okrażając drażliwe okoliczności, nie ściągnęli na siebie z jednej strony nieukontentowania, z drugiej nienawiści i potępienia: bo kto wie, czy publiczność nie przyjęłaby nas z sykaniem lub świstaniem? A tak, chcąc mu oddać ostatnią posługę, czy nie narazilibyśmy zwłok i pamięci jego na ubliżenie? Kossecki uznał te moje uwagi za słuszne i wrócił do Namiestnikowej... Tymczasem wieść o zgonie Namiestnika dobiegła do Końskich, do wiadomości jego szczerego i stałego przyjaciela Stanisława Małachowskiego, generała i kasztelana, który zwykle czy w Opatówku, czy w Warszawie wieczory z nim dzielił. Ten natychmiast w pierwszym żalu napisał sobie mowę a raczej apologią Namiestnika, i z nią przybiegł do Warszawy... Wysłuchawszy arkuszonej gorącej mowy i przewidując, na co siebie i zmarłego Namiestnika wystawia, powtórzyłem mu moje uwagi i obawy, dla których się wymówiłem. - Ja na to wszystko nie uważam - odrzekł - śmielszy jestem niż ty i ujrysz swoje obawy próżnemi - i wybiegł do Ogrodu Saskiego na przechadzkę. Zastał ogród napełniony prawie całą Warszawą; na wszystkich ulicach rozmawiano tylko o wypadku śmierci Namiestnika. Zbliżył się więc do jednej grupy złożonej z kilkunastu osób... gdzie rozmawiano o przyszłym obrzędzie i przygotowaniach do niego cywilnych i wojskowych. I właśnie gdy Małachowski miał chęć oświadczyć swoją gotowość do mówienia, jeden z tej grupy odezwał się: - Ciekawy jestem czy się znajdzie jaki z gałganów senatorów kasztelanów, aby śmiał mówić na jego pogrzebie (słowa te prawie wyjął z satyry Niemcewicza). Na to Małachowski zbladł, odskoczył od zgromadzenia i szybkim krokiem przybiegłszy do mnie zadyszany, rzucił laskę i kapelusz na stół i wyrzekł: - Niech cię лихо porwie, jaki ty masz takt. - Opowiedziawszy swoje wydarzenie, schował mowę i prosił o sekret". Tak więc książę-namiestnik musiał odejść ze swego Królestwa bez mowy pogrzebowej. Na szczęście dochowało się do naszych dni pewne świadectwo, mówiące o zmarłym więcej, niż zdołaliby powiedzieć w uroczystych oracjach jego ostrożni przyjaciele. Raport agenta tajnej policji, osławionego Henryka Mackrotta, który miał swoich konfidentów wszędzie, a więc także w pałacu Namiestnikowskim. Pod datą 31 lipca 1826 roku Mackrott donosił wielkiemu księciu: "Opowiadają, że nieboszczyk książę Zajączek dowiedziawszy się, że już nie wyzdrowieje, kazał się zanieść na taras od strony Wisły i zwróciwszy oczy ku przedmieściu Pragi*, (* Generał Zajączek dowodził obroną Pragi w czasie insurekcji kościuszkowskiej.) płakał tak bardzo, że lękano się konwulsji. Potem powiedział: Teraz ulżyło mi trochę na sercu, bom

opłakał to, co mi tak bardzo ciążyło". "Runęła ozdoba i zaszczyt Polski" - pisano o generale Zajączku w "Gazecie Warszawskiej" w dniu jego pogrzebu. Agent policyjny, któremu Mackrott zlecił obserwację uroczystości żałobnych, stwierdzał w raporcie, iż oficerowie pełniący wartę przy trumnie namiestnika, wystawionej na widok publiczny w kościele Świętego Krzyża, "nie zachowywali powagi, rozmawiali i śmieli się beczelnie". Pomimo okropnego upału pogrzeb odbywał się z całą pompą należną szefowi rządu. Z dwóch stron karawanu jechali na koniach: wielki książę Konstanty i generał Wincenty Krasieński. Dowódca "Gwardii Królewsko-Polskiej" już od dawna z urzędu uświetniał swoją obecnością wszystkie ważniejsze ceremonie pogrzebowe. Stolica bardzo sobie ceniła tę dodatkową atrakcję. Ludzie cisnęli się, aby z bliska podziwiać mocno już korpulentną, lecz świetnie jeszcze prezentującą się na koniu figurę popularnego generała, niezliczone ordery na jego piersiach i bliznę bielejącą na nosie, z lekka szczerwieniałym od nadużywania trunków. Dla tych wszystkich gapiów - podobnie jak dla swojego syna - Wincenty Krasieński był jeszcze ciągle bohaterem legendy niepodległościowej, postacią ze słynnych obrazów historycznych. Inni bohaterowie z tych obrazów już nie istnieli. Wyginęli, pomarli, wywędrowali do obcych krajów, zagubili się w szarej masie cywilów. On pozostał i od czasu do czasu pozwalał się podziwiać na rewiach i pogrzebach w pełnym blasku kawalerskiej świetności - żywy pomnik szwoleżerskiej chwały, zwycięzca spod Somosierry i Wagramu. Pomimo niezbyt przyjemnych rzeczy, jakie słyszało się od czasu do czasu o generale Krasieńskim, ulica warszawska nadal obdarzała go sympatią i zaufaniem. Ale biada mu, kiedy w krytycznym momencie to zaufanie zawiedzie. W miesiąc po pogrzebie namiestnika zaliczono czterastoletniego (Napoleona) Zygmunta Krasieńskiego w poczet uczniów najwyższej klasy liceum Lindego. Spotkał się tam ze swoim rówieśnikiem - (Napoleonem) Leonem Łubieńskim* (* Młody Łubieński - podobnie jak młody Krasieński - otrzymał przy chrzcie imię wielkiego cesarza, a po jego upadku został tego imienia pozbawiony przez przezornych rodziców.) - synem generała w stanie spoczynku, Tomasza Łubieńskiego, dawnego szefa I szwadronu Pułku Lekkonnego Polskiego Gwardii Napoleona. Rozdział VIII Na przedwiośniu 1816 roku - w okresie najgroźniejszych harców cesarzewicza na placu Saskim, krótko przed samobójstwem kapitana Wilczka i pierwszym konfliktem Wincentego Krasieńskiego z patriotyczną opinią publiczną - trzydziestodwuletni generał Tomasz Łubieński, mianowany niedawno przez Konstantego dowódcą Pierwszej Brygady Strzelców Konnych w dywizji księcia Sułkowskiego, wniósł prośbę o zwolnienie z wojska z powodu złego stanu zdrowia. W liście z 6 marca tłumaczył się z tego kroku przed ojcem i seniorem rodu Feliksem hrabią Łubieńskim, dawnym ministrem Księstwa Warszawskiego. "Drogi Ojcze! Przez pewien czas nie pisałem dla przyczyn dobrze wiadomych o nieodwołalnej decyzji, jaką powziąłem, podania się do dymisji [...]. Słaby ciągle od kampanii 1812 roku, zamknięty od trzech miesięcy w pokoju, nie wiem i przewidzieć nie mogę, kiedy powrócę do zdrowia. Pozostając w tych warunkach w służbie, wstyd mi jest pobierać pensję bez wypełniania moich obowiązków, Nie chcąc zabierać miejsca tym, którzy mogliby go potrzebować, a mając Bogu dzięki z czego żyć, wolę się usunąć. Jedynej rzeczy, której się obawiałem, jest to, żeby Wielki Książę nie był z tego niekontent, nie szukał jakiegoś innego powodu w tem postanowieniu i żebym nie stracił owoców

dobrej reputacji, na którą zdaje mi się, że sobie zasłużyłem. Słyszę jednak, że oddaje mi sprawiedliwość i że nie jest na mnie zagniewany. Wkrótce zatem spodziewam się ostatecznie dymisy". W zestawieniu z ówczesną sytuacją w wojsku i ponurymi nastrojami, szerzącymi się zwłaszcza wśród byłych napoleończyków, ostatecznie zdania Łubieńskiego brzmią dość nieprzyjemnie, a wyłuszczone w liście powody nie wydają się ani kompletne, ani całkowicie szczerze. Mam jednak wrażenie, że niektóre sformułowania listu przeznaczone były głównie dla kontrolujących pocztę szpiegów Konstantego. Widocznie generał nie był jeszcze pewny skutku swych starań o dymisję i bał się zaszkodzić sprawie zbytnią wylewnością. Potwierdza te przypuszczenia jeden z następnych listów do ojca, pisany w kilka miesięcy później. Mając już dymisję w kieszeni, pan Tomasz wypowiadał się znacznie szczerzej i śmieiej na temat przyczyn zerwania z zawodem, który uprawiał z zamiłowaniem od lat dziesięciu i w którym widział swoje powołanie. "Opuściłem służbę, nie chcąc zawsze wisieć w powietrzu, zależny od tysiąca rzeczy, widząc, że chcąc dojść do czegoś, trzeba być więcej karierowiczem, aniżeli nim być potrafię. A wobec tego, że miejsce, do którego chciałbym kiedyś dojść, obsadzone jest starającymi się, gotowymi do wszystkiego, byle go osiąść... więc bez nadziei dojścia do tego, czego się pragnie, byłoby rzeczą nierozsądną służyć; opuściłem więc służbę wojskową nie bez wielkiego żalu, ale nieodwołanie... Oddam się rzeczy najrozumniejszej, pracy na roli dla szczęścia moich chłopców, i stworzę sobie obowiązki i zajęcia, które nie mają zewnętrznego

blasku, ale dają dużo więcej spokoju i szczęścia". Oba przytoczone fragmenty pochodzą ze zbioru korespondencji generała Łubieńskiego, opracowanej i opublikowanej przed siedemdziesięciu laty przez jego stryjecznego wnuka (po bracie Henryku) - Rogera hrabiego Łubieńskiego*. (* Roger hr. Łubieński, General Tomasz Pomian-Łubieński.) Warszawa 1899. Były szef pierwszego szwadronu szwoleżerów gwardii miał w tym wypadku więcej szczęścia od swego dawnego pułkownika, bez żadnych starań ze swej strony zyskał sobie w kręgu rodzinnym takiego właśnie idealnego biografę, o jakim próżny Opinogórczyk marzył nadaremnie przez całe życie. Ale panu Tomaszowi tego rodzaju biograf także był bardzo potrzebny. Szwoleżerowie z rodu hrabiów Pomian-Łubieńskich (poza generałem Tomaszem, weteranami słynnej formacji byli jeszcze dwaj z jego sześciu braci: Franciszek i Tadeusz) nie pozostawili po sobie w krajobrazie polskim tak widocznych i efektownych śladów, jak Krasiński w Opinogórze. Tradycja nie wiąże już dzisiaj z nazwiskiem Łubieńskich żadnych określonych miejsc ani zabytków. Warszawski pałac tej rodziny - rozparty niegdyś szeroko w narożniku Królewskiej i Marszałkowskiej - częściowo spłonął, a potem uległ całkowitej rozbiórce jeszcze w ubiegłym stuleciu. Porozrzucane po całym kraju dobra ziemskie - w następstwie działań spadkowych, ślubnych intercyz i rozmaitych katastrof gospodarczych - dosyć wcześnie poczęły się wymykać z rąk właścicieli. Większość dokumentów i pamiątek rodzinnych, dochoowanych do roku 1939, przepadła w zamęcie ostatniej wojny. W tej sytuacji badacz przeszłości Łubieńskich nie może liczyć, jak w wypadku Krasińskich, na stare pałacowe parki, wypełnione atmosferą romantycznych wspomnień; na stylowe wnętrza, w których wyczuwa się jeszcze puls życia sprzed półtora wieku; na pieczołowite zestawy portretów, mebli i innych przedmiotów,

wśród których żyli, na które patrzyli, których dotyczyli ludzie z epoki Królestwa Kongresowego. Ale korespondencja generała Łubieńskiego - ocalona od burz dziejowych przez wnuka biografą - jakoś te braki wynagradza. Pan Tomasz odznaczał się chwalebny upodobaniem do pisania listów. Ilekroć mu się zdarzało, a zdarzało się często, że bywał oddalony od ojca czy małżonki, miał zwyczaj sumiennego relacjonowania im każdego przeżytego dnia, co wcale nie wykluczało równoległej korespondencji z innymi krewnymi i osobami postronnymi. Po bezpotomnej śmierci w 1896 roku córki generała - Adelajdy (syn Napoleon Leon zmarł również bezpotomnie jeszcze za życia ojca) stryjeczny wnuk Roger odziedziczył ogromne archiwum, zawierające kilkanaście tysięcy listów, pisanych częściowo po francusku, częściowo po polsku. Rodzinny biograf musiał dokonać w nich gruntownej selekcji. Ponieważ nie był zawodowym historykiem, a osoby występujące w listach były mu osobiście bliskie, kryteria selekcji nie zawsze odpowiadały wymogom naukowego obiektywizmu. Ale zasług wydawniczych Rogera Łubieńskiego nie należy umniejszać. Ujawniona przez niego korespondencja i tak stanowi jedno z najpoważniejszych źródeł epistolarnych z tamtego czasu. Wprowadza nie tylko w sprawy rodzinne Łubieńskich, lecz także we wszystkie ważniejsze wydarzenia epoki. Zanim jednak pójdziemy dalej tropem tych listów, chciałbym jeszcze zaprezentować drugą (chronologicznie wcześniejszą) publikację rodzinną Łubieńskich. Leży przede mną stara dostojna księga, którą wypożyczył mi uprzejmie z resztek swoich zbiorów rodzinnych pan Konstanty Łubieński, potomek w prostej linii kapitana szwoleżerów* (* We francuskiej nomenklaturze wojskowej nie było stopnia rotmistrza.) Franciszka krabiego Łubieńskiego. Zniszczony tom o złożonych brzegach liczy sobie sto dwadzieścia lat. Ciemna misternie wytłaczana skóra jego oprawy zdążyła już wytrzeć się i zrudzić od dotknięć kilku pokoleń Łubieńskich, którzy wertowali ten rodzinny almanach, aby oglądać w nim podobizny i daty biograficzne odległych przodków, bądź wypełniali jego puste karty nowymi twarzami i nowymi informacjami o narodzinach i zgonach. Długi zapis tytułowy wyjaśnia, że jest to: Pamiętnik rodziny Łubieńskich ofiarowany rodzeństwu przez Różę z Łubieńskich Sobańską. Miejsce i czas wydania - Warszawa rok 1851. Dar najmłodszej siostry generała Tomasza - poza użytkową funkcją kalendarza rodzinnego - miał z pewnością na względzie także cele donioślejsze. Pani Róża Sobańska wydała tę książkę w momencie dla rodziny bardzo ciężkim. Po okresie wielkiej pomyślności na Łubieńskich poczęły się walić rozmaite klęski. W roku 1843 (a więc w czasie wykraczającym już poza granice tej opowieści) najzdolniejszemu i najbogatszemu z braci generała - Henrykowi - wytoczono kompromitujący proces o wykorzystywanie prerogatyw wiceprezesa Banku Polskiego dla finansowania przedsiębiorstw rodzinnych. Zapoczątkowało to ruinę materialną całej rodziny. Na domiar nieszczęść w czasie procesu zmarł sędziwy eks-minister Feliks Łubieński, który swoim autorytetem wiązał rozrastający się stale klan Łubieńskich w jedną spoistą całość. Pan minister, umierając, zaklinał liczne potomstwo (miał już około trzydziestu wnuków), aby tę spójnię rodzinną zachowywali nadal. Jestem przekonany, że wydawnictwo pani Sobańskiej było natchnione ostatnią wolą ojca i zmierzało ku jej realizacji. Utwierdza w tym mniemaniu załączony do Pamiętnika wzruszający dokument - faksymile przedśmiertnego błogosławieństwa Feliksa Łubieńskiego dla potomków, napisanego

przez niego własnoręcznie w ostatnich chwilach życia. Z rozbieganych w różne strony, nierównych liter widać, jak ogromnym wysiłkiem musiał umierający przezwyciężać bezwład drętwiejących już rąk, aby przekazać najbliższym myśl, która dręczyła go do końca: "Zaklinam ich (synów i córki - M.B.), żeby zachowali ściśle między sobą przywiązanie, starajcie się, aby zawsze utrzymywać i w dzieciach utwierdzać, Boże, słabnę. Błogosław im, a niech będą Tobie wiernymi. Przywiązany Ojciec, Dziad i Pradziad Felix Pomian-Łubieński". Najwartościowszym dokumentem Pamiętnika rodziny Łubieńskich są dzisiaj jego ilustracje. Znajdują się tam wizerunki osób najczęściej występujących w korespondencji generała Tomasza, co znakomicie uzupełnia i ożywia tę epistolarną autobiografię. Ale nie tylko to. Przy przeglądaniu Pamiętnika od razu rzuca się w oczy charakterystyczna różnica między arystokratami Pomian-Łubieńskimi a arystokratą Wincentym Korwin-Krasińskim. Portretów rodziny Feliksa Łubieńskiego nie poprzedza potężne drzewo genealogiczne (podobne do tego, jakie prof. Tadeusz Pini podziwiał niegdyś w Opinogórze), wyprowadzające pochodzenie rodu od starożytnych bądź przynajmniej średniowiecznych protoplastów. A przecież Łubieńscy mogli byli sobie na to pozwolić równie dobrze jak Opinogórczyk. Ród ich, tak samo jak ród Krasińskich, sięgał początków XV wieku, miał wśród swoich antenatów dwóch prymasów Polski, paru biskupów, wojewodów i sekretarzy królewskich; był skoligacony blisko i po wiele razy z najpotężniejszymi rodami magnackimi kraju. Ale o tym wszystkim nie wspomina się w Pamiętniku ani słowem. Zarówno w części ilustracyjnej, jak tekstowej almanach rodzinny ogranicza swój zakres wyłącznie do potomstwa Feliksa Łubieńskiego. Można w tym widzieć przejaw swoistego demokratyzmu, cechującego sposób bycia Łubieńskich, ale także - charakterystyczną dla dziewiętnastowiecznych "selfmademenów" - dumę, że sami stali się twórcami swojej potęgi i świetności. Otwierający galerię portretów rodzinnych Feliks Walezjusz hrabia Pomian-Łubieński - odziany w suto szamerowany frak ministra Księstwa Warszawskiego - śmiało mógł powiedzieć o sobie, że rozpoczął nową erę w historii swego rodu - starego, bo starego, dostojnego, bo dostojnego - lecz jak na arystokrację raczej ubogiego i przez swe uparte ciążenie do kościelnej kruchty mało znaczącego w życiu publicznym. Budowniczy fundamentów krótkotrwałej potęgi materialnej Łubieńskich odznaczał się właściwościami, jakich przedtem w jego rodzie nie bywało: miał znakomitą umiejętność pomnażania majątku oraz żywo interesował się polityką i różnymi innymi dziedzinami życia publicznego; poza tym - co już wpływu na dalsze losy rodziny nie miało - znał się na muzyce: zorganizowana przez niego kapela dworska w Guzowie stała się w krótkim czasie sławna na całą Polskę. Wszystko przemawia za tym, że Feliks Walezjusz odziedziczył te, nietypowe dla Łubieńskich, cechy po matce - Szembekównie z domu. Dzielna ta dama z dwóch późniejszych małżeństw miała jeszcze dwóch synów, równie wybitnych jak pierworodny. Jednym z braci przyrodnych Feliksa Łubieńskiego był wojewoda kijowski Prot Antoni Potocki - pierwszy na wielką skalę kupiec i przemysłowiec polski, który zanim padł ofiarą głośnego na całą Europę bankructwa, z niebywałym rozmachem zabierał się do ożywienia handlu czarnomorskiego i ponownego wprowadzenia na Morze Czarne polskiej pszenicy. Utrzymywał w tym celu składy i kantory handlowe w Brodach, Równem, Berdyczowie, Kijowie i Chersoniu; uruchomił własną flotę, złożoną z

osiemdziesięciu statków transportowych; ciągłymi inwestycjami przyczynił się do rozbudowy małej rybackiej Odessy w wielki port o znaczeniu międzynarodowym. Drugi brat przyrodni również upamiętnił się w historii kraju, choć uprawiał działalność spokojniejszą i mniej ryzykowną. Był nim Michał Kleofas książę Ogiński, sławny kompozytor polonezów fortepianowych, dyplomata znany i ceniony prawie na wszystkich dworach europejskich. Feliks Walezjusz Łubieński pozostawił po sobie opinię człowieka gruntownie i wielostronnie wykształconego, znakomitego prawnika, zręcznego, choć często nie przebiegającego w środkach polityka i świetnego gospodarza. Poza szczęściem do interesów miał także szczęście do monarchów. W roku 1799 uzyskał od króla Prus dziedziczny tytuł hrabiowski; w siedem lat później tak sobie zjednał cesarza Napoleona i powołanego na tron napoleońskiej Polski króla saskiego Fryderyka Augusta, że dzięki ich życzliwości - często i skutecznie wspierającej jego wrodzone zdolności - stał się najpotężniejszym ministrem w rządzie Księstwa Warszawskiego. Pomimo tradycyjnego w rodzinie przywiązania do Kościoła był mężem stanu nowoczesnym, sprzyjającym wszelkim postępowym reformom prawnym i administracyjnym; jedynie w dziedzinie społecznej twardo i konsekwentnie bronił feudalnych przywilejów swojej klasy. Najwymowniejszym tego świadectwem były przeforsowane, głównie dzięki niemu, dekryty rządowe ograniczające konstytucyjne prawa chłopów i Żydów. Znaczący przedmiot utrzymują, że w niektórych swoich inicjatywach ustawodawczych pan minister kierował się nie tyle nawet interesem klasowym, co po prostu rodzinnym. Tak na przykład odebranie Żydom prawa do mieszkania w ówczesnym śródmieściu Warszawy miało podobno na celu zmuszenie ich do osiedlania się w należącej do Łubieńskich, a słabo zaludnionej, jurydyce Bielino. Wśród różnorodnych zasług ministra Łubieńskiego dla kraju podkreśla się najczęściej: stworzenie przez niego Szkoły Nauki Prawa, założenie Drukarni Rządowej i Archiwum Głównego, a także fakt, że jako pierwszy sprowadził do Polski ziemniaki i uprawiał je w swoich Szczytnikach. Dzięki różnym pomyślnym transakcjom handlowym, zawieranych głównie ze swymi bogatymi ojczymi i braćmi przyrodnymi, Feliks Łubieński doszedł do znacznego majątku, którego głównym ośrodkiem stał się rozległy i znakomicie zagospodarowany zespół dóbr Guzów w województwie warszawskim. Ale najszcześniejszym chyba posunięciem życiowym przyszłego ojca szwoleżerów był jego drugi związek małżeński. Po rozwiązaniu narzuconego mu przez rodzinę nieudanego i bezdzietnego pierwszego małżeństwa z kuzynką Teodorą Rogalińską, wojewodzianką inflancką - Feliks Walezjusz pojął za żonę Teklę Bielińską z dygnitarskiego rodu Junosza-Bielińskich, po matce wnuczkę książąt Sanguszków. Była to ponoć pani wielkiego charakteru i umysłu: poetka, dramatopisarka, tłumaczka z francuskiego, angielskiego i włoskiego. Jeden z jej dramatów pt. Wanda i Rytyger, wystawiony parokrotnie w epoce Księstwa, zyskał sobie uznanie nie tylko krytyki, lecz także kapryśnej publiczności warszawskiej. Poza wartościami intelektualnymi pani Tekla - córka, wnuczka i prawnuczka nadwornych dostojników dawnej Rzeczypospolitej - wniosła mężowi w posagu niemało dóbr materialnych, a wśród nich: wspomniany już pałac przy rogu Królewskiej i Marszałkowskiej oraz spory szmat dzisiejszego śródmieścia Warszawy (od Królewskiej do Świętokrzyskiej), określanej wtedy nazwą "jurydyki Bielino".

Była też pani Łubieńska jak najlepszą matką. To, że urodziła mężowi dziesięcioro dzieci (siedmiu synów i trzy córki), nie uchodziło jeszcze w owej epoce za tytuł do szczególnej chwały. Ale że zdołała te swoje dziesięć pociech odchowić w zdrowiu, pomimo ciągłych epidemii, szerzących spustoszenie zwłaszcza wśród młodych - to już wzbudzało podziw i szacunek powszechny. Tym bardziej że wydawała dzieci na świat w warunkach iście polskich: w latach nie ustających wojen, zaborów i zaburzeń powstańczych; w przydrożnych karczmach podczas ucieczek przed wojskami nieprzyjacielskimi albo na przymusowej emigracji w cudzoziemskich miastach, w otoczeniu obcych, obojętnych ludzi. Trzej najmłodszy synowie: Henryk, Tadeusz i Józef, dostali na pociechę imiona po sławnych wodzach polskich, ale matce te przejścia na zdrowie nie wyszły. Ku rozpaczy bliskich i szczeremu żalowi całego towarzystwa pani ministrowa zmarła już w roku 1810 przeżywszy zaledwie czterdzieści osiem lat. Jej nagły zgon nastąpił w momencie szczytowego tryumfu pana ministra - na uroczystym festynie, urządzonym z racji wprowadzenia do Księstwa kodeksu Napoleona. W Pamiętniku rodziny Łubieńskich portret pani Tekli, oddzielony od portretu męża tylko cienką bibułą, przedstawia młodą jeszcze kobietę w stroju z epoki stanisławowskiej. Do matki przytula się mały puciołowaty chłopiec w zabawnym fraczku z koronkowymi mankietami. To syn pierworodny Franciszek, późniejszy kapitan pułku szwoleżerów i najbliższy druh sławnego pułkownika Kozietulskiego. Dwie pierwsze litografie Pamiętnika rodziny Łubieńskich wyraźnie różnią się od pozostałych. Widać od razu, że są to robione w Warszawie reprodukcje starych portretów rodzinnych. Do tej roboty nie przyłożył jeszcze ręki specjalizujący się w portretowaniu swoich klientów z natury, ultranowoczesny berliński "Instytut litograficzny L. Sachse i S-ka", który na zamówienie pani Sobańskiej podjął się zilustrowania Pamiętnika. Osoby figurujące na dwóch pierwszych litografiach nie mogły pozować przedstawicielom berlińskiej firmy z tej prostej przyczyny, że nie żyły już w czasie przygotowania rodzinnego almanachu. Eks-szwoleżer Franciszek Łubieński był jedynym z rodzeństwa, który nie doczekał późnej starości. Umarł tak samo nagle jak matka, w czterdziestym drugim roku życia, w pięć lat po swoim przyjacielu Kozietulskim, podobno od udaru słonecznego. Dziewięć następnych portretów Pamiętnika, pięknie wykonanych przez berlińskich litografów, oddziela od dwóch pierwszych cała epoka. W tych utrzymanych w jednolitej tonacji wizerunkach nie ma już wdzięku czasów stanisławowskich, jaki wyczuwało się jeszcze w portrecie pani Tekli i małego Franciszka - ani empirowego blichtru, uświetniającego portret ministra Księstwa Warszawskiego. Z litografii firmy L. Sachse i S-ka spoglądają bystro i trochę podejrzliwie zażywni panowie w ciemnych surdutach (poza jednym - odzianym w strój biskupi) oraz bujne panie w dziewiętnastowiecznych mantylkach i czepkach z falbankami. Rodzeństwo Łubieńskich bardzo jest do siebie podobne. Mocno zbudowani, grubokościści, o wydatnych nosach i ciężkich podbródkach - robią wszyscy wrażenie ludzi silnych, rozumnych i energicznych, zaradnych i pracowitych. Chciałoby się rzec, że bije od nich mieszczańska solidność. Gdyby nie odręczne autografy na wizerunkach, poświadczające niejako identyczność sportretowanych - łatwiej by ich można było wziąć za dziewiętnastowiecznych protoplastów bogatych rodzin burżuazyjnych niż za potomków senatorskiego rodu, wywodzącego się z XV stulecia. Tak mało jest w nich dekadencego

przerafinowania, tak wiele świeżej, zdobywczej energii. W interesującym nas okresie Łubieńscy byli oczywiście młodsi niż na berlińskich litografiach i musieli wyglądać nieco inaczej. Ale z pewnością już wtedy można było w nich odnaleźć wszystkie ich charakterystyczne cechy, które z wiekiem stały się tylko wyraźniejsze. Już wtedy byli pokoleniem przełomowym. Pozwalam sobie użyć tego określenia, gdyż w moich poprzednich lekturach i poszukiwaniach archiwalnych nie zetknąłem się jeszcze nigdy z materiałami biograficznymi, w których tak ostro i bezpośrednio, jak w życiorysach rodzeństwa Łubieńskich, odbijałby się przełom dwóch epok historycznych. W czasach napoleońskich prawie wszyscy bracia Łubieńscy służyli w wojsku*. (* Dla orientacji podaję daty urodzenia 7 braci Łubieńskich: Franciszek - 5.I.1784, Tomasz - 29.XII.1784, Piotr - 31.I.1786, Jan - 27.XII.1786, Henryk - 11.VII.1793, Tadeusz - 19.X.1794, Józef - 16.X.1796.) Franciszek, Tomasz i Tadeusz - w szwoleżerach Gwardii Cesarsko-Polskiej; Piotr, podobnie jak dwaj najstarsi bracia, kompan Wincentego Krasieńskiego z Towarzystwa Przyjaciół Ojczyzny - w warszawskiej Gwardii Narodowej; Jan - wybrany w roku 1812 generałem "ruchawkowym" - dowodził pospolitym ruszeniem województwa mazowieckiego; Józef, najmłodszy, nie zdążył już na plac boju, ale wdrażał się w arkana wojny w warszawskiej Szkole Artylerii. Wszyscy byli dobrymi żołnierzami; ci, którym nadarzyły się odpowiednie okazje, zebrali sporo zaszczytnych odznaczeń i dosłużyli się wysokich stopni oficerskich. Franciszek i Tomasz wyróżnili się w sławnych bataliach pod Somosierrą i Wagram. Tomasz miał ponadto niebagatelne sukcesy w starciach z kawalerią angielską w Hiszpanii, a w roku 1812 na rozkaz Napoleona, jako pierwszy forsował wpraw Berezynę. Piotr w roku 1809 był komendantem wojennym Warszawy, a w trzy lata później organizował obronę Modlina. Z siedmiu braci Łubieńskich nie służył w wojsku tylko Henryk. Ale miał z wojną do czynienia niewiele mniej od braci żołnierzy, gdyż jako sekretarz ojca ministra często był przez niego wysyłany z różnymi poufnymi misjami do sprzymierzonych stolic, co w praktyce okazywało się nieraz trudniejsze i niebezpieczniejsze niż udział w regularnych wyprawach wojskowych. "W roku 1809 wypadło ważne papiery przewieźć z Warszawy do Drezna - wspomina w swoim nie publikowanym pamiętniczku starsza siostra Henryka, pani Paula z Łubieńskich Morawska. - Każdy lękał się przedzierać przez snujące się wszędzie wojska. Minister Łubieński w kłopotcie wyprawił przeto czternastoletniego syna, który przemykając się na przemian to wozem, to pieszo, to pod chłopską siermięgą, dotarł do stolicy Saksonii i wręczył Królowi pilnie strzeżone papiery. (Według metryki Henryk miał już wtedy lat szesnaście, ale to wcale jego wyczynu nie umniejsza - M.B.). Fryderyk August, rozczulony dzielnością młodzieńca, do serca go przytulił w uniesieniu, wdzięczności i podziwie". - W roku 1810 Henryk Łubieński, obciążony nowym komisem, powędrował do Francji. W listach szwoleżerskich zachowały się wzmianki o hucznym pikniku, jaki urządził wtedy w miejscowości Morfontaine dla zaprzyjaźnionych oficerów z Gwardii Polsko-Cesarskiej. W trzy lata później syn sekretarza towarzyszył ministrowi w podróży służbowej do Drezna, gdzie stał się bezpośrednim świadkiem wielkiej bitwy, rozgrywającej się na przedpolu miasta. "Wielki admirator Cesarza Napoleona - pisze o Henryku jego syn i biograf Tomasz Wentworth Łubieński - starał się dotrzeć jak najbliżej do jego osoby, gdy tenże w

czasie bitwy pod Dreznem stał konno na moście i stamtąd ruchami wojsk kierował, a gdy na most zajęty wojskami dostać się nie mógł, doszedł aż do Cesarza, czepiając się zewnętrznie baryer mostowych". W roku 1814 Henryk Łubieński znowu znalazł się we Francji i tam doczekał końca cesarstwa napoleońskiego. Z tego okresu również zanotowano w źródłach rodzinnych wiele jego niezwykłych wyczynów. "Potrafił dostać się na tajne posiedzenie Senatu, na którym zdecydowaną została detronizacja Napoleona" - świadczy Tomasz Wentworth Łubieński. A pani Paula Morawska dodaje do tego epizod ze smutnych dni po abdykacji cesarza. "W czasie pożegnania Napoleona z wojskiem w Fontainebleau wcisnął się tam niepostrzeżenie młody Henryk Łubieński. Gdy cesarz zażądał szklanki wody i wypił ją przed wyjazdem, młody Polak rzucił się naprzód i szklanekę tę od służby wykupił. Tę szklanekę z literą N przechowywano w rodzinie". Ze wspomnień Tomasza Wentwortha wynika, że nie był to jedyny zakup jego ojca, związany z osobą Napoleona: "Po wzięciu Paryża, będąc obecnym temu, jak zrzucano statuetkę Napoleona z kolumny Wandomskiej, kupił na razie tę statuetkę od ludu, który się nad nią chciał pastwić". Jeżeli nawet sentyment rodzinny upiększał nieco opisywane fakty, to i tak wszystkie te anegdoty znakomicie pasują do wizerunku pana Henryka - zamieszczonego w Pamiętniku rodziny Łubieńskich. Dystyngowani rysownicy i litografowie z berlińskiej firmy L. Sachse i S-ka nie zdołali stuszować bujności i barwności tej postaci. Nie udało im się nakłonić "admiratora Napoleona", aby przy pozowaniu do portretu zrezygnował z dwóch jaskrawych rekwizytów, zakłócających solidny i jednolity ton berlińskich litografii: z artystowskiego aksamitnego beretu i ogromnej gwiazdy orderowej przypiętej do surduta. Nie potrafili także przygasić jego zuchwałego spojrzenia, zdającego się wyzywać cały świat do walki. Bije z tej renesansowej postaci jakaś niezwykła brawura, weryfikująca z góry każdą, choćby najmniej prawdopodobną legendę rodzinną. Ale dziwna rzecz: to już nie jest brawura typu szwoleżerskiego. Trudno mi wyrazić, na czym ta różnica polega, może sugeruję się posiadaną już wiedzą o późniejszej karierze Henryka Łubieńskiego, ale tego brata trzech szwoleżerów (a dwóch somosierczyków) - człowieka wyjątkowo odważnego i lubiącego się w najbardziej ryzykownych posunięciach - trudno mi sobie wyobrazić jako uczestnika szarży szwoleżerskiej, natomiast widzę go doskonale w rozmaitych konkwistadorskich awanturach, tkwiących u podstaw wielkich fortun kapitalistycznych z początków XIX wieku, w przedsięwzięciach mniej lub bardziej podobnych do szczególnie głośnego w owym czasie "fortelu psychologicznego", dzięki któremu ugruntowali swoją potęgę finansową londyńscy Rothschildowie. Szef londyńskiego domu bankowego Nathaniel Rothschild - partycypujący w finansowaniu ostatniej kampanii koalicji antynapoleońskiej - w 1815 roku towarzyszył generałowi Wellingtonowi w bitwie pod Waterloo. Po upewnieniu się, że Napoleon jest już ostatecznie pobity, bankier popędził co tchu do Londynu, zajeżdżając do ostatniego potu rozstawione zawczasu konie pocztowe, byle tylko zdążyć na giełdę londyńską w momencie jej największego ożywienia. Pojawił się tam jak widmo nieszczęścia. Słaniając się na nogach, obdarty, pokryty kurzem, wydał maklerom polecenie sprzedawania papierów wartościowych państw koalicyjnych. Nie musiał nikomu wyjaśniać skąd przybywa. Nerwowi finansisci w lot wyciągnęli wnioski z jego wyglądu i zachowania: nikt nie

wątpił, że wojska koalicji zostały rozbite. Giełdę ogarnęła panika i walory zwycięskich państw poczęły spadać na łeb na szyję, a podstawieni agenci Rothschilda skupowali je za bezcen. Po nadejściu wiadomości o klęsce Napoleona Rothschild stał się najbogatszym człowiekiem w Anglii. Nie wiem, czy wychowany w zasadach szlacheckiego honoru brat somosierczyków zdolny byłby posunąć się tak daleko jak londyński bankier. Podejrzewam jednak, że miał już w sobie sporą dozę tej nowej wielkokapitalistycznej brawury, ocierającej się o awanturnictwo i nie mieszczącej się w dotychczasowych kategoriach etycznych i moralnych. Jeżeli pragnął osiągnąć jakiś cel - zmierzał do niego nie zważając na środki. Jako młodzieniec, nie mogąc się docisnąć do Napoleona, przeszedł "czepiając się zewnętrznie baryer mostowych". Jako pięćdziesięcioletni wiceprezes Banku Polskiego i faktyczny dyktator w dziedzinie polityki finansowo-kredytowej Królestwa, nie wahał się korzystać z podobnie ryzykownych metod. Kiedy "baryera mostu" załamała się - runął z wysokości na sam dół i pociągnął za sobą rodzinę, niweczając w jednej chwili jej potęgę materialną, wypracowaną rzetelnym wysiłkiem dwóch pokoleń. Po katastrofie finansowej Łubieńskich działalność pana Henryka była przez długi czas przedmiotem żartowanych kontrowersji, które właściwie do dzisiaj nie zostały ostatecznie rozstrzygnięte*. (* Czytelnikom, których interesują szczegóły katastrofy finansowej Łubieńskich, polecam monografię Tomasza Wentwortha Łubieńskiego: Henryk Łubieński i jego bracia. Kraków 1886 oraz pracę prof. Ryszarda Kołodziejczyka, Bohaterowie nieromantyczni. Warszawa 1961.) Jedni (przede wszystkim sędziowie, którzy wydali wyrok w procesie*) (* Henryk Łubieński skazany został na cztery lata więzienia. Z tego rok odsiedział w Zamościu, a trzy lata na zesłaniu w Rosji.) uważali, że arystokratyczny bankrut był zwykłym aferzystą, działającym na szkodę kraju i społeczeństwa - inni (wśród nich biografowie rodinni) starali się go przedstawić jako nieposzlakowanego patriotę, który we wszystkich swych posunięciach kierował się wyłącznie względami dobra ojczyzny i w końcu padł ofiarą petersburskich ministrów, zmierzających do całkowitego podporządkowania sobie władz Banku Polskiego. Nie sądzę, aby którekolwiek z tych skrajnych stanowisk było w pełni do przyjęcia. Trudno potępić nam dzisiaj działacza gospodarczego, którego działalność - niezależnie od pobudek, jakie nią kierowały - była obiektywnie cenna dla rozwoju polskiego przemysłu i handlu. Z drugiej strony naiwnością byłoby wierzyć, że jedynie miłość ojczyzny doprowadziła brata szwoleżerów do zdobycia jednej z największych fortun w Królestwie, i to w czasie dla ogółu obywateli wcale nie najpomyślniejszym. Wydaje mi się, że sprawę Henryka Łubieńskiego należałoby rozpatrywać w zupełnie innych kategoriach: trzeba w nim widzieć po prostu pioniera kapitalizmu, działającego w gospodarczo zacofanym i nieufnym społeczeństwie szlacheckim, a ponadto - w nienormalnej sytuacji politycznej. Nie było chyba przypadkowym zbiegiem okoliczności, że tak samo fatalny koniec spotkał dwóch wcześniejszych polskich działaczy gospodarczych wielkiego formatu: podskarbiego Antoniego Tyzenhauza i wojewodę Prota Potockiego (przyrodniego stryja Henryka Łubieńskiego). Może za wiele uwagi i miejsca poświęciłem zdarzeniom, nie mieszczącym się w ramach czasowych tej książki. Ale chodziło mi o pokazanie z bliska człowieka, o którym będzie często mowa w korespondencji generała Tomasza i który nadawał ton całej działalności

gospodarczej braci Łubieńskich. Działalność ta, wszczęta po zakończeniu wojny, była szeroka i zróżnicowana, ale rozpędu nabierała stopniowo. Początkowo Łubieńscy zajmowali się tylko własnymi posiadłościami ziemskimi, ulepszając w nich gospodarkę rolną i budując niewielkie zakłady przemysłowe, związane z rolnictwem (przeważnie gorzelnie). Ponieważ w wyniku dobrowolnych układów rodzinnych Henryk skupił w swoich rękach prawie wszystkie dobra rodowe, które minister Łubieński jeszcze za życia oddał był dorosłym dzieciom*, (* Henryk Łubieński otrzymał z tego podziału pałac na Królewskiej i jurydykę Bielino.) pozostali bracia - spłaceni gotówką i dochodowymi nieruchomością warszawskimi - gospodarowali głównie w majątkach wniesionych im w posagu przez bogate żony. Bogate małżeństwa były w tej rodzinie zasadą, której nikt z rodzeństwa się nie sprzeniewierzył. Zgodnie z duchem czasu przy zawarciu związków małżeńskich więcej wagi przywiązywano do majątku niż do arystokratycznego pochodzenia. Łubieńscy - w odróżnieniu od Wincentego Krasińskiego - nie byli pod tym względem snobami. Tylko trzech bracia i jedna siostra zawarli małżeństwa w kręgu starej rodowej arystokracji. Pozostałe rodzeństwo związało się mariażami z zamożnymi rodzinami ziemiańskimi z różnych stron kraju. W rezultacie klan Łubieńskich - w przeciwieństwie do ekskluzywnie arystokratycznych Krasińskich - stał się rodzajem pomostu między arystokracją a ziemiaństwem, co znacznie poszerzyło zakres jego wpływów. Mniej więcej od roku 1825 Łubieńscy zaczęli odgrywać poważną rolę w życiu gospodarczym kraju. Ich działalność gospodarcza w skali ogólnokrajowej - zarówno prywatna, jak publiczna - trwać miała prawie dwadzieścia lat. Okres ten od początku był widownią przedziwnych przeobrażeń szwoleżerskich, przemian, o jakich nie śni się nawet większości czytelników popularnych powieści historycznych Wacława Gąsiorowskiego i Walerego Przyborowskiego. W życiu najstarszego z trzech braci szwoleżerów, kapitana Franciszka Łubieńskiego, tych nowych elementów było najmniej. Pana Franciszka - o którym źródła rodzinne głoszą, że "odznaczał się niezwykłą słodyczą charakteru, wesołością humoru i nieustraszoną na polu bitwy odwagą" (całkowite potwierdzenie tej opinii odnaleźć można w korespondencji pułkownika Koziętulskiego) - wojna zniszczyła zupełnie. Stosunkowo wcześniej zwolniony z wojska w wyniku ciężkich obrażeń odniesionych pod Wagram (otrzymał za nie oficerską gwiazdę Legii Honorowej), żył jeszcze przez lat kilkanaście, ale w sprawach publicznych nie odgrywał już żadnej roli. Inaczej potoczyło się w Królestwie życie drugiego brata szwoleżera. Generał Tomasz Łubieński po zrzuceniu munduru nie przestał być ważną postacią. Przeciwnie, w miarę upływu czasu jego znaczenie jako działacza gospodarczego i społecznego poczęło przerastać dawne zasługi wojskowe. Co prawda rzeczywistym inspiratorem i kierownikiem większości przedsięwzięć gospodarczych Łubieńskich był pan Henryk, ale pan Tomasz odgrywał w nich (przynajmniej na zewnątrz) rolę niewiele mniejszą od brata. Autorytet moralny zasłużonego żołnierza napoleońskiego, a ponadto generała, który wziął rozbrat z wojskiem w okresie najgwałtowniejszych zatargów z cesarzewiczem Konstantym - był dla klanu kapitałem równie cennym jak zdolności młodszego brata. Nie znaczy to wcale, że generała wykorzystywano w przedsięwzięciach rodzinnych wyłącznie jako honorowego figuranta. Minister Łubieński postarał się w odpowiednim czasie o zapewnienie

swoim synom gruntownego wykształcenia ekonomicznego. Pan Tomasz - podobnie jak jego bracia - po ukończeniu studiów w Wiedniu praktykował w Brodach i w Kijowie, w biurach handlowych swego przyrodniego stryja, Prota Potockiego, który "bardzo wiele młodzieży polskiej zatrudniał i wielu na bogatych panów wyprowadził". Z listów Tomasza Łubieńskiego łatwo się zorientować, że poza walorami reprezentacyjnymi generał miał także inne kwalifikacje, uprawniające go do odgrywania ważnej roli nie tylko w przedsiębiorstwach rodzinnych, lecz także w życiu gospodarczym kraju. Dzielny kawalerzysta, który zdobywał Somosierę, szarżował pod Wagram i Reims, przeszedł wplaw Berezynę, objawia się w nowych wcieleniach jako członek "Dyrekcji Głównej" Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, szef spółki bankierskiej "Dom Handlowy B-ci Łubieńskich", dyrektor Resursy Kupieckiej w Warszawie, budowniczy pierwszej w kraju linii kolejowej (tzw. Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej); człowiek, którego przywykło się oglądać na polach bitew i biwakach polowych - zajmuje się drukiem i emisją kredytowych "listów zastawnych", handluje zbożem i dyskontuje weksle; dawny uczestnik odpraw sztabowych z "Papą" Dautancourtem naradza się teraz z rodakiem Dautancourta, przemysłowcem i wynalazcą Philipem Girardem, i w wyniku tych narad w jednej z wsi należących do Łubieńskich, w Rudzie Guzowskiej powstają zręby potężnego ośrodka przemysłowego, późniejszego Żyrardowa. Trzeba przyznać, że od tego wszystkiego może się zakreślić w głowie każdemu napoleoniście wykształconemu na tradycyjnych lekturach historycznych. Równie głębokie przeobrażenia - choć zupełnie odmienniej natury i z innych przyczyn wynikające - zaszły w życiu najmłodszego z trzech szwoleżerów Łubieńskich. Urodzony w roku 1794 i ochrzczony imieniem przyjaciela ojca, naczelnika Kościuszki, Tadeusz Łubieński wstąpił do wojska jako piętnastoletni chłopiec. Podczas kampanii austriackiej 1809 roku dosłużył się stopnia podporucznika w artylerii Księstwa Warszawskiego. Ale potem postanowił iść śladem dwóch najstarszych braci i we wrześniu roku 1810, rezygnując z posiadanego stopnia oficerskiego, wstąpił jako prosty szwoleżer do polskiego pułku gwardii. W pułku tym przeżył trzy ostatnie kampanie napoleońskie: rosyjską 1812 roku, saską 1813 roku i francuską 1814 roku. W pierwszej dosłużył się ponownie stopnia podporucznika, w drugiej - stopnia porucznika i krzyża Legii Honorowej, na trzeciej zakończył na zawsze swoją karierę wojskową. Według tradycji rodzinnej o późniejszych losach Tadeusza Łubieńskiego zdecydowały jego perypetie w bitwie pod Kulm, stoczonej 17 września 1813 roku. "Zostawiony między trupami, bez życia prawie, w bitwie pod Kulm - świadczy o bracie pani Paula Morawska - postanowił resztę dni swoich Panu Bogu poświęcić w kapłańskiej służbie. Gdy ojciec chciał zwłoką całoroczną powołanie jego wypróbować, utrzymywał się w tej świętej myśli ciągłym umartwianiem, sypiał na gołej ziemi, wyrzekł się ulubionego napoju - kawy". Relacja kronikarki rodzinnej domaga się uściślenia w pewnym dość istotnym punkcie. Tadeusz Łubieński - jak wynika z korespondencji generała Tomasza - został księdzem w roku 1821, a więc dopiero w osiem lat po bitwie pod Kulm. Możliwe więc, że okres próby, wyznaczony eks-szwoleżerowi, trwał dłużej niż rok. Rodzina, nie bacząc na długi szereg arcybiskupów, biskupów i kanoników w rodowodzie, odniosła się niechętnie do postanowienia Tadeusza. Prawdopodobnie nowoczesnym i przedsiębiorczym braciom

Łubieńskim żal było tracić młodego, zdolnego współnika przedsięwzięć rodzinnych, a zarazem skazywać na uschnięcie jedną z gałęzi rodu, który chciano uczynić jak najliczniejszym i najpotężniejszym. Nawiasem warto dodać, iż lata następne wykazały, że święcenia kapłańskie nie przytłumiły bynajmniej w najmłodszym szwoleżerze właściwego całej rodzinie zainteresowania sprawami materialnymi. Ksiądz, a później ksiądz biskup Tadeusz Łubieński uczestniczył nadal prawie we wszystkich rodzinnych przedsięwzięciach handlowych. Na tym pragnąłbym zakończyć ogólne informacje o braciach Łubieńskich, ludziach, którzy - nie otrząsnawszy się jeszcze całkowicie z ponapoleońskiego katzenjammeru - z taką samą skwapliwością, z jaką przedtem witali wielkiego cesarza, wyszli na spotkanie nowym czasem, epoce wielkich odkryć techniczno-naukowych i wielkich spekulacji finansowych. U swoich współczesnych Łubieńscy nie cieszyli się specjalną sympatią. Ogółowi społeczeństwa szlacheckiego trudno było się pogodzić z faktem, że wielcy panowie z dziada pradziada poświęcają się podejrzanym sprawom, którymi jeszcze niedawno nie wypadało się zajmować prostemu szlachcicowi. Konkretnie zarzuty ze strony czynników oficjalnych i osób prywatnych wzbudzała ich zbyt daleko posunięta solidarność rodzinna. Niektórych raziła i śmieszyła ich ostentacyjna bigoteria, szczególnie uwydatniająca się w zestawieniu z trzeźwą zapobiegliwością w interesach. Adam Mickiewicz nazywał ich ironicznie "pobożnymi spekulatorami", drugi poeta - "arystokracją Żydów". Tym drugim poetą był oczywiście syn generała Wincentego Krasieńskiego. Oceniając działalność Łubieńskich z perspektywy półtora wieku, trzeba przyznać, że obiektywnie była to dla kraju działalność zdecydowanie pozytywna. Przyczynili się oni do rozwoju przemysłu i handlu, uczynili znaczny krok naprzód w zwalczaniu tradycyjnie polskiej pogardy dla "łokcia i wagi". Myśl i trud braci Łubieńskich można odnaleźć u podstaw zakładów przemysłowych w Żyrardowie, Ostrowcu Świętokrzyskim, Rejowcu Lubelskim i w paru innych miejscach. Rozpędziwszy się jeszcze bardziej i przymrużywszy nieco oko, można by w braciach Łubieńskich dopatrywać się prekursorów instytucji odgrywających tak wielką rolę w naszym życiu, jak Narodowy Bank Polski, Państwowy Bank Rolny i Polskie Koleje Państwowe. Jeszcze parę słów o siostrach generała Tomasza Łubieńskiego. Najstarsza z nich, Maria, wyszła za mąż za bogatego ziemianina z powiatu gostyńskiego, Maksymiliana Skarżyńskiego, brata trzech sławnych kawalerzystów napoleońskich: dwóch szwoleżerów, Ambrożego i Feliksa, oraz ułana, Kazimierza. Maksymilian Skarżyński zmarł jeszcze w czasach Księstwa, pozostawiając młodą wdowę z trojgiem małych dzieci pod opieką aż czterech szwoleżerów: dwóch Łubieńskich i dwóch Skarżyńskich. Najślawniejszym z tej czwórki był baron Cesarstwa Francuskiego i szef szwadronu, a późniejszy generał, Ambroży Skarżyński, który w przedostatniej kampanii napoleońskiej wpisał na swoje konto wyczyn nie byle jaki: 20 marca 1814 roku, w bitwie pod Arcis-sur-Aube ocalił życie Napoleonowi. W rok później, w marcu 1815, kiedy podobnie jak Tomasz Łubieński na własne życzenie opuszczał szeregi wojska, generał Wincenty Krasieński wydał mu następującą opinię, przechowywaną do dzisiaj przez jego warszawskich potomków: "Sądzę być moją powinnością dodać, iż pułk Szwoleżerów Gwardii nie miał mężniejszego i lepszego oficera nad Pana Pułkownika Skarżyńskiego, któremu sam życie winienem i któren w powrocie z Francji temuż pułkowi przywoził".

Druga z sióstr Łubieńskich, Paula, podobnie jak Maria poślubiła zamożnego ziemianina, dla odmiany z Wielkopolski. Był nim rodzony brat generała poety Franciszka Morawskiego, Józef Dzierżykraj-Morawski, za czasów napoleońskich referendarz Rady Stanu Księstwa Warszawskiego i z tej racji już do końca życia tytułowany "panem referendarzem". Po pani Pauli z Łubieńskich Morawskiej alias "pani referendarzowej" zachował się - jak już nadmieniałem - nie opublikowany dotychczas pamiętniczek, a raczej zapis jej ustnych wspomnień, sporządzony przez wnuczkę panią Konstancję Morawską, siostrę znakomitego historyka i filologa Kazimierza Morawskiego. W tych arcyciekawych wspomnieniach (udostępnionych mi ze zbiorów rodzinnych państwa Tadeuszostwa Morawskich) także odnalazłem godny przytoczenia przykład styku dwóch epok historycznych. Pani referendarzowa najchętniej powracała w opowiadaniach do dwóch wspomnień z młodych lat. Pierwsze wiązało się z... panią Walewską, "ulubioną Napoleona". Pamiętała ją doskonale. "Była to śliczna osoba, niskiego wzrostu, nawet trochę ułomna, co później sznurówki paryskie najzupełniej wyrównały. Płeć zwłaszcza miała zachwycającą, ramiona nieporównanej białości". "Babunia z Oporowa" (tak panią referendarzową na starość nazywano w rodzinie) z całą dokładnością opisywała różne prezenty, jakie "słodka Maria" dostawała od cesarza. Poza fartuszkim haftowanym w jarzębiny najlepiej utrwalił się pani Morawskiej w pamięci "dyadem złożony z ośmiu kłosów brylantowych". Widziała na własne oczy, jak na jednym z balów po zakończeniu kadrylu kostiumowego "pani Walewska rozpołowiła swój dyadem i każdą damę odznaczyła dwoma brylantowymi kłosami". Drugie ulubione wspomnienie było nie mniej romantyczne, a jeszcze bardziej "historyczne". W 1813 roku, gdy Rada Stanu Księstwa przeniosła się z Warszawy do Drezn, pani referendarzowa z trojgiem drobnych dzieci towarzyszyła mężowi w tej podróży ewakuacyjnej. "Przyszło zatrzymać się w Pradze dla odpoczynku i wytchnieniu". W domu, gdzieznaczono ów popas, znajdowały się łazienki. Młoda pani Morawska, chcąc odetchnąć świeżym powietrzem, zasiadła na balkonie wśród trojga dzieci. "Nagle wpada na dziedziniec książę Józef Poniatowski, okryty kurzawą boju i drogi, i woła, aby mu zgotowano kąpiel. Lecz wtem poznaje w młodej matce dziewczynkę, którą niegdyś u księżnej marszałkowej widywał, staje jak wryty i z uśmiechem się odzywa... Po niewielu dniach nadejść miała złowroga wieść o jego tragicznym końcu w nurtach Elstery". O tych swoich spotkaniach z panią Walewską i z księciem Józefem opowiadała pani referendarzowa w wiele, wiele lat później - już u schyłku życia - świeżo zaślubionej żonie swego wnuka,

Karola Chłapowskiego, która złożyła jej wizytę w Oporowie. Młoda pani Chłapowska, rozmarzona historycznymi anegdotami, wywdzięczyła się Babuni pięknym występem recytatorskim. "Zaczęła od deklamacyi Hagar na puszczy Ujejskiego, potem uczyniła wybór ustępów z poważnych utworów". Staruszka była wniebowzięta. "Co chwila wstawała, aby w zachwyceniu dziękować na przemian artystce i wnuczce, ceniąc w jednej osobie talent wspaniały i serdeczną uprzejmość... i nuż przypominać, jak to w roku 1813 widziała Talmę, podziwiała pannę Georges..." Pani Karolowa Chłapowska miała prawo nie lękać się porównań z tymi wielkimi gwiazdami scen paryskich. Sama też była wielką aktorką. Jej sceniczne nazwisko brzmiało: Helena Modrzejewska. O Róży Łubieńskiej, fundatorce Pamiętnika, która

w odróżnieniu od starszych siostr poślubiła magnata, Ludwika hrabiego Sobańskiego z Podola - nic tu nie powiem. Będziemy o niej czytali w listach generała Tomasza, zwłaszcza późniejszych - z okresu sądu sejmowego. Rozdział IX "Rejowiec, 14 maja 1815 Kochana Kostuniu! Skończyłem właśnie Werthera, ogromnie mnie wzruszył. Gdybym był naprzód wiedział o dążności tej książki, nigdy bym jej nie czytał. Dzisiaj o 5-ej rano pojechałem obejrzeć lasy. Wszelkimi sposobami staram się dopomóc tutejszym biednym i nieszczęśliwym chłopom. O ile możności nie daję im za darmo, żądam natomiast, żeby przychodzili do fabryki (gorzelni) na robotę, za co biorą mąkę w większym stosunku, niż warta ich praca... Stójki żołnierskie zupełnie tych biedaków wyniszczyły. Kazałem więc na jesień skupować woły, które im rozdają, a tymczasem pozwoliłem moim pługom zorać ich pola i zasiać dworskim ziarnem. Są tu domy po wsiach, gdzie dzieci puchną z głodu. Starsi idą na zarobek przy którym częstokroć nie mają co włożyć do ust. Wczoraj było święto. Patrząc, chłop jeden wozi cegłę do fabryki, pytam dlaczego? Żeby sobie zarobić na trochę mąki. - Nic, panie - mówi - nie jadłem aż wczoraj. - Posłałem zapytać się, czy to prawda, i dałem mu parę złotych. Inny chłop, mający żonę i czworo dzieci, będąc przy oczyszczaniu pszenicy, ukradł trochę za pazuchę. Złapali go, on uciekł do żony i dzieci. Przyszli potem do mnie, gdyż im zaręczyłem, że im się nic nie stanie, jeśli powrócą. Czyż i ja bym nie ukradł, widząc żonę i dzieci z głodu umierających..."

"Kutno, 30 września 1815 Kochana Kostuniu! Widok w przejeździe Guzowa smutne na mnie wywarł wrażenie. Wszystko w opuszczeniu, zaledwo odszukać można miejsce, gdzie jako dzieci wystawiliśmy własnymi rękami świątynię Wdzięczności w dzień imienin matki naszej i gdzieśmy odegrali Dyalog mojej kompozycji..."

"Warszawa, 7 grudnia 1815 Drogi Ojcze! Od ośmiu miesięcy cierpię na reumatyzm w głowie. Zażywam lekarstwa, kąpię się w siarczanej wodzie itd... Leczy mnie doktor Wielkiego Księcia. Jak tylko będę trochę lepiej, pojedę z moją brygadą, ale nie wiem jeszcze, czy do Skierniewic, czy do Konina [...] Nie wiem, czy Henryk ojcu napisał, co Cesarz powiedział stryjowi Ogińskiemu na prywatnej audyencji, którą mu udzielił. Objawił mu zamiar przyłączenia do Królestwa prowincji polskich - do Cesarstwa należących; ale nie chce, ażeby Polacy prosili Go o to publicznie i oficjalnie, gdyż nie chce, aby wobec Swego narodu wyglądało to jako ustępstwo z Jego strony dla naszego narodu. Pragnie zrobić te zmiany z własnego natchnienia i z własnej inicjatywy. Chce to ogłosić i wykonać jako Pan Samowładny. Tymczasem pragnie jak najlepiej urządzić to Królestwo, aby służyło we wszystkim za wzór dla reszty Cesarstwa [...] Ci, którzy nie są radzi z obecnego stanu rzeczy dlatego, że ukrócone zostały idee liberalne, nie mają podług mnie słuszności, bo wszystko się zmienia podług okoliczności. Co było dobrem dawniej, może być szkodliwym dzisiaj. Jesteśmy teraz jakby w Teatrze, w którym następują po sobie sceny bardzo rozmaite i interesujące, ale szczęśliwy ten, kto z dala może z zimną krwią być tylko ich obojętnym widzem, gdyż oprócz trudności w wyborze roli, jaką się ma odegrać, jest jeszcze przekonanie, że raz będąc wciągniętym w ten wir, nie widzi się rzeczy tak, jak one są, ale się je sądzi tak, jak je patrzącemu własny jego interes przedstawia". Z dat widać, że generał Łubieński pisał te listy jeszcze przed opuszczeniem wojska. Jak w lustrze odbija się w nich ówczesna polska wieś, zniszczona i ogłodzona latami wojen i ciągłymi popasami wojsk. Z pierwszej ręki

dowiadujemy się o politycznych planach Aleksandra wobec Polaków i o niełatwej sytuacji władcy dwóch narodów. Rzecz godna podkreślenia, że te właśnie wiadomości pochodzą od stryja przyrodniego pana Tomasza, księcia Ogińskiego, tego samego Michała Kleofasa Ogińskiego, który w roku 1796, jako pełnomocnik paryskiej emigracji poisurekcyjnej, działając wspólnie z Józefem Sułkowskim, starał się zjednać dla sprawy polskiej generała rewolucyjnej Francji, Napoleona Bonapartego. W dwadzieścia lat później - "magnat filozof", ubrany w lśniący złotem frak senatora rosyjskiego, dopuszczony do bliskiej konfidencji z cesarzem-królem słucha jego poufnych zwierzeń na temat przyszłości swojej ojczyzny. Kto zna życiorys M. K. Ogińskiego i jego czterotomowe Pamiętniki, nie zgorszy się tą maskaradą i nie dopatry się w niej zdrady ani braku konsekwencji. Ogińskiemu w roku 1816 chodzi przecież o to samo, o co chodziło mu w roku 1796. Za kilka lat - rozczarowany całkowicie do Aleksandra - zrzuci z siebie senatorski frak, opuści Litwę i osiadł na stałe we Florencji, aby stworzyć tam wysepkę polskość, wspomnianą później tak wdzięcznie przez Adama Mickiewicza, Antoniego Edwarda Odyńca i Leonarda Chodźkę. Najwięcej jednak dowiadujemy się z listów o samym ich autorze. Od razu widać, że to ktoś z budzącym zaufaniem bagażem intelektualnym. Nie ma porównania z powierzchownie oglądzonym Wincentym Krasińskim, który - po rozstaniu się w wieku chłopięcym z domowym nauczycielem - nigdy już później nie otarł się o żadną szkołę, co można poznać zarówno po jego ortografii, jak i po cytowanych z upodobaniem, lecz zawsze błędnie, maksymach łacińskich. Natomiast Łubieński to człowiek rzeczywiście wykształcony, a przy tym samodzielnie myślący. Potrafi wzruszać się twórczością Goethego, lecz stać go również na tak trzeźwe sformułowania, jak przenikliwa analiza psychologiczno-polityczna, zawarta w końcowych zdaniach listu do ojca. Niestety, nie ma w jego korespondencji nic z tego wdzięku i czarującego polotu, którym skrzyły się listy generała Franciszka Morawskiego. Tomasz Łubieński we wszystkim, co pisze, jest zabójczo poważny, solidny i zasadniczy. Jego działania są uporządkowane i drobiazgowo wyliczone. Nawet w jego humanitarnym stosunku do chłopów zasady chrześcijańskiego miłosierdzia znakomicie współgrają z dalekowzroczną zapobiegliwością dobrego gospodarza. Skłonny jestem przypuszczać, że pedantyczna rzeczywistość listów pana Tomasza musiała niekiedy porządnie irytować jego piękną i wesołą żonę - panią Konstancję z Ossolińskich Łubieńską, nazywaną przez męża pieszczotliwie (aczkolwiek nieco makabrycznie) Kostunią albo Kostusią. Tomasz Łubieński świetnością małżeństwa śmiało mógł się mierzyć z książęcym mariażem swego kolegi, prezesa z Towarzystwa Przyjaciół Ojczyzny. Przy czym małżeństwo pana Tomasza w odróżnieniu od małżeństwa Krasińskiego wynikało z własnego wyboru, a nie z układów rodzinnych między przedstawicielami starszego pokolenia. W wypadku pana Tomasza starsze pokolenie (zwłaszcza matka panny Konstancji) ożenkowi raczej przeszkadzało, niżeli pomagało. Wygasający ród Ossolińskich herbu Topór, legitymujący się dwudziestoma dwoma senatorami oraz tytułami książąt i hrabiów, uzyskiwanymi w ciągu wieków na przemian to od papieży, to od cesarzy rzymskich, był zaliczany do najwyższej arystokracji kraju. Panna Konstancja - jedyna córka wielkiego pana, Józefa Kajetana Ossolińskiego, kasztelana podlaskiego (poza nią miał jeszcze syna - Wiktora) - odznaczała się wybitną urodą. Zachowane portrety

całkowicie zgadzają się z opisem utrwalonym w źródłach rodzinnych: "Rysy rzymskie, oczy duże niebieskie, włosy ciemne, postać wyniosła, formy pełne i okrągłe" - słowem ideał piękności kobiecej w konwencji tamtych czasów. Była przy tym inteligentna, dowcipna i czytana, pisywała wiersze i bajki dla dzieci, grywała na różnych instrumentach i śpiewała wdzięcznym mezzosopranem, "który wydoskonaliła pod kierunkiem artystycznym maestro włoskiego, pana Manarelli". No i była bardzo bogata, co liczyło się u każdego Łubieńskiego, a cóż dopiero u zakochanego. Ale przyszłemu dowódcy zwycięskich szarż kawaleryjskich przez dłuższy czas nie udawało się zdobyć serca pięknej kasztelanki, stale obleganej przez tłum atrakcyjnych wielbicieli i konkurentów. Dopomógł mu dopiero szczęśliwy (a raczej nieszczęśliwy) przypadek. "W zimie z roku 1804 na 1805 uprosił raz kasztelanową, ażeby przyjęła udział w jakimś spacerze z córką swoją w jego sankach. On sam powoził, a czy to wskutek roztargnienia, spowodowanego upojeniem radości, czy dla przysłowiowych złych dróg polskich, dosyć że swoją bohdankę i jej matkę w śnieg na czysto wyrzucił. Pani kasztelanowa, kobieta dumna i nerwowa, okropnie się za ten despekt na adoratora córki obraziła i zakazała mu bywać w swoim domu". Któż jednak zgłębi tajemniczy mechanizm kobiecego serca. W sytuacji, kiedy pechowy konkurent miał pełne prawo przypuszczać, że jego nadzieje na zdobycie panny zostały już bezpowrotnie zaprzepaszczone, obojętna dotychczas kasztelanica - poruszona jego rozpaczą i przerażeniem - po raz pierwszy naprawdę się nim zainteresowała, a wkrótce potem przyjęła jego oświadczenia. Trzeba było jeszcze przebłagać urażoną panią Ossolińską. W tym niełatwym zadaniu dopomógł panu Tomaszowi jego najbliższy przyjaciel, sąsiad i kolega z Towarzystwa Przyjaciół Ojczyzny, Józef Krasieński z Radziejowic, syn ostatniego oboźnego wielkiego koronnego dawnej Rzeczypospolitej, nazywany często - ze względu na ojca i dla odróżnienia od kuzyna - rówieśnika z Opinogóry - "Oboźnicą"*

Krasieńskim. (* W niektórych dokumentach tytułowano J. Krasieńskiego "oboźnicem" przez analogię do starościca czy wojewodzica, [taką formę sugeruje również Gloger w Encyklopedii staropolskiej]. Jednakże używana równie często forma "oboźnica" wydaje mi się językowo poprawniejsza [analogicznie: woźny, woźnica].) Wypada w tym miejscu wyjaśnić, że ów sympatyczny kronikarz Przyjaciół Ojczyzny - którego znakomite Wspomnienia tak bardzo mi pomogły przy pisaniu książki Koziatulski i inni - sam również może być uważany za eks-szwolera, gdyż w roku 1807 wpisany już był jako podporucznik do rejestru pułku "Gwardyi Polsko-Cesarskiej" i tylko nagła grypa, wsparta sekretnymi zabiegami czulej matki, uniemożliwiła mu wymarsz na wojnę razem z innymi Przyjaciółmi Ojczyzny, przeobrażając go nieoczekiwanie z podporucznika szwoleżerów w majora warszawskiej gwardii narodowej. Otóż Oboźnica Krasieński - urodzony z Ossolińskiej, siostry Kasztelana - był bratem cioteczyną panny Konstancji i z dumną kasztelanową mógł sobie poczynać jak z bliską krewną. Dzięki jego energicznej akcji pojednawczej niefortunny woźnica sanek uzyskał wkrótce odpuszczenie grzechów, a także zgodę na wszczęcie pertraktacji małżeńskich. Ale na tym się jeszcze trudności nie wyczerpały. Po przełamaniu oporów natury uczuciowo-ambicyjnej przyszła kolej na targi finansowe. Szczodry kasztelan Ossoliński wyznaczył córce posag w wysokości złotych polskich 400 000, płatnych - jak wówczas mawiano - w gotowym pieniądzu; zażądał jednak,

aby Łubieńscy w taki sam sposób wyposażyli Tomasza. I tu powstały nowe komplikacje. Hrabia Feliks Walezjusz był już wtedy człowiekiem bogatym (sam Guzów przynosił rocznie przeszło 300 000 złp), ale miał dziesięcioro dzieci i nie mógł sobie pozwolić na taką hojność w stosunku do jednego syna, bez uszczerbku interesów pozostałego potomstwa, nie mówiąc już o szczególnie niemiłym dla ziemiańskiego serca obowiązku wypłaty całej sumy gotówką. Rozpoczął się tedy okres długich narad rodzinnych, dramatycznych rozmów między ojcem a synem, głębokich namysłów. Że jednak miłość i solidarność Łubieńskich były rzeczywiście wyjątkowe, a mariaż z Ossolińską im odpowiadał, pan Tomasz żądane wiano w końcu otrzymał, tyle że później przez dłuższy czas musiał się wypłacać młodszemu rodzeństwu. Małżeństwo zostało zawarte 12 grudnia 1805 roku - w dziesięć dni po zwycięstwie Napoleona pod Austerlitz - i młoda para, wyposażona w kapitał 800 000 złotych polskich w gotówce, wstąpiła na nową drogę życia. W związku z małżeństwem pana Tomasza źródła rodzinne wspominają o pewnym charakterystycznym szczególe, który sam przez się nie jest może specjalnie interesujący, lecz w zestawieniu z wydarzeniami, które nastąpiły później, nabiera dramatycznej wymowy. W wigilię ślubu narzeczona wręczyła narzeczonemu swoją metrykę w zapieczętowanej kopercie, zastrzegając sobie, aby kopertę otwarto nie wcześniej jak po jej śmierci. Pan Tomasz wykazał daleko posuniętą dyskrecję. Jakkolwiek przeżył żonę o kilka lat, kopertę otworzył dopiero jego spadkobierca i biograf Roger Łubieński. Okazało się wtedy, iż cała tajemnica polegała na tym, że piękna Konstancja była o rok starsza od męża. Zastrzegając sobie solenną dyskrecję w sprawie tak błahej, że aż śmiesznej, młoda pani Łubieńska nie mogła przewidzieć, że w dwadzieścia parę lat później brutalna ludzka złość wydobędzie na jaw z zamkniętych kopert jej tajemnice stokroć intymniejsze i bardziej kompromitujące. Ale o tym we właściwym czasie. W kilkanaście miesięcy po ślubie rozkochany młody żonkoś musiał wyruszyć na wojnę i ku swemu przerażeniu zawędrował aż do Hiszpanii. Pani Konstancja nie mogła ścierpieć tak okrutnego oddalenia od męża. Spakowała tedy manatki, przygotowała do drogi roczną córeczkę Adelajdę i - razem z drugą słomianą wdową szwoleżerką, panią Marią z Radziwiłłów Krasińską - podążyła do Paryża. Tam obie panie, dzięki poparciu mężów i swoich potężnych rodzin, znalazły się wkrótce w otoczeniu cesarzowej Józefiny (Napoleon podobno bardzo popierał wiązanie się z dworem żon swoich arystokratycznych gwardzistów). Nie wiadomo, czy pani Konstancja uzyskała oficjalne stanowisko damy dworu cesarzowej, czy też towarzyszyła jej na zasadach bardziej prywatnych. Panna d'Avrillon, starsza dama dworu Józefiny i najlepsza znawczyni życia swej pani, w niedawno wznowionych w Paryżu Pamiętnikach ani słowem nie wspomina o polskiej towarzysze cesarzowej. Ale było to chyba przeoczenie rozmyślne, wynikłe z prostej zawiści, gdyż bardziej obiektywne świadectwa pamiętnikarskie stwierdzają, że młoda pani Łubieńska była wyjątkowo lubiana i ceniona przez małżonkę "bohatera wieku". Józefina miała zresztą szczególną słabość do Polaków jeszcze z czasów Wielkiego Terroru, kiedy to polski lekarz doktor Józef Markowski umożliwił jej wydobyć się z jakobińskiego więzienia, ratując ją w ten sposób od gilotyny. Córka Józefiny, królowa holenderska Hortensja de Beauharnais, i sam Napoleon całkowicie podzielali sympatię cesarzowej dla "pięknej Polki", jak nazywano młodą Łubieńską na dworze

francuskim. Na specjalne życzenie cesarza pani Konstancja występowała w dworskich przedstawieniach teatralnych w Malmaison, pod kierunkiem najwybitniejszych aktorów zawodowych Talmy i Michota. Grywała razem z dwiema królowymi: Hortensją de Beauharnais i królową neapolitańską Karoliną Bonaparte, żoną Murata. "Napoleon zawsze mnie prosił, abym mu tej przyjemności nie odmawiała - chwaliła się potem w swoim dzienniczku, prowadzonym dla rodziny. - Po przedstawieniach rozmowa była zawsze weselsza i swobodniejsza. Po powrocie do Paryża, oprócz spacerów po Tuileryach, zdarzało mi się, że z cesarzową czasami wychodziłam wieczorami na miasto incognito, a podczas tych wycieczek nieraz zabawne mieliśmy zdarzenia". Nie tylko uroda i wdzięk młodej pani Łubieńskiej zdobywały jej wielbicieli. Ceniono także jej rozum i takt. Na dworze paryskim i w warszawskich salonach z jednakowym uznaniem odniesiono się do zachwycającej riposty, jakiej udzieliła w roku 1808 generałowi Savary'emu księciu Rovigo, ministrowi policji cesarstwa. Na jednym z balów dworskich, w okresie największego natężenia bojów w Hiszpanii, księżę de Rovigo, podziwiając pyszny naszyjnik z rubinów i diamentów noszony tego dnia przez panią Konstancję, zapytał złośliwie, czy to mąż przysłał jej ten klejnot z Hiszpanii. Szwoleżerska żona odpowiedziała dumnie: "Generale, pan, co jesteś na czele policji, lepiej powinieneś być poinformowany, że mój mąż przywozi ze swoich kampanii li tylko mundury przestrzelone i podarte, konie okulałe, szacunek i poważanie dowódców". Po wojnie pani Tomaszowa powróciła do kraju dopiero w kilka miesięcy po mężu. W każdym razie jesienią 1815 roku była już w Warszawie, gdyż 23 listopada odnajdujemy jej nazwisko (obok nazwiska generała Wincentego Krasińskiego) wśród gospodarzy balu, wydanego przez miasto na cześć cesarza-króla Aleksandra. Z dwojga swoich dzieci, pani Łubieńska przywiozła do ojczyzny tylko urodzonego we Francji, trzyletniego synka, który w tym czasie przeobrażał się ostatecznie z Napoleona w Leona. Córkę, dziesięcioletnią Adelkę, pozostawili generałostwo w Paryżu. Wiązało się to zapewne z jej chorą nogą, którą leczyli najwybitniejsi lekarze paryscy za pomocą nie znanych jeszcze w Polsce maszyn ortopedycznych. O tym, jak mały był ówczesny "wielki świat" i jak blisko związani byli z sobą wszyscy jego członkowie, świadczyć może fakt, że podczas pobytu Adelki w Paryżu opiekowała się nią krewna i przyjaciółka Łubieńskich Teodora z Walewskich księżna Jabłonowska, matka chrzestna Napoleona Zygmunta Krasińskiego i matka rodzona byłego porucznika szwoleżerów Antoniego Jabłonowskiego, z którym będziemy jeszcze mieli sporo do czynienia w tej opowieści. Po połączeniu się z rodziną i uzyskaniu dymisji z wojska generał Łubieński zabrał się z zapałem do porządkowania swoich spraw majątkowych. Warsztat pracy miał rozległy, gdyż do kapitałów posagowych przybyły jeszcze dobra nieruchome. Zmarła w roku 1813 kasztelanowa Ossolińska pozostawiła córce dwa duże majątki ziemskie: Rejowiec w pobliżu Chełma Lubelskiego i Równe w powiecie radzymskim. Młodzi zdecydowali się osiaść na stałe w Rejowcu, a Równe oddać w dzierżawę. Niestety, stan zdrowia pana Tomasza nie pozwolił mu od razu poświęcić się z należytą energią pracy w gospodarstwie. Jakkolwiek choroba nie stanowiła jedynej przyczyny jego zerwania z wojskiem, nie była ona bynajmniej wymysłem. Poza "reumatyzmem głowy", schorzeniem bardzo bolesnym i powodującym stałą bezsenność, generałowi dokuczała jeszcze wątroba, rozharatana

wojenną dietą, noga przestrzelona w kampanii 1812 roku oraz odmrożone w tejże kampanii ręce. W owych czasach w Królestwie Polskim było wielu takich ciężko schorowanych trzydziestoparoletnich generałów i pułkowników. W odwrocie spod Moskwy - chyba po raz pierwszy w dziejach wojskowości polskiej - najwyżsi oficerowie byli wydani na te same cierpienia i trudy wojenne, co prości szeregowcy. Pan Tomasz przez pewien czas próbował łączyć leczenie swych chorób z różnymi zajęciami gospodarskimi, ponieważ jednak ani choroby, ani gospodarstwo nie dawały się zbyt łatwo łączyć, w końcu skapitulował i podporządkował się zaleceniom lekarzy. Z początkiem czerwca 1816 roku, zostawiwszy panią Konstancję z małym Leonkiem w Rejowcu, pozwolił się wyekspediować na kurację wodoleczniczą do bardzo wówczas modnego uzdrowiska słowackiego Toeplitz (Trenczyńskie Cieplice). Obywatel Królestwa Polskiego wybierający się w owym czasie do uzdrowiska Toeplitz miał do wyboru dwie drogi: mógł jechać przez Galicję i kraje austriackie albo przez przyłączone do Prus Wielkie Księstwo Poznańskie. Generał wybrał trasę poznańską przede wszystkim dlatego, że umożliwiła mu odwiedzenie po drodze ulubionej siostry, pani referendarzowej Morawskiej, rezydującej w wielkopolskiej Luboni, niedaleko Leszna. Punkt, w którym przejeżdżało się granicę oddzielającą Królestwo od Wielkiego Księstwa,

mieścił się tuż za Kaliszem. Po przebyciu dwukrotnej i arcysolidnej rewizji całego bagażu, przeprowadzonej najpierw przez celników Królestwa, później przez celników pruskich, pan Tomasz znalazł się na terytorium zagranicznym. Dziwna to była "zagranica". Mowa, obyczaje i myśli mieszkańców dokładnie takie same jak w Królestwie, takie same troski, niepokoje i marzenia, inni tylko urzędnicy, inne prawa, inna policja i w inną stronę skierowane animozje. Dwa majątki rodziny Dzierżykraj-Morawskich: Lubonia i Oporów - prawie z sobą sąsiadujące leżały w odległości niespełna dziesięciu kilometrów od słynnej Rydzyny książąt Sułkowskich.

Podkreślam ten szczegół nie tylko dlatego, że w zamku rydzyńskim wychowywał się niegdyś, bliski memu sercu "oficer największych nadziei" Józef Sułkowski, ale również - a raczej przede wszystkim - dlatego, że w roku 1816 ordynatem na Rydzynie był książę Antoni Paweł Sułkowski, niefortunny i krótkotrwały wódz naczelny wojsk Księstwa Warszawskiego po śmierci księcia Józefa Poniatowskiego, a w Królestwie Kongresowym dowódca dywizji jazdy, tej właśnie dywizji, do której w ostatnim roku służby otrzymał przydział generał brygady Tomasz Łubieński. Tak to wtedy bywało. Jeden z najpotężniejszych magnatów w Wielkim Księstwie mógł być równocześnie jednym z najwyższych dowódców w armii Królestwa. Ta dwoistość losów polskich odbiła się także na sytuacji w rodzinie Morawskich.

Lubonia, w której mieszkali referendarzostwo Morawscy, była właściwie posiadłością brata referendarza, generała Franciszka Morawskiego, nabytą przez niego w wyniku działań spadkowych po śmierci ojca, podczas gdy referendarzowi Józefowi Morawskiemu przypadł po ojcu Oporów. Ponieważ jednak w Oporowie przebywała "na dożywocie" stara pani Morawska, matka obu braci, a generał poeta, zaabsorbowany służbą w armii Królestwa i pracą literacką, nie miał czasu zajmować się swymi "zagranicznymi włościami" - państwo referendarzostwo na razie osiedlili się w Luboni. Dom Morawskich, był doskonale zagospodarowany, sympatyczny, wesoły, wypełniony zdrowymi i udanymi dziećmi (mieli ich już wówczas siedmioro).

Pani Paula umiała jednać sobie serca ludzkie i zarówno we własnej rodzinie, jak w rodzinie męża otaczała ją uwielbienie. Józef Morawski nie miał wprawdzie talentów brata, ale cieszył się ogromnym autorytetem jako człowiek wyjątkowo zacny, tęgim prawnik i ekonomista, a przede wszystkim niezrównany gospodarz. W całym Wielkim Księstwie Poznańskim nie było ponoć drugiej osoby, tak często powoływanej na rozjemcę w rozmaitych zatargach ziemiańskich, jak pan referendarz z Luboni. Generał Łubieński zabawił trzy dni u "tych najlepszych ludzi", jak nazywał Morawskich w wysłanym z Luboni liście do ojca. Potem wyruszył w dalszą drogę do Drezna. Czuł się źle i jak każdy chory marzył o ciszy i spokoju. Nieprzyjemnie go zaskoczyły wieści o wielkim sezonie, zapowiadającym się w Toeplitz. "Na moje nieszczęście mówią - donosił ojcu - że obydwaj Cesarzowie i Król Pruski przyjeżdżają do Toeplitz, co mi bardzo nie na rękę, naprzód drożyzna, a potem wszystkie nudy połączone z tymi wielkościami..." 23 czerwca stanął w Dreźnie. Miał tu załatwić trzy ważne sprawy: "zaawizować" paszport u posła austriackiego, złożyć (na specjalne życzenie ojca) oficjalną wizytę królowi saskiemu oraz zasięgnąć porady u najlepszych lekarzy miejscowych. Niezależnie od tego wszystkiego, pierwszy powojenny pobyt w mieście, tak ściśle związanym z historią Księstwa Warszawskiego i kampanii napoleońskich, musiał być dla dawnego szwoleżera diabelnie mocnym przeżyciem, emocjonującą wędrówką po śladach "utraconego czasu". Ale w drezdeńskich listach, przytoczonych w zbiorze Rogera Łubieńskiego, nie ma żadnych refleksji na temat przeszłości. Może była ona dla generała jeszcze zbyt świeża i przez to zbyt bolesna, a może nie chciał pisać o niej po prostu ze względów cenzuralnych. Zamiast historycznych wspomnień na czoło korespondencji wysuwają się przyziemne sprawy finansowe. "Co jest strasznego, to ta wielka moc pieniędzy, które wydaję, choć jak mogę, trzymam się za worek - skarży się pan milionowy w pierwszym liście do żony, wysłanym z Drezna. - Kocz musiałem dać do reperacji, gdyż resor się jeden zupełnie obluzował, drąg spodni się nadłamał itd. Wczoraj kupiłem paraplu (parasol - M.B.). Kocz będąc w reperacji a deszcz padając, nie mogłem inaczej wyjść. Uboga jakaś Pani Polka, która tu mieszka z 4 dziećmi, była u mnie wczoraj, chciałem jej dać talara lub 9 złp. pomyślałem o tobie i dałem jej dukata złotem*. (* Talar liczył 6 złp, dukat 18 złp.) Wolałbym jednak wydać te pieniądze na upiększenie Rejowca lub żeby pomódz naszym biednym chłopom..." Ubolewania z powodu drożyzny napotyka się często w korespondencji pana Tomasza. Poza tym pisał głównie o sprawach towarzyskich i o stanie swego zdrowia. Na brak towarzystwa nie mógł się skarżyć: stały przed nim otworem pokoje królewskie oraz najświetniejsze salony arystokracji drezdeńskiej i przebywającej w Dreźnie arystokracji polskiej, a także domy przedstawicieli dyplomatycznych obcych państw. Najpierw odbył ową zastrzeżoną przez ojca wizytę u króla saskiego. Królem był ten sam stary, poczciwy Fryderyk August, który mimo nacisków ze strony innych monarchów niemieckich do końca pozostał wierny Napoleonowi. To, że nadal zasiadał na tronie, zawdzięczał nie tyle wspaniałomyślności zwycięzców, co politycznemu wyrachowaniu Austrii i Anglii, które z obawy przed zbyt dużym wzmocnieniem Prus stanowczo zaprotestowały na kongresie wiedeńskim przeciwko proponowanemu uprzednio rozbiorowi Saksonii. Ponieważ Królestwo Saszkie nie starto z mapy, więc zgodnie z zasadą legitymizmu

musiano także pozostawić prawowitego króla. Pierwsza wizyta generała Łubieńskiego na dworze odbyła się według ustalonego rytuału prezentacji, chociaż eks-szwolęzer w latach napoleońskich bywał na dworze drezdeńskim niejednokrotnie i znał doskonale króla i całą jego rodzinę. Szczególnej pikanterii przydawał tej prezentacji fakt, że monarsze, który dopiero przed kilkunastu miesiącami zrzekł się tytułu księcia warszawskiego, syna jego najbardziej zaufanego ministra polskiego przedstawiał poseł... cesarstwa rosyjskiego*. (* Sprawy zagraniczne Królestwa Polskiego były prowadzone przez odpowiednie agendy rządu rosyjskiego.) Ale wizyta mimo to się udała. "Przeszłej niedzieli byłem u Króla - pisał pan Tomasz ojcu - bardzo szczegółowo wypytywał się, co ojciec robi, jak się ma i gdzie mieszka teraz. Pan Einsiedel i wszyscy nasi tu znajomi u dworu kazali ojcu się kłaniać..." Z osób, z którymi generał spotykał się w Dreźnie w listach wymieniani są najczęściej: stara księżna-marszałkowa Lubomirska z Łańcuta, która dożywała swych bujnych dni w nieustannych podróżach między Wiedniem, Paryżem a Dreznem, oraz księżna de Savoie-Carignan i jej drugi mąż książe de Montleart. Dwoje ostatnich stanowiło parę dość osobliwą. Ona - z pochodzenia pół-Polka, lecz saska księżniczka krwi - była rodzoną wnuczką króla Augusta III Sasa, a córką owej ambitnej Franciszki Krasieńskiej, którą jej krewni stojący na czele konfederacji barskiej (dziad i dziad stryjeczny generała Wincentego Krasieńskiego) chcieli wprowadzić na tron polski*. (* Królewskie ambicje Franciszki Krasieńskiej miały się spełnić w następnych pokoleniach. Jej wnuk, a syn z pierwszego małżeństwa księżnej de Savoie-Carignan - Karol Albert Sabaudzki zasiadł na tronie Sardynii, a jego z kolei syn, Wiktor Emanuel II, na tronie zjednoczonych Włoch. Stąd związki rodzinne Krasieńskich z dworem włoskim, wspomniane często w listach generała Wincentego i jego syna Zygmunta.) Drugi mąż świeższej daty: pan de Montleart był paryskim lekarzem mieszczańskiego rodu, kreowanym przez Napoleona za jakieś specjalne zasługi na księcia Cesarstwa Francuskiego. W pokongresowym Dreźnie tolerowano go tylko ze względu na jego powiązanie rodzinne z dworem. Nawet pan Tomasz pisał o nim z pewnym odcieniem lekceważenia. Gorzej od spraw towarzyskich przedstawiały się sprawy zdrowotne. "Doktor codziennie do mnie przychodzi - donosił generał żonie - wszystkie jego lekarstwa sumiennie zażywam, ale zawsze mocno cierpię, jestem jeszcze bardzo osłabiony i po nocach nic nie sypiam". Zasadniczy zwrot w leczeniu spowodował dopiero drezdeński lekarz Rober, polecony generałowi przez brata Henryka. Po gruntownym zbadaniu chorego orzekł, że powinien on jechać nie do Toeplitz, lecz do Karlsbadu (Karlove Vary). Ponieważ sam również się tam udawał, przyrzekł pacjentowi objęcie bezpośredniej opieki nad radykalną kuracją, mającą go uzdrowić. Zachęcony tą obietnicą, pan Tomasz przystał na zmianę celu podróży, choć widać, że nie było mu to w smak. "Jutro rano mam zamiar jechać do Karlsbadu, gdzie podobno jest bardzo wiele osób - komunikował ojcu w liście z 29 czerwca - król pruski ma tam przybyć i inni jeszcze xiążęta, o pomieszkowanie podobno już teraz bardzo trudno". W pierwszym liście do żony z Karlsbadu znowu żalosne utyskiwania na drożyznę. "Mieszkać muszę na poddaszu przez 8 dni, bo nie mogę znaleźć nic innego, a płacę 10 złp. dziennie, chociaż ani na miejscu uczęszczanym, ani nie jest wcale osobliwsze. Jeden pokój i gabinet do spania, z meblami jak najprostszymi. Stajnia kosztuje mnie jeszcze stosunkowo więcej, gdyż płacę co dzień za nią 5 i pół

złoty, dodaj do tego furaz, bardzo tutaj drogi, to po prostu straszne..." I zaraz potem kontrast niemal humorystyczny. "Pan Sobański [...] mówił mi o szlubie Xieźniczki Sanguszeko z panem Potockim. Ona miała 7 milionów posagu, a Potocki także co najmniej 7 lub 8 milionów majątku. Razem to czyni 14 lub 15 milionów, ładna rzecz, nie ma co mówić. Akurat o jedno zero więcej, jak my mamy dzisiaj, a przecież ani mniej szczęśliwi jesteśmy, ani mniej dlatego się kochamy". W Karlsbadzie leczenie pana Tomasza przybrało na intensywności. Nadzór nad chorym przejął sławny lekarz wiedeński Malfati, ożeniony z córką prezesa senatu Królestwa Polskiego, Tomasza Ostrowskiego, i w skutek tego

darzony szczególnym zaufaniem w kołach arystokracji polskiej: "Malfati z Roberem poddali mnie bardzo poważnej kuracyi - komunikował generał ojcu. - Mogę jeść tylko zupę i jarzyny i pić tylko wodę bez wina, mięsa nigdy, muszę brać gorące kąpiele i wychodzić tylko jak ciepło na dworze..." Początkowo kuracja nie dawała dobrych wyników. Przeciwnie: cierpienia wątroby jeszcze się wzmożyły, a równocześnie poczęła dawać o sobie znać niewyleczona do końca rana nogi z 1812 r.

"Ciągle jestem w wielkiej obawie o moją nogę - żalił się chory w jednym z sierpniowych listów do żony - nie cierpię na nią w tej chwili, ale nie daje mnie spokoju i boję się o przyszłość". Ponieważ lekarze niechętnie wypuszczali go z domu, generał dużo przyjmował u siebie. W jego skromnej i z takim bólem serca opłakanej stacji zbierała się cała śmietanka towarzystwa karlsbadzkiego.

Przytaczana w korespondencji imponująca lista utytułowanych gości z najwyższej arystokracji niemieckiej i polskiej - dyżurujących codziennie przy łóżku chorego - daje pojęcie o sytuacji towarzyskiej generała Łubieńskiego, a zarazem potwierdza opinię pamiętnikarzy o jego walorach osobistych. Pan Tomasz, który potrafił w listach zanudzać swoją Kostunię biadoleniem z powodu groszowych wydatków, w towarzystwie słynął podobno jako czarujący causeur, ujmujący sobie ludzi wysoką kulturą, wykształceniem i elegancją. Chyba nie bez przyczyny wybredny Franciszek Morawski mawiał o nim, że "tak wykwintnego człowieka w życiu nie spotkał". Czas wolny od gości i wizyt lekarskich poświęcał generał lekturze książek i myślom o domu. "Zaabonowałem się tutaj w jednej bibliotece i bardzo wiele czytam - pisał do żony. - W tej chwili kończę Belizariusza przez panią de Genlis w 2 tomach, dzieło dosyć interesujące. Jakże ja ci zazdroszczę te chwile spędzone na wsi, które nie są tak czzcze jak moje życie tutaj, i ciągle sobie powtarzam z Kotzebuem w jego Philibercie: - Nie szukaj nigdy prawdziwej przyjaźni na świecie..." (* Przytaczając te słowa modnego dramatopisarza niemieckiego, generał nie mógł przewidzieć, że w dwa lata później August von Kotzebue zostanie zasztyletowany jako płatny szpieg carski, a jego syn Paweł von Kotzebue zostanie kiedyś carskim generał-gubernatorem Warszawy i zasłynie na tym stanowisku jako nieprzejednany wróg polskości.) W początkach sierpnia lekarze skonstatowali, że kuracja domowa choremu nie pomaga, zastosowali więc terapię odwrotną. Teraz generał był nakłaniany do intensywnego ruchu, ciągłych przechadzek, nawet do tańców. "Zrobiłem się światowym - donosił pani Konstancji. - Ciągle chodzę na spacer z Xieźną Wirtemberg i Cecylią. Szczególnie na górę zwaną Hirschsprung, skąd śliczny widok na całą okolice...

Kniaziewicz wczoraj tu przyjechał. Zawsze masa jest Polaków i Rosyan, których spotykam u Łuninów..." Znowu znajome nazwiska. Najpierw te panie, odbywające z

generałem spaceru do słynnego karlsbadzkiego "Jeleniego skoku" (rzeźba skaczącego jelenia stoi tam do dzisiaj): księżna Maria z Czartoryskich Wirtemberska, córka piastunki sztandaru szwoleżerów, starej księżnej Izabeli Czartoryskiej z Puław, autorka najpoczytniejszej powieści polskiej Malwina, czyli domyślność serca, oraz jej nieodłączna przyjaciółka piękna Cecylia Beydale. Prawdziwie powieściowe dramaty noszą w sobie te dwie wytworne damy z najwyższego towarzystwa, witane wszędzie spojrzeniami pełnymi szacunku i życzliwego zainteresowania. Marię Czartoryską, podobnie jak Franciszkę Krasieńską, rodzina chciała widzieć na tronie; wydano ją więc w wieku szesnastu lat za siostrzeńca króla pruskiego Fryderyka II, księcia Ludwika Wirtemberskiego, w nadziei że w przyszłości uda się temu księciu utorować drogę do korony polskiej. Ale Ludwik Wirtemberski - wyniesiony w 1792 roku protekcją rodziny żony na naczelnego wodza armii litewskiej - okazał się wyjątkowo nikczemnym zdrajcą i przyczynił się w znacznym stopniu do przegrania wojny i drugiego rozbioru Polski. Księżna Maria rozwiodła się z mężem, ale pozostał jej po nim syn, żywy portret ojca, źródło nieustannych kłopotów i zmartwień całej rodziny Czartoryskich. Wtedy w Karlsbadzie najgorsze z tych zmartwień miała księżna jeszcze przed sobą. Młody książę Adam Wirtemberski najokrutniejszy cios wymierzył matce dopiero w dniach powstania listopadowego, kiedy po zdezerterowaniu z armii Królestwa Polskiego wyda, jako carski generał, rozkaz zbombardowania Puław. Innego rodzaju tragedię przeżywała piękna panna Cecylia. Wychowywana od dziecka w Puławach, otaczana matczyną czułością przez księżną Izabelę, zakochała się w młodszym synu opiekunki, księciu Konstantym Czartoryskim, bracie późniejszego ministra cesarstwa rosyjskiego i niedosłego namiestnika Królestwa Polskiego. Podobno było to uczucie odwzajemniane, ale księżna-matka położyła mu kres w sposób bezprzykładnie brutalny. Nie licząc się z opinią, ujawniła tajemnicę prawdziwego pochodzenia wychowawcy. Rzekoma panna Beydalle była naturalną córką księżnej z jej młodzieńczego romansu z Kazimierzem Rzewuskim. Pierwsza wielka miłość nieszczęsnej Cecylii okazała się uczuciem kazirodczym. Po tym ciosie panna Beydalle nie odzyskała już nigdy całkowitej równowagi psychicznej. Jej własne życie skończyło się. Pozostała tylko pięknym poetycznym cieniem, towarzyszącym nieodstępnie przyjaciółce i... siostrze. A oto następny znajomy karlsbadzki pana Tomasza, sławny wódz Legii Naddunajskiej, dymisjonowany generał dywizji Karol Kniaziewicz, bohater wszystkich wojen polskich ostatniego ćwierćwiecza, pierwszy generał polski, który odmówił współpracy z naczelnym wodzem Konstantym i opuścił Królestwo, postać wielbiona przez patriotów, marzących o odzyskaniu pełnej niepodległości. I wreszcie gospodarz polsko-rosyjskich sjezów karlsbadzkich, młody rosyjski arystokrata, intelektualista Michał Łunin, podówczas rotmistrz armii carskiej, okupującej Francję, ten sam Łunin, który za kilka lat pojawi się w Warszawie jako podpułkownik i adiutant wielkiego księcia - cesarzewicza, a jednocześnie jako tajny emisariusz na Królestwo rewolucyjnych spiskowców rosyjskich, uwiecznionych później w historii pod nazwą dekabrystów. Poza stosunkami z arystokracją polską, niemiecko-cesarską, saską i rosyjską generał Łubieński podtrzymywał także kontakty towarzyskie z "całą masą Prusaków", i to bardzo reprezentacyjnych. Z nieukrywaną dumą zawiadamiał żonę, że "Król Pruski rozmawiał (z nim) bardzo grzecznie". W następnych listach podawał

nazwiska innych poznanych znakomitości z "partyi pruskiej". Zestaw był rzeczywiście imponujący. W pierwszym pokojowym roku po kongresie wiedeńskim leczyli w Karlsbadzie swe wątroby, nadwerężone z winy Napoleona, najwybitniejsi wodzowie i politycy pruscy, z księciem-marszałkiem Blücherem i księciem-kancelerzem Hardenbergiem na czele. Zwycięzca spod Waterloo, stary Blücher - jedyny z wodzów koalicji, który sprzeciwiał się uwięzieniu Napoleona na Wyspie Świętej Heleny, domagając się dla "burzyciela Europy" plutonu egzekucyjnego - "starzec siwy, lubiący grę wysoką i hazardową, grywał w wiska po 20 cwancygierów, a każdemu dawał po zakończeniu cztery marki do wiska - połączone miedziane sześciograjcarówki". Kancelarz pruski Hardenberg pilnie popijał karlsbadzki "sprudel" i odbywał długie spacerowanie w towarzystwie pięknych pań. Myśl o francuskim orle, przykutym do atlantyckiej skały, nie zakłócała już nikomu spokoju ducha ani prawidłowego trawienia. Czasami wśród tej międzynarodowej elity pokongresowej Europy pojawiali się także pogrobowcy napoleonizmu, ale sytuacja ich była nie do pozazdroszczenia. "Przybył tu Xiążę Salm-Salm, dawny oficer mego pułku (w ostatnich latach wojny generał Łubieński dowodził 8. pułkiem szwoleżerów młodej gwardii, złożonym nie tylko z Polaków - M.B.), którego Ty także znałaś w Warszawie, ożeniony z panną Bacciochi, kuzynką Napoleona. Wszyscy się od nich odwracają, ja często u nich bywam i Wielopolskich z nimi poznałem. Jakże losy ich się odmieniły..." W drugiej połowie sierpnia generał otrzymał wiadomość, że Henryk Łubieński wraz z najmłodszym bratem Józefem, owym niedoszłym artylerzystą, przyjeżdżają do Drezna, aby zrealizować uchwałę rady rodzinnej. Rodzina zdecydowała, że dwudziestoletni Józef ma się uczyć górnictwa w kopalniach saksońskich. Pan Tomasz, który nie zdążył się jeszcze uwolnić od wszystkich przesądów szwoleżerskich, wcale nie był zachwycony zawodem wybranym dla brata. "Może nie mam racji - tłumaczył pani Konstancji w jednym z listów - ale sądząc po zwykłej lekkomyślności polskiej, przypuszczam, że niedługo zbrzydnie mu to rzemiosło, opuści go i tylko będą stracone pieniądze i czas, który by mógł być pożytecznie użyty na wyuczenie go rolnictwa, jedyne podług mnie zajęcia naturalnego szlachcica Polskiego..." Pan Tomasz tak bardzo chciał się spotkać z braćmi, że zdecydował się na przerwanie kuracji i wyjazd do Drezna. Niezależnie od względów rodzinnych, z Karlsbadu wypędzał go niepokój. Od chwili kiedy brat Henryk doniósł mu w swym liście o zapowiedzianym na przełom września i października przyjeździe do Warszawy cesarza-króla, generała poczęły nawiedzać obawy, podobne do tych, jakie odczuwał przy składaniu prośby o dymisję z wojska: lękał się, czy jego przedłużający się pobyt za granicą nie zostanie fałszywie zinterpretowany i czy nie zaszkodzi mu w oczach monarchy. W ostatnim liście wysłanym z Karlsbadu do żony wyraźnie się ten niepokój wyczuwa: "Błagam Ciebie, jedź do Warszawy, gdzie w tych czasach ma przyjechać Cesarz Alexander I..." Pierwsze tygodnie pobytu w Dreźnie upłynęły generałowi na wypełnianiu obowiązków rodzinnych i na konsultacjach w sprawie swojego zdrowia z lekarzami dworu saskiego Kreisigiem i Hendeniusem. Dzięki poparciu króla Franciszka Augusta udało się Józefa Łubieńskiego bez trudu umieścić w słynnej szkole górniczej we Fryburgu. Satysfakcję z tego osiągnięcia osłabiał nieco fakt, że na utrzymanie studenta rodzina musiała z własnej kieszeni dopłacać 100 dukatów. Zaczynał król saski

chętnie popierał synów swego dawnego ministra, ale podobnie jak oni był człowiekiem bardzo oszczędnym. Doktorzy Kreisig i Hendenius, po sumiennym zbadaniu generała i poddaniu go parotygodniowej obserwacji, wypowiedzieli się stanowczo za przedłużeniem leczenia jeszcze na kilka miesięcy. Pan Tomasz posłusznie podporządkował się temu werdyktowi. Poczta z ostatnich tygodni rozwiła całkowicie dręczące go lęki polityczne. Z listów nadchodzących z Warszawy wynikało, że pani Konstancja godnie reprezentowała męża na balach i przyjęciach urządzanych na cześć cesarza-króla. Wieści o jej sukcesach spotęgowały tęsknotę generała. Nie mógł już dłużej znieść rozłąki ze swoją piękną kasztelanką. Po dokładnym rozważeniu sprawy od strony budżetowej postanowił sprowadzić żonę do Drezna. "Oczekuję Kostunię przy końcu miesiąca... - pisał 15 października do ojca. - Dopiero po jej przybyciu zdecyduję się, czy tu zimować będziemy. Obawiam się, że będę może do tego zmuszonym, moja kuracya się przeciąga, ale gdym ją raz rozpoczął pod okiem takich doktorów, jak Kreisig i Hendenius, rozsądniej jest ją dokończyć. Bardzo chciałem wrócić na zimę do Warszawy, ażeby nie wyglądać na malkontenta, czem nie jestem. A teraz, gdy Kostunia była w Warszawie podczas pobytu i przyjęć dla Cesarza, sądzę, że może będę mógł tu spokojnie zimować. Towarzystwo jest tu przyjemne, a dużo przyjezdnych gości robi, że nie jest jednostajne. Panie tutejsze mają wprawdzie o wiele mniej dowcipu, nauki i kokieteryi niż nasze Polki, ale za to więcej prostoty i poczciwości! Mieszkanie dla żony mam już gotowe. Zdaje mi się, że Kostuni Drezno także będzie się podobać. Poznałem całe ciało dyplomatyczne i mam aż nadto znajomych i towarzystwa. Od czasu do czasu bywam u dworu, niedawno temu byłem na obiedzie. Król, Królowa i cała rodzina Królewska, byli uprzedzająco grzeczni dla mnie i bardzo łaskawie o Ojcu ze mną rozmawiali. W przeszły czwartek mieliśmy bal intime u Xiężnej Carignan, gdzie po raz pierwszy w życiu przyszła Xiężniczka Królewska i wszyscy Książęta i Księżne Królewskie. Tańczono wesoło i ochoczo, bal przeciągnął się aż do północy, co ogromne wrażenie zrobiło w całej Saxonii, bo nigdy przedtem Książęta Królewscy tak długo nie czuwali..." Przedłużanie się "wakacji zagranicznych" pana Tomasza dzięki staraniom małżonki nie zaszkodziło mu w oczach cesarza, natomiast spotkało się z wyraźną dezaprobatą starego ministra Łubieńskiego. Hrabia Feliks Walezjusz, aczkolwiek bardzo dbały o zdrowie syna, nie umiał się po prostu pogodzić z tak długą bezczynnością jednego ze swych potomków. Seniora rodu nie tyle zresztą irytował sam pobyt syna za granicą, co wyrażony przez niego w korespondencji zamiar poświęcenia się po powrocie "próżniaczemu życiu na wsi". W liście z 11 listopada syn generał sumitował się przed ojcem jak skarcony uczeń: "Ojciec mnie się pyta, co ja myślę robić i mówi, że tak w próżniactwie pozostać nie mogę. Jestem zupełnie tego samego zdania. Próżniactwo jest największym człowieka nieszczęściem, ale dzięki przykładom i wychowaniu, jakie ojciec nam dał, sądzę, że będę mógł spędzić czas na wsi nie tylko przyjemnie, ale dla kraju pożytecznie. Wcale nie dlatego, że się zmieniał i że poszukuję samotności, ale dlatego, że się na to zdecydował po dojrzałym namyśle, jako najwięcej odpowiadające mojemu usposobieniu, w danych okolicznościach, w jakich się znajdujemy..." Ale na poparcie tych słów czynami trzeba było jeszcze poczekać. Lekarze nawet słyszeć nie chcieli o skróceniu leczenia. Na domiar złego pani Konstancja także zaczęła niedomagać.

Zimą z roku 1816 na 1817 małżonkowie spędzili w Dreźnie na obopólnym kwękaniu, w nieustannym kontakcie z lekarzami i apteką. Ale z wiosną roku 1817 sytuacja uległa poprawie. Pani Łubieńska pozbyła się zimowych dolegliwości, generał zaczął odczuwać zbawienne skutki paromiesięcznej kuracji doktorów Kreisiga i Hendeniusa. W kwietniu po raz drugi przyjechał do Drezna Henryk Łubieński, aby skontrolować edukację górniczą Józefa i oddać pod opiekę generałostwa najmłodszą siostrę Rózię, która ukończyła już szesnasty rok życia i wymagała wprowadzenia w wielki świat. Pan Tomasz odniósł się do opieki nad panną Różą z właściwą sobie powagą i skrupulatnością. "Kostunia parę godzin codziennie będzie się z nią zajmować - pisał ojcu - bo to przyzwyczajenie, które nigdy nie trzeba zaniedbywać. Dzisiaj zaprowadzimy ją do teatru, gdzie dają Jana z Paryża i sławna Pani Grinbaur będzie śpiewać, a jutro na bal do Xiężnej de Savoye Carignan, gdzie będą Księżniczki Królewskie, którym ją zaprezentuję..." Latem cała rodzina wyjechała do Karlsbadu. Wysłany stamtąd, pod datą 9 lipca 1817 roku, list do ojca był ostatnim raportem generała Łubieńskiego z przeszło rocznego pobytu poza granicami Królestwa: "Kochany Ojcze. Bardzo jesteśmy kontenci z naszej kuracji w Karlsbadzie, ja już jestem zupełnie zdrow. Kostunia jutro postawi pijawki a pojutrze zacznie pić Sprudel. Rózi także ta kuracya wiele dobrego zrobiła. Mamy zamiar tu siedzieć aż do końca Lipca, i do Egra już nie pojedziemy, bo wbrew zwyczajowi ogólnemu, doktorzy nas tam potem nie posyłają. Pojedziemy więc do Drezna, gdzie tylko parę dni zabawiemy potem zaraz wracamy do kraju [...] Jest tu Król Pruski i bardzo wiele osób, wszyscy gonią za przyjemnością, mało osób ją znajduje. Chociaż trybu życia tutejszego nie lubię, jednak dosyć dobrze się bawię, mając za zasadę i w moim charakterze wyć z wilkami i ze wszystkiego korzystać. Ale ciągle myślę o powrocie do kraju". Jesienią 1817 roku państwo Łubieńscy byli już u siebie w Rejowcu. Rozdział X Niezwłocznie po powrocie z zagranicy generał Łubieński zagłębił się po uszy w "kłopotarstwie gospodarstwa", jak żartobliwie nazywał w listach do ojca swoje rozliczne prace przy podnoszeniu stanu gospodarczego zaniedbanych dóbr rejowieckich. "Straszne pieniądze" wydane na leczenie amortyzowały się w szybkim tempie. Generał był w znakomitej formie, kipiał energią i inwencją. Jego ówczesna korespondencja z ojcem sprawia wrażenie drobiazgowego dziennika zajęć i inwestycji gospodarczych wzorowego ziemianina. Był szef pierwszego szwadronu szwoleżerów "Gwardyi Polsko-Cesarskiej" ze zwykłą pedanterią roztaczał przed byłym ministrem Księstwa Warszawskiego szeroką panoramę swoich aktualnych osiągnięć i satysfakcji, nie oszczędzając mu żadnego szczegółu. Można się więc z tych listów dowiedzieć, jak to niedawny towarzysz spacerów karlsbadzkich księżnej Marii Wirtemberskiej i uczestnik dworskich obiadów w Dreźnie rozwoził po swoich polach "1500 fur gnoju", jak montował sieczkarnię wodną, "wędził brachę" na paszę dla bydła, uczył chłopów obchodzenia się z nowoczesnymi pługami, "stawiał śpikrze, zakładał fundamenta, murował słupy", zwalczał "śniedź w jęczmieniu i pszenicy", dociekał "sekretu proporcji krwi bydłowej, mąki i wapna niegaszonego, żeby się kit od wody nie rozpuszczał" itd... itd... itd... Niekiedy z tego trudnego do ogarnięcia i podsumowania bogactwa szczegółów agrotechnicznych wyłania się jednak coś, co nawiązuje bezpośrednio do sławnej przeszłości. Dokładnie w tym samym czasie, kiedy generał Wincenty Krasiński

urządzał w Opinogórze swoje szwoleżerskie manewry, uganiając się konno po polach z garstką dawnych podwładnych, generał Tomasz Łubieński uruchamiał w Rejowcu eksperymentalny samorząd gospodarczy, wyraźnie wzorowany na radzie administracyjnej Pierwszego Pułku Lekkokonnego Polskiego gwardii napoleońskiej. "Tak się rzecz przedstawia - pisał o tym w liście do ojca - cały majątek administrowany jest podczas mojej nieobecności przez radę gospodarczą, złożoną z rachmistrza, ekonoma i leśniczego. Pierwszy trzyma pióro. Rada rozporządza robotami na cały tydzień i zamyka rachunki pieniędzy, zboża, lasów i inne, tak że co tydzień wszystkie rachunki zamknięte. Kasa główna jest pod kluczem wszystkich trzech, mała kasa jest w ręku Rachmistrza..." Reformy te dokonywały się nie bez udziału dawnych podkomendnych generała. Nie tylko w Opinogórze, ale również w Rejowcu znajdowali przytułek "wycofani z obiegu" szwoleżerowie. "Mam nowego ekonoma - czytamy w którymś z listów. - Jest to dawny oficer mego pułku, który był w nędzy, nie jest on może bardzo w tem uczony, ale pełen dobrych chęci. Mam takiego nowotnego pisarza, dawnego gwardzistę, wcale do owej rzeczy niewprawny, ale był bardzo biednym i nieszczęśliwym..." Już w pierwszych dniach listopada pan Tomasz uzyskał przekonujący dowód, że jego nowe metody gospodarowania zdały egzamin i zdobyły sobie szerokie uznanie wśród ludności chłopskiej. Uszczęśliwiony pisał do ojca: "Cesarz nasz Król na pamiątkę swego wyjazdu do Warszawy ufundował rodzaj loteryi, w której po dwóch włościan z każdego Województwa wygrywa po 6000 złp. na zakupienie sobie na własność wieczystą gruntu własnego wyboru. Jeden z tych, który tego roku wygrał w Lubelskim, do mnie się udał i dał tym sposobem niejako świadectwo, że jestem dobrym i sprawiedliwym dla moich włościan. Zobowiązałem się mu wybudować dom, oborę, stodołę i dwa chlewki. Wystawię mu to w jednej wsi, gdzie mi się ludzie dosyć porozchodzili i pobiednieli, a dobry ten przykład na innych podziała..." Ale w kilka tygodni później dobre samopoczucie pana Tomasza ulotniło się bez śladu. W uporządkowany spokój Rejowca wtargnęły odgłosy zdarzeń stołecznych, przypominając zadowolonemu z siebie ziemianinowi, na jakim żyje świecie. Pewnego grudniowego dnia doszła go wiadomość z Warszawy o groźnym konflikcie między jego bratem Henrykiem a wielkim księciem Konstantym. Najobrotniejszy z braci Łubieńskich wyładowywał w owym czasie swoją niespożytą energię i pomysłowość głównie w działalności charytatywnej. Bazą jej było powstałe w Warszawie w roku 1816 Towarzystwo Dobroczynności, grupujące w swoim zarządzie panie i panów z najwyższej arystokracji polskiej, z piękną ordynatową Zofią z Czartoryskich Zamoyską na czele. Instytucja ta - wyszydzona tak złośliwie przez J.U. Niemcewicza w eklodze Nasze stosunki towarzyskie

- pomimo swego charakteru towarzysko-snobistycznego, była imprezą niezmiernie pożyteczną, zwłaszcza w okresie powojennej biedy i panoszenia się wszelkiego rodzaju chorób. Dochody z balów, went, loterii fantowych i koncertów artystycznych, organizowanych przez Towarzystwo, szły w całości na szpitale, przyczyniając się do złagodzenia cierpień i polepszenia doli najbardziej upośledzonych. Brat pana Tomasza należał do najczynniejszych i najruchliwszych działaczy Towarzystwa. Przystojny, bogaty, doskonale ułożony, dowcipny, a przy tym niewyczerpany w pomysłach i obdarzony świetnymi zdolnościami organizacyjnymi - pan Henryk był

uwielbiany przez arystokratyczne damy z zarządu Towarzystwa i jak stwierdza zaprzyjaźniony z Łubieńskimi pamiętnikarz Józef Krasiński - "trząsał tam wszystkim". Ponieważ Towarzystwo, pomimo dużych dochodów, nie było w stanie zaspokoić wszystkich potrzebujących pomocy, opiekujący się szpitalami Henryk Łubieński znajdował się pod ciągłym ostrzałem samorządnych kontrolerów społecznych, oskarżających go o nadużycia i składających na niego donosy do rozmaitych władz. W wyniku jednego z takich donosów na początku grudnia 1817 roku w szpitalach podlegających Towarzystwu przeprowadzono na rozkaz wielkiego księcia gruntowną rewizję, która nie wykryła zresztą żadnych uchybień. Łubieński, oburzony bezprawnym postępowaniem cesarzowicza, postanowił udzielić mu nauczki. Przez swoje stosunki w redakcjach sprawił, że wkrótce po rewizji, 9 grudnia 1817 r., dwa naczelne pisma stołeczne "Gazeta Warszawska" i "Gazeta Korespondenta Warszawskiego i Zagranicznego", ogłaszając sprawozdania z działalności Towarzystwa Dobroczynności, przemyściły w nich następującą informację: "Jego Cesarzowicza Mość, W. Xiążę Konstanty rozkazał Xięciu Janowi Galicynowi obezpieczyć Instytut Dobroczynności. Udawszy się Xiążę do Grzybowej Woli i Franciszkanów, wchodził w najdrobniejsze szczegóły, wypytywał się o wszystko, zapisywał najmniejsze drobnostki, aby o wszystkim dokładny zdać Wielkiemu Xiążęciu raport". "Nazajutrz po ukazaniu się komunikatu - pisze w pamiętniku Leon Dembowski - Henryk Łubieński został wezwany do W. Księcia i ostro napominany za to, że ośmielił się zamieścić w prasie tę informację. W. Książę długo mu wyjaśniał, że szpitale podlegają N. Cesarzowej Matce i że on sam (w. książę) nie ma prawa zarządzać w nich rewizji, że więc wizyta Galicyna w szpitalu miała charakter wyłącznie sprawdzający pewne doniesienia o nadużyciach. W tej sytuacji Łubieński nie miał prawa podawać tej sprawy do publicznej wiadomości. W rezultacie tej rozmowy Konstanty kazał żandarmom zaprowadzić Łubieńskiego na dziedziniec Saski, który polecono mu zamiatać wraz z aresztantami..." Historia rzeczywiście szokująca, zwłaszcza jeśli się zważy, że wydarzyło się to zaledwie w parę miesięcy po powrocie Łubieńskich z zagranicy, gdzie byli tak serdecznie przyjmowani na królewskim dworze i obcowali na stopie towarzyskiej z największymi tuzami pokongresowej Europy. Jakie było prawdziwe tło sprawy, nie wiadomo. Trudno wykluczyć, że Henryk Łubieński istotnie dopuścił się jakiegoś naruszenia przepisów, prowokując tym reakcję Konstantego, który wprost obsesyjnie nienawidził wszelkich nadużyć finansowych i porządkowych. Prawdopodobniejsze wydaje mi się jednak, że zaostrenie czujności wielkiego księcia wynikało z przyczyn natury politycznej i wiązało się z niedawnym zachowaniem się Łubieńskiego po śmierci Tadeusza Kościuszki. Stary Naczelnik zmarł w Solurze w Szwajcarii 15 października 1817 roku. W ciągu listopada tegoż roku, czyli bezpośrednio przed rewizją w szpitalach, pan Henryk, przy współudziale swego przyjaciela "Antosia" Jabłonowskiego (tym zdrobniałym imieniem nazywano młodego księcia, eks-szwolera, w korespondencji rodzinnej Łubieńskich), organizował z właściwym sobie rozmachem i szumem publiczne składki na uroczysty obchód żałobny i nabożeństwo za duszę zmarłego bohatera. Co prawda później sam cesarz-król osobiście objął patronat nad sprowadzeniem do kraju zwłok Kościuszki i wydelegował po nie do Solury tegoż księcia Antoniego Jabłonowskiego, ale samorządna, "nie uzgodniona" demonstracja

patriotyczna Łubieńskiego mogła rozżłościć porywczego brata cesarskiego i skłonić go do wykorzystania pierwszego lepszego donosu na Towarzystwo Dobroczynności dla skompromitowania zbyt przedsiębiorczego panicza. Stało się jednak inaczej: skompromitowany został wielki książę i chyba nikt włącznie z Konstantym nie mógł mieć wątpliwości, że Henryk Łubieński swoją skwapliwą publikacją w prasie ten właśnie cel chciał osiągnąć. W rezultacie zuchwały brat pana Tomasza padł ofiarą jednego z tych wściekłych wybuchów gniewu wielkorządcy, które kartę swobód konstytucyjnych Królestwa zmieniały w nic nie znaczący świstek papieru. Gapie warszawscy, przyglądając się tego ranka uprzątanemu placu Saskiego, byli świadkami osobliwego widowiska. Wśród sprzątających aresztantów zwijał się przy taczkach młody, elegancko ubrany człowiek, w którym każdy warszawiak mógł bez trudu rozpoznać widywanego przy różnych publicznych okazjach syna eks-ministra Łubieńskiego, a ponadto właściciela okazałego pałacu na Królewskiej tudzież jurydyki Bielino. Łubieńscy - jak wspomniałem - nie mieli dobrej marki u ludności stolicy, można także śmiało zaryzykować twierdzenie, że w tłumie przyglądających się ceremonii sprzątanego znajdowało się wielu zdecydowanych przeciwników arystokracji w ogóle, ale kara zastosowana wobec Henryka Łubieńskiego była tak nieproporcjonalna do przewinienia i tak z gruntu obca polskim tradycjom, że wątpić należy, czy ktokolwiek myślący po polsku odważyłby się otwarcie zaaprobować upokorzenie młodego magnata. Łatwo można sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywołał ten skandal w arystokratycznych salonach warszawskich, których pan Henryk był ulubieńcem i gwiazdą pierwszej wielkości. Z jakim gorączkowym pośpiechem rozplotkowane listopisarki stołeczne musiały rozpowszechnić tę sensację po wszystkich pałacach polskich od Wielkiego Księstwa Poznańskiego po Galicję i Ukrainę. Nie ulega też wątpliwości, że zainteresowano się tą wiadomością na paru zagranicznych dworach monarszych, gdzie nazwisko Łubieńskich było dobrze znane. Trudno się dziwić, że niektórzy kronikarze tamtych czasów wymieniają sprawę Henryka Łubieńskiego wśród najjaskrawszych gwałtów wielkiego księcia-cesarzewicza na równi z samobójstwem kapitana Michała Wilczka. Tyle że sprawa pana Henryka zakończyła się szczęśliwiej niż sprawa Wilczka. Łubieński miał inną pozycję społeczną i nie cierpiał na szwależerską nadwrażliwość honoru. Leon Dembowski opowiada, że tego samego dnia wieczorem Henryk Łubieński zjawił się na Grzybowie w salonie pani Gutakowskiej (siostry Joanny Grudzińskiej, późniejszej żony Konstantego). Bywał tam także częstym gościem wielki książę Konstanty. Pani domu, znając już dokładnie całą sprawę, nie chciała dopuścić do ich spotkania: doradziła więc Łubieńskiemu ukrycie się w pokoju przylegającym do salonu i opuszczenie mieszkania w odpowiednim momencie innym wyjściem. Ale spotkania nie udało się uniknąć, gdyż wielki książę szukając Joanny Grudzińskiej wpadł do pokoju, gdzie ukryto Łubieńskiego, a zobaczywszy go rzekł spokojnie: "Et pourquoy ne venez Vous pas au salon, ce qui c'est passe le matin, est tout a fait oublie; venez donc. Ile ne faut pas priver la societe de Notre presence (A dlaczego nie idzie pan do salonu, to, co się stało rano, zostało zapomniane, niechże pan idzie; nie trzeba pozbawiać towarzystwa naszej obecności)". Tak więc poranny skandal na placu Saskim - który zbulwersował Warszawę i drogą korespondencji począł się już rozchodzić na całe Królestwo, a nawet poza jego granice - został

całkowicie zażegnany jeszcze tego samego wieczora gładko i po francusku. Ale komunikacja nie była wówczas tak szybka jak dzisiaj i w licznych siedzibach Łubieńskich, porozrzucanych po całym kraju, miano dość czasu, aby się porządnie nadenerwować gniewem wielkorządcy i rodzinnym dyshonorem. W każdym razie 21 grudnia było już po wszystkim i generał Tomasz Łubieński mógł z Rejowca przekazać przebywającemu w Ustroniu pod Strzemieszycami "Panu Ministrowi" radosną wiadomość, że "sprawa Henryka z Wielkim Księciem Bogu dzięki szczęśliwie się skończyła". Po tym gwałtownym wstrząsie rodzinnym dziedzie Rejowca z nie ostygniętym zapalem powrócił do swoich zajęć ziemiańskich, starając się nadal godzić dwa cele, do pogodzenia dosyć trudne: pomnażanie własnego majątku i "uszcześliwianie" chłopów. Ponieważ nie ma sensu wprowadzać czytelników w skomplikowane i wymagające fachowego pióra arkana działalności gospodarczej generała Łubieńskiego, postaram się w zamian przedstawić tu jego stosunki rodzinno-towarzyskie w pierwszych latach Królestwa. Zmieści się to doskonale w ramach tematycznych książki, gdyż wśród sąsiadów, przyjaciół i bliskich znajomych generała co krok się spotyka jego dawnych kolegów z Towarzystwa Przyjaciół Ojczyzny i z pułku szwoleżerów. A więc przede wszystkim ów "prawie szwoleżer" - Józef Maciej Wawrzyniec Onufry hrabia Korwin-Krasiński, pan na Radziejowicach, Zegrzu i Sterdyni. Jowialny i dobroduszny Oboźnica był chyba zupełnym przeciwieństwem swego ambitnego kuzyna z Opinogóry*. (* Ojcowie Józefa i Wincentego Krasińskich: Kazimierz - oboźny wielki koronny i Jan - starosta opinogórski byli braćmi stryjecznymi.) Generał Wincenty Krasiński, w miarę jak się wnika w dokumentację jego życiorysu, budzi u biografów coraz więcej zastrzeżeń i wątpliwości. Z Oboźnicą Krasińskim rzecz ma się odwrotnie: im lepiej go się poznaje, tym wydaje się sympatyczniejszy i bardziej ludzki. Zwłaszcza gdy obcuje się z nim za pośrednictwem jego barwnych, z talentem napisanych Wspomnień. Co za szkoda, że tych wspomnień w ich autentycznym kształcie zachowało się tak niewiele*. (* Józef Krasiński pozostawił po sobie 16 woluminów wspomnień, które przechowywane początkowo w archiwum radziejowickim, a następnie przeniesione do zbiorów Biblioteki

Krasińskich w Warszawie - przepadły w pożarach ostatniej wojny. Znamy dziś jedynie ich drobną część (około 180 stron) opublikowaną przez historyka Józefa Bojasińskiego w Bibliotece Warszawskiej z lat 1912-1913. Niezależnie od tego istnieje wydany wcześniej w formie książkowej (Poznań, 1877) wyciąg z całości pamiętnika, sporządzony w kilka lat po śmierci Oboźnicy przez lekarza domowego Krasińskich doktora F. Reuttowicza. Jednakże daleko posunięta dowolność tej adaptacji i jej nieporadny styl, nie przypominający w niczym oryginału - dyskwalifikują ją w znacznym stopniu jako źródło historyczne.) Po powrocie z kampanii napoleońskich* (* Barwny i dramatyczny opis przygód wojennych Józefa Krasińskiego, zaczerpnięty z jego Wspomnień, wykorzystałem w obszernych fragmentach w książce Kozietałski i inni.) Józef Krasiński - człowiek ogromnie bogaty* (* Bogactwo J. Krasińskiego wynikało głównie z podwójnego związku z rodem Ossolińskich. Matką jego była Anna z Ossolińskich córka Macieja, miecznika litewskiego, żoną - Emilia z Ossolińskich, córka Antoniego, starosty sulejowskiego.) i całkowicie pozbawiony ambicji politycznych - nie miał najmniejszego zamiaru

szukać szczęścia w służbie wojskowej czy cywilnej nowo powstałego Królestwa Polskiego. Był też podobno bardzo zaskoczony, kiedy po pierwszym pobycie w Warszawie cesarza Aleksandra I otrzymał niespodzianie (1 grudnia 1815 r.) nominację na szambelana dworu. Łaskę tę według powszechnego mniemania zawdzięczał swej żonie - pani Emilii z Ossolińskich, która kilkanaście miesięcy wcześniej miała okazję wyświadczyć pośrednio ważną przysługę wielkiemu księciu Konstantemu. W końcu roku 1814, po przybyciu cesarzewicza do Warszawy, wyłoniły się pewne trudności przy wprowadzaniu go w życie towarzyskie stolicy. Wynikało to stąd, że Konstanty występował wówczas wszędzie ze swoją oficjalną metresą i matką swego syna - panią Frederiksową, której arystokratyczne damy warszawskie za nic nie chciały u siebie przyjmować. Przełamanie tych oporów wziął na siebie usłużny generał Wincenty Krasiński, wydając pierwszy bal na cześć nowego naczelnego wodza. Ponieważ pani Maria z Radziwiłłów Krasińska przebywała jeszcze w Paryżu, honory domu w jej zastępstwie zgodziła się pełnić ubłagana przez kuzyna generała pani Józefa Krasińska. Impreza udała się nadspodziewanie i groźny kryzys towarzysko-polityczny dzięki niej zażegnano, nic więc dziwnego, że w rok później małżonek uprzejmej gospodyni balu, eks-major Gwardii Narodowej i eks-podpułkownik 1 pułku strzelców konnych armii Księstwa Warszawskiego Józef Krasiński stał się szambelanem dworu cesarsko-królewskiego. Prostoduszny pan Józef, o wiele mniej łąsy na zaszczyty niż krewniak z Opinogóry, ustosunkował się do wyróżnienia z należyty dystansem. Bardzo zabawnie opisuje we Wspomnieniach swój debiut szambelański podczas pobytu w Warszawie cesarzowej-matki, kiedy to wielki szambelan dworu, przybyły z Petersburga stary książę Naryszkin, kazał mu chodzić za sobą i pilnować przyczepionego z tyłu fraka brylantowego krzyża, "żeby mu go w ciżbie nie oderwano i nie ukradziono". Z opisu widać, że obowiązki szambelańskie trafiały się rzadko i nie były zbyt uciążliwe ani zbyt absorbujące. Resztę swego czasu mógł pan szambelan spokojnie poświęcać grze w karty, a także innym, znacznie pożyteczniejszym rozrywkom kulturalnym. Głównym terenem wielostronnej działalności towarzysko-kulturalnej Józefa Krasińskiego były jego dwie rezydencje: zimowa w warszawskim pałacu przy ulicy Mazowieckiej* (* Pałac i sąsiadująca z nim kamienica Józefa Krasińskiego znajdowały się przy rogu Mazowieckiej i dzisiejszej Kredytowej, gdzie później postawiono gmach Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.) i letnia - w majątku Radziejowice, odległym zaledwie o kilkanaście kilometrów od Guzowa, siedziby rodowej Łubieńskich (stąd przyjaźń od dzieciństwa z Tomaszem Łubieńskim i jego braćmi). W pierwszych miesiącach po wojnie warszawski dom pana Józefa, gościnnie dla wszystkich otwarty, stał się przytułkiem dla różnych wybitnych wojskowych polskich. Po wyjściu z niewoli rosyjskiej odpoczywał tam generał Józef Zajączek, nie przeczuwający jeszcze wtedy, że wkrótce obejmie najwyższy urząd w kraju. Potem leczył się u Oboźnicy z wojennych ran pułkownik Jan Zygmunt Skrzynecki, późniejszy naczelny wódz powstania. Na koniec rozgościł się na Mazowieckiej na czas dłuższy spowinowacony z panem Józefem generał Karol Kniaziewicz, zmuszony do przebywania w stolicy swoimi obowiązkami w Komitecie Wojskowym*. (* Komitet Wojskowy, któremu przewodniczył wielki książę Konstanty, został powołany przez Aleksandra I dla przeprowadzenia reorganizacji

armii. Generał Kniaziewicz jeden z pierwszych z komitetu wystąpił, nie mogąc się pogodzić z polityką cesarzewicza.) Nie byli to goście przypadkowi. Ze Skrzyneckim wiązały Oboźnicę lata przyjaźni, z Zajączkiem i Kniaziewiczem - wspólne przeżycia wojenne, zwłaszcza w bojach nad Berezyną w 1812 roku. Gdyby nie ofiarna pomoc ówczesnego podpułkownika Józefa Krasieńskiego, obydwaj dywizjonerzy - ciężko wtedy ranni - według wszelkiego prawdopodobieństwa nie wyszliby stamtąd żywi. Niezależnie od tych gości honorowych, dom Oboźnicy nawiedzało wielu innych, mniej znanych oficerów, przeważnie dawnych kolegów z Gwardii Narodowej i pierwszego pułku strzelców. Na atrakcyjność domu przy Mazowieckiej składały się różne czynniki: serdeczna gościnność gospodarza, niewymuszona i prawdziwie demokratyczna atmosfera, sprawiająca, że mieszczańscy weterani czuli się tam równi gościom z najwyższej arystokracji, smaczna i obfita kuchnia, zawsze gotowe stoły do lombra i bostona, duch rozmów obywatelski, treść - urozmaicona i pouczająca. Ciężenie byłych napoleończyków do magnata, który za pierwszym pobytom cesarza-króla w Warszawie zaszczycony został wysoką funkcją dworską, zwróciło na jego dom podejrzliwą uwagę policji wielkiego księcia. Szpiegów Konstantego interesował przede wszystkim generał Kniaziewicz, który w Komitecie Wojskowym konsekwentnie przeciwstawiał się polityce nowego naczelnego wodza. Nad pałacem na Mazowieckiej roztaczano baczny nadzór. Zasłużony wódz Legii Naddunajskiej łupał sobie najspokojniej w bostona, tymczasem nerwowi konfidenci wypisywali sążniste raporty na temat montowania przez niego tajnych spisków w porozumieniu z bonapartystami francuskimi. "Ci tedy panowie satelici nie tylko że nas co dzień nachodzili - czytamy we Wspomnieniach pana Józefa - lecz co gorsza - mowami swojemi wyciągali na rozmowy polityczne, żeby koniecznie coś wybadać lub też złapać za jakieś słówko, co im się nie udało, lecz nasze niewinne zabawy sparaliżowało, a Kniaziewicza z Warszawy wygryzło..." Oboźnica poświęca sporo miejsca nachodzącym jego dom agentom cesarzewicza. Zdarzało mu się odkrywać ich niekiedy nawet wśród dawnych znajomych wojskowych, oficerów wysokich stopni. Jako jednego z głównych szpiegów wymienia we Wspomnieniach "adjutanta W. Księcia generała Kamienieckiego, dawnego adiutanta księcia Józefa Poniatowskiego"*.

(* Sprawa ta nie jest całkowicie jasna. Wiele przemawia za tym, że konfidentem wielkiego księcia był generał dywizji Ludwik Kamieniecki [1758-1816], początkowo adiutant przyboczny Poniatowskiego, a pod koniec jego zastępca w ministerstwie wojny - najbardziej podejrzany członek koterii spod Blachy, oskarżany już w roku 1792 o współpracę z Rosjanami. Ale Ludwik Kamieniecki, wbrew informacji pamiętnikarza, nie był nigdy adiutantem wielkiego księcia Konstantego. Szczegółu tego nie można lekceważyć, gdyż książę Józef w okresie Księstwa Warszawskiego miał jeszcze drugiego adiutanta o tym samym nazwisku: podpułkownika Jana Kamienieckiego [1785-1833], który po reorganizacji armii rzeczywiście został mianowany adiutantem wielkiego księcia. Ale ten drugi Kamieniecki nie był znowu nigdy generałem. W wersji doktora Reuttowicza nazwisko Kamienieckiego podawane jest w ogóle bez stopnia, może więc nie było go również w oryginalnym tekście Wspomnień, a historyk Józef Bojasiński, redaktor fragmentów drukowanych w Bibliotece Warszawskiej, dopisał stopień generalski z własnej gorliwości, zasugerowany złą sławą generała Ludwika Kamienieckiego.

Wobec zniszczenia pierwowpisu Wspomnień wątpliwości tych nigdy już nie uda się wyjaśnić.) Zdemaskowanie agenta nastąpiło przypadkowo. Kiedyś - a było to nazajutrz po wizycie Kamienieckiego na Mazowieckiej - pan Józef odwiedził go bez uprzedzenia w zamiarze zakupu z jego stajni wierzchowca dla swej małżonki. Kiedy Kamieniecki wyszedł na podwórze, aby rozejrzeć się za odpowiednim koniem, Krasieński zwrócił uwagę na rozłożony na biurku papier, na którym dostrzegł swoje nazwisko. Był to raport do wielkiego księcia, opisujący dokładnie przebieg zebrania towarzyskiego na Mazowieckiej z poprzedniego dnia. Ze szczegółowym podaniem nazwisk gości i tego, co kto mówił. Oboźnica zareagował na to odkrycie z właściwym sobie poczuciem humoru. Przystudiował uważnie cały raport, po czym wykreślił jedno zdanie i napisał nad nim: "Nie, tego nie mówiłem", a po powrocie właściciela mieszkania wykreślił się pod jakimś pozorem od kupna konia i wyszedł. Nauczka poskutkowała. Kamieniecki przestał bywać na Mazowieckiej, ale zastąpili go inni. "Wygryziony" z Warszawy Kniaziewicz przeniósł się do gościnnego dworu w Radziejowicach. Nie mam pojęcia, jak wyglądała wtedy radziejowicka siedziba pana Józefa, natomiast ze Wspomnień wynika, że jej obecny neogotycki kształt z dwiema romantycznymi basztami (jedna z nich stanowi dzisiaj ulubiony azyl wakacyjny popularnego felietonisty - muzykologa Jerzego Waldorffa) narodził się właśnie w związku z ówczesnym pobytem w Radziejowicach nękanego przez szpiegów Kniaziewicza. Józef Krasieński tak o tym pisze: "(Kniaziewicz) zabrawszy Jelskiego * (* Ludwik hrabia Jelski - jeden z przyjaciół Józefa Krasieńskiego i braci Łubieńskich, późniejszy prezes Banku Polskiego, w czasie powstania minister skarbu.) i małego Antosia Alfonse, syna pułkownika*, (* Jeden z najbliższych przyjaciół J. Krasieńskiego - pułkownik kwatermistrzostwa Aleksander d'Alfonse, osiadły w Polsce oficer napoleoński, autor kilku znakomitych prac z dziedziny topografii. W Radziejowicach zachował się do dziś jego pomnik, wystawiony przez Krasieńskiego.) dla zabawy, bo był to prawdziwy ulicznik paryski, pojechali do Radziejowic, gdzie kilka tygodni siedząc, bawili się straszaniem Alfonsika strachami, co mnie potem na myśl podało zrobienia z pałacu radziejowickiego starego zamku z romansów pani Radcliffe *..." (* Anna Radcliffe [1764-1823], pisarka angielska, autorka poczytnych w Polsce powieści historycznych.) Straszenie duchami nie zawsze było jedyną rozrywką gości radziejowickich. Dzięki energii i wysiłkom fizycznym i duchowym pana szambelana Krasieńskiego w Radziejowicach w roku 1816 powstał poważny ośrodek teatralny. "Ja całe życie lubiący zawsze kleić jakieś fabryczki - wspomina pan Józef - za pomocą prostego chłopca cieśli [...] zbudowałem [...] teatr z tarcic z machinami, lożami, parterem, galerią, garderobami, tak kompletny, że mógłby być użyty w jakim prowincjonalnym miasteczku". Latem 1816 roku pan szambelan przy udziale swych przyjaciół: czterech braci Łubieńskich (Tomasza, Henryka, Piotra i Jana), generała Franciszka Morawskiego i kapitana Józefa Mieroszewskiego, adiutanta namiestnika Zajączka, wystawił z ogromnym powodzeniem sztukę księcia Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich*, (* Mąż księżnej Izabeli, ojciec Adama Jerzego, Konstantego, Marii Wirtemberskiej i Zofii Zamoyskiej.) Panna na wydaniu. Wśród aktorów przedstawienia największy sukces odnieśli: brat generała Tomasza Łubieńskiego - Henryk oraz piękna żona jego drugiego brata - Barbara z Szymanowskich Piotrowa Łubieńska. Początkowo grano

tylko sztuki znane z repertuaru teatrów zawodowych, lecz z czasem zastąpiła je twórczość własna. Z inicjatywy Franciszka Morawskiego i Kajetana Koźmiana - dzielących, jak widać, swój czas sprawiedliwie między dwie linie rodu Krasińskich - zaczęło się improwizowanie sztuk. Ustalano zasadniczą treść i rozdawano role bez słów. "Formowało to do zadziwienia dowcipne komedye - czytamy we Wspomnieniach - z których potem Morawski napisał kilka pięknych sztuk i oddał na Teatr Warszawski". Pan szambelan również zabrał się do twórczości dramatycznej. W Radziejowicach zainstalowano drukarnię nabytą po skasowanym zakonie benonitów, obowiązki redaktorki literackiej objęła pani Elżbieta z Krasińskich Jaraczewska, rodzona siostra gospodarza, podczas gdy on sam puścił wodze natchnieniu. A że dowcipu nigdy mu nie brakowało, a łatowść pisania miał zadziwiająca, więc spłodził tych sztuk ogółem (oryginalnych bądź adaptowanych z obcych języków) bez mała pięćdziesiąt. Niektóre z nich, jak na przykład operetka w dwóch aktach Zamek na Czorsztynie z muzyką Kurpińskiego, doczekały się później premiery na scenie Teatru Narodowego w Warszawie. Zmajstrowany przez Oboźnicę teatrzyk radziejowicki stał się sensacją okolicy. Zjeżdżało się na przedstawienie całe obywatelstwo z sąsiedztwa i mieszczaństwo z pobliskiego Mszczonowa. "Jeszcześmy przy obiedzie siedzieli - chęłpi się pan Józef - a już teatr był pełny jak kościół w czasie odpustu". Ale działalność teatralna zaspokajała jedynie część wielostronnych zainteresowań sympatycznego szambelana. Do jego głównych pasji należały geografia i topografia. Nie darmo przyjaźnił się tak serdecznie ze znakomitym topografem wojskowym pułkownikiem Aleksandrem d'Alfonce, nie darmo najchętniej przyjmowanymi gośćmi na Mazowieckiej i w Radziejowicach byli zagraniczni podróżnicy, odwiedzający Polskę. Wynikiem tych zainteresowań był pierwszy nowoczesny przewodnik po Polsce, wydany przez Józefa Krasińskiego w roku 1819 w języku francuskim Guide de voyageurs en Pologne. Praca ta - wzorowana na znanych przewodnikach po Europie Niemca Reicharda - osiągnęła duże powodzenie i w krótkim czasie została przełożona na polski, niemiecki, angielski i rosyjski. Warto zaznaczyć, że autorem przekładu niemieckiego był sam słynny Christian Gottlieb Reichardt, który nie szczędził najwyższych pochwał swemu pojętnemu uczniowi. Laury autorskie nie satysfakcjonowały szambelana. Jego czynna natura popychała go w kierunku pracy bardziej konkretnej. Znalazł ją wkrótce i zajął się nią z takim powodzeniem, że rezultaty jej podziwiać możemy jeszcze dzisiaj. "Mieszkał u mnie za biletem kwaterunkowym Józef Mieroszewski, mój przyjaciel i kolega wojskowo-teatralny - opowiada we Wspomnieniach. - Zawsze wesoły, zabawny, teraz adiutant Księcia-Namiestnika i mający od niego poleczone sobie budowanie pierwszej drogi, robionej sposobem chaussee od ulicy Nowy Świat do Rogatek Jerozolimskich*... (* Nazwa Rogatek Jerozolimskich i prowadzącej do nich alei wywodzi się od osady Nowa Jerozolima, którą utworzyli Żydzi po wydaleniu ich ze śródmieścia.) Ten rodzaj dróg nie był jeszcze znany w naszym kraju. Do roboty użyto samych więźniów z prochowni, bez żadnych inżynierów i konduktorów, a zatem w wielu rzeczach zachodziły takie trudności, że Mieroszewski nie mógł dać sobie rady i mnie wezwał na pomoc..." W ten sposób przyjaciel pana Tomasza Łubieńskiego i wielu innych szwoleżerów stał się budowniczym jednej z głównych arterii dzisiejszej Warszawy - Alei Jerozolimskich. "Nie mając nic lepszego do roboty, chętnie się tego

podjąłem - czytamy w dalszym ciągu Wspomnień - lecz napotykałem dużo przeszkód, najbardziej z powodu braku funduszy, gdyż żadnych skarbowych nie było i jedynie Namiestnik, który jadąc na spacer uwiązał tam w błocie i dlatego postanowił tę pamiątkę po sobie zostawić potomności, ze swojej własnej szkatuły na to łożył". Pan Józef okazał się świetnym, pomysłowym kierownikiem budowy. Natychmiast po przystąpieniu do pracy pojechał do jednego ze stołecznych "domów poprawczych" i w rejestrach więziennych odkrył starego geometrę, skazanego na wiele lat za "fabrykację prawnych dokumentów". Wyrobił mu, że resztę kary będzie od kajdan uwolniony, byle się trudził robotą koło drogi. "Jakoż mieliśmy w nim najlepszego inżyniera, rzecz dokładnie znającego". Następną przeszkodą w budowie drogi stały się ogromne głazy zalegające trasę, w okolicy obecnego hotelu "Polonia". Z tym także sobie pan Józef poradził, gdyż w czasie studiów w Niemczech i "ciąglego w Wieliczce bywania" nauczył się sztuki rozsadzania najpotężniejszych nawet skał. Kończąc wspominki na temat budowy Alei Jerozolimskich, konkluduje z wyraźnym zadowoleniem: "Praca ta dość długo rozrywała mnie i trudziła i mogę sobie bez chluby powiedzieć, jeżdżąc spacerem po tej ślicznej ulicy, iż to ja byłem jej pierwszym dyrektorem". Inną wielką pasją pana na Radziejowicach było modne wówczas leczenie magnetyzmem. Doktor Reuttowicz, niefortunny wydawca spuścizny pamiętnikarskiej Oboźnicy, stwierdza, że osiągnął on w tej dziedzinie poważne wyniki i że jeden z szesnastu tomów jego wspomnień był poświęcony w całości opisowi doświadczeń magnetycznych. Niestety, tom ten zaginął wraz z innymi. Istnieje jedynie króciutkie i jak zwykle nieporadne streszczenie rzeczzonego doktora Reuttowicza, poświęcone głównie skomplikowanej aparaturze, jaką sfabrykował sobie Krasieński do tych doświadczeń. Natomiast o samej istocie owej działalności można się dowiedzieć z innych dochowanych źródeł. Z gości bywających u pana Józefa na Mazowieckiej i w Radziejowicach najgorętszym adeptem "szkoły magnetyzowania" był radca stanu Ludwik Plater, późniejszy prezes Towarzystwa Magnetycznego. Opis tragikomicznych skutków i eksperymentów magnetycznych Platera przetrwał w niedrukowanym tomie pamiętników kasztelana Leona Dembowskiego, w danym wypadku informatora szczególnie miarodajnego, gdyż bohaterką tej historii była rodzona siostra jego żony - pani pułkownikowa Henrykowa Kamińska. "Pani Kamińska miała zdrowie słabe - referuje pamiętnikarz. - Niestety chciało, iż koło roku 1817-go manija magnetyzowania opanowała część mieszkańców Warszawy... Dla wykrycia przyczyn słabości pani Kamińskiej pan Plater zaczął ją magnetyzować. Wkrótce stała się jasnowidzącą i wszystkie fenomena magnetyzmu objawiły się na niej, z tą różnicą, że stała się prawdziwą niewolnicą pana Platera, do tego stopnia, iż kiedy tenże cierpiał ból głowy lub żołądka, też same cierpienia doznawała i pani Kamińska, chociaż czasem o kilkanaście mil mieszkała. To niewolnictwo co do zdrowia rozciągało się co do przekonań, a chociaż pan Ludwik Plater był człowiekiem moralnym, już w wieku i ojcem licznej familji - fenomen takiego niewolnictwa wzbudził w pułkowniku Kamińskim pewien rodzaj zazdrości. Usiłował najprzód przerwać te związki magnetyczne, lecz gdy wywiezienie żony na wieś o trzydzieści mil od Warszawy odległą nic nie pomogło, bo kiedy pan Plater w Warszawie o niej pomyślał, wpadała w sen magnetyczny i opowiadała wszystko, co się wydarzyło panu Platerowi, mąż

nie wiedząc jak poradzić, wyzwał Platera na pojedynek*. (* Bohaterką tej historii była żona pułkownika a później generała Henryka Ignacego Kamińskiego - dawnego szefa szwadronu I pułku szwoleżerów gwardii. W roku 1810 w Paryżu Kamiński miał głośny zatarg z generałem Wincentym Krasińskim, również zakończony pojedynkiem.) Szambelan Krasiński nie emanował z siebie widać tak potężnej energii magnetycznej jak radca Plater, gdyż w związku z jego własnymi eksperymentami kroniki warszawskie żadnego podobnego skandalu nie odnotowywały. Był zresztą od Platera ostrożniejszy: na media magnetyczne wybierał sobie nie żony zazdrosnych pułkowników, lecz młodziutki, ładne służące w domach swoich przyjaciół. Ale i Krasińskiemu jego praktyki magnetyzerskie całkowicie na sucho nie uszły. W parę lat później, kiedy zainteresowanie magnetyzmem osiągnęło punkt kulminacyjny, a przepowiednie medium Marewiczowej, wygłaszane przez nią w śnie magnetycznym, coraz częściej poczęły zahaczać o politykę - sprawą zajęła się tajna policja wielkiego księcia. Mackrott w swoim raporcie dla Konstantego z dnia 1 października 1823 roku donosił: "Mimo

surowego zakazu namiestnika Zajączka Towarzystwo Magnetyczne nie zaprzestaje swojej działalności. Zebrania odbywają się w mieszkaniu hrabiego Józefa Krasińskiego, szambelana jego cesarskiej mości, w jego kamienicy na ulicy Mazowieckiej. Medium Marewiczowa jest magnetyzowana przez szambelana Lachnickiego. Po Warszawie wciąż jeszcze krążą jej fałszywe prorocтва, wypowiedane w stanie somnambulicznym. To zadziwiające, że do Towarzystwa należą też ludzie wysoko wykształceni... Ta dziecinnada może być jednak niebezpieczna jako środek w ręku wichrzycieli. Należałoby to jak najprędzej ukrócić. Członkowie Towarzystwa Magnetycznego zamierzają przenieść swe zebrania z Mazowieckiej do majątku Krasińskiego - Radziejowice". Szambelan, dyrektor teatru, komediopisarz, autor przewodników, budowniczy ulic i magnetyzer - był jeszcze poza wszystkim masonem najwyższego stopnia wtajemniczenia. Od chwili wznowienia w Królestwie działalności "Wielkiego Wschodu Polskiego", pełni odpowiedzialne funkcje Pierwszego Dozorcy loży "Kazimierz Wielki". Dzięki temu miał możliwość obserwowania z bliska dywersyjnej działalności szefa tajnej policji generała Aleksandra Roźnieckiego, który wciśnięty przez władze na stanowisko zastępcy wielkiego mistrza wszelkimi środkami zmierzał do likwidacji wolnomularstwa jako "siedliska idei liberalnych i rewolucyjnych". Pan Józef dużo miejsca poświęcał tej sprawie we Wspomnieniach. Opowiada, jak Roźniecki wprowadzał do łóż swoich konfidentów: fryzjera Tobiasza Mackrotta (ojciec wspomnianego już Henryka Mackrotta), kapitana Tomasza Skrobeckiego (adiutanta generała Haukego) i Hieronima Szymanowskiego (syna Marcina, znanego aktora Teatru Narodowego), obdarzając ich wysokimi stopniami masońskimi. "Chodziło mu o to, żeby śledzili i donosili, po wtóre żeby Towarzystwo przez uczestnictwo takich braci spodlić..." Roźnieckiego autor Wspomnień opisuje z odrazą i pogardą, nie zostawiając na nim suchej nitki. Przy okazji ujawnia swoje własne poglądy polityczne. Podobnie jak wiele ludzi z jego sfery, Józef Krasiński odnosił się ze szczerym uwielbieniem do cesarza-wskrzesiciela Aleksandra I i nawet wobec jego niezrównoważonego brata Konstantego umiał się zdobyć na daleko (niekiedy zbyt daleko) posuniętą wyrozumiałość. Natomiast całą winą za zły obrót spraw w

Królestwie obciążał dwóch ludzi: komisarza cesarskiego Nowosilcowa i współpracującego z nim ściśle generała Roźnieckiego. Usprawiedliwiając dzikie wybryki cesarzewicza, pisał, że to "nieustanne Roźnieckiego denuncjacje rozogniały i do okropnych nie raz przyprowadzały go czynów". Największą jednak pretensję miał do Roźnieckiego o to, że wysługiwał się ślepo i skwapliwie Nowosilcowowi, sprawcy wszystkich nieszczęść Polski. "Nowosilcowowi winni jesteśmy przytłumienie oświaty w Polsce - czytamy w pamiętniku przyjaciela Łubieńskich - kuratoryę policyjną szkół, cenzurę najarbitralniejszą, uorganizowanie na wysoką skalę szpiegostwa, sądy tajemne, spodlenie i zdemoralizowanie urzędników, znieważenie honoru narodowego, nieufność Polaków ku Rosyi, przekleństwo matek, rozpacz obywateli i wybuch rewolucji w 1830 roku. Oto są tytuły jego do serc i do historii naszej". Po przeniesieniu się Tomasza Łubieńskiego z Guzowa do Rejowca intensywność jego stosunków towarzyskich z Józefem Krasieńskim uległa z przyczyn czysto technicznych pewnemu osłabieniu. Ale wówczas w życiu pana Tomasza miejsce Oboźnicy zajęła jego siostra Elżbieta z Krasieńskich Jaraczewska, mieszkająca z mężem, dawnym kapitanem szwoleżerów, Adamem Jaraczewskim w majątku Borowica w pobliżu Rejowca. Generał był głównym sprawcą małżeństwa siostry przyjaciela ze swoim dawnym podwładnym z gwardii napoleońskiej. Ślad tego przetrwał w korespondencji. W liście z 17 września 1815 roku pan Tomasz pisał ojcu: "Panna Elżbieta Krasieńska wychodzi za Jaraczewskiego, oficera mego pułku. Chociaż nie lubię mieszać się do swatów, bo to rzecz zanadto delikatna, jestem niejako twórcą tego związku. Z jednej strony wdzięczność moja dla pani Oboźnej, z drugiej przyjaźń, jaką mam dla Jaraczewskiego, do tego mnie skłoniły. On jest rzeczywiście porządnym człowiekiem, bez wielkiego majątku, na wojnie ranami okryty. Namawiałem pannę Elżbietę do tego..." Małżeństwo to - na owe czasy - było dość niezwykle. Panna z wielkiego magnackiego rodu "jako posag dostała cztery folwarki niedaleko Przasnysza i przepyszny majątek [...] w Lubelskiem, co razem na półtora miliona ocenić można" - Jaraczewski zaś potrafił wprowadzić pod Mesger w Hiszpanii z podjazdem trzydziestu szwoleżerów rozbić trzystu pięćdziesięciu kawalerzystów hiszpańskich, ale był synem dzierżawcy pańskich dóbr i w rejestrach pułkowych figurował jako jeden z nielicznych oficerów "bez majątku". Pan Tomasz na sprawę małżeństw osób "różnego urodzenia i różnych fortun" miał poglądy bardzo liberalne. Kiedyś na wieść o ożenku jednego z Działyńskich z "panną Pomorską, córką doktora z Poznania" napisał w liście do żony: "Świat go prawdopodobnie potępi, ale ponieważ człowiek żeni się tylko dla siebie, nie wątpię, że będzie szczęśliwy". Jednakże liberalizm generała nie na wiele by się w danym wypadku przydał, gdyby nie trafił na podatny grunt u pana Oboźnicy i u jego siostry. Fakt, że mariaż Jaraczewskich doszedł do skutku, najdobitniej świadczy o tym, jak bardzo Krasieńscy z Radziejowic różnili się w poglądach społecznych od Krasieńskich z Opinogóry. Warto sobie casus Jaraczewskich zapamiętać, aby w odpowiedniej chwili móc go skonfrontować z tym, co napisze kiedyś o małżeństwach społecznie nierównych dziewiętnastoletni Zygmunt Krasieński, "śmiertelnie zakochany" w angielskiej mieszcance Henriecie Willan! Postępowe poglądy społeczne pana Oboźnicy wiąże się na ogół z jego kilkuletnią służbą w mieszczkańskiej Gwardii Narodowej. Ale nie było to ich źródło jedyne. Już dom ojca pana Józefa - Kazimierza

Krasińskiego, oboźnego wielkiego koronnego, uchodził za jeden z najświetlejszych domów magnackich w Polsce. Wystawił mu takie świadectwo nie byle kto, bo sam Tadeusz Kościuszko, który we wczesnej młodości wychowywał się przez pewien czas na dworze pana oboźnego. Atmosfera ojcowskiego domu kształtowała światopogląd młodszego pokolenia i przygotowywała je do życia w epoce wielkich przemian. Panna Elżbieta Krasińska - późniejsza pani Jaraczewska - która, jak łatwo się domyślić, w Gwardii Narodowej nigdy nie służyła, była jeszcze bardziej postępową od brata. Nieładna, garbata, stale chorująca na oczy, ale bardzo inteligentna, obdarzona talentem literackim i znacznie przerastająca wykształceniem większość kobiet ze swojej sfery - pani Elżbieta reprezentowała klasyczny typ sawantki i społeczniczki z pierwszej połowy XIX wieku. Zaprzyjaźniona z Goethem, którego poznała podczas kuracji w Karlsbadzie, prowadziła z nim długie rozmowy literackie i dostawała od niego wiersze z czułymi dedykacjami. W swoich majątkach organizowała stałą pomoc lekarską dla chłopów, sama zajmowała się ich leczeniem, uczyła dzieci chłopskie czytania i pisanie, w dworze borowickim założyła bibliotekę dla okolicznej ludności, głośno i stanowczo wypowiadała się za zniesieniem poddaństwa, co nie spotykało się zresztą z należyтым zrozumieniem u jej męża - niedawno jeszcze "bezrolnego" eks-szwolężera. Wierną pomocnicą pani Elżbiety we wszystkich pracach społecznych była jej kuzynka i przyjaciółka - panna Ludwika Ossolińska, stale rezydująca w Borowicy. Z korespondencji generała Tomasza Łubieńskiego wyraźnie widać, jak dużo miejsca w jego życiu i myślach zajmował dwór borowicki. Niewielka odległość między Rejowcem a majątkiem Jaraczewskich, wieloletnia przyjaźń i wspólna przeszłość bojowa generała z dawnym podkomendnym, bliskie pokrewieństwo pani generałowej z paniami borowickimi, podobieństwo gustów i zainteresowań - wszystko to razem sprawiało, że stosunki między dwoma dworami były niezwykle ożywione. Zazwyczaj spędzano razem święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy, razem wyjeżdżano do Warszawy i do "wód", razem handlowano, bawiono się i czytano poezję. W listach do ojca pan Tomasz opisywał dokładnie swoje transakcje zbożowe z Jaraczewskim i wspólne spławianie pszenicy do Gdańska; w listach do żony (z czasu jej okresowych pobytów w Warszawie bądź w Paryżu) ciągle się przewijają wzmianki o paniach z Borowicy. Raz donosił generał pani Konstancji, że czytał właśnie "Jaraczewskiej i Ludwisi 4 tom lorda Byrona, gdzie jest tragedia Marino Faliero, która... zawiera wiele myśli głębokich i pięknych"; kiedy indziej słał do Paryża prośby o kupienie "dla pani Jaraczewskiej marek do bostona skórzanych z numerami", a "dla Ludwisi u Letrona dwóch książek do robienia wypisów, które ona chce dać Jaraczewskiej w podarunku na imieniny..."; w innym jeszcze liście przypominał bawiącej w Warszawie żonie, aby nabyła "okulary, o które Jaraczewska prosiła, takie, co nie tylko na nosie się utrzymują, ale z zakładkami za głowę", a które dostać można "u Optyka pod Kolumnami... na placu przed Ratuszem". W słowach pana Tomasza, poświęconych sąsiadkom z Borowicy wyczuwa się czułość, szacunek i szczere przywiązanie. Musiał naprawdę lubić i cenić sobie towarzystwo tych dwóch młodych kobiet, a one z pewnością ten sentyment odwzajemniały. Przypuszczam, że gdyby zaryzykować trud przeczytania wszystkich powieści obyczajowych Elżbiety z Krasińskich Jaraczewskiej, które cieszyły się niemałą poczytnością w ostatnich latach przed

powstaniem listopadowym, to odnalazłoby się w nich na pewno niejedyn ślad wpływów generała z Rejowca. Zupełnym przeciwieństwem Elżbiety Jaraczewskiej i Ludwiki Ossolińskiej była księżna Teodora z Walewskich Jabłonowska, rozwiedziona żona księcia-wojewody Stanisława Jabłonowskiego z Annapola, która również zajmowała poczesne miejsce w kręgu przyjaciół generała Łubieńskiego. Chyba jedynie niezależność osobista i nieliczenie się z opinią upodabniały panią Jabłonowską do szlacheckich społecznic z Borowicy, tylko że u księżnej te cechy przejawiały się zupełnie inaczej niż u nich. Przecież to o księżnie Teodorze, "afiszującej się po Paryżu z młodszym o 20 lat kochankiem" pisał niegdyś pan Tomasz do żony: "...co mnie boli, to że nasze kobiety za granicą tak nie ukrywają swoich słabości". Było to w roku 1809, kiedy rozwiedziona wojewodzina opuściła kraj z dwoma synami: szesnastoletnim Antonim i dziesięcioletnim Stanisławem - i po osiedleniu się na stałe we Francji utrzymywała nadal "grzeszne stosunki" z młodym Nossarzewskim, sekretarzem ministra Mareta księcia Bassano, a dawnym kolegą Łubieńskich z Towarzystwa Przyjaciół Ojczyzny. Szef szwadronu szwoleżerów przyrzekł wtedy swemu krewnemu księciu-wojewodzie Jabłonowskiemu, że będzie "z dala trzymał się od wiarołomnej". Ale nie spełnił obietnicy. Podobnie jak inni szwoleżerowie przebywający we Francji, uległ czarownej atmosferze zameczku Bretigny w Mons-sur-Orge pod Paryżem, gdzie honory domu na równi z księżną Teodorą pełniła jej słynna kuzynka, szambelanowa Maria z Łączyńskich Walewska. Dom księżnej stał się w krótkim czasie jednym z głównych ośrodków towarzyskich Polonii francuskiej oraz ważną - dzięki stosunkom z kancelarią Mareta - rozgłośnią propagandy napoleońskiej. Pan Tomasz bywał tam często razem z szefem szwadronu Koziętulskim oraz ze szwagrem swej siostry, podówczas jeszcze porucznikiem, Ambrożym Skarżyńskim. Odwiedzali także Bretigny państwo Wincentostwo Krasieńscy oraz inni ważniejsi Polacy, przebywający we Francji. Raz nawet spotkał księżnę zaszczyt zupełnie wyjątkowy, bo przekroczył jej progi rzadko udzielający się "pustelnik z Berville" - Tadeusz Kościuszko. W rezultacie ożywionych stosunków ze szwoleżerami księżnie Teodorze udało się w roku 1812 umieścić w "Gwardyi Polsko-Cesarskiej" w charakterze podporucznika i adiutanta majora pułku - generała Konopki, swego starszego syna, księcia Antoniego. Kariera szwoleżerska młodego Jabłonowskiego nie trwała jednak długo. Kiedy po zajęciu Wilna jego bezpośredni zwierzchnik generał Jan Konopka otrzymał od Napoleona rozkaz sformowania bliźniaczej jednostki szwoleżerów gwardii, złożonej z mieszkańców ziem litewskich - książę Antoni przeniósł się do nowej formacji razem z wieloma innymi oficerami starej kadry szwoleżerskiej, wśród których znalazł się także awansowany na szefa szwadronu Ambroża Skarżyński. Dzieje "złoty" szwoleżerów gwardii (tak nazywano nowy regiment, ponieważ ozdoby przy mundurach miał na modłę litewską złote i żółte) były krótkie i tragiczne. 19 października 1812 w rejonie Słonimia, otoczony przez wielokrotnie silniejszy korpus rosyjski generała Czaplica, nie sformowany jeszcze do końca pułk szwoleżerów litewskich po rozpaczliwej walce dostał się niemal w całości do niewoli. Jedynie Ambrożemu Skarżyńskiemu udało się ze swoim szwadronem wyrwać z okrążenia i po pewnym czasie złączyć z macierzystym pułkiem, dowodzonym przez Wincentego Krasieńskiego. Książę Antoni odegrał w tej całej historii rolę niezbyt chwalebną, gdyż

właśnie on przyczynił się do zaskoczenia "złotych" szwoleżerów. Na krótko przed katastrofą generała Konopka wysłał go na czele plutonu dla spatrołowania okolicy. Ale Jabłonowski nie zachowywał się widać dość ostrożnie, gdyż pozwolił zaskoczyć się podjazdom kozackim i - nie zdążywszy uprzedzić kolegów - jako pierwszy z całym plutonem dostał się do niewoli. Nie można zbyt surowo osądzić dziewiętnastoletniego dowódcy, promowanego na oficera w trybie protekcyjnym, ale trudno się oprzeć wrażeniu, że w tym młodzieńczym epizodzie tkwiła już zapowiedź wszystkich późniejszych nieostrożności księcia Antoniego Jabłonowskiego, które miały ściągnąć na kraj tyle nieszczęść. Księżna Teodora po odejździe syna na wojnę pozostała we Francji i tam przeżyła upadek cesarstwa. W chwili wkroczenia do Paryża wojsk koalicyjnych schroniła się z młodszym synem do gmachu ambasady amerykańskiej. Odkrył ją tam wielki książę Konstanty i doceniając stanowisko towarzysko-polityczne księżnej oraz osobiste jej stosunki z Kościuszką, zaproponował jej urządzenie w Paryżu balu na cześć cesarza Aleksandra. Można się domyślać, że poważnym argumentem w pertraktacjach na ten temat była przyszłość młodego księcia Antoniego, przebywającego jeszcze ciągle w niewoli rosyjskiej. W rezultacie bal się odbył. Był to ten historyczny bal, na którym doszło do pierwszego bezpośredniego zetknięcia między cesarzem Aleksandrem I a przybyłym specjalnie w tym celu do Paryża Tadeuszem Kościuszką. Za tę przysługę balową, wyświadczoną nowemu władcy Polski, księżna Teodora otrzymała prawie taką samą nagrodę jak pani Józefowa Krasieńska za bal dla Konstantego. 1 grudnia 1815 roku, a więc dokładnie w tym samym dniu, kiedy inkasował swoją premię pan Krasieński, dwudziestodwuletni książę Antoni Jabłonowski - były szwoleżer gwardii napoleońskiej i świeżo wypuszczony z turmy jeniec wojenny - stał się z "woli najwyższej" kamerjunkerem, czyli młodszym szambelanem dworu cesarza-króla. Nawiązaną we Francji przyjaźń z Jabłonowskim generał Łubieński podtrzymywał nadal w Królestwie. Stosunki z księżną Teodorą w pierwszych latach ograniczały się z konieczności jedynie do ożywionej korespondencji, gdyż starsza pani pomimo łaski, jaka spłynęła na jej syna, nie kwapiła się wcale z powrotem do kraju. Wróciła dopiero w roku 1822, kiedy zmarł eks-mąż wojewoda i cały majątek rodowy przeszedł na jej synów. Poza najbliższymi przyjaciółmi generała jego korespondencje zaludniają niemal wyłącznie krewni i powinowaci. Kiedy się czyta relacje pana Tomasza z wizyt w Zagościu*, (* Po rozdaniu dzieciom swego majątku minister Feliks Łubieński zachował dla siebie tylko starostwo zagojskie i maleńki folwarczek Ustronie.) Kazimierzy Wielkiej, Guzowie, Goli, Izdebnie, Okuniewie, Miłobędzinie, Luboni i Oporowie, kiedy poznaje się rosnącą zamożność tych wzorowych, wysoko uprzemysłowionych majątków rodzinnych, kiedy natrafia się ciągle na wiadomość o nowych ożenkach, zamążpójściach, narodzinach i chrzcinach - wtedy dopiero zaczyna się rozumieć, jak potężny potencjał energii społecznej reprezentowali sobą Łubieńscy. W roku 1818 formowała się właśnie nowa komórka klanu rodzinnego. Henryk Łubieński ożenił się z Ireną Potocką, córką sławnego pisarza i podróżnika Jana, a po matce - także Potockiej z domu - wnuczką smutnej pamięci targowiczana Szcześnego. Pan Tomasz całym sercem przeżywał to wydarzenie i w listach do ojca rozpisywał się szeroko nad szczęściem młodej pary, spędzającej miesiąc miodowy w dobrach posagowych Ireny na Ukrainie. W związku z tym ślubem zachowała się w

kronikach rodzinnych pyszna anegdota, doskonale charakteryzująca temperament i szybki refleks pana Henryka. Ślub odbywał się w ukraińskiej Demidówce Potockich. W czasie sporządzania kontraktu ślubnego zaufany administrator gospodarzy szepnął do ucha panu młodemu: "A co mi pan hrabia da, jeżeli wprowadzę do umowy taki paragraf, że małżeństwo w każdej chwili będzie można unieważnić?" - "Admirator Napoleona" odrzekł krótko: - "W pysk!" Z korespondencji rodzinnej wynika (przykro powiedzieć), że główne dochody potężnego klanu Łubieńskich płynęły w owych czasach z... wódki. W liście z 30 grudnia 1818 roku pan Tomasz donosił ojcu: "Z przyjemnością oglądałem gorzelnię Galicheta* (* Baron Piotr Galichet [Francuz] był generałem brygady armii napoleońskiej, był szwagrem i współnikiem Piotra Łubieńskiego. W domu Galichetów wychowywała się późniejsza znana pisarka Klementyna z Tańskich Hoffmanowa.) w Izdebnie. Wyciąga regularnie z korca żyta 5 i pół garnca* (* Garniec - miara cieczy w dawnej Polsce, równa mniej więcej 4 litrom.) wódki na 10 stopni. Jan (Łubieński) już otrzymuje 6 garncy, to jest ogromnie wiele, i ma nadzieję, że jeszcze więcej mieć będzie. Najciekawszą jest rzeczą, co Piotr (Łubieński) robi u siebie, to jest kocioł z dwoma serpentynami, które od razu mają dać wódkę. Jan wybuduje taki sam w Okuniewie, ciekaw jestem, czy to im się uda i czy równie wiele będą mieli spirytusu..." Pan Tomasz nie uważał za potrzebne dodawać (rozumiało się to samo przez się), że większość tej "rodzinnej" wódki Łubieńskich, rozprowadzana za pośrednictwem żydowskich arendarzy, miała się przyczyniać do "uszcześliwiania" chłopów. A oto inny fragment na temat dochodów rodzinnych (mniej co prawda pewnych niż dochody z wódki), który szczególnie swojsko zabrzmiał w uszach dzisiejszych graczy w toto-lotka: "Mam przykrą wiadomość do doniesienia, to jest że Ojciec nic nie wygrał na loteryi. To mnie piszą z Paryża. Pośpieszyłem się zrobić stawkę na loteryi Paryzkiej, którą mi kazano. Nie mogłem postawić na piątce, bo ta szansa jest skasowana. Natomiast połączyłem pięć numerów mnie przysłanych w czwórki, ale żaden z nich nie wyszedł [...] Podzielałem los Ojca, bo miałem pięć biletów na loteryi klasycznej Warszawskiej i także nic nie wygrałem". W grudniu 1818 roku z bratem Janem trzymali do chrztu nowo narodzoną córeczkę Piotrostwa Łubieńskich, którą nazwano Klementyną Łucją Marią. W liście z 23 grudnia wzruszony pan Tomasz przekazywał ojcu "wrażenie najmilsze", jakie wywarło na nim zgromadzone na uroczystości chrzcin najmłodsze pokolenie klanu - "ta masa dzieci tak czystych, dobrze wychowanych, grzecznych i rozwiniętych w naukach". Jednocześnie przypominał, że "mała Klementynka jest już 22 wnuczką Ojca". Komunikując tę wiadomość patriarsze rodu, generał wierzył święcie, że dwudzieste trzecie miejsce w gromadce wnucząt ojca przypadnie jego własnemu dziecku, gdyż pani Konstancja już od paru miesięcy była w ciąży. Ale tym razem los nie okazał się łaskawy dla Łubieńskich. Świadczy o tym krótki, smutny list generała z 5 czerwca 1819 r. "Drogi Ojciec. Kostunia ma się dobrze, gorączka mleczna przechodzi, jeszcze jest bardzo osłabiona. Biedne dziecko, które tylko kilka godzin żyło, na chrzcie dostało imię Tomasz..." Bardzo możliwe, że śmierć dziecka stała się jakimś punktem przełomowym w stosunkach małżeńskich generałostwa. Może już od tej chwili rozpoczął się, początkowo jeszcze niedostrzegalny, proces rozpadu tego wzorowego małżeństwa, który z czasem miał doprowadzić do jawnego skandalu. Następne pół roku małżonkowie

spędzili jakby w separacji: generał w Rejowcu, pani Konstancja w Warszawie - w ojcowskim pałacyku Ossolińskich na Tłomackiem. W tych smutnych miesiącach rozłąki z żoną - nieocenioną atrakcją dla pana Tomasza stanowiły wizyty nudzącego się w pobliskim Lublinie generała Franciszka Morawskiego. W grudniu 1819 roku pani Konstancja była informowana przez męża, że "generał Morawski bawił u niego dni kilkanaście i recytował mu całe ustępy poematów sławnego lorda Byrona, nad którym obydwaj się unosili". Jakoż to wspaniała, krzepiąca na duchu scena: dwaj trzydziestopięcioletni generałowie, kombatanci wielkiej wojny, zamiast urozmaicać sobie nudę wsi męską popijawą i upiększaniem bojowej przeszłości - spędzają czas na recytowaniu wierszy czołowego poety ówczesnej awangardy (co by Koźmian na to powiedział!). Trzeba przyznać, że nawet w tamtej epoce nieczęsto się takie rzeczy zdarzały. Rozdział XI Wiosną 1820 roku Jaśnie Wielmożny Tomasz Łubieński, dymisjonowany (z prawem noszenia munduru) generał brygady i właściciel dóbr ziemskich Rejowiec w powiecie chełmskim, wybrany został przez sejmik tegoż powiatu posłem na Sejm Królestwa Polskiego. Wydarzenie to zapoczątkowało dziesięcioletni okres ożywionej działalności politycznej byłego szwoleżera. Bezpośrednio po zatwierdzeniu wyborów przez senat nowo obrany poseł wysłał z Warszawy do ojca długi list, w którym przedstawił "panu ministrowi" swój ambitny i konstruktywny program działania. "Chcę zgłębić konstytucję, jaką nam nadano, przejąć się jej znaczeniem, poznać wolność, jaką mamy, zbadać sposób w jaki można z niej skorzystać [...] bez obrażania tego, który w każdej chwili może nam ją odjąć... - pisał pan Tomasz, podniecony ważnością swej nowej misji. - Jadę teraz na wieś na trzy miesiące, przerwę moje zajęcia polityczne, ażeby za powrotem, aż do otwarcia Sejmu, oddać się im zupełnie. Nie mam pod tym względem wielkich nadziei, bo podczas krótkiego mego tu pobytu przekonałem się, że zdanie pojedynczego człowieka jest niczem... że trzeba by utworzyć stronnictwo umiarkowane, spokojne, myślące, które by w tym samym kierunku działało, trzymało się wyłącznie i jedynie konstytucji, odkładając na bok wszelką chęć błyszczenia. Tymczasem napotyka się obojętność i naganną lekkomyślność wobec spraw publicznych. Wszystko odkłada się do ostatniej chwili, widzi się tylko sprawy pojedynczych osobistości lub chęci odznaczenia się; krytykę wszystkiego dla zyskania popularności. Brak przygotowania i znajomości spraw rażący. Ten stan rzeczy jednak nie zniechęca mnie... zaraz po moim tu powrocie będę się starał zbierać u siebie posłów, odwiedzać ich i dążyć do wyrobienia opinii i wytknięcia drogi do celu, jaki sobie sam założyłem... Należy rozsądkiem, spokojem i rozważą przekonać, że jesteśmy godnymi rządów konstytucyjnych i że lepszych rzeczy jesteśmy warte od tych, które posiadamy..." Pisząc ten list, generał Łubieński miał prawo przypuszczać, że odegra na sejmie ważną rolę, gdyż z różnych stron półoficjalnie go zapewniano, że właśnie jemu przypadnie zaszczyt przewodniczenia w izbie poselskiej. Jednakże "na samej górze" zdecydowano inaczej. Na marszałka Izby wybrany został poseł z powiatu biebrzańskiego, znany działacz polityczno-gospodarczy Rajmund Rembieliński. Może wielki książę Konstanty uznał w ostatniej chwili za rzecz niedopuszczalną, aby i na drugim sejmie Królestwa marszałkował generał wywodzący się z gwardii przybocznej Napoleona, może kandydat nie spodobał się komu innemu. Nie warto się nad tym zastanawiać. Do utracenia kandydatury pana Tomasza wystarczyło

zupełności powód podany w pamiętnikach posła tegoż sejmu, Leona Dembowskiego, który ze szczerym ubolewaniem stwierdzał, że "były generał, człowiek salonowy, przezorny jak wszyscy Łubieńscy, na nieszczęście nie posiadał wymowy, a kiedy w salonach zajmował swą rozmową, w Izbie nie mógł mieć wpływu, nie mając daru mówienia z pamięci płynnie". Sądzę jednak, że gdyby nawet Tomasz Łubieński był o wiele wymowniejszy, to i tak nie zdołałby zrealizować programu nakreślonego w liście do ojca. Bo w programie tym kryła się sprzeczność, niemożliwa już w owym czasie do przewyciężenia. W roku 1820 nie można już było bronić konstytucji Królestwa bez "obrażania" tego, który ją nadał. Mądry Leon Dembowski, analizując przyczyny zatargów między sejmem a cesarzem, pisał: "Panujący znajdował się w położeniu dziwnym. Był panem absolutnym w dziewiętnastu częściach swego Państwa, a zarazem [...] miał władzę ściśniętą ustawą konstytucyjną w jednej dwudziestej części. Czyż było podobieństwem, ażeby mieszkając w Petersburgu, gdzie ciągle czuwać musiał nad utrzymaniem swej absolutnej władzy, mógł co do małego kraiku nabyć nawyknienia rządzenia konstytucyjnie?" Co najmniej tak samo "dziwne" było położenie Polaków, którzy wierność dla konstytucji chcieli godzić z wiernością dla cesarza-króla. Umiarkowanemu lojaliście Tomaszowi Łubieńskiemu nie mogło się udać utworzenie "stronnictwa... które by wyłącznie i jedynie trzymało się konstytucji". Realizacja tej inicjatywy musiała z konieczności przypaść buńczucznym kaliszanom, którzy wzięli na siebie ryzyko obrażania "zgoła wszystkich, których posądzano o absolutyzm lub uchybienie Ustawie" (słowa Dembowskiego). Działalność sejmowa opozycji kaliskiej, urozmaicona szokującymi petycjami braci Niemojowskich (jak choćby ta o postawienie w stan oskarżenia przed sądem sejmowym Stanisława Kostki-Potockiego i Stanisława Staszica za kontrasygnowanie przez nich dekretu o cenzurze, bądź Wincentego Krasińskiego za niewłaściwe marszałkowanie na sejmie 1818 roku) miała olbrzymie znaczenie uświadamiające dla ogółu społeczeństwa i przyczyniała się do formowania opinii publicznej, natomiast praktyczna celowość polityczna tych "prowokacyjnych" wystąpień była ostro krytykowana przez działaczy umiarkowanych typu Tomasza Łubieńskiego czy Leona Dembowskiego. Leon Dembowski w pełni uznawał patriotyzm kaliszian, ale zarzucał im "postępowanie niepolityczne", uważając, że "byłoby pożyteczniejszym w tych pierwszych dziecinnych latach zarządu konstytucyjnego mniej być surowym, a więcej oględnym na przyszłość". Tomasz Łubieński, mający więcej doświadczeń w dziedzinie chorób niż polityki - pisząc do ojca o Bonawenturze Niemojowskim - jego "manię krytykowania wszystkiego, oponowania wszystkiemu, zastępowania realnych faktów nieuchwytnymi mrzonkami", tłumaczył po prostu złym funkcjonowaniem jego systemu trawienego, "bo wygląda na to, że jest śledziennikiem". Jeżeli tak oceniali liberalną opozycję lojaliści umiarkowani*, (* Używam tego terminu dla odróżnienia od "lojalistów nieumiarkowanych" w rodzaju Wincentego Krasińskiego.) to można sobie wyobrazić, do jakiego szału musieli kaliszanie doprowadzać rzeczywistych reakcjonistów. Łubieński i Dembowski mieli okazję być świadkami wielu takich starć na sesji komisji połączonej Izby Poselskiej i senatu, w której prezydował kasztelan Franciszek Grabowski. Ów Grabowski, człowiek osobiście zacny i doskonały znawca dawnego prawa polskiego, był "nieprzyjacielem wszelkiego postępu, usamowolnienia włościan, podziału własności,

wolności miast i rzemieślników, kodeksu Napoleona itp." Otóż ten klasyczny reakcjonista znalazł się po raz pierwszy oko w oko z Wincentym Niemojowskim i innymi postępowcami, wchodzącymi w skład komisji. "Nie umiem opisać ciągłego zadziwienia i zgrozy, jaką był przejęty, słysząc rozmaite twierdzenia i wnioski Niemojowskiego - relacjonuje w nie wydanym tomie pamiętników Leon Dembowski. - Wspomnę tylko o jednym wypadku. W obowiązkach Senatu spoczywało uznawanie tytułów honorowych tudzież szlachectwa*. (* W roku 1818 senat obdarzył tytułem książęcym namiestnika Józefa Zajączka. W roku 1820 na liście "uhonorowanych" znalazł się także Tomasz Łubieński, któremu przyznano tytuł hrabiego [po ojcu był już hrabią pruskim, a z nominacji Napoleona - baronem francuskim].) Niemojowski wnosił, ażeby - ponieważ wszyscy w obliczu prawa są równi - uwolnić Senat od tego obowiązku i skasować tak tytuły, jak szlachectwo, które stało się czczem słowem, kiedy każdy ma równe prawo do urzędowań i innych korzyści, z Konstytucji wypływających. Na te słowa Grabowski powstawszy z krzesła prezydującego rzekł: - Czyż mogłem się spodziewać, iż w życiu mojem usłyszę z ust szlachcica tak znakomitego rodu, jak Niemojowscy, tak bezbożne słowa! Jak to, Pan się wyrzekasz klejnotu szlacheckiego? - A gdy Niemojowski oświadczył, że mu to zupełnie obojętne, czy jest szlachcicem lub nie - Grabowski w rozpaczy porzucił sessję, oświadczając iż nie może prezydować w Komissyi, w której podobne zdania znajdują popleczników - i odtąd na sessjach nie bywał". Działalność sejmowa posła chełmskiego była znacznie bardziej konformistyczna od działalności kaliszczan. Na ogół generał głosował lojalnie za projektami rządowymi, ustawiając się nieraz w jednym szeregu z tak zdecydowanymi serwilistami, jak poseł przasnyski Wincenty Krasieński czy poseł siennicki Aleksander Roźniecki. Dał również swoje affirmative w głosowaniu za projektem zmiany Statutu o reprezentacji narodowej, pozbawiającym w praktyce Izbę Poselską prawa kontrolowania i zaskarżania ministrów i urzędników (kaliszczanie sprawili jednak, że projekt ten odrzucono większością głosów, co szczególnie rozgniewało cesarza-króla). Ale przy tym wszystkim byłoby wielką niesprawiedliwością twierdzić, że poseł Łubieński nie wniósł do prac sejmowych żadnego pozytywnego wkładu. Niektóre z jego poczynań na sejmie z pewnością zasługują na pilną uwagę. Tak na przykład zdecydowanie i odważnie - wbrew opinii większości sejmowej - sprzeciwiał się pan Tomasz ponownemu przedłużeniu przedłużanego już parokrotnie moratorium na długi hipoteczne. Była to wówczas jedna z najważniejszych spraw dla ogółu ziemiaństwa polskiego. Jeszcze od czasów pruskich, poprzedzających powstanie Księstwa Warszawskiego, ogromna większość dóbr ziemskich została beznadziejnie

zadłużona, a właściciele ich nie byli w stanie swych długów spłacać. Dotychczas sprawę tę załatwiano metodą półśrodków, wybitnie szkodliwych dla całości życia gospodarczego. Uchylone za czasów Księstwa moratorium, czyli odroczenie spłaty długów hipotecznych, ratowało wprawdzie dłużników przed licytacją dóbr, ale krzywdziło wierzycieli, hamowało całkowicie obrót kredytowy w kraju i zamrażało bezużytecznie ogromne kapitały. W dyskusji nad tym projektem poseł Łubieński wypowiadał się długo i żarliwie. Przez usta byłego szwoleżera przemówiły nowe czasy. "Uczynił uwagę, że rząd powinien na równi wszystkim mieszkańcom kraju udzielać swej opieki [...] a zatem nie tylko dłużnikom, ale i wierzycielom,

kapitalistom, których kapitały mogą dla wielu stać się pomocą. Nie trzeba - mówił - używać środków odstręczających kapitalistów, zachęcać należy tak krajowych, jak i zagranicznych, aby kapitałami swojemi produkcję miejscową ożywiali..." Łubieński sprzeciwiał się dalszemu przedłużaniu moratorium, wnosił natomiast o stworzenie banku kredytowego, pomagającego dłużnikom bez szkody wierzycieli i przyczyniającego się do upłynnienia unieruchomionych sum hipotecznych, które można by zużyć na potrzebne krajowi inwestycje gospodarcze. W ten sposób po raz pierwszy z trybuny sejmu Królestwa Polskiego wyłożono publicznie program gospodarczy klanu Łubieńskich, opracowany jeszcze za czasów Księstwa przez patriarchę rodu Feliksa Walezjusza. Był to program nowoczesny i odpowiadający interesom kraju. Koncepcja w nim wyrażona miała z czasem doczekać pełnej realizacji w takich instytucjach, jak Towarzystwo Kredytowe Ziemskie i Bank Polski. Ale na sejmie roku 1820 argumenty pana Tomasza nie odniosły jeszcze zwycięstwa i projekt przedłużenia moratorium przeszedł większością ziemiańskich głosów. Na domiar złego, żarliwe wystąpienie rejowieckiego dziedzica w obronie wierzycieli kapitalistów naraziło go na różne złośliwe komentarze. Ludzie dorozumiewali się nie bez podstaw, że w stanowisku politycznym posła chełmskiego musiały odegrać niepoślednią rolę jego własne interesy majątkowe. Istniała przecież owa suma 800 000 złp., z którą przed piętnastu laty pan Tomasz wystartował do samodzielnego życia. Najpewniej ulokowano ją (przynajmniej częściowo) na hipotekach ziemskich. Dobrze poinformowani wiedzieli, że żadnych dóbr ani nieruchomości miejskich za te pieniądze nie kupowano. Poza wystąpieniem posła generała w sprawie moratorium godzi się również wspomnieć o jego gorącym przemówieniu za przedstawioną sejmowi petycją: "Aby na mocy konstytucji, zaręczającej wolność osobistą każdemu, Jan Bernard, wyznania starozakonnego, niegdyś sierżant wojska polskiego, bez sądu od roku zamknięty w więzieniu kaliskim, miał sobie oddaną sprawiedliwość". Trudno już dziś ustalić, za co więziono wtedy owego Jana Bernarda, wiadomo natomiast, że był on dawnym podoficerem I Pułku Szwoleżerów, zapisanym w rejestrach pułkowych pod nr 429. W wyniku swoich parokrotnych wystąpień w dyskusji nad projektami rządowymi poseł Łubieński wybrany został członkiem "deputacyi do złożenia u stóp tronu adresu, uchwalonego przez Izbę, wraz z uwagami nad raportem Rady Stanu". Fakt ten umożliwia nam poznanie osiągnięć i braków w różnych dziedzinach życia publicznego sprzed półtora wieku. Raport rady stanu z roku 1820 zawierał między innymi informacje następujące: "Ogród Botaniczny liczy roślin 5000. Biblioteka do 100 000 tomów. Założono drugi instytut nauczycieli elementarnych w Puławach [...] W Marymoncie rozwija się instytut rolniczy i weterynaryi [...] Znajduje się w kraju 26 drukarni, wydano w ciągu dwóch lat 126 dzieł, sprowadzono z zagranicy książek wartości 223 000 złp..." "W Warszawie wystawiono Kościół ś-go Alexandra, część kosztu pokryto ze składek wojsk i urzędników na wystawianie bramy tryjumfalnej w miejscu, którym pierwszy raz Cesarz do stolicy przybył..." "Wyrobiono dróg bitych ku Petersburgowi 1,5 mili*, (* Mila polska w roku 1820 równała się 8 543,31 m.) ku Poznaniowi 2,25 mili, ku Wrocławowi 4 wierszty* (* Wiorsta - 1 066,78 m.) Nadto wewnątrz Warszawy wyrobiono aleje Ujazdowskie, drogi w Łazienkach, do rogatek Jerozolimskich i Mokotowskich, tudzież szosę do Młocin i Królikarni..." "Więźniów było w ogóle z

dwóch lat 8562 - na rok 1820 pozostało 2078. Doktorów było 114, Magistrów 35... Śmiertelność w szpitalach zmniejszyła się z wyjątkiem podrzutek. Przy sprawdzaniu śmiertelności podrzutek okazało się, że kiedy w Paryżu na 100 podrzutek wychowywa się 11-tu, w Wiedniu 17-tu, w Warszawie nie pozostaje żadne przy życiu..." "Miasta pozbawione są wszelkiej rękojmi w używaniu majątku dla braku rad miejskich... Pożyczki dla nowo budujących się nierówno są rozdzielane, korzysta z nich tylko Warszawa i Kalisz..." "W Warszawie wydano 1 955 000 na ratusz, rogatki itp. wydatki - mniemają Komisyje, że pożyteczniej byłoby zająć się kanalizacją, której potrzebę zdrowie mieszkańców wymaga..." "Co do górnictwa [...] dyrekcja górnicza bez upoważnienia czyni wydatki i popełnia mnóstwo błędów, wkładając znakomite sumy w wspaniałe gmachy, które do użytku mało przydatne. Wystawiono walcownię, nie mając dostatecznej wody. Piec nie mając dostatecznej do niego rudy. Górnictwo żadnego nie wniosło dochodu a corocznie pochłania przeszło 900 000..." "Znajdują Komisyje położenie Skarbu smutnem i nagłym do umiarkowania wydatków". Tomasz Łubieński nie był z sejmów zadowolony. Określał go w liście do ojca jako "komplikację intryg, oszczerstw, obgadywań, miłości własnej, osobistych ambicji, które ciągle wstrzymują bieg obrad, a Monarsze przedstawiają posłów w zupełnie fałszywym świetle, nawzajem wyrządzając wiadomości przestraszające o niezadowoleniu i gniewie Monarchy". Z drugiej strony, przy całym swoim lojalizmie i niechęci do demagogicznych metod opozycji, oburzało go lekceważenie, z jakim monarcha traktował zdanie większości sejmowej. Generał całkowicie podzielał opinię swego kolegi posła Dembowskiego, że "w każdym innym kraju, kiedy prawo przedstawione nie zyskało, jak trzy głosy przychylnie*, (* Chodziło w danym wypadku o rządowy projekt procedury karnej, który izba poselska odrzuciła większością stu siedemnastu głosów przeciwko trzem.) panujący we 24 godzin byłby zmienił swych doradców". Ale panujący wyciągnął z przebiegu sejmów polskiego wnioski całkowicie przeciwne tym, jakich życzyliby sobie umiarkowani lojaliści. Przyczyniły się zresztą do tego jeszcze nowe wydarzenia, o których dowiedziano się wkrótce po sejmie. W dwa tygodnie po wyjeździe cesarza-króla do Opawy na zjazd monarchów Świętego Przymierza - w Warszawie zaczęły krążyć dziwne pogłoski o buncie w jednym z pułków gwardii cesarskiej w Petersburgu. Pogłoski te uzyskały oficjalne potwierdzenie dopiero 1 grudnia 1820 roku. Tego dnia w "Gazecie Warszawskiej" wydrukowano na pierwszej stronie (lecz małutkimi literkami i z bijącym w oczy opóźnieniem) następujące doniesienie z Petersburga: "Dnia 17 października zdarzył się w drugim pułku gwardii zwanej Siemionowską mało znaczący nieporządek. Zdaje się, jakoby postępowanie pułkownika dowodzącego było do tego powodem. Nadużycie władzy i zbytnia ze strony tego dowódcy surowość wzbudziły niechęć w żołnierzach etc..., etc..." Aleksander o niepokojach w swoim ulubionym pułku siemionowskim dowiedział się już w Opawie. Wiadomość ta - jak stwierdzają pamiętnikarze - przeraziła go do najwyższego stopnia. Bunt w najstarszym pułku gwardii, którego oficerowie znani byli ze swego liberalizmu, opozycja na sejmie warszawskim, wrzenie rewolucyjne w różnych punktach Europy - wszystko zdawało się potwierdzać najczarniejsze przepowiednie tych ludzi z otoczenia cesarza, którzy starali się go odstręczyć od liberalnej polityki. Cel ich został osiągnięty. Przerażony i przytłoczony zbiegiem

wydarzeń, cesarz-król wyrzekł się ostatecznie swych liberalnych dążeń i poddał się całkowicie wpływowi reakcji. Siemionowski pułk gwardii, stworzony jeszcze przez Piotra Wielkiego, uległ rozwiązaniu. Kilkuset żołnierzy skazano na okrutne kary cielesne. Oficerów rozpędzono po pułkach liniowych w oddalonych od stolicy guberniach. W wyniku tych przeniesień jeden z najmłodszych siemionowców, osiemnastoletni arystokrata, podporucznik Michał Bestużew-Riumin znalazł się w Połtawskim Pułku Piechoty, stacjonującym na Ukrainie w pobliżu Tulczyna, dawnej rezydencji Szczęsnego Potockiego, dziada pani Henrykowej Łubieńskiej. Generał Łubieński czytając komunikat o pułku siemionowskim, zamieszczony w "Gazecie Warszawskiej", nie znalazł w nim oczywiście żadnej wzmianki o Bestużewie-Riuminie. Ale gdyby nawet taka wzmianka tam była, to i tak nie zwróciłby na nią specjalnej uwagi. Nie mógł przecież wiedzieć, że ta karna dyslokacja nieznanego młodzieńczego oficera rosyjskiego zaciąży w przyszłości na losach niektórych członków i przyjaciół klanu Łubieńskich. W kilka dni po rewelacjach petersburskich Warszawa przeżyła nową sensację - ustąpienie zasłużonego i ogólnie szanowanego patrioty Stanisława Kostki-Potockiego ze stanowiska ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego. Minister, którego liberałowie oskarżali o bezprawne wprowadzenie cenzury, padł ofiarą własnej... wolnomyślności. Koła klerykalne nie darowały mu jego powieści satyrycznej Podróż do Ciemnogrodu, wydanej krótko przed sejmem, oraz jego wystąpień sejmowych w obronie nowego prawa małżeńskiego. Leon Dembowski dokładnie relacjonuje, jak to w wyniku intryg i donosów, w których żywy udział brali: biskup Woronicz, Zamojska, generał Witt, Stanisława Potockiego usunięto 9 grudnia 1820 roku ze stanowiska ministra i powierzono je klerykałowi Stanisławowi Grabowskiemu. Nowy minister, powszechnie uchodzący za naturalnego syna Stanisława Augusta i Elżbiety Grabowskiej, był mężem rodzonej siostry Leona Dembowskiego. Trzeba więc podziwiać obiektywizm pamiętnikarza, z jakim ujawnia on genezę wywyższenia swego szwagra. "Jenerał Witt*, (* Jan Witt (1781-1841) generał rosyjski, syn Józefa generała

wojsk polskich i słynnej Zofii Greczynki, którą spopularyzował Jerzy Łojek w świetnej książce Piękna Bitynka. Witt, sprawujący obowiązki szefa policji politycznej na południu Rosji, odegrał później złowrogą rolę przy ujawnianiu spisków rewolucyjnych na Ukrainie.) jak W Xiążę Konstanty pamiętali - pisze Dembowski - iż biesiadując w Petersburgu przez cztery miesiące dopomagali Panu Stanisławowi Grabowskiemu do wyekspensowania 30 000 czerwonych złotych - chętnie więc wynagrodzenie tej straty tym sposobem skutecznie mieli zamiar". Gwoli sprawiedliwości wypada jednak do tego wyjaśnienia Dembowskiego dodać, że w innym czasie petersburska hojność Grabowskiego nie wystarczyłaby może do utorowania mu drogi do kariery ministerialnej. Ale usunięcie świątłego Stanisława Kostki-Potockiego było jednym z przejawów reakcyjnego zwrotu w polityce cesarza-króla. Nic więc dziwnego, że na czele resortu rządowego, kształtującego świadomość narodową Polaków, postawiono człowieka, który już w pierwszych miesiącach urzędowania potrafił sobie zasłużyć na przydomek "ministra zaciemnienia publicznego". Po zakończeniu swoich prac sejmowych pan poseł chełmski niewiele miał chyba czasu na zastanawianie się nad buntem pułku siemionowskiego w

Petersburgu czy zmianą ministra oświecenia w Warszawie. Z korespondencji wynika, że zaraz po sejmie zwała się na niego lawina prywatnych spraw, domagających się natychmiastowego załatwienia. Wskutek podeszłego wieku hrabiego Feliksa Walezjusza i "nieżyciowej" natury najstarszego z braci, eks-szwolężera Franciszka, generał stał się faktycznym przywódcą rozrośniętego klanu Łubieńskich. Obciążało go to mnóstwem najdziwniejszych obowiązków rodzinnych. Musiał - na przykład - zajmować się debiutem najmłodszej siostry Róży na balu u senatora Nowosilcowa; rozglądać się za odpowiednią "partya" dla dorastającego bratanka Kazia Łubieńskiego (starszego syna eks-szwolężera Franciszka); starać się o "przyzwoite urządzenie" świeżo wyświęconego na księdza brata Tadeusza. "Wszyscy nie możemy wyjść z zadziwienia, że nasz brat Tadeusz został księdzem" - pisał do żony wkrótce po sejmie. Z tonu listu można wywnioskować, że decyzja młodszego brata i dawnego podwładnego z pułku szwoleżerów wcale nie była generałowi po myśli. Mimo to wybrał się czym prędzej do Krakowa, aby u zaprzyjaźnionego z ojcem biskupa Woronicza wyjednać dla nowego kapłana probostwo w którejś z parafii, położonych na terenie dóbr rodzinnych: w Kazimierzy Wielkiej albo w Wiskitkach koło Guzowa. Zabiegał o to probostwo tak samo gorliwie, jak gorliwie dopominał się przed dziesięć laty u marszałka Bessieresa o awans oficerski dla młodziutkiego szwoleżera Tadeusza Łubieńskiego. Były też inne sprawy. Brat pani Konstancji, hrabia Wiktor Ossoliński, zenił się z Zofią Chodkiewiczówną, córką słynnego magnata wołyńskiego hrabiego Aleksandra Chodkiewicza z Młynowa, zasłużonego żołnierza i polityka, a ponadto poczytnego pisarza oraz uczonego badacza, autora swawolnych wierszy satyrycznych i wielotomowych dzieł naukowych z zakresu chemii i fizyki. Generał - w zastępstwie chorej żony - brał żywy udział w przygotowaniach do tego mariażu, mającego związać z sobą dwa wielkie rody magnackie, a zarazem przybliżyć do klanu Łubieńskich jednego z najwybitniejszych Polaków owego czasu. Bardzo jestem ciekaw, czy lojalny wobec cesarza-króla poseł chełmski tak samo skwapliwie dążyłby do zbliżenia z Aleksandrem Chodkiewiczem, gdyby wiedział, że za cztery lata uczonego hrabia z Młynowa przyczyni się do pierwszego nawiązania stosunków między spiskowcami polskimi a "rewolucjonistami" rosyjskimi. Z pozostałych interesów posejmowych generała Łubieńskiego na pierwszy plan wysuwają się kłopoty związane z dziećmi. Zdrowie przebywającej we Francji czternastoletniej Adelki uległo pogorszeniu i lekarze francuscy zalecili stanowczo przeniesienie jej z Paryża do słynącego z gorących źródeł leczniczych uzdrowiska Mont Dore w Owernii. Wymagało to przesłania do Francji za pośrednictwem kantoru bankierskiego Fraenkla dodatkowych porcji dukatów, co przy równoczesnych wiadomościach z Gdańska o ciągle spadających cenach zboża musiało wpływać fatalnie na stan wątroby generała. Z synem także zaczynały się "turbacje". Młodszy brat Adelki, Napoleon Leon, nazywany w domu Lolem, osiągnął poważny wiek lat ośmiu i trzeba było zająć się na serio sprawą jego dalszej edukacji. "Lolo jest zdrów, ale już mnie daje dużo kłopotu - skarżył się pan Tomasz ojcu - bo niepodobnieństwo jest zachować go w domu, a gdzie go umieścić?" Znalezienie w Warszawie odpowiednio "dystygowanego" nauczyciela i opiekuna nie musiało być sprawą łatwą, zwłaszcza że generał mierzył za wysoko. "Miałem na myśli P. Profesora Bendkowskiego, człowieka pewnego i uczonego, który ma bardzo

miłą rodzinę, ale nie chciał się tego podjąć..." Byłoby doprawdy bardzo dziwne, gdyby profesor zwyczajny Uniwersytetu Warszawskiego Feliks Jan Bentkowski (bo o niego niewątpliwie chodziło w liście), filolog i historyk o międzynarodowym rozgłosie, zgodził się uczyć i wychowywać ośmioletniego Lola Łubieńskiego. Wysokie aspiracje generała wynikały zapewne stąd, że znał dobrze dwóch wybitnych profesorów uniwersytetu, którzy rozpoczęli niegdyś swoje kariery jako nauczyciele prywatni w domu Łubieńskich. Pierwszym był jego własny nauczyciel i wychowawca - uczonego prawnik, ksiądz Franciszek Ksawery Szaniawski; drugim - nauczyciel matematyki i fizyki jego najmłodszych braci, "przechrzta" Dominik Krysiński. Oprócz spraw rodzinnych załatwiał pan Tomasz w Warszawie różne "komisy" dla znajomych z prowincji. Między innymi kupował powóz i konie dla generała Franciszka Morawskiego. Dowódca lubelskiej brygady piechoty, wbrew radom niektórych przyjaciół, zdecydował się w roku 1820 na poślubienie Anieli Zwierzchowskiej, wychowanki starych książąt Czartoryskich z Puław. Panna była ładna i niebiedna, ale kapryśna i chora na gruźlicę, więc ludzie rozsądni nie rokowali zakochanemu poecie długiego szczęścia małżeńskiego. Pan Tomasz, chociaż tego związku nie pochwałał, targował się zawzięcie z kupcami warszawskimi, aby ślubny ekwipaż wypadł najtaniej, a jednocześnie odpowiednio okazałe. Przy swej wrodzonej skrupulatności miał pewnie poczucie, że spłaca w ten sposób dług wdzięczności za wieczory literackie, które urządzał mu Morawski poprzedniej zimy w Rejowcu. Zimą roku 1820 przebył generał z Lolem u ojca w Zagościu. Pani Konstancja nadal mieszkała w Pałacu Ossolińskich w Warszawie i leczyła się z jakichś bliżej nieokreślonych chorób. Okresy separacji małżonków, zapoczątkowane śmiercią dziecka, zdarzać się będą częściej, ale w latach 1820-1821 nie miały one jeszcze charakteru ostentacyjnego. Małżonkowie normalnie ze sobą korespondowali, a święta wielkanocne roku 1821, zgodnie z tradycją, spędzili razem w Borowicy u Jaraczewskich. Wkrótce po świętach pan Tomasz wyruszył w podróż do Gdańska - w ślad za statkami wiozącymi tam na sprzedaż pszenicę z Rejowca i Borowicy. "Wiatry były bardzo pomyślne dla naszych statków - pisał do ojca w dniu wyjazdu. - Już Warszawę minęły i będą w Gdańsku około 6 maja. Trzeba nam się więc śpieszyć, żebyśmy wraz z nimi lub wkrótce po nich stanęli, lubo nie ma żadnej nadziei dobrej sprzedaży, posławszy już pszenicę muszę za nią jechać [...] Trudno mi wyrazić, jak mi przykro w tym momencie odjeżdżać od Gospodarstwa i od wiosny, która w domu, gdzie każde drzewko, każda roślina interesuje, daleko ma jeszcze więcej powabów..." W przejeździe przez Warszawę pan poseł chełmski przyjęty był na dłuższej audiencji przez księcia namiestnika, który dzielił się z nim projektami reform administracyjno-gospodarczych, przewidywanych na najbliższy okres. Rozmowa ta, odbywająca się z udziałem senatora-kasztelana Michała Potockiego, wywarła na generale jak najgorsze wrażenie. Widać to z listu do żony, pisanego w drodze do Gdańska. "7 maja 1821, Zeluń na granicy Królestwa Polskiego Kochana Kostuniu, pisałem do Ciebie z Rzewinia, majątku należącego do Jaraczewskich między Płońskiem a Radzanowem. Jadę przez kraj płaski z moczarami, chaty nędzne, ale w ubraniach ludzi trochę więcej starania. Zresztą kończę trzeci tom Historii powszechnej Müllera, tylko tak interesujące czytanie nie dopuszcza do najczarniejszych myśli na widok kraju tak bogatego, narodu pełnego zdolności, który pozostaje w nędzy, nie może zrobić ani

kroku naprzód na drodze postępu, pomyślności i cywilizacji. A to wskutek instytucyj niedobrych i ciągłych zmian, które nie dopuszczają rząd i pojedynczych ludzi w wykonywaniu jednostajnego planu. Dobro, które chce się za prędko robić, nie zapuszcza żadnych korzeni i daje tylko niepożądane owoce. Człowiek jest niewolnikiem przyzwyczajenia, nawet do złego łatwo nawyka, wady i namiętności biorą górę, tylko powoli można go do dobrego doprowadzić, dowodząc mu własną jego korzyść. Ale od czasów niepamiętnych nie mieliśmy szczęścia mieć na czele rządu naszego kraju męża stanu, który by miał odpowiedni geniusz i dosyć cierpliwości, ażeby przygotować inną przyszłość [...] Myśli te przychodzą mi teraz właśnie wskutek rozmowy, jaką miałem z księciem Namiestnikiem i Michałem Potockim. Projekta, jakie oni przede mną wygłaszają, zmiany, jakie zamierzają zrobić, podobne są do środków, jakie doktor nieumiejętny przepisuje w najlepszej wierze na lewo i na prawo biednym swoim pacjentom. Gdyby przynajmniej doświadczenie mogło nas czego nauczyć. Ale żeby dojść do tego, trzeba zacząć od przyznania się do swego nieuctwa i od powołania do swego boku nie tych, którzy tylko umieją być pochlebami, ale którzy łączą zdrowy rozsądek z prawdziwą wiedzą. Wiem, że nie mamy wśród nas takich ludzi wiele, ale przecież przy dobrej woli niepodobieństwem jest, ażeby ich nie można było odszukać. Nie obwiniam Namiestnika, ani jego dobrej woli, ale stanowisko jest trudne i to rodzaj fatalności, która ciąży na naszym biednym kraju, bo czy najlepszy dzierżawca może zastąpić dziedzica, który sam nie mieszka... Powiedz

Jaraczewskiemu, żeby mnie powiedział, 1-o ile jest zboża na statkach i wiele czyjego, 2-o Czy zarówno mam sprzedać te zboża, czy każde z osobna, 3-o Czy mam odebrać pieniądze, czy wziąć wexle na Fraenkla, 4-o że nie dał mi wagi do pszenicy. Niechże więc do mnie napisze, odpowiadając mi na te zapytania, i oraz dołączy wszystkie swoje myśli względem życzeń swoich, jakie ma względem sprzedaży". Eks-szwoleżer Adam Jaraczewski, w przeciwieństwie do swojej żony, nie gustował widocznie w pisaniu, gdyż zamiast odpowiedzieć listem na pytania dawnego dowódcy, sam pojechał do Gdańska, aby osobiście przekazać "swoje myśli względem swoich życzeń". O jego obecności nad Bałtykiem dowiadujemy się z następnego listu pana Tomasza. "Gdańsk, 26 maja 1821 Kochana Kostuniu. Zawsze jesteśmy w najgorszym położeniu, nie tylko że ceny są bardzo niskie, ale nie ma, co się nazywa, kupców, można by prawdziwie rozpaczać, gdybyśmy nie byli na najgorsze przygotowani. Mieszkam razem z Jaraczewskim, każdy z nas ma swój pokój. Jadamy razem. Obiad z winem, oliwą, musztardą, kawą czarną i arakiem potem kosztuje każdego 7 złp. Mam jeszcze jeden przykład, jak w każdym wieku trzeba się strzec od przyzwyczajień, jeżeli się nie chce zostać ich niewolnikiem. Jaraczewski namówił mnie, ażeby wypalić cygara, które są tutaj bardzo sławne. Palilem tak przez kilka dni i gdybym się był nie powstrzymał, to widzę ztąd, że byłbym popadł w ten niedobry nałóg... Strzelbicki sprzedał swoją pszenicę po 600 złp. to jest korzec po 20 złp. Ja nie wiem, czy i po 540 złp. dostanę. Gdyby nie moje zdrowie, zdałbym wszystko w komis i wróciłbym do Rejowca. Gdańsk dla Polaka jest miastem bardzo interesującym, na wszystkie strony są herby polskie, dużo instytucyj i zakładów przez przodków naszych założonych, nawet kule armatnie zostawione w murach, gdy Stanisław Leszczyński był zmuszonym tu się bronić". Gdańskie pamiątki w

połączeniu z lekturą Historii Müllera musiały silnie podziałać na wyobraźnię generała, gdyż jego następny list, tym razem do przebywającej we Francji córki, pełen jest refleksji historiozoficznych. "Gdańsk, 20 czerwca 1821 Kochana Adelko. Piszę do Ciebie... w chwili wyjazdu z Gdańska, bo nie będę tego mógł uczynić tak prędko, gdyż pilne interesa czekają mnie w Warszawie i Rejowcu. Bardzo się cieszę, że z takim zajęciem czytasz Historię Polską i że zastanawiasz się nad przyczynami nieszczęścia twego kraju... Podzieleni przez trzy ościennie państwa w 1794 roku Polacy nie przyzwyczajeni byli do stanu nieegzystencji politycznej, miłość ojczyzny tkwiła w każdym sercu... Zbliżenie się Francuzów w r. 1806 obudziło wszystkie te uczucia... wszyscy za broń schwycili, sądząc, że w ten sposób współdziałają do wskrzeszenia ojczyzny, żadna ofiara nie była za wielką dla tych, którzy widzieli szczęście tylko w egzystencji kraju. Niestety, Napoleon zawiódł nasze zaufanie, zapoznał własną swoją korzyść, nie dostrzegł, że nasza sprawa była także jego własną sprawą, nie utworzył na powrót całego dawnego Królestwa Polskiego i poświęcając nas swej nieskończonej ambicyi, stworzył tylko Księstwo Warszawskie z małej części Polski... Upadek Napoleona pociągnął za sobą i kraju tego, któremu on nadał nową egzystencję, popadliśmy pod panowanie Rosyi. Ale mądry Monarcha nadał nam Konstytucję, stał się naszym dobroczyńcą, dał nam jedyną egzystencję polityczną, jaką mieć możemy, będąc poddanymi tego obszernego Państwa..." Po tych uwagach, tak zaskakujących w ustach (a raczej pod piórem) byłego szwoleżera (warto dodać, że słowa te pisane były w pięć tygodni po zgonie Napoleona na Wyspie Św. Heleny), generał nakreślił piętnastoletniej córce surową, lecz bardzo inteligentną analizę panowania Sobieskiego. "Czytasz teraz panowanie Sobieskiego, jest ono pod każdym względem interesujące. Był to król, który miał wielkie zalety, ale który nie miał odpowiedniej energii na swoją godność, bardzo wiele uczynił dla swojej chwały, a nic zgoła dla istotnego dobra swego kraju. Zapominając, że był królem i że winien był przede wszystkim dla kraju pracować, pamiętał tylko o tem, że był Ojcem. Kierowany przez żonę, chciał stworzyć, zdobyć królestwa dla swoich dzieci, gdy przeciwnie, pracując nad stworzeniem rządu silnego, byłby przygotował tem samem przyszłą wielkość swego rodu. Ale sam dynasta niesforny, przed wstąpieniem na tron, bawiący się w opozycję złożoną z ambicyi i osobistych pobudek, nie umiał też poskromić ambicyi możnych panów, która się około niego podniosła, i zamiast żelazną ręką trzymać ster państwa, przekładał chwałę zwycięzcy i wojownika. Dlatego też jego pamięć lechcze naszą miłość własną, ale oko badawcze widzi w jego panowaniu przyczyny późniejszej nicości politycznej i nareszcie upadku naszego kraju..." Lato i jesień roku 1821 spędził pan Tomasz na zbożnej pracy w Rejowcu. Zgodnie z przewidywaniami, wyrażonymi w liście do córki, "pilnych interesów" czekało na niego mnóstwo. Przede wszystkim dowiadujemy się z korespondencji, że generał pełnił w swoich dobrach aż dwa urzędy: wójta gminy wiejskiej Rejowiec oraz burmistrza sąsiedniego miasteczka o tej samej nazwie. Zabójczy dla chłopstwa dekret namiestnika Zajączka z roku 1818 oddał władzę wójtowską na wsiach w ręce dziedziców, stanowiąc przy tym, że żaden chłop bez pozwolenia wójta nie może wsi opuścić. Większość dziedziców ograniczała się do korzystania z tego ostatniego uprawnienia, a faktyczne pełnienie funkcji wójtowskich zlecała wyznaczonym przez siebie zastępcom. Ale skrupulatny pan Tomasz wołał wójtować osobiście, "nie mogąc

sobie - jak pisał w liście do ojca - dobrać zastępcy [...] zdanego, a zwłaszcza uczciwego". Z własnej też ochoty "podał się sam na Burmistrza miasteczka, żeby nikogo obcego kłótliwego nie nominowali". Skupienie w swoich rękach tych dwóch instancji administracyjnych musiało być dla generała z wielu względów bardzo korzystne. Jednakże "pobożny spekulator" z Rejowca stwarzał jak zwykle pozory, że przede wszystkim chodzi mu o uszczęśliwienie maluczkich: "...oszczędzam przez to miasteczku 600 złp. na Burmistrza i 200 złp. na kancelarię". Cóż, nie da się zaprzeczyć, że pan Tomasz Łubieński miał swoje wady i śmieszności, ale imponująca zapobiegliwość, pracowitość i gospodarność tego byłego szwoleżera zasługują bardziej na szacunek niż na drwinę. Wystarczy pierwszy lepszy przykład. Z Gdańska powrócił chory, zaszkoziły mu trudy podróży, kłopoty i zmartwienia. Wątroba spuchła mu pewnie od gdańskiej musztardy i od złej koniunktury na giełdzie zbożowej, odezwały się dawne rany i odmrożenia z 1812 roku. Z konieczności musiał kilkanaście dni przeleżeć w łóżku. I oto wynika z tego projekt ultranowoczesnej młockarni. "Skorzystałem z mojej słabości i wolnego czasu - pochwali się później przed ojcem - ażeby wyrysować moją młockarnię, opisać ją i chcę w gazetach umieścić cały ten opis". Dobrze też świadczy o generale, że nie był sobkiem i chętnie dzielił się z rodakami wynikami swej pracy i pomysłów; opierało się to zresztą na wzajemności, gdyż równie chętnie przyswajał sobie pomysły innych. "Posyłam mego Kociembę* (* Kociemba - zaufany służący generała, towarzyszący mu we wszystkich podróżach zagranicznych.) do Galicyi do Pana Kriegshabera, który w podobnych jak ja gruntach, dawniej sześciami wołami, teraz parą orze od lat kilku. Ofiarował się on gazetami dawać model i pozwolić maystra do zrobienia tego pługa, z czego ja korzystać myślę". Główne wysiłki rejowieckiego dziedzica zmierzały w kierunku modernizacji urządzeń rolniczych i ściągnięcia do wyludnionych przez wojnę dóbr jak największej liczby rąk roboczych. Budował nowe domy mieszkalne dla chłopów, dbał o polepszenie warunków sanitarnych. "Zgodziłem starego doktora Niemca z Krasnegostawu, ażeby mieszkał w Rejowcu. Daję mu 150 złp., 36 korcy ordynaryi, pomieszkanie, ogród i 20 fur drzewa na zimę i 150 złp. na lekarstwa dla Włościan. Bo to zanadto straszna rzecz widzieć biednych ludzi chorych i nie móc im dać pomocy". Zarysowują się także pierwsze nieśmiałe plany przemysłowe, wykraczające poza uprawiane przez cały klan rodzinny gorzelnictwo. W korespondencji z ojcem generał zastanawia się, czyby nie uruchomić w Rejowcu kopalni kredy, ale ostatecznie te projekty zarzuca, "albowiem sama kreda w Chełmie jest 20 groszy cetnar, to nie warto psuć gruntu". Przy tym wszystkim dziedzic Rejowca ma jeszcze czas na częste wizyty w Borowicy, połączone z reguły z parogodzinny czytaniem "poezyi" pani Elżbiecie i pannie Ludwice, na podejmowanie u siebie młodych Ossolińskich ("Oczekuję lada dzień Wiktora z żoną, bardzo się na nich cieszę, bom ich jeszcze nie widział od czasu szluby, mam nadzieję, że czas jakiś zabawią"), na opiekowanie się synem, którego matka znowu bawi w Warszawie ("Chcę sprowadzić ks. Leszczyńskiego, proboszcza z Krasnegostawu, znanego z pobożności i dobroci, ażeby przygotował Leonka do pierwszej spowiedzi"), no i, oczywiście, na pisanie kilometrowych listów do ojca, w których informuje "pana ministra" o swoich sukcesach i porażkach gospodarskich, zasięga jego porad w najrozmaitszych dziedzinach, składa mu sprawozdania z

ostatnich lektur: francuskich, niemieckich i angielskich, analizuje bieżące wydarzenia polityczne i razem z nim utyskuje nad niepewną przyszłością Polski, Europy, świata. Zastanawiające, że wydarzenie historyczne, tak istotne dla dawnego szwoleżera, jak zgon "bohatera wieku", znalazło w tej olbrzymiej korespondencji oddźwięk tylko w jednym krótkim zdaniu: "Odesłałem Ojcu do Zagościa wszystkie numera Constitutionel od śmierci Napoleona". I naraz z tego gąszczu codziennych spraw - zupełnie nieoczekiwanie - wystrzela srebrem i amarantem wspomnienie o Somosierze. 23 września 1821 roku pisał generał do Zagościa: "Drogi Ojczy. Pierwszy raz w życiu oddaję do druku mój artykuł, ale sądziłem, że w tym przypadku jest to moim obowiązkiem. Wyszły były w Wandzie, dziele peryodycznym w Warszawie w Numerach 33 i 35, dwa wspomnienia o bitwie pod Sommosierra, jedno przetłómaczone

z dzieła, Victories et Conquettes, drugie napisane później przez Szeptyckiego pułkownika*; (* Pułkownik Wincenty Szeptycki - jeden z bardziej znanych oficerów I Pułku Szwoleżerów, uczestnik szarży somosierskiej, przeszedł wraz z Wincentym Krasińskim do nowej Gwardii Królewsko-Polskiej i pozostał w niej aż do powstania.) znajdując je niejasne i niedokładne, zrobiłem krótki opis tejże bitwy i posyłałem go dzisiaj do Warszawy, prosząc, żeby go umieścili w tymże samem dziele peryodycznym. Posyłam Ojcu brulion tego pisemka nie mając czasu przepisać go na czysto. Chciałem albowiem oddać tę bitwę tak, jak realnie była, wspomnieć o wszystkich, co do niej należeli, dać obraz pozycji, w której miała miejsce. Toż samo chcę napisać po francusku i posłać do autorów dzieła Victories et Conquettes, żeby fałsz miejsca prawdy w tak chwalebnej dla naszego narodu Bitwie nie zabierał..." Artykuł generała o Somosierze zachował się w bibliotecznych kompletach periodyku "Wanda" (rok 1821, tom IV, str 99-101), mogłem go więc porównać z niezliczoną liczbą relacji świadków bitwy, jakie pozostały mi w pamięci i notatkach z pracy nad książką Koziętulski i inni. Opis Łubieńskiego odpowiada wersji przyjętej przez historyków. Podkreślam to dlatego, że między byłymi gwardzistami cesarza Francuzów istniały dwie zasadnicze kontrowersje, będące przedmiotem wieloletnich polemik: pierwsza dotyczyła Sommosierry, druga - bitwy pod Arcis-sur-Aube, gdzie Polacy uratowali życie Napoleonowi. W obu wypadkach różnice zdań odnosiły się głównie do spraw personalnych. Pod Sommosierrą rozpoczął szarżę szef szwadronu Koziętulski, ale ponieważ od razu zabito pod nim konia, szwadron poprowadził dalej kapitan Jan Nepomucen Dziewanowski, a - po jego śmiertelnym zranieniu i wyeliminowaniu z boju - do ostatnich armat nieprzyjacielskich dotarł już tylko podziurawiony kulami, półżywy porucznik Niegolewski. Wtenczas to na rozkaz Napoleona na pomoc zmasakrowanemu trzeciemu szwadronowi ruszył z pomocą Tomasz Łubieński, wiodąc za sobą pierwszy szwadron szwoleżerów, wzmocniony przez dwa plutony strzelców konnych gwardii. Otóż w zasadzie tak właśnie jest przedstawiony obraz bitwy w artykule generała, ale - jak mawiają Francuzi - c'est le ton qui fait la chanson co w swobodnym tłumaczeniu znaczy, że wszystko zależy od sposobu wypowiedzi. Otóż Łubieński tak zręcznie rzecz opisał, iż po przeczytaniu całości odnosi się wrażenie, że jednak on był właściwym zdobywcą wawozu. W bitwie pod Arcis-sur-Aube w roku 1814 sytuacja przedstawiała się podobnie. Napoleon dostał się w tej bitwie w sam środek jazdy nieprzyjacielskiej i uratował się

jedynie dzięki temu, że pluton służbowy lekkokonnych polskich pod dowództwem szefa szwadronu Ambrożego Skarżyńskiego otoczył go murem szabel i doprowadził do batalionu piechoty pod dowództwem podpułkownika Jana Skrzyneckiego, który sformował wokół cesarza najeżony bagnietami czworobok i ocalił go ostatecznie. Otóż w obydwóch wypadkach spierano się o to samo - komu przypada główna chwała czynu: temu, co zaczął, czy temu co dokończył - Kozietułskiemu czy Łubieńskiemu, Skarżyńskiemu czy Skrzyneckiemu. Nie rozpisywałbym się na ten temat tak szeroko, gdyby nie to, że w zbiorach warszawskich pana inżyniera Wiesława Skarżyńskiego, potomka bohatera spod Arcis-sur-Aube, znalazłem dokument wnoszący do sprawy nowe elementy, nie znane ogółowi napoleonistów. W latach pięćdziesiątych XIX stulecia, jak pisałem o tym dokładnie w książce Kozietułski i inni, rozgorzała polemika między byłymi szwoleżerami, zainicjowana, a potem kierowana przez generała Józefa Załuskiego. Niemało miejsca poświęcono w niej wspomnianym wyżej kontrowersjom. Najciekawszy wkład do dyskusji o Somosierry wniósł jeden z bohaterów tej szarży, były pułkownik Andrzej Niegolewski, opisując dokładnie sławną bitwę w liście do generała J. Załuskiego. Później opis ten był dwukrotnie wydany w formie osobnej broszurki *Les Polonais a Samo-Sierra en 1808 en Espagne* (Paris 1854 i 1855), a także w tłumaczeniu polskim. Dziełko Niegolewskiego stanowi do dziś główne źródło dla wszystkich monografów Somosierry. Dlatego wydaje mi się, że powinienem ujawnić drugi list Niegolewskiego, adresowany do generała Ambrożego Skarżyńskiego i przetrwały do dzisiaj w posiadaniu potomka adresata. List pisany był w Paryżu 26 stycznia 1855, w mieszkaniu Niegolewskiego przy rue S-te Anne 73. Ponieważ jest bardzo długi, jego początek streszczę własnymi słowami. Niegolewski przesyła generałowi Skarżyńskiemu swoją broszurkę o Somosierry i zawiadamia go, że na ten sam temat "równoległe z tym drukiem" ukazała się broszura pana Tieffe, urzędnika w Archiwum Ministerstwa Wojny, pisana w tonie bardzo dla Polaków życzliwym, lecz wymieniająca Tomasza Łubieńskiego zamiast Kozietułskiego jako dowódcę szarży. "Oczom moim nie wierzyłem - gorączkuje się Niegolewski. - Naraz mi stanął przed oczami Kozietułski i ciągle go widzę, jak pędzi na czele szwadronu. Natychmiast poszedłem do Tieffego. Nie zastawszy go w domu, poszedłem do Ministerium. Jakież było moje zdziwienie, gdy on nie tylko mi powiedział, ale pokazał matrykuły wojenne, na których swą wiadomość oparł i musiał oprzeć. W nich stoi czarno na białym, że Łubieński 30 listopada 1808 szarżą pod Samo-Sierra dowodził. W *etat de service* Kozietułskiego ani słowa o Samo-Sierze..." Zirytowany uczestnik szarży kończy list gorzkimi słowami: "Łatwiej dali Bóg było nam zdobyć ten przeklęty wawóz, jak teraz na papierze prawdzie historycznej hołd oddać..." W *postscriptum* Niegolewski dodaje: "Jeżeli chcesz, to możesz przy tej sposobności sprostować błąd historyczny co do Arcis-sur-Aube. Tyś miał to szczęście Cesarza z niebezpieczeństwa wybawić, a pomimo tego w historii twoje nazwisko na Skrzynecki przekęcili". Nawiasem mówiąc, trudno mieć do Francuzów zbyt wielką pretensję, że pomylili tak nieprawdopodobne dla nich nazwiska, jak Skarżyński i Skrzynecki. Znacznie bardziej mnie interesuje, z czego się wziął w Archiwach Ministerstwa Wojny błąd dotyczący Somosierry. Łubieńskiego nie można chyba za to winić. W każdym razie z artykułem w "Wandzie" nikt wtedy nie polemizował. Co prawda nie był to jeszcze odpowiedni

moment na batalistyczne rozrachunki szwoleżerskie. Eks-szwoleżerowie w owym czasie inne zgoła miewali ze sobą rozrachunki. Tak przynajmniej można by wnosić z listu pana Tomasza, pisanego do żony z Rejowca przed następną, jesienną wysyłką zboża do Gdańska. "Rejowiec, 23 paźdź. 1821 Kochana Kostuniu. Jaraczewski postąpił sobie w dziwny ze mną sposób. Wiesz, żeśmy się ułożyli, że razem nasze zboże poszliśmy do Gdańska, ale gdy ceny nagle podskoczyły, pozakupywał na wszystkie strony tyle zboża, ile się mieści na jego statkach, i przyjechał mnie to powiedzieć, bez słowa wytłumaczenia. Z początku bardzo się na niego gniewałem. Nie wiem jeszcze, co my tego roku zrobimy z pszenicą, ale gdy ceny idą w górę w Gdańsku, może się trafi kupiec, który na miejscu ją nam zabierze, co byłoby rzeczą najkorzystniejszą..." W każdym razie ten przykry figiel, splełany przez Adama Jaraczewskiego dawnemu dowódcy, nie popsuł stosunków między Rejowcem i Borowicą, a jeśli nawet - to na bardzo krótko. Wiosną 1822 roku generał Łubieński - który jeszcze niedawno pisał z Karlsbadu do żony, że "rolnictwo jest jedynym zajęciem naturalnym szlachcica polskiego" - powziął nieoczekiwaną decyzję: postanowił oddać Rejowiec w dzierżawę i przenieść się razem z synem do miasta (pani Konstancja już od dawna większą część roku spędzała w Warszawie). W związku z tą sprawą w korespondencji pojawia się jeszcze jedna postać z kręgu dawnych gwardzistów napoleońskich - Wojciech (Albert) Prendowski, niegdyś podporucznik w pierwszym szwadronie szwoleżerów, dowodzonym przez Łubieńskiego, następnie jego adiutant w 7 i 8 pułku szwoleżerów gwardii (dawnych ułanów Legii Nadwiślańskiej). "Rejowiec, 3 kwietnia 1822 Drogi Ojciec. Skład interesów moich, edukacja mego syna, która wymagać zaczyna bytności w mieście, bojaźń oddalenia się od niego, trudność w dostaniu Guwenera, na którego mógłbym się zupełnie spuścić, na koniec zbieg okoliczności skłoniły mnie do puszczenia w trzechletnią dzierżawę Rejowca przyjacielowi, którego charakterowi od dawna doświadczonemu ufam, Prendowskiemu, który podobno jest Ojcu znajomy. Puszczać mu tanio, nie biorąc nic z góry, tylko dekursive (z dołu - z łac.), zostawując mu korzyść z prac i nakładów przeze mnie wyłożonych, rozumiem, że mogę być spokojny, że nie tylko nie zniszczy mi chłopów ani gospodarstwa, ale i owszem przez swoją nadzwyczajną czynność i staranność w gospodarstwie przyprowadzi go do lepszego jeszcze stanu..." Sądzę, że oprócz wymienionych w liście przyczyn prywatnych - na decyzję pana Tomasza wpłynęły pewne względy natury publicznej. Poseł chełmski nie rezygnował z kariery politycznej, musiało go więc ciągnąć do stolicy jako do siedziby sejmów i głównego ośrodka dyspozycyjnego Królestwa. Tym bardziej iż wyglądało na to, że w życiu gospodarczym kraju nastąpią wkrótce zasadnicze zmiany, zgodnie z linią programową Łubieńskich i stwarzające dla nich wdzięczne pole do działania. Sytuacja gospodarcza Królestwa dosięgała w owym czasie dna. Niedobór finansowy za lata 1817-1820 przekroczył 30 milionów złp., co wynosiło mniej więcej połowę ówczesnego budżetu państwowego - i nie wiadomo, jak ten deficyt pokryć. Własność ziemska była obdłużona do ostatnich granic, w handlu i przemyśle panował zupełny zastój, wywołany brakiem kapitału i kompletną utratą zaufania do transakcji kredytowych. Skarb nie otrzymywał preliminowanych dochodów i coraz częściej zmuszony był do zawieszania wypłat. Nieudolność ministra finansów Węglińskiego pogłębiała jeszcze kryzys, stawiając

kraj w obliczu nieuchronnego bankructwa. Senator Nowosilcow, realizujący konsekwentnie swą antypolską politykę, starał się wykorzystywać rosnące zamieszanie gospodarcze jako argument w walce ze zniechęconą autonomią Królestwa. Jego raporty do cesarza-króla były formułowane w taki sposób, że wzbudziły w umyśle władcy przekonanie, iż Królestwo Polskie jest absolutnie niezdolne do samodzielnego bytu. 25 maja 1821 roku zirytowany Aleksander pisał do rządu warszawskiego: "...tego stopnia rzeczy doszły, iż nie idzie już o naradzanie się nad utrzymaniem lub zniesieniem jakowych robót, nad podźwignieniem lub upadkiem niektórych budowli, lecz raczej o wyrzeczenie względem narodowego istnienia Polski i najdroższego dobra Polaków, bo idzie o stwierdzenie doświadczeniem, czy Królestwo Polskie może w teraźniejszej swej organizacji wydołać z własnych funduszy politycznemu i cywilnemu bytowi, którym obdarzone, lub też czyli ma, niemożność swą oświadczywszy, ulec zaprowadzeniu porządku rzeczy, więcej zastosowanemu do sił swych szczupłości". W tym niebezpiecznym dla autonomii polskiej momencie znalazł się w Królestwie człowiek, który podjął się wyprowadzić państwo i kraj z ruiny gospodarczej. Ów mąż opatrnościowy - mianowany w lipcu 1821 roku ministrem skarbu w miejsce Węglińskiego - był mały, brzydki, nadęty i wyglądał na niemieckiego bankiera, chociaż wywodził się od starych dynastów litewsko-ruskich. Przeciętnemu obywatelowi Królestwa książę Franciszek Ksawery Drucki-Lubecki musiał się wydawać postacią co najmniej kontrowersyjną. Nowy model patriotyzmu, jaki proponował rodakom, nie zgadzał się z tradycjami, wyrosłymi z ostatniego ćwierćwiecza polskich walk o wolność. Istota ideologii księcia-ministra sprowadzała się do trzech zasad: 1) rozwój gospodarczy za cenę rezygnacji z dążeń niepodległościowych, 2) usunięcie z polityki wszelkich sentymentów, 3) oparcie ekonomii na ścisłej kalkulacji strat i zysków. Przy wszystkich zastrzeżeniach, jakie można było mieć co do osoby i działalności nowego kierownika finansów, trudno mu było odmówić jednej arcyważnej zalety. W osobie Lubeckiego Królestwo zyskało po raz pierwszy ministra, który potrafił uniezależnić się od wielkiego księcia Konstantego i Nowosilcowa, nawiązując ponad ich głowami bezpośredni kontakt z monarchą. Szczupły materiał anegdotyczny, zachowany po Lubeckim, odnosił się niemal wyłącznie do jego sporów i spięć słownych z dwoma prokonsulami. Oto jedna z takich anegdot - zapisana przez współpracownika ministra, księcia Leona Sapiechę. "Razu jednego wielki książę kazał xięciu Lubeckiemu przyjść do siebie, chcąc od niego otrzymać zezwolenie na znaczny wydatek - wspomina Sapiecha. - Po długiej rozmowie, w której książę Lubecki na krok nie ustąpił, wielki książę zgniewany przypadł do niego i rzekł: Mon Prince, vous parlez le nez bien haut (Mój książę, Pan za bardzo zadziera nosa w rozmowie - M.B.). Na to książę Lubecki z największą spokojnością odpowiada: Monseigneur, vous etes si grand et moi si petit, que pour vous parler je ne puis pas faire autrement (Wasza Wysokość jest tak wielki, a ja tak mały, że nie mogę z panem inaczej rozmawiać - M.B.) i spojrzawszy wielkiemu xięciu w oczy... Wielki książę widząc, że postrachem nic nie osiągnie, musiał od swego żądania odstąpić". Inny pamiętnikarz opowiada, że kiedyś na posiedzeniu rady administracyjnej, podczas wyjątkowo nieprzyjemnego wystąpienia Nowosilcowa, rozłoszczony Lubecki powiedział do siebie, ale tak głośno, że usłyszeli go wszyscy:

bete! (bydlę). W korespondencji Tomasza Łubieńskiego wyczuwa się od pierwszej chwili ogromne zainteresowanie osobą i programem nowego kierownika gospodarki narodowej. Niedawna, a tak istotna dla kraju zmiana na stanowisku ministra oświecenia publicznego nie znalazła w korespondencji generała żadnego odbicia, natomiast o nowym ministrze finansów mówi się dużo i często. Bezpośrednio po przyjeździe do Warszawy generał uczestniczył w zebraniu, obradującym (niewątpliwie pod auspicjami Lubeckiego) nad "projektem odzyskania kredytu, a zarazem ułatwienia pożyczek właścicielom ziemskim". W długim i bardzo fachowym sprawozdaniu z tego zebrania przedstawił pan Tomasz ojcu dokładne plany instytucji, która w trzy lata później miała zostać zatwierdzona przez sejm pod nazwą Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. "Mówią tu także - czytamy w tym samym liście - o rodzaju Banku, na który by Cesarz dał ze 20 milionów i więcej, i na podstawie których emitowanoby bilety bankowe". Nadzieje na uzdrawiające zmiany osiągnęły swą kulminację latem 1822 roku w związku z wizytą Lubeckiego w Petersburgu. "Xięcia Lubeckiego codziennie się spodziewają, ma przywieźć ze sobą wielkie odmiany. Tutaj go wielu gani aż nadto, a drudzy go pod niebiosa wynoszą, zapewne każdy według swojego interesu. Mówią, że wielki xiążę Konstanty dowodzić będzie wszystkimi prowincjami polskimi pod berłem rosyjskim". Tak się jednak złożyło, że pierwsze skutki nowej polityki gospodarczej mieli Łubieńscy odczuć boleśnie na własnej skórze. W wyniku nalegań Lubeckiego, zabiegającego o zwiększenie dochodów państwowych, cesarz-król wydał dekret, nakazujący zwrot wszystkich starostw na rzecz skarbu Królestwa. Starostwa, rozdane prywatnym osobom w formie dzierżaw wieczystych, były jednym z przeżytków, odziedziczonych po dawnej Rzeczypospolitej. Lubecki załatwił tę sprawę radykalnie, nie licząc się z żadnymi względami, bo "bogactwo kraju - jak mawiał - nie na tym spoczywa, aby kilka rodzin wzbogacało się kosztem wszystkich". Ofiarą padło także starostwo zagoskie (Zagość) w Kieleckiem, pozostające od kilkadziesiąt lat w posiadaniu hrabiego Feliksa Łubieńskiego. Założyciel warszawskiej Szkoły Prawa próbował bronić się argumentem, iż starostwo zagoskie zwrotowi podlegać nie powinno, jako że nie było nadane, lecz kupiono je za gotówkę od księdza Andrzeja Ogińskiego (ojczyzna nabywcy). Ale obrona nie pomogła, ponieważ kupno starostwa od Ogińskiego dotyczyło tylko praw dzierżawnych i nie było jednoznaczne z nabyciem własności. Wbrew legendom o zapobiegliwości Łubieńskich, generał Wincenty Krasiński w sprawie swojej Opinogóry okazał się bardziej od nich zapobiegliwy i przewidujący. Na początku maja, kiedy rozeszły się pierwsze wieści na temat kasacji starostw, pan Tomasz Łubieński podzielił się tym zmartwieniem z żoną: "Kochana Kostuniu. Mieliśmy bardzo dużo kłopotów przy regulowaniu naszych interesów rodzinnych, bo nie wiem, czy wiesz, że zagrażają odebraniem Zagościa na Rząd. Postanowiliśmy na radzie familijnej, że gdyby rząd przez wzgląd na wiek i na zasługi Ojca nie zostawił mu starostwa, ażebym ja na moje nazwisko wziął przynajmniej Folwark Zagoski w dzierżawę od Rządu, ażeby Ojcu zapewnić spokojny pobyt na tej wsi, do której się już przyzwyczaił. Bardzo mnie to nie układa, ale Ojcu nic odmówić nie mogę. Gdybyśmy się przy Zagościu nie utrzymali, natenczas Ojciec zdecydowany jest osiąść w Ustroniu..." Po odbytej w Zagościu radzie familijnej generał pojechał do Rejowca dla dokończenia rozrachunków z Prendowskim. W

drodze doszły go pogłoski, że w Warszawie mianowano go tymczasem senatorem-kasztelanem. "Piszą z Warszawy, że zostałem Kasztelanem, co by mnie bardzo zmartwiło i rzeczywiście nie było na rękę - hamletyzował na ten temat w liście do ojca. - Bo nie wiem, czy bym mógł odmówić tej niezasłużonej łaski, bez obrażenia rządu, pod którym jednak żyć muszę. Bo co do mnie, może to połechtać na chwilę moją miłość własną, ale pozbawia mnie tej niezależności, którą pragnę przede wszystkim zachować. Nie wiem zatem jeszcze, co uczynię, jeżeli wiadomości te są prawdziwe". Kłopot powzięcia decyzji ominął generała, gdyż informacja okazała się plotką: kasztelanem nie został. Natomiast sprawdzila się wiadomość o kasacji starostw i Zagościa nie udało się dla ojca uratować. Strapiony donosił o tym "panu ministrowi": "Starostwa są zatem odebrane, wszystko się pod tym względem robi galopem [...] Co jednak najwięcej w tym wszystkim mnie zastanawia, to jest to podziwienia godne poddanie się zupełnie wyrokom Opatrzności, z którym Ojciec zawsze przyjmuje wszelkie zdarzenia tego świata, a zwłaszcza spokojność umysłu, która mu w tych trudnych momentach zawsze towarzyszy..." Po utracie Zagościa hrabia Feliks Walezjusz zdecydował się na stałe zamieszkanie nie w swoim folwarku Ustronie pod Strzemieszycami, jak przewidywano uprzednio, lecz w Krakowie. Być może, że patriarcha klanu obraził się na rząd Królestwa i demonstracyjnie udał się na "małą emigrację" (Kraków był wtedy stolicą miniaturowej Rzeczypospolitej Krakowskiej). Co ciekawsze jednak, że wkrótce za ojcem podążył do Krakowa także generał. Wynikło to zapewne stąd, że nie spełniła się żadna z rachub skłaniających go do osiedlenia się w Warszawie. Przede wszystkim stało się jasne, że rozgniewany opozycją poselską monarcha wcale nie będzie się kwapił do zwołania następnego sejmiku. Zawiodły także nadzieje na rychłą realizację "systemu kredytowego", gdyż minister Lubecki zajęty był na razie innymi sprawami. Również szanse na znalezienie w stolicy odpowiedniego nauczyciela dla dziesięcioletniego już Leonka nie przedstawiały się lepiej niż przed dwoma laty. Nawet obecnością żony nie mógłby sobie generał osładzać warszawskiego pobytu, ponieważ pani Konstancja - zaniepokojona wiadomościami o zdrowiu córki - wybierała się właśnie z dłuższą wizytą do Francji. Jeżeli doda się do tego wszystkiego, że zreorganizowana i wzmocniona w roku 1822 tajna policja warszawska zaczynała się coraz bardziej interesować prywatnym życiem obywateli, nawet tak lojalnych, jak generał Łubieński - jego rezygnacja z rozkoszy bytowania stołecznego stanie się całkowicie zrozumiała. Po wyprawieniu żony w daleką podróż do Francji pan Tomasz raz jeszcze zajrzał do Rejowca, aby zwinąć dom, udzielić ostatnich pouczeń Prendowskiemu i rozdać doroczne "premia" wyróżniającym się uczniom szkoły rejowieckiej, po czym bezpośrednio stamtąd wyruszył z synem w drogę do Krakowa (ale nie przez Warszawę, "gdyż to [...] może zrobić krok niewłaściwy, który by mógł być źle widzianym przez Rząd"). Przed wyjazdem z Rejowca zdążył jeszcze wysłać list do pani Konstancji, odtwarzający jego ówczesne nastroje: "Kochana Kostuniu. Ścigam ciebie myślą w

twojej podróży przez Wrocław, Drezno, Weimar, Lipsk, Gotha, Darmstadt i Moguncję (dokładnie przed piętnastu laty młody szef szwadronu, Łubieński tę samą drogę przebywał konno i zbrojno - M.B.). Opuszczę Rejowiec z tym większym żalem, gdyż nigdy nie miał więcej powabu. Prześliczna zieloność gazonów, klomby kwitnące,

niezliczone kwiaty, które powietrze zapachem napełniają, łąki usiane barwami, drzewa okryte owocami, łąny z najpiękniejszymi zbożami, wszystko zdaje się zmówiło się, ażeby powiększyć moją boleść i zostawić niezatarte wspomnienie chwil samotnych, które tu spędziłem. Spędzam czas na pakowaniu się, wszystko mnie boli, bo opuszczam miejsce, gdzie znalazłem zajęcia spokojne i słodkie, które dobrze czyniły memu sercu, i muszę do miasta się wynieść. A gdy się już przeszło przez życie, tak jak ja, przekłada się towarzystwo kilku przyjaciół życzliwych, woli się nawet samotność jak wielkie przyjęcia światowe najlepiej dobrane. Ale obowiązek do tego mnie zmusza, a obowiązek musi iść przede wszystkim". Jesienią 1822 roku panowie Łubieńscy byli już w Krakowie całkowicie urzędzeni. "Dom jest umeblowany w sposób bardzo przyzwoity - informował generał panią Konstancję. - Bez zbytku i wystawności, ale zawsze taki obiad smaczny, na którym są zawsze goście proszeni, kawa o piątej, herbata o ósmej... Dwie świece w jednym salonie, lampa w drugim, dużo gości od czwartej aż do wpół dziewiątej, i tak co dzień. Mieszkam naprzeciwko Ojca, mam duży przedpokój, garderobę ciemną, ładny salon, salę jadalną i pokój sypialny, stajnie na 4 konie, magazyn na furaz, kuchnia, piwnica i płacę z meblami za to 4 dukaty miesięcznie..." Krakowskie zajęcia generała sprowadzały się głównie do obowiązków rodzinnych i towarzyskich. Jego czynnej naturze bardzo to nie odpowiadało. "Nie wiem, jak to jest - żalił się żonie - ale tu nigdy na nic czasu nie mam, nigdy tak mało nie pisałem, nic nie czytam, mało bywam w świecie, pomimo tego czas strasznie ucieka, bez żadnej przyjemności lub korzyści. Ciągle tęsknię za moją samotnością w Rejowcu, gdzie z mniejszymi przyjemnościami kładłem się spać z przekonaniem, że czas mój dobrze codziennie zapełniłem..." Dzięki temu, że uwaga pana Tomasza skupiała się na sprawach rodzinnych, w korespondencji z okresu krakowskiego zachowało się trochę wiadomości o małym Leonku. Trzeba je skrzętnie wykorzystać, bo o Napoleonie Leonie Łubieńskim, w odróżnieniu od jego rówieśnika i późniejszego adwersarza Napoleona Zygmunta Krasińskiego, wie się na ogół bardzo niewiele. Drugiemu synowi szwoleżerskiemu nie było przeznaczone miejsce w panteonie narodowym, więc badacze nie interesowali się specjalnie jego biografią. O jego dzieciństwie można się dowiedzieć tylko tyle, co zanotowali najbliżsi. 21 listopada 1822 r. [...] w dzień imienin "pana ministra", generał donosił żonie: "Wieczorem dzieci było dużo i bawili się w mručka, noska, lisa, jakubka, wilka itd. Lolo zdrów zupełnie, jadamy obiad co dzień o 2 u mego Ojca, ja piję z moim Ojcem także kawę z rana, Lolo ma kaszę i kluski na śniadanie i kolację". W tydzień później hrabia Feliks Walezjusz dziękując synowej za życzenia imieninowe, komunikował jej swoją opinię o wnuku: "Pełen zawsze radości jestem, gdy widzę, że dzieci moje mogą się spodziewać tej z swoich dzieci pociechy, którą mnie dają. Z Lola możesz także spodziewać się niepospolitego młodzieńca, aplikuje się nadzwyczajnie i prawdziwie go odrywać potrzeba, trafia się trzech czy czterech nauczycieli i to właśnie ambarasuje Tomasza, kogo ma wybrać..." I jeszcze garść różnorodnych informacji o Lolu z listów generała: "22 listopada 1822 [...] Wczoraj były imieniny Teońci (córci Marii z Łubieńskich Skarzyńskiej - M.B.). Lolo jej dał szcztokę do włosów z lusterkiem, potem Lolo dał u siebie podwieczorek dla dzieci, była czekolada tort i ciasteczka..." "24 stycznia 1823... Dzisiaj z rana sam przygotowałem Leonka naszego do spowiedzi i

zaprowadziłem go ze sobą o 6-tej rano do Dominikanów, gdy tam do Komunii poszedłem..." "29 stycznia 1823 [...] Okrutnie mnie złapali na klawikordzie dla Leonka, bo płacę 12 złp. na miesiąc, jeszcze od strojenia trzeba było dać 10 złp. tak był zdezelowany. Bardzo jestem kontent z Pana Boguckiego, którego wziąłem do Leonka, cichy, spokojny, uważny, opuszcza go tylko podczas swoich kursów w Uniwersytecie". "30 listopada 1823 [...] W obecności mego Ojca odbył się egzamin Lola. Byliśmy przy gramatyce łacińskiej i polskiej, gdy niespodziewanie wszedł Biskup Krakowski ks. Woronicz*, (* Późniejszy arcybiskup i prymas Królestwa Polskiego.) który także chciał być obecnym. Sam ks. Biskup go egzaminował ze wszystkiego, przeglądał wypracowania o Ciceronie, Katilinie, a gdy Lolo zaczął z łatwością od razu tłumaczyć Salusta, Biskup nie miał dość słów pochwały, mówiąc, że nie z gramatyki, ale z retoryki i filozofii trzeba by go się spytać..." W związku z ostatnim listem warto dodać, że mniej więcej w tym samym czasie, w warszawskim pałacu na Krakowskim Przedmieściu, podobnemu egzaminowi poddano małego Zygmunta Krasieńskiego. Tylko że tam odbywało się to na większą skalę, z pompą charakterystyczną dla wszystkich poczynań reprezentacyjnych Opinogórczyka. "Sprosił na tę uroczystość ojciec - wspomina zaprzyjaźniony z generałem Krasieńskim Andrzej Edward Koźmian - najznakomitszych ówczesnych mężów krajowych w stolicy przebywających, najcelniejszych nauczycieli szkół. Młody uczeń obudził podziw i uradował wszystkich przytomnością umysłu, żywością odpowiedzi, obfitością zaczerpniętej nauki. Postępy jego, zwłaszcza w językach, literaturze, w historii i jeografii starożytnych, przeszły wszelkie oczekiwania. Był to dzień prawdziwie uroczysty i radosny i dla syna, i dla ojca, i dla przyjaciół jego". Pobyt Tomasza Łubieńskiego w Krakowie trwał przeszło rok, ale nie był to pobyt ciągły. Stan zdrowia i rozmaite interesy rodzinne zmuszały generała do częstych wyjazdów: bądź to do niemieckich uzdrowisk, bądź do majątków braci, sióstr, szwagrów i bratowych, rozsianych po całym obszarze dawnej Rzeczypospolitej. Nie mijał się z prawdą, pisząc żonie, że właściwie nie robił nic konkretnego, a mimo to czas mu "straszenie uciekał". Dopiero, przeglądając korespondencję z tego okresu widzi się, jak wiele obowiązków ciążyło na faktycznym naczelniku tak licznego i żywotnego klanu, jakim był ród Łubieńskich herbu Pomian. Klan przeżywał w owym czasie okres wyjątkowo intensywnej fluktuacji. Żeniono się i wychodzono za mąż na potęgę, rodziło się dużo dzieci, niektóre z nich umierały, prowadzono procesy w sprawach zahipotekowanych w zamierzonych czasach i dochodzono długów, zaciągniętych przez dawno nieżyjących dłużników. Dla generała wynikało z tego wszystkiego mnóstwo zajęć i kłopotów. Ze zdarzeń rodzinnych, przytoczonych w korespondencji wspomnę tu o dwóch, które z pewnych względów podziałały mi na wyobraźnię. W roku 1822 w Warszawie odbyło się z wielką pompą ochrzcenie pierworodnej córki Wiktora i Zofii z Chodkiewiczów Ossolińskich. Dziewczynkę, "której dano modne teraz imię Wanda", trzymały do chrztu aż trzy pary dostojnych rodziców chrzestnych (wśród nich pani Józefowa z Ossolińskich Krasieńska). Chrzcił także nie byle kto, bo profesor teologii na Uniwersytecie Warszawskim i dyrektor drukarni rządowej - ksiądz Konstanty Franciszek Dembek, zaprzyjaźniony od lat z wielkopańskim domem Ossolińskich i uważany tam niemal za domowego kapelana. Większość czytelników nie da sobie z pewnością zaimponować ani liczbą

chrzestnych, ani pozycją społeczną duchownego, dopełniającego obrzędu - i chrzciny małej Ossolińskiej uzna za błahy, marginalny epizod, nie zasługujący na podkreślenie w książce. Ale czytelnicy orientujący się dobrze w wydarzeniach historycznych, które rozegrały się w kilka lat po tym fakcie, skojarzą sobie pewne nazwiska i - podobnie jak autor książki - ulegną dramatyzmowi sytuacji, dostrzegając w pogodnej uroczystości kościelnej z roku 1822 preludium do ponurej tragedii z lat 1826-1829. Bo przecież już wtedy - w roku 1822 - między trzydziestodwuletnim arystokratą Wiktorem Ossolińskim, podpułkownikiem strzelców konnych Gwardii Królewsko-Polskiej, dawnym adiutantem księcia Józefa, a pięćdziesięcioletnim księdzem Konstantym Dembkiem, mającym za sobą trudną drogę awansu społecznego od wsi kaszubskiej do uniwersyteckiej katedry w Warszawie, istniało sekretne i "występne" współnictwo, które miało ich obu doprowadzić do więzienia, a dla starego księdza zakończyć się męczeńską śmiercią. (W V tomie Polskiego słownika biograficznego można sprawdzić, że ksiądz Konstanty Dembek na rok przed wspomnianymi chrzciniami wstąpił do tajnego Towarzystwa Patriotycznego. Uczynił to podobno pod wpływem swego przyjaciela i dawnego ucznia, hrabiego Wiktora Ossolińskiego, który zajmował już wtedy w spisku odpowiedzialne stanowisko "pełnomocnika na prowincje wschodnie"). W podobny sposób, jak owe chrzciny, poruszyła mnie krótka informacja o zawartym w czerwcu 1823 roku w Krakowie ślubie "Rózi" Łubieńskiej z magnatem podolskim Ludwikiem Sobańskim z Ładyżyna. Generał wiele wysiłku i czasu poświęcił na przedślubne pertraktacje z rodziną Sobańskich i po doprowadzeniu rozmów do pomyślnego końca był z pewnością najgłębiej przekonany, że przez ten związek z rodziną bogatych arystokratycznych obszarników ukraińskich umocnił jeszcze pozycję klanu Łubieńskich, a najmłodszej siostrze do końca życia zapewnił spokojną i szczęśliwą egzystencję. Ale rzecz działa się w Polsce i w czasach "historycznych", więc sprawy potoczyły się zupełnie inaczej. Tę "najlepiej wydaną" z trzech siostr Łubieńskich - w wyniku jej świetnego małżeństwa - czekały długie lata wyjątkowo trudnego bytowania, pełnego cierpień i wyrzeczeń. Jedyną nagrodą za ciężkie przejścia będzie to, że Róża z Łubieńskich Sobańska - która w roku 1820 święciła swój debiut towarzyski na balu u senatora Nowosilcowa, "bicza tajnych klubów" - zapisze się później wdzięcznie we wspomnieniach polskich i rosyjskich zesłańców politycznych pod pięknym przydomkiem "Róży wygnańców". Jak już się rzekło, w okresie krakowskim Tomasz Łubieński wiele podróżował. Często mu w tych podróżach towarzyszył najstarszy z bratanków, wspomniany już Kazimierz Łubieński. Generał załatwiał bratankowi jego sprawy majątkowe, a równocześnie w dalszym ciągu rozglądał się pilnie za odpowiednią dla niego kandydatką na żonę (pomimo stryjowskich starań Kazimierz Łubieński ożenił się dopiero w dziesięć lat później z Marią Krasieńską, córką pana Oboźnicy z Radziejowic). Senior klanu znajdował wyraźną satysfakcję w obcowaniu z przedstawicielami młodszego pokolenia rodziny. "Nieźmiernie kontent jestem ze społeczeństwa (towarzystwa - M.B.) mego młodego współpodróżnika - pisał z drogi do ojca - wesoły, pełen delikatności, spokojny, pełen zwłaszcza tej godności, którą niesłusznie hardością nazywają... Bardzo się tu podobał wszystkim... co moje Stryjowsko Ojcowskie serce bardzo cieszy..." Z taką samą życzliwością i zainteresowaniem, jak do "Kazia" Łubieńskiego, odnosił się pan

Tomasz do dwóch innych dorastających juniorów klanu: do "Wosia" (Wojciecha) Morawskiego, najstarszego z siedmiorga potomków pani referendarzowej z Luboni, oraz do "Bronisia" (Bronisława) Skarżyńskiego, syna siostry Marii, która gospodarowała w Miłobędzinie pod Sierpcem, dawnym dziedzicznym majątku Skarżyńskich, odkupionym dla niej przez brata Henryka. Nie zapominał też generał o swoim młodszym bracie eks-szwolęrze, przeobrażonym w księdza, który odbywał w tym czasie studia teologiczne w Rzymie. Znajomym biskupom, a zwłaszcza biskupowi Woroniczowi, również nie pozwalał zapomnieć o nieobecny Tadeuszu i przy każdej okazji rozmawiał z nim o jego przyszłości. Zgodnie z opinią biskupów, doradzał bratu studiowanie w Rzymie prawa kanonicznego jako "rzeczy bardzo mało znajomej w naszym kraju". Po jednej z rozmów z biskupem Woroniczem rozsnuwał w liście do ojca piękne widoki, jakie mogłyby się otworzyć dla Tadeusza po takich studiach. "Życzyłby ksiądz biskup, żeby Tadzio choć sześć miesięcy tego prawa słuchał... Celem jego albowiem byłoby, żeby skoro Tadzio przyjedzie do Krakowa, zrobić go Profesorem tego prawa, a przez to Kanonikiem Krakowskim i Prałatem, gdyż inaczej musiałby czekać śmierci czyjej, i teraz jest jeszcze 4 nadkompletnych kanoników..." W okresie krakowskim większość tras podróży generała kierowała się nie na Warszawę (ze względu na przedłużającą się "emigrację" unikał spotkań z dygnitarzami Królestwa), lecz na Poznań. Przez Wielkie Księstwo Poznańskie wiodła zresztą droga do uzdrowisk niemieckich, do których wysyłali go lekarze, kiedy nie mógł już dać sobie rady z chorą wątrobą i z bolesnymi wrzodami, tworzącymi się w miejscach dawnych odmrożeń wojennych. Poza tym na terenie Wielkiego Księstwa istniała teraz, prócz Luboni Morawskich, jeszcze jedna ekspozytura klanu rodzinnego: najmłodszy brat Józef ożenił się w roku 1822 z panną Józefą Pruską, bardzo bogatą dziedziczką z Pudliszek w Poznańskim, i osiadł w rozległych dobrach posagowych żony. Najczęściej i najchętniej bywał pan Tomasz u siostry Pauli w Luboni. Podczas każdej wizyty na nowo zachwycał się wspaniałym stanem gospodarstwa Morawskich i panującą między nimi idealną harmonią małżeńską. "Nie mogę Ojcu dostatecznie wyrazić ukontentowania, którego doznaję z widoku, jaki mi sprawia przyjemność ich pożycia. Ta zgoda nieustanna, ta przyjaźń prawdziwa, ta uległość wzajemna, a zwłaszcza to prawdziwe nabożeństwo, nie oddalające wcale od pełnienia obowiązków na ziemi ani od uprzyjemniania chwili, które tutaj pędzimy". Dzięki wizytom generała w Luboni w jego korespondencji coraz częściej zaczyna się powtarzać nazwisko jeszcze jednego głośnego szwoleżera, pułkownika (a później generała) Dezyderego Chłapowskiego, barona Cesarstwa Francuskiego, słynnego niegdyś w całej Wielkiej Armii oficera ordynansowego Napoleona, postaci uwiecznionej we wszystkich napoleońskich powieściach Gąsiorowskiego i Przyborowskiego. "Drogi Ojcze - czytamy w jednym z listów z Luboni. - Z wielką przyjemnością spotkałem Chłapowskiego. Dawniej zawsze miałem pewną do niego słabość, teraz, co jest już człowiekiem dojrzałym, podoba mi się jeszcze więcej i ze wszystkim się zgadzamy..." Nie były to z pewnością pochwały zdawkowe. Słynny napoleoński "Kłapowski" w swym nowym, cywilnym wcieleniu musiał się podobać generałowi Łubieńskiemu. Ten dawny szwoleżer był już wtedy żywą legendą i niedościgłym wzorem dla wszystkich ziemian polskich, starających się prowadzić swe gospodarstwa w sposób racjonalny i nowoczesny. Jako osiemnastoletni

podporucznik, czupurny "Dezyderek" wsławił się udzieleniem Napoleonowi dumnej odpowiedzi: *Le Polonais passe par tout*, która miała przekonać cesarza, że dla Polaka nie ma przeszkód nie do pokonania. W kilkanaście lat później starał się dowieść tego samego rodakom jako ziemianin Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Po powrocie z wojny zastał swą rodziną Turew zrujnowaną i przeciążoną długami przez rozrzutnego ojca. Postawił sobie wtedy za bojowe zadanie podźwignięcie majątku i oczyszczenie jego hipotek. Przez parę lat dochód z dóbr przeznaczał na wkłady gospodarcze i spłacanie wierzycieli. "Dla siebie nie zostawił nic, przestając na pensyi baronowskiej, którą od rządu francuskiego pobierał - pisze współczesny mu historyk Walerian Kalinka. - Jedynym zbytkiem, którego sobie pozwolił, była para dobrych wierzchowców do codziennej jazdy. A znakiem tych odmian i zapowiedzią nowego domowego porządku było to, że tarczę herbową, zawieszoną u głównych drzwi pałacu, uprzętnął, a w jej miejsce duży zegar wstawić kazał..." Do uzdrowienia i udoskonalania gospodarki zabrał się eks-szwoleżer w sposób prawdziwie nowoczesny. Ponieważ władał biegle kilkoma językami, obłożył się na parę zim stosami różnojęzycznych dzieł fachowych, mówiących o najnowszych osiągnięciach w dziedzinie rolnictwa. Po przeczytaniu wszystkiego, postanowił teorię uzupełnić praktyką. Początkowo jeździł się uczyć do najslawniejszych rolników niemieckich; stwierdziwszy jednak, że ci z kolei uczą się wszystkiego od Anglików, udał się wprost do źródła. Spędził w Anglii i Szkocji całe osiemnaście miesięcy. Opromieniony sławą adiutanta Napoleona, podejmowany był przez niedawnych wrogów z szacunkiem i sympatią. Demonstrowano przed nim wszystkie metody stosowane w dziedzinie uprawy i hodowli, wtajemniczano go w system szkolnictwa rolniczego, umożliwiano mu nabycie najnowocześniejszych narzędzi. Powrócił do Turwi z ogromnym bagażem doświadczeń, ale przeszczepianie ich na grunt ojczysty spotykało się na każdym kroku z konserwatywnym oporem. "Słudzy jego i urzędnicy nie mogli pojąć, po co na nowo dzielić pola, kopać i prostować rowy, wywozić kamienie, skoro dotąd nikt tego nie robił; nie mogli oswoić się z nowymi narzędziami i jeden po drugim dziękowali mu za służbę. Nawet fornale dworscy nie chcieli się chwycić szkockich pługów..." Nie lepiej odnieśli się do zagranicznych nowinek okoliczni ziemianie. "Wielkie zdziwienie wywołało u sąsiadów, że w Turwi sieją trawy, koniczynę zamiast zboża, że pola ogradzają żywymi płotami, że na nieużytkach sadzą drzewa - czytamy u Kalinki - nic podobnego w Polsce nie widziano, mówiono tedy, że pułkownik zwaryował i starano się wpłynąć na starostę (wspomnianego już ojca marnotrawcę - M.B.), by syna przywiódł do upamiętania i zapobiegał jego ruinie (!)..." - Chłapowski wierny zasadzie *Le Polonais passe par tout* poradził sobie z tym wszystkim. I to tak dobrze, że Turew na pół wieku stała się dla całej Polski szkołą nowoczesnej gospodarki rolnej i hodowlanej, a tytuł turwiańczyków, jaki nadawali sobie młodzi agronomowie po odbyciu praktyk rolniczych u Chłapowskiego, nabrał brzmienia nie mniej zaszczytnego niż przedtem tytuł szwoleżera gwardii. W sferach ziemiańskich utarło się przysłowie, że "jak każdy muzułmanin przynajmniej raz w życiu do Mekki, tak każdy ziemianin polski powinien odbyć do Turwi pielgrzymkę". Dodatkowej popularności przysparzał Chłapowskiemu (zwłaszcza wśród obywateli Królestwa) jego stosunek do dostojnego szwagra. Trzeba bowiem widzieć, że w roku 1821 dziedzic Turwi związał był swe

losy z panną Antoniną Grudzińską, młodszą siostrą księżnej łowickiej, małżonki morganatycznej wielkiego księcia-cesarzewicza. Konstanty, chociaż nie znosił dawnych oficerów napoleońskich, był z natury wielkim familiantem i robił podobno, co mógł, aby pozyskać sobie przychylność polskiego szwagra. Ale Chłapowski, chroniony kordonem granicznym, konsekwentnie unikał bliższych stosunków z niebezpiecznym powinowatym. Kiedy pewnego razu Konstanty przysłał jego żonie piękne futro sobolowe, "kazał je odesłać tłumacząc się, że podarków tak kosztownych przyjmować nie może". Aby całkowicie uniezależnić się od wielkiego księcia, posunął się jeszcze dalej: sprzedał za bezcen odziedziczone po matce dobra, Chmielniki, tylko dlatego, że znajdowały się w granicach Królestwa. Ponieważ jednak księżna łowicka i pani pułkownikowa z Poznańskiego były do siebie bardzo przywiązane, więc od czasu do czasu udawało im się doprowadzić do spotkania szwagrów. Przeważnie kończyło się to awanturą. Podczas jednej z tych rzadkich wizyt Chłapowskiego w Warszawie, Konstanty odezwał się do niego pół serio, pół żartem: "Panie szwagrze jeśli konspirujesz przeciw mnie, każę cię wsadzić do kozy". Eks-szwolęzer odparł najzupełniej poważnie: "Mości książe, nigdy nie konspirowałem przeciw waszej cesarzewiczowskiej mości i konspirować nie będę, ale bić się - to co innego, do tego gotów". Turew leży w odległości dwudziestu kilometrów od Luboni i pan Dezydery, serdecznie zaprzyjaźniony z referendarzem Morawskim, bywał tam codziennym gościem. Za każdym więc pobytem u siostry generała Łubieńskiego mógł do woli korzystać z towarzystwa dawnego kolegi pułkowego, musiał tylko w tym celu bardzo wcześnie wstawać. Chłapowski niezłomnie przestrzegał rozkładu dnia, odmierzanego przez zegar, wiszący w miejscu tarczy herbowej, a że wizyty u referendarstwa włączał

do swych przedśniadaniowych przejażdżek konnych, więc pojawiał się w Luboni najczęściej o szóstej rano. Z innych osób występujących w korespondencji z okresu krakowskiego na szczególną uwagę zasługuje pani Zofia Ignacowa Wielopolska z Bobrka. Ta piękna młoda pani, żyjąca w atmosferze nieustannych chorób i nieszczęść rodzinnych, była otaczana przez generała zupełnie wyjątkowymi względami. Natychmiast po przyjeździe do Krakowa "znalazł Zosię, zainstalowaną na zimę", później spotykał się już z nią ciągle i świadczył jej dziesiątki mniejszych lub większych przysług, latem odwiedzał ją często w Bobrku, trwał przy niej wiernie podczas choroby i śmierci jej córeczki, "małej biednej Józi". Ten człowiek, oglądający po parę razy każdy wydawany grosz, w sprawach dotyczących Zofii Wielopolskiej wykazywał wyraźną skłonność do wspaniałomyślności i szerokiego gestu. Po śmierci małej Józi pokrył pospiesznie z własnej kieszeni honoraria lekarskie i koszty pogrzebu (a były to sumy dość znaczne), byle tylko nie "niepokoić" zrozpaczonej matki. Często i ostentacyjnie podkreślał pan Tomasz, że Zofia Wielopolska była żoną jego kuzyna, ale serdeczne, gorące uczucie, jakim przepojona jest każda wzmianka, poświęcona tej powinowatej, każe wątpić, czy był to tylko sentyment rodzinny. Podobne wątpliwości mieli także współcześni generała. Świadczą o tym jego wywody w liście do żony z 24 stycznia 1823 roku. Odpowiadając pani Konstancji na jakieś pytania, dotyczące Wielopolskiej, generał pisał: "Świat, który upatruje wszędzie tylko stosunki miłosne, powtarza sobie, że jestem w niej zakochany. Nic na to nie odpowiadam, bo jej całe życie jest najlepszym

świadectwem, gdybym ja nawet był dość zepsuty, ażeby niepokoić jakiegokolwiek małżeństwo, a szczególnie krewnego, którego od tak dawna Kocham. Niedawno temu odpowiedziałem jednej pani, która w rozmowie o tem napomknęła, że ja zanadto Kocham Zosię, ażeby o jej względy się starać. Ale to wszystko nadaremnie, ludzie, którzy tem żyją, w co innego uwierzyć nie mogą". To, że w towarzystwie ówczesnym krążyły plotki na temat stosunków między generałem Łubieńskim a jego piękną i nieszczęśliwą kuzynką, tłumaczyć może zagadkową wzmiankę w Pamiętnikach generała Ignacego Prądzyńskiego (tom I, str. 141), odnoszącą się do Konstancji Łubieńskiej. Prądzyński, opisując wydarzenia lat 1826-1829, wspomina o powszechnie już wówczas znanym romansie generałowej z podpułkownikiem strzelców konnych gwardii Sewerynem Krzyżanowskim i wyraża zdziwienie, że na tę słabość pozwoliła sobie dama, która mieszkając niegdyś w Paryżu, "samego cesarza... życzenia dumnie odepchnęła". Pamiętnikarz usprawiedliwia jednak wiarołomną żonę tym, że "tej mogło służyć poniekąd za wymówkę zachowanie się jej męża..." Otóż w całej korespondencji generała Łubieńskiego, poza wzmiankami o Wielopolskiej, nie zdołałem odnaleźć niczego, co mogłoby podawać w wątpliwość jego "zachowanie" wobec żony. Prądzyński był znakomitym teoretykiem wojskowości i świetnym pamiętnikarzem, ale miał jedną wadę: za bardzo lubił słuchać plotek. Inna rzecz, że kryzys małżeński Łubieńskich w miarę upływu czasu ujawniał się coraz wyraźniej. Ich dom rodzinny rozpadł się właściwie całkowicie z chwilą wyjazdu generała z synem do Krakowa. W następnym roku pan Tomasz widział się z żoną chyba tylko te dwa razy, kiedy wyprawiał ją w podróż do Francji. Z listów wynika, że pani Konstancja swój pobyt w Warszawie uzasadniała na przemian to chorobą swego ojca, to własnymi niedomaganiem. Skądinąd jednak wiadomo, że mieszała w tym czasie także okresy doskonałego samopoczucia i zupełnej beztroski. Dobrze poinformowane listopisarki warszawskie donosiły kuzynkom z dworów wiejskich o sukcesach towarzyskich pani Tomaszowej. Widywano ją na balach królującą jak zwykle w mazurze, otoczoną rojem młodych, eleganckich oficerów, dobijających się o jej względy. W roku 1823 la belle Polonaise zbliża się już do czterdziestki, ale jak utrzymują kronikarze życia towarzyskiego, była jeszcze bardzo powabna i przeżywała jakby drugą młodość. Nie nazywano jej w listach "pięknością w wieku balzakowskim" tylko dlatego, że Balzac swoją Kobiętę trzydziestoletnią napisał dopiero w kilkanaście lat później. Pomimo ciągle przedłużającej się separacji małżonkowie nadal prowadzili ze sobą zwykłą korespondencję, jak gdyby nic się w ich stosunkach wzajemnych nie zmieniło. Dlatego tak trudno jest umiejscowić w czasie początek romansu pięknej pani generałowej z jednym z najświetniejszych oficerów Gwardii Królewsko-Polskiej, a zarazem przywódcą podziemnego ruchu niepodległościowego. Według wszelkiego prawdopodobieństwa romans ten - fatalny w skutkach dla obojga kochanków - nawiązał się w końcu 1823, gdyż właśnie wtedy następuje pierwsza długotrwała przerwa w korespondencji generała z żoną. Ta przerwa tym bardziej rzuca się w oczy, że w grudniu 1823 roku Tomasz Łubieński wyjechał do Paryża, aby przywieźć matkę wyleczoną już córkę, i przebywał poza krajem do jesieni roku 1824. W czasie jego poprzednich podróży zagranicznych pani Konstancja była wprost zasypywana listami od męża. Tym razem generał pisywał tylko do ojca. Tak przynajmniej wynika z

korespondencji, ogłoszonej przez Rogera Łubieńskiego. Z blisko rocznej podróży generała odnajduje się w zbiorze piętnaście listów do ojca, do żony nie ma natomiast ani jednego. Prawda, że wnuk biograf był zmuszony do surowego selekcjonowania obfitej twórczości stryjecznego dziada, ale selekcja nie mogła posuwać się aż tak daleko i nie mogła być tak jednostronna, zwłaszcza że zasadą redakcyjną całego zbioru było przeplatanie listów rodzinnych, przy czym zdecydowaną przewagę w tej przeplatance zawsze dotychczas miały listy generała do żony. Korespondencja Tomasza Łubieńskiego z wyprawy do Paryża wydaje mi się tak charakterystyczna dla jego zainteresowań i obyczajów, że najchętniej przytoczyłbym ją tu w całości, ponieważ jednak mogłoby to być dla czytelników nużące, ograniczę się do ciekawszych fragmentów. 12 Grudnia 1823. Wioska na pół drogi między Wadowicami i Kentami. Drogi Ojczy. Pisałem wczoraj do Ojca parę słów, wśród hałasu niezmiernego, który robiono w małej karczemce, gdzie nocowałem. Oddałem list studentowi idącemu na piechotę do Krakowa, bojąc się, że nie doszedł, piszę i dzisiaj [...] Turbuję się bardzo o Lola, czy nie przeziębził się odprowadzając mnie, i jeżeli tylko potrzeba, proszę zawołać Dr. Brodowicza, bo lepiej chorobom zapobiec, jak je potem leczyć. Wiele czasu stracił dzisiaj na komorze, wazyli mi albowiem wszystko srebro, co miałem, złożyłem za niego kaucyę 136 złp., które mam odebrać na komorze, wyjeżdżając z kraju Cesarsko Austriackiego..." "Wiedeń, 20 Grudnia 1823 ...Bardzo żałuję, że nie wziął swego powozu i że pocztą nie pojechał, albowiem Ci Landkuczerzy strasznie wolno jadą, i tak prawie osiem dni tu jechałem [...] Co jest najnieznośniejszego w Podróży, w terażniejszej porze roku, to jest zimno nie na dworze, ale w gościnnych pokojach w drodze, a co jeszcze gorsze, to jest gwałtowne i smrodliwe gorąco momentalne, jak zapalą w piecach, nie podobna więc jest, żeby się nie zakatarzyć. Dotychczas utrzymuję się tylko jak największą wstrzeźliwością w jedzeniu [...] Mam wielki kłopot z moją suczką, która pokazało się, że jest szczenna, już ją prawie chciałem tutaj zostawić u jednej Pani, ale potem żał mi się jej zrobiło i Kociemba tak się prosił, żeby go nie pozbawiać całej jego zabawy i rozrywki spodziewanej w Paryżu, że już się zdecydowałem wziąć, choćby mi się miała w drodze oszczenić..." "W Bleutenmarck o dwie mile od Amstetten... 24 grudnia 1823. ...Jest tu już kilka domów pańskich i fabryk ogrzewanych podług nowego wynalazku. Jeden duży piec postawiony w piwnicy cały dom ogrzewa. Powietrze zimne przechodzące przez ten piec ogrzewa się, i kanałami prowadzone do wszystkich pokoi, ogrzewa je wszędzie równo, ale nie miałem czasu widzieć tego, czego bardzo żałuję..." "Ulm, 31 Grudnia 1823 ...Chociaż w nocy, ale poznałem z ukontentowaniem plac, na którym spotkałem tak niespodziewanie powóz Ojca w 1814 roku (generał walczył wtedy z Koalicją, pan minister wycofywał się z rządem do Paryża - M.B.). Za cztery dni spodziewam się być w Strasburgu. Zdrowie mam dosyć dobre, służy mnie, Kociembie i suce. Stan rolnictwa nie jest lepszy w Bawarii jak gdzie indziej, wszystkie produkta nadzwyczaj tanie, podatki wielkie, rolnicy nie tylko że za swoje prace i trudy nie wychodzą na swoim, ale jeszcze prawie w długie wchodzi. Stan taki może potrwać, ale niedługo, każda struna nadto wyciągnięta pęka". "Paryż, 10 Stycznia 1824 Drogi Ojczy. Stałem tu w Paryżu szczęśliwie z łaski Bożej 8 tego miesiąca, to jest onegdaj w południe, w Strasburgu albowiem wsiadłem na delizans i w trzech dniach jadąc dzień i noc stanąłem w Paryżu.

Stałem w hotelu de Bressone na ulicy de Granelle Faubourg St. Germain, nie mogąc się dowiedzieć o hotelu bliższym Adelki. Złożywszy rzeczy, urządziwszy policyjne powinności, pobiegłem do niej i jak łatwo sądzić można, nawzajem się nie poznaliśmy (nie widzieli się od dziesięciu lat - M.B.)... Jeszcze nie widziałem doktora, u którego jest Adelka [...] Nie wiem, jak się ułożę względem mego pomieszkania. Życzeniem mojem albowiem jest, żebym stał z nią razem..." "Paryż, 18 Stycznia 1824 ...Jużem przecież otrzymał pomieszkanie razem z Adelką i od dwóch dni do niego się przenieśliem. Niezmiernie oddalony jestem od części Paryża, gdzie są wszystkie zabawy, gdzie mieszkają wszyscy cudzoziemcy, ale wystawiam sobie, że jestem z Adelką na wsi w sąsiedztwie wielkiego miasta. Zaabonowałem się na wszystkie nowe książki, na trzy gazety, jedną ministeryalną, drugą ultra, trzecią liberalną, czasem sobie chodzę na Teatr, ale do społeczeństwa to się wcale... nie mieszam i nie życzę go wcale odwiedzać, gdyż by mnie to oddalało od głównego celu mojej bytności. Byłem jednak u wszystkich Polaków tu będących, u Generałów Kniaziewiczza i Chłopickiego, u X-cia Konstantego Czartoryskiego, u Komarów*, (* Stanisław i Honorata Komarowie przebywali wówczas w Paryżu z osiemnastoletnią córką Delfiną, późniejszą Mieczysławową Potocką, wielką miłością Zygmunta Krasińskiego.) Maliszewskiego*, (* Piotr Maliszewski, vel Maleszewski, uczonec i polityk, stale mieszkający w Paryżu. Najbliższy przyjaciel i spadkobierca Józefa Sułkowskiego.) Nosarzewskiego...* (* Ignacy Nosarzewski, dawny kolega T. Łubieńskiego z Towarzystwa Przyjaciół Ojczyzny. Sekretarz ministra Marena, wieloletni amant księżnej Teodory Jabłonowskiej.) U mego Posła jeszcze nie byłem, bo paszport zatrzymany na komorze jeszcze mi nie nadszedł. U moich dawnych znajomych w tutejszym kraju jeszcze nie byłem i tak prędko nie zamyślałem, nie chcąc być wciągnięty w społeczeństwa, które by mnie wiele czasu zajmowały..." "Paryż, 25 Stycznia 1824 ...Poszukuję Generała Julien*, (* Generał Marek Antoni Julien, wydawca Revue encyclopedique, autor pierwszej pośmiertnej biografii Tadeusza Kościuszki Notice biographique sur le general polonais Thadee Kościuszko. Paris 1818.) ażeby dopełnić komisyj Generała Paszkowskiego*. (* Gen. Franciszek Paszkowski, towarzysz broni i przyjaciel Kościuszki, a następnie jego biograf, autor pracy Dzieje Tadeusza Kościuszki. Kraków 1872. Był także przyjacielem Feliksa Łubieńskiego.) Kniaziewicz jedzie za 10 dni do Drezna... Urządzam sobie teraz kuchnię w domu po części dlatego, ażeby smaczniej jeść, gdyż Restauratorów nie lubię, po części ażeby Adelkę wprawić do tego rodzaju zatrudnienia. Wczoraj byłem na obiedzie u Pani Tyszkiewiczowej*, (* Teresa z Poniatowskich Tyszkiewiczowa - siostra księcia Józefa, wieloletnia przyjaciółka Talleyranda.) gdzie był książę Talleyrand, książę Montmorency Luxemburg, Hrabowie Damur, Caraman, Margrabia Riviere, książę Czartoryski Adam młodszy, Sanguszko Roman i Władysław, Raczyński Atanazy, Pani Lanckorońska..." "Paryż, 20 lutego 1824 ...Odebrałem list od Rózi (Sobańskiej - M.B.)... bardzom się ucieszyłem... że jest w ciąży. Proszę Ojca powiedzieć Generałowi Paszkowskiemu, że widziałem się już z Generałem Jullien, z jego rozmowy poznałem, że nie ma żadnych dowodów autentycznych korespondencyj Kościuszki z Ameryką. Pisał wprawdzie do Pana Jeffersona i ten mu odpisał, i na tem się skończyło. Bardzo więc on małą będzie pomocą gen. Paszkowskiemu..." "Paryż, 14 Marca 1824 ...Budowa Paryża znacznie

się na wszystkie powiększa strony, wraz z powiększaniem bogactw partykularnych, tak z przyczyny handlu i manufaktury, jako też z łask rządowych... Wiele także fortun zrobionych w czasie Rewolucyi i Napoleona, natenczas utajonych, teraz się odkryło. Ogółem powiedziawszy, bogactwo tego kraju znacznie się powiększyło. Ilość kapitałów, niezmierna łatwość ich umieszczenia. Bezpieczeństwo podwaja ochotę do pracy i podaje rękę oszczędności, tej matce pierwotnej wszystkich kapitałów". "Paryż, 9 Kwietnia 1824 ...Byłem wczoraj na posiedzeniu publicznym Instytutu. P. Auger, prezydent Akademii, wysławiając piękności i dowodząc konieczności i wyższości literatury klasycznej, szydził z wielkim dowcipem, ale nie zawsze właściwie z Romantyczności. Pan Remusat, mówiąc o religii Lama, potrafił zainteresować i zabawić publiczność. P. Cuvier uczoną miał rozprawę o historii naturalnej P. Lementey wysławiając precyzyę języka francuskiego, szydził sobie trochę ze składni niemieckiego [...] Nader liczna publiczność zapełniała salę..." "Paryż (bez daty) W przyszłą sobotę p. Ternaux w St. Ouen otworzy zamknięte lochy ze zbożem od 2 do 5 lat. Jeżeli doświadczenia, które w tej mierze robią, dojdą swego celu, będzie to wielką rzeczą dla naszego kraju, gdzie potrzebujemy tak dużych śpichlerzów, w których tak trudno długo zboże przechować, będzie to także wielką obroną przeciw mogącym wypaść nieurodzajom. Tegoż dnia próbować będą tam gazu, hydrogen, przenośnego, którego już w Anglii używają, przenosi się go do woli i kładzie się go do lamp naumyślnie w tym celu robionych. Kompania, która tę enterprizę wzięła w Anglii, miała fundusz 300 000 funtów szterlingów. Egzystuje od dwóch lat i fundusz jej już wynosi 1 200 000 funtów. Robi się ten gaz z pozostałych olejnych makuchów... Będę się starał być w St. Ouen w sobotę, gdyż obydwie te doświadczenia ze wszech miar są interesujące..." "Paryż, 9 Maja 1824 ...Wczoraj byłem w St. Ouen u p. Ternaux, ale dla deszczu nie można było otworzyć piwnic, gdzie leży zboże od 1, 2, 3, 4 i 5 lat. Oglądaliśmy gaz hydrogen. Był umieszczony pod kolumną, na której stała statua Merkura, który trzymał w ręku pochodnię, podziurawioną małymi otworami, przez które przechodziło powietrze zapalne, paliło się i ślicznie wyglądało. Jedyną ujemną stroną tego oświetlenia jest, że bardzo rozgrzewa powietrze dookoła. Było przeszło 200 osób, po większej części distingowane osoby, dużo mówiono o rolnictwie i industrii, widać, że od dwóch lat wszystko się nieco cofnęło... Trudno sobie wyobrazić, jakie nieukontentowanie sprawiają wszystkie postęпки ministrów tutejszych, tak ze strony podanych publicznie praw i potajemnych sposobów ich utrzymania; jako też ze skrytych ich działań, z przekupstwa i wszystkich innych sposobów... których używają, gazety prawie wszystkie przekupione..." "Paryż, 16 Maja 1824 Drogi Ojczy. Dziękuję za wiadomości o naszym kraju, które zawsze z taką ciekawością czytam. Bardzo aprobuję tę asocjację wojskową dla wdów i wysłużonych, życzyć by trzeba, żeby mogła być rozciągnięta do wszystkich urzędników Rządowych... Z przyczyny tego projektu jak i z wielu innych uważam, że największe nieszczęście naszego kraju to brak rękojmi finansowej we wszystkich działaniach rządowych, co zupełnie zabija kredyt, to źródło prawdziwe bogactw narodowych... Od dawna już myślę o założeniu Kasy Oszczędności dla ludzi ubogich, zarobników dziennych i służby. Podług mnie w naszym kraju przede wszystkim byłaby to instytucja ze wszech miar moralna, bo nadarzałaby sposobność ludziom uzbierania powoli kapitału produktywnego i wpoila

zamiłowanie do własności, oszczędności i powściągliwości... Mieliliśmy tu onegdaj piękny bardzo bal u Stanisława Potockiego, na którym bawiłem do 4 rano, i jeszcze pełno ludzi odjechałem..." "Paryż, 12 Czerwca 1824 Widziałem też w tym tygodniu rzecz [...], którą prosty człowiek od czterech lat na prowincyi, a od trzech miesięcy tutaj rozpoczął. Jest to wylęganie jaj z pomocą ciepła. Kilkaset kurcząt, kaczek, kuropatw, bażantów co dzień się wylęga, bardzo mnie interesowały te małe kurczęta, w oczach naszych tłuczące jaja i wychodzące z nich. Piec do wylęgania, klatki do chowania młodych, dawanie im jeść i pić, tym są ciekawsze, że niezmiernie proste, bez żadnych a żadnych wykwentów ani omamień [...] Przyjechał tu Stanisław Jabłonowski, syn naszej księżnej, co Walewska z domu (młodszy brat byłego szwoleżera księcia Antoniego - M.B.), widział mego brata Tadeusza w Rzymie i powiada, że sobie Wielkanocną spowiedzią bardzo zaszkodził... Staś Jabłonowski nic nie wiedział o słabości Matki i przyszedł mnie prosić, żeby mu powiedzieć, jak Matce jest, spłakał się i zdecydował się zaraz do niej jechać*..." (* Księżna Teodora wkrótce po powrocie do kraju zaczęła ciężko chorować. Po pewnym czasie okazało się, że cierpi na raka.) "Paryż, 3 lipca Mamy tu teraz Don Miguela Książęcia Portugalskiego, który się tak nieszczęśliwie wslawił przez bunt przeciwko ojcu podniesiony [...] Sanguszkowie młodzi, Roman i Władysław, wrócili z Londynu, gdzie się dobrze bawili, jadą do Szwajcarii, a potem do Włoch... Jabłonowski, który tu jest do paru tygodni, wybiera się w tych dniach do Matki do Warszawy, która bardzo słaba i mało jest nadziei, żeby z tego mogła wyjść... Powiadają tu, że... Staszyc został Ministrem Stanu, zapewne dlatego, żeby go oddalić od zatrudnienia, które Lubecki zagarnąć żądał (przyopuszczenie generała okazało się trafne: Staszic istotnie dostał, jakby powiedziano dzisiaj, "kopniaka w górę". Chodziło o odebranie mu wydziału przemysłu i kunsztów, który Lubecki wcielił do swojego ministerstwa - M.B.). Chłopicki wyjeżdża także do Warszawy. Paryż się bardzo przeczadził..." "Paryż, 31 Lipca 1824 ...Wielka się wszczęła kłótnia między uczonymi. Znalezione w okolicach Fontainebleau skamieniałość, którą wzięto za człowieka na koniu. Naturaliści, którym to cały system przewraca, mówią, że to skamieniałość jakiegoś zwierza morskiego [...] Z obydwóch stron nazywają się ignorantami [...] Majer i Chłopicki jadą jutro do Warszawy, przez nich posyłam sprawunki dla różnych osób. Byłem wczoraj w teatrze francuskim na pierwszym występie Panny Mars po jej powrocie do Paryża (słynna aktorka dobiegała już wtedy pięćdziesiątki, pan Tomasz podziwiał jej występy jeszcze jako młody szwoleżer - M.B.). Grała ślepa, ale z taką prawdą, że patrząc na jej otwarte źrenice, serce ścisnęło się z żalu, że nic nie widzi..." Przy czytaniu tej obszernej korespondencji, chlubnie świadczącej o wielości i nowoczesności zainteresowań człowieka, który przed piętnastu laty zdobywał Somosierre, odczuwa się jednak pewien niedosyt. Chciałoby się czegoś dowiedzieć o spotkaniach generała z jego "dawnymi znajomymi w tutejszym kraju", o których wspominał na początku korespondencji i z którymi, wcześniej czy później, kontakty z pewnością nawiązał. Może z wrodzonej sobie ostrożności nie chciał tego tematu poruszać w korespondencji ze względu na cenzurę krajową. Spróbuję go przynajmniej częściowo w tej mierze wyrećczyć. Z dawnych przyjaciół francuskich pana Tomasza na przypomnienie zasługuje przede wszystkim zasłużony organizator pułku szwoleżerów - generał brygady (a według nomenklatury burbońskiej -

marszałek polny) baron Piotr Dautancourt (d'Autancourt). Podczas mojej bytności w Paryżu w roku 1970 udostępniono mi ze zbiorów Polskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego świeżo nabytą i jeszcze nie skatalogowaną tekę listów ekszwoleżerów polskich do Dautancourta z lat 1820-1830. Ta niezwykle ciekawa korespondencja, warta moim zdaniem osobnej monografii, stanowi piękny przyczynek do dziejów przyjaźni polsko-francuskiej. Stary "wąsacz" napoleoński przyjął na siebie dobrowolnie i bezinteresownie funkcje pełnomocnika dawnych kolegów polskich w dochodzeniu ich należności od rządu francuskiego. W swoim mieszkaniu prywatnym (rue de Faubourg St. Denis nr 22 porte 15c) szwoleżerski Papa zorganizował sobie wzorową kancelarię, poświęconą sprawom polskim. Przez wiele lat prowadził stałą korespondencję ze szwoleżerami, którym Napoleon przyznał był w swoim czasie renty, oparte na Kanałach bądź innym majątku państwowym Francji. Do stałych korespondentów Dautancourta należeli m.in. Piotr Krasieński, Ambroży Skarzyński, Wincenty Zajaczek, Seweryn Fredro, Wojciech Dobiecki i Hermolaus Jordan. Prośby nadsyłane przez dawnych towarzyszy broni Dautancourt załatwiał niezwykle skrupulatnie. Prawie na każdym liście z paryskiego zbioru znajduje się odręczna adnotacja Papy, dokładnie wyszczególniająca podjęte kwoty, potrącane od nich koszty manipulacyjne, sposób przesłania pieniędzy itd... Czytelnik interesujący się losami byłych szwoleżerów może odnaleźć w listach polskich korespondentów gen. Dautancourta sporo ciekawych szczegółów. Dla przykładu przytoczę kilka takich informacji z korespondencji Ambrożego Skarzyńskiego, który mniej więcej w tym czasie przenosił się z rodzowego Suserza w Gostyńskim (od czterystu lat będącego własnością Skarzyńskich) do "rozleglejszych dóbr żony" w okolicach Kalisza i zawiadamiał swego paryskiego pełnomocnika o zmianie adresu. Ekszwoleżer przedstawiał przy okazji dawnemu zwierzchnikowi sytuację innych towarzyszy broni: "Większość oficerów z naszego pułku po opuszczeniu służby ożeniło się, a podoficerowie zatrudnili się jako celnicy. Wybrali tę służbę, a nie wojskową, bo mogą więcej zarobić, szczególnie w kraju, gdzie jest dużo Żydów". O generale Krasieńskim donosił, że "jest w Warszawie, prowadzi wciąż ten sam tryb życia i zachowuje się, jakby był w pierwszej linii", a ponadto że "jest jeszcze ciągle w tym obrzydliwym procesie * (* Właśnie podczas tego procesu wyszła na jaw sprawa medalu, wybitego przez Krasieńskiego na własną cześć.) z Pfeifferem (dawny oficer gospodarczy regimentu - M.B.), który przyczynia więcej wstydu Generałowi niż Pfeifferowi". Przepraszając Dautancourta za usterki językowe swoich listów bohater spod Arcis-sur-Aube pisał: "Niedługo oduczę się już pisać po francusku, nie mając go zupełnie w użyciu, bo szczerze mówiąc, jestem un gospodaż (to słowo napisane w liście po polsku przytaczam z zachowaniem jego ortografii - M.B.), który nigdzie nie chodzi, nikogo nie spotyka, pilnuję tylko mego gospodarstwa, które jest znaczne - robię to, co do mnie należy w Polsce, w obawie nieprzyjemności. Jestem zadowolony, że nie mam lub nie mogę mieć lancy w dłoniach. Zadowolam się całkowicie tym zmienionym życiem, bo jestem otoczony nie kozakami, ale moimi dziećmi, które są piękne (nie dlatego, że jestem ojcem), [...] o mojej żonie także mogę to powiedzieć po pięciu latach małżeństwa [...] Byłby Pan zachwycony, widząc nas razem. Ale to się raczej nie uda, po co przyjeżdżałby Pan do Polski, trzeba być Polakiem, aby mieszkać w tym kraju. Jeśli jednak okazja lub los przywiedzie Pana w

okolice Warszawy, proszę zrobić ten objazd i przyjechać do mnie. Znajdzie tu Pan dobrego kucharza, dobre wino Chambertin i węgryna - poczęstuj Pana a la francaise albo a la polonaise w wielkich szklanicach, ale zawsze serdecznie i bez żenady, jak między starymi żołnierzami, tym bardziej że wciąż jestem wdzięczny za dobroć okazaną mi przez Pana podczas mego pobytu w Pułku, o czym nigdy nie zapomnę". Nie mogłem oprzeć się chęci przytoczenia tych paru wyimków z nie publikowanych dotychczas dokumentów, chociaż wiem, że czytelnikom byłoby o wiele przyjemniej dowiadywać się o Dautancourcie bezpośrednio od generała Łubieńskiego. Zresztą nie tylko o Dautancourcie. Trudno przecież uwierzyć, że w czasie wielomiesięcznego pobytu we Francji pan Tomasz nie postarał się o odświeżenie znajomości ze swym dawnym kolegą pułkowym, słynnym pułkownikiem Pawłem Jerzmanowskim, który w roku 1814 dowodził szwadronem szwoleżerów, towarzysząc Napoleonowi na Elbie. Po przesłużeniu trzech lat w armii Królestwa Kongresowego Jerzmanowski powtórnie wyemigrował do Francji i osiadł na stałe w zamku La Grande Rabiere, należącym do jego francuskiej żony Marii Côtquen hrabiny Desormaux. Zamek znajdował się wprawdzie pod Tours, lecz skądinąd wiadomo, że płk Jerzmanowski bywał bardzo częstym gościem w Paryżu, i chętnie korzystał z każdej okazji do spotykania się ze starymi przyjaciółmi. Podobnie jak on, wielkie zainteresowanie dla dawnych kolegów z pułku szwoleżerów przejawiał były "młodszy chirurg" regimentu Wawrzyniec Gadowski (ten sam, który w odwrocie spod Moskwy asystował rannemu Kozietułskiemu). Z korespondencji szwoleżerskiej wiadomo, że Gadowski mieszkał wtedy stale w Paryżu i "odnosił wielkie sukcesy w interesach". Generał z córką opuścili Paryż w pierwszych dniach września 1824. Zniechęcony całkowicie do austriackich landkuczerów, drogę powrotną do kraju odbywał pan Tomasz własnym wygodnym koczem, który udało mu się nabyć od przebywających w Paryżu państwa Komarów. 4 listopada, po dłuższych postojach w Dreźnie i w Luboniu, Łubieńscy dojechali do Krakowa, gdzie generał zaprezentował Adelkę dziadkowi, po czym wyruszył w dalszą drogę, zatrzymując się jeszcze w paru rezydencjach rodzinnych, dla popisania się uzdrowioną córką przed pozostałymi członkami klanu - aż wreszcie 16 listopada stanął w Warszawie. Stamtąd po pewnym czasie wysłał list do "pana ministra". "Drogi Ojczy. Wyznaję, że z najwyższą wdzięcznością westchnąłem do Boga, gdy wjeżdżał do Warszawy, że mi po tylu bojaźniach i trudach dozwolił Adelkę szczęśliwie dowieźć do celu mej podróży. Oddając ją Matce i zostawiając ją w Warszawie, mam w Bogu nadzieję, że ją zachowa w tej drodze prawej, w której rozumiem, że jest teraz... Wiktor (Ossoliński) z żoną w Dreźnie. Xiężna Jabłonowska zawsze bliska zgonu, w społeczeństwie przyjaciół, znajomych zapomina o bólach niezmiernych, których by w samotności nie zniosła. Jan, mój brat, z żoną i dziećmi zupełnie zdrowi. Mały Władysławek bardzo ładny, podobny do Stasia, który jest bardzo dowcipny. Ewelinka zdrowe dziecko, podobna będzie do Marysi Skarżyńskiej. Zresztą mało jest rzeczy nowych w Warszawie [...] Xiążę Lubecki zawsze góruje w ministerium, słucham jego stronników i współdziałających z największą ciekawością, gdyż nie można powiedzieć, żeby to był człowiek zwyczajny i bez zalet, ale moje przekonania i słabe moje w tej mierze wiadomości nie mogą jeszcze ani pojąć prawdziwej dążności, ani pochwalić środków, którymi

działają i zamyślają działać". Całkowicie przekonał się generał do ministra Lubeckiego dopiero na sejmie, który po trzyletnim odwlekaniu został wreszcie zwołany w roku 1825. Na sejmie tym książę-minister doprowadził do skutku uchwalenie statutu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, realizując w ten sposób główny postulat programu ekonomicznego Łubieńskich. Było to walne zwycięstwo klanu, którego członkowie gęsto obsadzili władze nowego Towarzystwa, ale zarazem był to fakt niezmiernie pożyteczny i ważny dla rozwoju gospodarczego całego kraju. Wprawdzie projekt Lubeckiego miał charakter wyraźnie klasowy, gdyż członkami Towarzystwa mogli być tylko ci, którzy opłacali określone minimum podatkowe, co w praktyce wyłączało od udziału drobnych ziemian i chłopów, ale nawet przy tym ograniczeniu samo powstanie Towarzystwa było wydarzeniem doniosłym i zdecydowanie pozytywnym. Przesadzał więc chyba czcigodny Stanisław Staszic, atakując Lubeckiego za "antysocjalny i niemoralny" charakter Towarzystwa i określając jego projekt jako "bardzo gwałtowny i cywilnych społeczeństw ludzkich porządkowi zupełnie przeciwny". Ale twórca podstaw przemysłu polskiego miał prawo nienawidzić człowieka, który bez skrupułów usuwał mu ziemię spod nóg i pozbawiał go owoców wieloletniej, ofiarnej pracy. Sejm roku 1825 stanowił wielki benefis Łubieńskich. Pan Henryk, który również był tym razem posłem, odegrał pierwszorzędą rolę w dyskusji nad "systematem kredytowym" i zwrócił na siebie przychylną uwagę ministra Lubeckiego oraz innych poważnych osobistości. W rezultacie grupa kapitalistów berlińskich zaproponowała mu przez swego warszawskiego przedstawiciela stanowisko dyrektora banku inwestycyjno-kredytowego, który miał powstać w Warszawie opierając się na kapitałach niemieckich. Łubieński uprzedził o tej propozycji Lubeckiego, czym ogromnie go sobie ujął. Książę-minister radził propozycji nie przyjmować, natomiast ze swej strony oświadczył, że rząd Królestwa również zamierza podobny bank uruchomić i że lojalny Łubieński może tam liczyć na odpowiednio wysokie stanowisko. Wnuk Henryka, Roger Łubieński, utrzymuje, że właśnie ta rozmowa z jego dziadem naprowadziła ministra Lubeckiego po raz pierwszy na ideę Banku Polskiego. Ale chyba się myli, bo o rządowych projektach bankowych wspominał pan Tomasz w listach z 1822 roku. Generał w okresie sejmowym był zapracowany nie mniej od brata, ale przeżywał stan euforii. Odbijało się to nawet na stylu listów do ojca, nadając sprawozdaniu z sesji sejmowej formę poetyckich metafor. "Warszawa, 28 Maja 1825 Drogi Ojcze. Choć ciągle zajęty nawalem interesów i zatrudnień, które z jednej strony mi daje Sejm i wszystkie jego tyczące się czynności, festyny, wizyty itd., a z drugiej interesa tyczące się Pałacu (rodzinnego), którego rachunkowość już wzięłam na siebie, biorę jednak pióro w rękę, żeby choć parę słów przez dzisiejszą pocztę do Ojca przesłać. Mój brat Henryk, najczynniejszy z posłów, jest prawdziwie jeden z dystyngowanych członków reprezentacji narodowej, nikt więcej jak on nie ma tego rozumu, tego objęcia chwilowego, tej łatwości rozwinięcia myśli swojej i znalezienia zawsze w materii, która się toczy, rzeczy, których mu stosownie do jego myśli potrzeba. Ale nie wiem, jak może wystarczyć temu wszystkiemu, co na siebie bierze. Dotychczas płyniemy dość szczęśliwie po naszym często zaburzonym jeziorze... okręt nasz, mijając wszystkie skały odkryte i pod wodą będące, płynie spokojnie. Dodać potrzeba, że więcej niż kiedykolwiek dopomaga mu

łaskawie przyświecające Słońce (chodziło oczywiście o cesarza-króla - M.B.), którego promienie łatwiej nas dochodzą, łatwiej się też odbijają. Daj Boże, żeby tak poszło do końca. W tej albowiem jesteśmy kolei, że nie chodzi tu o szczegóły, jakkolwiek bądź ważne, ale na ogół. Moja żona zdrowa jak dawno nie była. Adelka także zupełnie zdrowa. Ja zaś z roboty jednej na drugą się gotuję, gdyż oprócz administracji Pałacu, biorę w dzierżawę Guzów (dobra te stanowiły jeszcze wtedy wspólną masę rodzinną, później wykupił je dla siebie pan Henryk - M.B.) na lat trzy... Nie rozpocznę jednak moich w tej mierze zatrudnień, aż koło św. Jana. Kazio (Łubieński), który mieszka u Henryka, także porzucił Bale, które nie tak lubi, jak one jego lubią, żeby na parę dni do Miłobendzina zajrzeć (do Skarzyńskich - M.B.)..."

Bardzo możliwe, że do umacniania euforii generała Tomasza Łubieńskiego przyczyniała się propaganda, szerzona przez jego dawnego zwierzchnika, generała-wojewodę Wincentego Krasińskiego. Ciekawe światło na działalność Krasińskiego w okresie sejmiku roku 1825 rzucają dwa raporty agenta Henryka Mackrotta. 22 maja 1825 roku Mackrott donosił wielkiemu księciu: "Od kilku dni mówią w mieście, że cesarz powiedział jakoby Krasińskiemu, iż po ukończeniu sejmiku przyłączy do Królestwa trzy gubernie, a niektórzy przypuszczają, że nawet więcej. Z tego powodu zaczęły się szerzyć liczne sady o polityce, a nawet słyhać, że J.C. Mość na pewno przyłączy cały kraj, należący przedtem do Polski, i również skłoni po przyjacielsku (!) króla pruskiego do ustąpienia kraju polskiego, a nawzajem użyje starań, aby po śmierci króla saskiego przyłączyć Saksonię do Prus; później zaś będzie chciał, aby i cesarz austriacki oddał starą Galicję, a gdy się nie zgodzi, to napewno nastąpi wojna z Austrią". Z następnych raportów Mackrotta wynika, że hałaśliwy optymizm hrabiego gwardzysty został jednak przez władze nieco wyciszony. "Wskutek doniesienia uczynionego 22 bieżącego maja - pisał Mackrott w pięć dni później - o rozpowiadaniu przez generała dywizji Krasińskiego (Wincentego) jakoby miały być przyłączone do Królestwa Polskiego trzy gubernie lub więcej, przeprowadzono dochodzenie i dowiedziano się, że na śniadaniu u gen. dyw. Krasińskiego było wielu posłów i po śniadaniu gen. Krasiński opowiadał, co następuje: cesarz pozwolił mu oznajmić, że po ukończeniu sejmiku przyłączy do Królestwa Polskiego kilka gubernij, generał zapytał, czy może to powiedzieć osobom postronnym, na co cesarz jakoby, dając mu zezwolenie, raczył zaznaczyć, że to jest jego bezwarunkowym zamierzeniem... Początkowo zaczęli posłowie opowiadać o tej sprawie gospodarzom i rządcom hoteli Niemieckiego i Polskiego, gdzie wynajmują mieszkania, ale obecnie ciż posłowie mówią, że gen. Krasiński zapiera się jakoby komukolwiek o tem opowiadał, lecz wobec kogo czynił takie zastrzeżenia, tego oni nie wiedzą". Nie wszyscy jednak patrzyli na sejm roku 1825 przez tak różowe okulary, jak dawni sztabowcy "Gwardyi Polsko-Cesarskiej". Jeden z posłów, również wywodzący się ze szwoleżerów napoleońskich, był nawet z sejmiku zdecydowanie niezadowolony i miał poważne pretensje do "słońcu podobnego" Aleksandra I - zwłaszcza za narzucenie Królestwu tak zwanego artykułu dodatkowego do konstytucji, nakazującego tajność obrad sejmowych. Ale temu szwoleżerowi-opozycjoniście poświęcony będzie następny rozdział książki. Na razie zajmijmy się jeszcze panem Tomaszem. Koroną jego sejmowych satysfakcji było, że senat znaczną większością głosów wysunął go jako kandydata na stanowisko senatora kasztelana. Generał zareagował na to zupełnie

inaczej niż w roku 1822. "Ja w moim zapędzie ze strony mojej miłości własnej wielkiej doznałem chluby - pisał 4 czerwca do ojca. - Senat albowiem kreskując na wakujące miejsca, podał mnie drugiego na kandydata i z trzydziestu dziewięciu kreskujących miałem trzydzieści dwie kreski, żadnego o to nie zrobiwszy kroku... Teraz czy Naj. Pan zechce mnie wybrać, czy nie, tego nikt wiedzieć nie może, albowiem na cztery miejsca wakujące jest 8 kandydatów, podanych przez senat, a czterech przez Ks. Namiestnika, a wielu zapewne, starając się o to, zaleceni mu będą [...] Wyznać jednak muszę, że pochlebnie mi będzie, tak gdybym został mianowany, jak jeszcze więcej mi pochlebia wybór tak liczny na kandydata. Nie obchodzi mnie jednak wiele i spokojnie czekam decyzji Naj. Pana. Nigdy jeszcze Monarcha nasz nie był tak uprzejmy, tak ukontentowany jak jest dotąd, spodziewać się trzeba, że i koniec obrad Sejmowych nie zachmurzy jego łaskawości..." Ale generał miał szczególnego pecha do senatorskiego krzesła, bo i tym razem nominacja go ominęła. Mógł się jedynie pocieszyć, że wśród czterech nowo mianowanych senatorów kasztelanów znalazł się zamiast niego inny wybitny eks-szwoleżer - dymisjonowany generał dywizji Michał Ludwik Pac, ojciec chrzestny Zygmunta Krasińskiego, ten sam "zacyjny Pac", który tak troskliwie opiekował się Kozietulskim w czasie jego hiszpańskiej żółtaczki i tak dzielnie bronił Paryża w roku 1814. W roku 1825 powrócił z Rzymu do kraju eks-szwoleżer ksiądz Tadeusz Łubieński. Jego pobyt w Stolicy Apostolskiej zakończył się jakimś bliżej nie znanym niepowodzeniem, o którym informował pana Tomasza w Paryżu książę Stanisław Jabłonowski. Może właśnie wskutek tego rzymskiego potknięcia na razie nic nie wyszło z profesury krakowskiej i póki co przyszły biskup ograniczyć się musiał do honorowego tytułu "prałata Jego Świątobliwości" i probostwa w rodzinnych Wiskitkach. Zachował się z tego czasu interesujący list generała pisany do ojca: "Warszawa, 4 lutego 1825 Drogi Ojczy. Ksiądz Tadeusz wyjechał onegdaj, ażeby odbyć instalację probostwa w Wiskitkach, ale posłałem po niego umyślnego, ażeby się wrócił. Zapytałem się albowiem adiutanta W. Księcia, czyli ks. Tadeusz jako dawny oficer ma się W. Księciu przedstawić. Odpisał mi on już po wyjeździe ks. Tadeusza, że go z ochotą przyjmie nazajutrz. Sądziłem więc koniecznością posłać natychmiast po niego i posłałem umyślnego do Gól (majątek Piotra Łubieńskiego - M.B.), gdzie miał nocować. Pani Janowa Potocka (Matka Henrykowej Łubieńskiej - M.B.) pożyczyła mi na to człowieka i konia. Wrócił więc i był u W. Księcia na pokojach, poczem zaraz nazad wyjechał do Wiskitek..." * W związku z nową pracą w Towarzystwie Kredytowym Ziemskim (bracia Tomasz i Henryk Łubieńscy weszli w skład "Dyrekcji głównej" Towarzystwa, trzeci brat - Piotr - został prezesem "Dyrekcji szczegółowej" woj. mazowieckiego - M.B.) oraz przejęciem zarządu nad pałacem warszawskim i dobrami guzowskimi - generał musiał osiąść na dobre w Warszawie. Syna postanowił oddać na dalszą naukę do słynnego liceum Lindego. Zaangażowany w Krakowie nauczyciel Bogucki miał pełne ręce roboty, bo razem z trzynastoletnim Lolem przygotowywał się do egzaminów licealnych jego brat stryjeczny Feliś, syn Piotra Łubieńskiego. 3 września 1825 roku generał komunikował ojcu: "Mój brat Piotr z Żoną zdecydował się oddać swego syna do szkół tutaj wraz z moim. Sprawiamy im już Mundury, a oni sobie głowy o examen kłopotają. 20 t(ego) m(iesiąca) mamy wpisać ich i zaprowadzić do egzaminu, gdzie dopiero profesorowie

pod prezydencją Lindego udecydują, do której mogą iść klasy..." Następny list niemal w całości poświęcony był egzaminom: "Drogi Ojciec. Przed egzaminem zaprowadziłem syna Leona do księdza Szaniawskiego (prof. ks. F.K. Szaniawski był, jak już wspominałem, dawnym nauczycielem generała - M.B.), żeby się z nim rozmówić. Dzisiaj Lolo idzie do spowiedzi, żeby się przygotować do nowego swojego stanu, zaczynając od tego prawdziwego początku wszystkich rzeczy. Ksiądz Szaniawski 20 września przedstawił chłopców moich Profesorom Liceum, i tak się nimi trudził, jak gdyby to jego własne były dzieci. Examinowali najsilniej profesorowie Literatury Polskiej, Matematyki i Historii. Po egzaminie serdecznie dziękowaliśmy Boguckiemu, który rozumiem, że nadal w domu moim pozostanie. Lolo miał nadzwyczaj wielką przytomność i dobrze na wszystkich pytania odpowiadał, dlatego go też jednomyślnie przeznaczili do szóstej klasy..." Coś to się jednak nie zgadza. Gdyby Leon Łubieński rzeczywiście był w roku 1825 przyjęty do najwyższej klasy szkoły Lindego, to nie mógłby być w niej razem z Zygmuntem Krasieńskim, który wstąpił do liceum dopiero w roku 1826. Ponieważ wydaje się rzeczą zgoła nieprawdopodobną, żeby pilny uczeń pana Boguckiego mógł szóstą klasę repetować, należy przypuszczać, że w roku 1825, pomimo chlubnie zdanego egzaminu, przeznaczono go jednak (prawdopodobnie ze względu na zbyt młody wiek) nie do klasy szóstej, lecz do piątej. W każdym razie jego równoczesną z Krasieńskim obecność w szóstej klasie potwierdza wyraźnie list generała Łubieńskiego, pisany w rok później - 23 września 1826 r.: "Dzisiaj właśnie zaczynają się szkoły... Mają teraz (Lolo i Feliś - M.B.) nowego kolegę w 6 klasie, w młodym Zyguncie Krasieńskim, synu Generała Wincentego, miał bardzo dobrze zdać swój examen. Oddawanie podobne do publicznych szkół synów majątniejszych obywateli wiele dobrych skutków za sobą pociągnie, nada ogółowi Klasy Oświeconej jednostajność w nauce, oswoi zawczasu do życia społecznego, a przez to nada niejako nową cechę ówczesnej ludności oświeconej naszego Kraju..." List Tomasza Łubieńskiego z września 1826 roku utrzymany jest dokładnie w takiej samej tonacji, jak listy poprzednie z roku 1825. Nic nie wskazuje na to, że rok przedzielający te listy był widownią tragicznych wydarzeń politycznych, które naruszyły bezpośrednio spokój generała i jego najbliższego otoczenia. Opis tych wydarzeń i ich różnorodnych konsekwencji odnajdą czytelnicy w dalszych częściach opowieści. Kończąc rozdział poświęcony klanowi Łubieńskich, chciałbym tylko odnotować pewien epizod, wyraźnie już do tamtych spraw nawiązujący. 19 listopada 1825 roku w Puławach z wielkim szumem obchodzono imieniny starej księżnej Izabeli Czartoryskiej oraz wesele jej wnuczki Celiny Zamoyskiej (córki prezesa stanu Stanisława Zamoyskiego) wychodzącej za mąż za Tytusa Działyńskiego z Kórnik. Wśród gości zaproszonych na tę uroczystość znalazł się także generał Tomasz Łubieński. I znowu rzucał się w oczy brak przy nim żony. Uroczystość była w hierarchii towarzyskiej zbyt ważna, ażeby za usprawiedliwienie mogło wystarczyć, że pani Konstancja kurowała się wtedy właśnie (dla odmiany) w Gwoździkowie pod Opoczmem, modnym uzdrowisku ówczesnym. Przypuszczam, że i osamotnionemu mężowi musiało być trochę przykro pojawić się w rozplotkowanych Puławach bez małżonki. Prawdopodobnie dlatego, jadąc do Puław, wstąpił po drodze do rezydencji książąt Jabłonowskich w Dęblinie, aby zabrać ze

sobą swego przyjaciela księcia Antoniego, który również wybierał się na wesele w pojedynkę, gdyż młoda księżna Paulina zajęta była czuwaniem przy chorej teściowej. Jednakże w sumie pan Tomasz był bardzo zadowolony z puławskich uroczystości. "Widziałem ja w tym świetnym Zgromadzeniu ostatnie szczątki naszej arystokracji, a przynajmniej dawnych jej zwyczajów - pisał w parę dni później do ojca - teraz albowiem ludzie we wszystkim swojej tylko szukają dogodności, nie dają sobie tyle pracy do zgromadzenia i zabawiania drugich, choćby nawet i potem mieli fortunę. Polityczny skład naszego kraju nie wzbudza w nas chęci i potrzeby poznawania i zjednywania sobie współziomków, szukamy tylko tego, co nam nasze interesy i dogodność wskazuje, a przez to żyjemy tylko wpośród familiów lub poufałych sobie ludzi, albo też w mieście z temi, którzy nam jaką przyjemność w społeczeństwie sprawiają, ale ta ogólna ludzkość, gościnność i uprzejmość, która dawnym towarzyszyła Panom, coraz więcej niknie..." Szkoda, że autor korespondencji, zazwyczaj tak skrupulatnie relacjonujący najdrobniejsze nawet szczegóły, tym razem swoje wrażenia ograniczył tylko do refleksji ogólnych. Wprost trudno uwierzyć, że mógł nie zauważyć faktów, które odnotowali później w swoich pamiętnikach inni goście puławscy: Leon Dembowski i Andrzej Edward Koźmian. Zwłaszcza że fakty te dotyczyły jego przyjaciela, księcia Antoniego Jabłonowskiego, którego sam przywiózł był do Puław. Bardzo możliwe, że generał wiedział nie mniej od Koźmiana czy Dembowskiego, ale uważał, że takich tematów nie należy powierzać listom, szczególnie wysyłanym do Krakowa. Co innego wspomnienia ogłaszane w wiele lat później i przeważnie poza granicami Królestwa. Andrzej Edward Koźmian w swojej relacji pamiętnikarskiej z uroczystości puławskich mógł z całym spokojem zajmować się zachowaniem i dziwnymi znajomościami Antoniego Jabłonowskiego. "Obdarzony był on żywym salonowym i złośliwym dowcipem - pisał o księciu eks-szwolęrze. - Bawiąc w Puławach podczas weselnych uroczystości [...] głośno i wiele mówił o sprawach publicznych, a tak śmiało wyrażał się o rządzie, o rządzących, o samym panującym, że wszyscy obecni i zdziwieni, i zatrwożeni byli. Pan Zamoyski (prezes senatu - M.B.) zawsze ostrożny, sama Księżna Jenerałowa (Izabela Czartoryska - M.B.) nie zawsze odznaczająca się ostrożnością, którą twardy czas obecny nakazywał, kilkakrotnie wyrazili swoje nieukontentowanie z tej mowy tak śmiałej. Jednej nocy, czy w dzień ślubu, czy po ślubie, gdy już wszyscy spoczywali, jakiś nieznajomy podróżny, zapytawszy o mieszkanie Księcia Jabłonowskiego, przybył do niego; wpuszczony długą z nim odbył naradę i nade dniem niepostrzeżony zniknął. Po tych odwiedzinach jeszcze śmielej zaczął przemawiać Książę Antoni, głośno mówił o konieczności zmiany politycznej i bliskie jej nadejście przepowiadał. Któż go to odwiedził? Oto jego nocnym gościem był Bestużew, jeden z naczelników zawiązanego już wówczas spisku petersburskiego. Oto księżę Jabłonowski, wciągnięty już do niego, porozumiewawszy się podobno z nim, Puławy mu wskazał na miejsce podczas obchodu ślubnego, objecując sobie, że przy liczniejszym zgromadzeniu znajdzie tam nowych do spisku rekrutów. Czyli szpiegi W. Księcia powzięli o tym spotkaniu wiadomość i donieśli je, twierdzić nie mogę, ale zawsze wybór miejsca i czasu na układy spiskowe nie był właściwym". Relację A. E. Koźmiana o nocnej wizycie Bestużewa w Puławach potwierdza parokrotnie w swoich nie wydanych Wspomnieniach z lat 1815-1830 Leon Dembowski,

pamiętnikarz nadzwyczaj solidny i doskonale wprowadzony we wszystkie puławskie sekrety. Tajemniczym gościem Jabłonowskiego był oczywiście nie żaden z Bestużewów petersburskich (do Stowarzyszenia Północnego* (* Dwa najważniejsze zgrupowania rewolucyjnych spiskowców rosyjskich: Stowarzyszenie Północne; skupiające się głównie w Petersburgu i w Moskwie, oraz działające na Ukrainie, Stowarzyszenie Południowe - historia połączyła później pod wspólną nazwą dekabrystów.) należało ich aż czterech), lecz dwudziestodwuletni podporucznik Michał Bestużew-Riumin, dawny siemionowiec, karnie przeniesiony do kresowego pułku piechoty - jeden z najwybitniejszych działaczy czynnego na Ukrainie Stowarzyszenia Południowego*, od początku żarliwie zabiegający o nawiązanie stosunków z polskim Towarzystwem Patriotycznym. Rozdział XII Szwoleżerską konduite Walentego Zwierkowskiego - byłego lekkokonnego gwardii napoleońskiej, a od roku 1825 deputowanego na sejm Królestwa - podał w wątpliwość nie kto inny, tylko sam wielki książę Konstanty, najwyższy zwierzchnik wojska i policji w kongresowej Polsce. Nieprzypadkowym zbiegiem okoliczności stało się to w momencie, kiedy obwiniony o "złą konduite" zachowywał się znacznie bardziej po szwoleżersku niż niektórzy z jego dawnych przełożonych z "Gwardyi Cesarsko-Polskiej". Incydent rozegrał się w kwietniu 1828 roku - w Belwederze, dokąd Konstanty wezwał deputowanego Zwierkowskiego na połajankę za to, że wbrew zakazom policyjnym usiłował dostać się do sali posiedzeń sądu sejmowego - tego właśnie sądu sejmowego, w którym tak ponurą rolę odegrał dawny dowódca szwoleżerów generał-wojewoda Wincenty Krasiński. Rozzłoszczony cesarzewicz, chcąc jak najdokładniej poniżyć nieposłusznego deputowanego, nie ograniczył się do ataków na jego działalność polityczną w Królestwie, lecz zakwestionował również jego sprawozdanie w gwardii Napoleona. Oto fragment dialogu, zawierający to osobliwe pomówienie. "W. Książę: Ja pana nauczę, jak rozkazy rządowe szanować, jak być posłusznym. Nauczyłeś się pan na akademii niemieckiej być nieposłusznym (przed wstąpieniem do armii napoleońskiej Zwierkowski studiował na uniwersytecie w Halle - M.B.), nie byłeś pan oficerem, byłeś brygadyer, sous-officier, wszak wiem wszystko. Dla złej konduity nie byłeś pan oficerem. Zwierkowski: Mości Książę, o złą konduite nikt mnie posądzać nie może, nie byłem w gwardyi oficerem, bom krótko służył, zmuszony wziąć dymisyę dla słabości zdrowia i interesów familijnych, lecz byłem oficerem w powstaniu krakowskim, a co do konduity odwołuję się do świadectwa generała broni Wincentego hr. Krasińskiego. W. Książę: A ja wiem dosyć! bo kto kilka lat służył w gwardyi Napoleona i nie dostał nawet dymisyi podporucznika, ten był złej konduity. Ja pana traktować będę jako podoficera..." Po opuszczeniu Belwederu Walenty Zwierkowski - obdarzony przez naturę doskonałą pamięcią i zmysłem historycznym - skrupulatnie odnotował cały przebieg rozmowy z wielkim księciem i kilkustronicowe sprawozdanie (albo jego opis) powierzył w depozyt przywódcy opozycji kaliskiej, a swemu przyjacielowi Bonawenturze Niemojowskiemu. Sprawozdanie to przeleżało przez osiemdziesiąt lat w archiwum rodzinnym Niemojowskich w Marchwaczu. Dopiero w roku 1912 wyszperał je tam historyk Stanisław Szpotański i za zgodą ówczesnych właścicieli Marchwacza opublikował w całości w "Bibliotece Warszawskiej" (rocznik 1913, tom II, zeszyt 1). Dzięki tej publikacji zachował się przynajmniej jeden sugestywny przekaz, ukazujący

w pełnym świetle ciekawą postać postępowego działacza politycznego, wywodzącego się z kręgów szwoleżerów - postać czekającą jeszcze ciągle na swego biografę. A wydaje mi się, że osoba i działalność Walentego Zwierkowskiego jak najbardziej zasługują na szeroką popularyzację. Kogóż nie zainteresuje życiorys eks-szwoleżera napoleońskiego, który w Królestwie Kongresowym wyrasta na czołowego działacza opozycji sejmowej, uczestniczy w podziemnych spiskach patriotycznych, przygotowuje zamach na cesarza-króla; nieposłusznego deputowanego, który traci karnie mandat poselski, aby w rok później objąć przewodnictwo w powstańczym Zgromadzeniu Sejmowym i wiceprezesurę Towarzystwa Patriotycznego; byłego podoficera, który z ramienia powstańczego sejmu pertraktuje z kandydatami na stanowisko naczelnego wodza i prowadzi śledztwo w sprawie oskarżonego o zdradę generała - swego dawnego kolegi z gwardii napoleońskiej; emigranta politycznego, który po upadku powstania skazany zaocznie na śmierć przez rząd carski, znosi równocześnie szykany ze strony policji francuskiej za podpisanie opracowanej wspólnie z Joachimem Lelewalem i Adamem Mickiewiczem odezwy, zaczynającej się od słów: "Bracia Rosjanie..." Niestety, dla większości czytelników Walenty Zwierkowski jest postacią zupełnie nieznaną. Wynika to - jak sądzę - przede wszystkim stąd, że dokumentację jego życiorysu cechuje kompletny brak materiałów żywych, anegdotycznych, działających na wyobraźnię. W wąskim kręgu historyków specjalistów, którzy korzystają często z prac publicystycznych Zwierkowskiego, jako że źródła do czasów powstania listopadowego czy Wielkiej Emigracji, jego działalność polityczna i pisarska jest dość dobrze znana. Ale całą wiedzę o nim czerpie się z oficjalnych dokumentów bądź z utworów publicystycznych. Nie stwarza to wokół byłego szwoleżera interesującej aury i nie zachęca do dalszych badań biograficznych. Najwymowniejszym dowodem słabego zainteresowania Zwierkowskim jest fakt, że jego główne dzieło - trzy wielkie tomy Rys powstania i walki i działania Polaków 1830 i 1831 - przez sto lat leżało nie tknięte w zbiorach rękopisów Biblioteki Kórnickiej (rps. 1470) i dopiero obecnie przygotowuje je do wydania drukiem historyk z Torunia, docent Władysław Lewandowski. A jestem przekonany, że po opublikowaniu tej monografii "szwoleżer zły konduity" zajmie jedno z czołowych miejsc wśród historyków kronikarzy powstania listopadowego. Poczynając od roku 1825, to znaczy od pierwszego wystąpienia Zwierkowskiego na sejmie, jego życie i działalność są jeszcze jako tako udokumentowane. Poza wspomnianym Rysem powstania... świadczą o nich przemówienia utrwalone w diariuszach sejmowych, noty w albumach biograficznych z pierwszych lat emigracji, podpisy na rozmaitych historycznych dokumentach, protokoły w archiwach policji polskiej, rosyjskiej, francuskiej i belgijskiej oraz mnóstwo drobnych utworów publicystycznych, rozsypanych po czasopiśmie emigracyjnych. Natomiast o latach wcześniejszych nie wiadomo prawie nic. Przeszłość Zwierkowskiego została zapomniana tak gruntownie, że niedawno pewien znakomity znawca epoki Królestwa i powstania szczerze się zdziwił, kiedy mu powiedziałem, że powstańczy wiceprezes Towarzystwa Patriotycznego i zaufany powiernik Lelewela rozpoczynał swoją karierę jako szwoleżer napoleoński. Co za szczęście, że nie słyszał tej rozmowy Walenty Zwierkowski - on, który specjalnie zastrzegł był sobie w testamencie, aby na

kamieniu grobowym wypisano mu, że "służył w gwardyi Napoleona". Z drugiej strony trudno się dziwić niewiedzy rozmówcy. Prawie wszystko, co dotyczy biografii Zwierkowskiego sprzed roku 1825, jest nieprecyzyjne, mgliste, często przekręcone. Choćby - miejsce jego urodzenia. Poczynając od pierwszego wydania zbioru biografii wybitnych uczestników rewolucji listopadowej, opracowanego w roku 1823 w Paryżu przez Józefa Straszewicza (Les Polonais et les Polonaises de la Revolution du 29 Novembre 1830, do Paris 1832), aż po XII tom Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN - wszystkie źródła drukowane informują, że Walenty Zwierkowski urodził się w roku 1788 w Mołnyszu pod Częstochową. Tymczasem miejscowości Mołnysz nie ma i jako żywo nigdy nie było ani pod Częstochową, ani w żadnym innym zakątku Polski. Przypuszczam, że ta fikcja geograficzna, będąca zniekształceniem nazwy rzeczywistego miejsca urodzenia Zwierkowskiego wsi Mokresz w pow. częstochowskim, wynika z omyłki paryskiego drukarza, który przed stu czterdziestu laty składał na zamówienie polskich wychodźców tekst książki Straszewicza. Ale mógł to być także świadomy kamuflaż. Skazany na śmierć emigrant polityczny mógł celowo zniekształcić nazwę miejsca urodzenia, aby utrudnić policji rozszyfrowanie swoich powiązań rodzinnych i uchronić przez to rodzinę od represji. Tak czy owak - nie istniejąca nigdzie na świecie miejscowość Mołnysz święci już sto czterdziestą rocznicę swego istnienia na papierze i była w tym czasie wymieniana co najmniej w dwudziestu poważnych publikacjach historycznych. Błąd ten wraz z innymi błędami dotychczasowych biografów sprostował dopiero w roku 1970 wspomniany już wyżej historyk toruński Władysław Lewandowski, wydawca spuścizny pisarskiej Zwierkowskiego (W. Lewandowski Działalność polityczno-społeczna Zwierkowskiego. Zeszyty naukowe. Toruń, 1970. Nr 4). Kilka nowych interesujących przyczynków do biografii szwoleżera opozycjonisty udostępnił mi ze swoich zbiorów rodzinnych pan Tadeusz Zwierkowski z Krakowa - ostatni potomek rodu Zwierkowskich, a przynajmniej tej jego gałęzi, z której wywodził się szwoleżer Walenty. Do mieszkania państwa Zwierkowskich przy ulicy Karmelickiej w Krakowie trafiłem drogą dość okrężną, bo... przez Paryż. Adres "ostatniego ze Zwierkowskich" zawdzięczam panu Szymonowi Konarskiemu, znakomitemu genealogiście i heraldykowi polskiemu, mieszkającemu stale we Francji. Gdyby nie wszechwiedza pana Konarskiego w sprawach genealogicznych dwóch ostatnich stuleci i jego niezwykła uczynność wobec ludzi o pokrewnych zainteresowaniach - w mojej książce nie znalazłoby się o Zwierkowskim nic więcej ponad to, co już gdzieś kiedyś było ogłaszane. W ciemnym, pełnym rozmaitych zakamarków i korytarzyków, typowo "krakowskim" mieszkaniu państwa Tadeuszostwa Zwierkowskich - wśród ścian obwieszonych starymi portretami i starym uzbrojeniem - wyczuwa się jeszcze obecność antenatów, którzy uczestniczyli w walkach o wolność ojczyzny, płacąc za to ranami, życiem, majątkiem. Snują się tu wspomnienia po ojcu Walentego - Ignacym, który był adiutantem Kazimierza Pułaskiego. I po stryju Walentego - Janie, również konfederacie barskim, który broniąc Krakowa, poległ przy Bramie Sławkowskiej. I po drugim stryju - Wincentym - podporuczniku Gwardii Pieszej w ostatnich wojnach szlacheckiej Rzeczypospolitej. I po bracie Walentego, Antonim - podobnie jak on sam żołnierzu Legii. Chłopickiego i szwoleżerze napoleońskim - który umarł z trudów

wojennych. I po trzech braciach stryjecznych - oficerach wygnańcach, skazanych zaocznie na karę śmierci za udział w powstaniu listopadowym. I po bratanku Władysławie, który utracił rękę i majątek w powstaniu styczniowym. I o admirale Jerzym Zwierkowskim, który dosłużył się tego wysokiego stopnia w marynarce monarchii austro-węgierskiej, ale po pierwszej wojnie światowej uczestniczył w tworzeniu morskich sił zbrojnych niepodległej Polski. Mieszkanie państwa Zwierkowskich, to jedno z tysiąca mieszkań polskich, w których trwa nieprzerwanie cicha, nieefektywna, wymagająca nieraz ciężkich ofiar i wyrzeczeń walka z niszczyielską działalnością czasu i różnorodnymi kataklizmami, zagrażającymi co pewien czas muzeom i archiwom naszego kraju. Ponieważ tak się złożyło, że nie mogłem pojechać do Krakowa bezpośrednio po nawiązaniu korespondencji z panem Tadeuszem Zwierkowskim - uprosiłem go, aby zezwolił na odfotografowanie znajdujących się u niego pamiątek po szwoleżerze Walentym. Podjął się tego zadania jeden ze słynnych fotografików krakowskich. I zadanie wykonał, ale w liście nadesłanym mi później razem ze zdjęciami bardzo się uskarżał na współpracę z "ostatnim ze Zwierkowskich". Bo właściciela pamiątek w żaden sposób nie można było skłonić do rozstania się z nimi choćby na krótki czas. Ambitnemu fotografikowi bardzo to utrudniało i komplikowało pracę. Jego pracownia, wyposażona w nowoczesną, precyzyjną aparaturę, mieściła się na czwartym piętrze w domu bez windy - tymczasem panu Zwierkowskiemu wiek i dopiero co przebyta choroba płuc kompletnie uniemożliwiały wchodzenie po schodach. W rezultacie trzeba było zrezygnować z najwyższej jakości zdjęć i pójść na kompromis. Głęboko urażony "brakiem zaufania" fotografik musiał rad nie rad zdejmować stare rękopisy w ciemnym mieszkaniu przy Karmelickiej. Jedynie przy pamiątkowej szabli Walentego Zwierkowskiego zgodził się jego spadkobierca na pewne ustępstwa. Po uprzednim umówieniu się z fotografikiem w sieni jego domu (o wdrapywaniu się na 4 piętro mowy być nie mogło) zaniósł mu tam szablę osobiście. Przy wręczaniu jej zastrzegł jednak, że wypożycza swój skarb tylko na godzinę - i nie ruszył się z sieni ani na krok, póki szabli nie odebrał. Fotografik był niepoczyszony, bo rozporządzając tak krótkim czasem, mógł fotografować tylko za pomocą flesza, a stara grawerowana broń - jak tłumaczył mi w liście - "powinna być fotografowana na podświetlonej szybie, bezcieniowo i z wydobyciem całej plastyki napisu i z całym dekorem rękojeści". Rozumiałem jego irytację, ale sercem byłem po stronie "ostatniego ze Zwierkowskich". Od dawna już obcuje z ludźmi tego pokroju i wiem, że ich nieufność i przesadna ostrożność nie wypływają z materialnego przywiązania do rzeczy, źródłem tych "dziwactw" jest jedynie bezinteresowne, szlachetne poczucie odpowiedzialności. Uważają się za strażników narodowych pamiątek, za depozytariuszy okruchów historii, które tylko ich czujna troskliwość może uchronić od zniszczenia i zapomnienia. Dopiero w mieszkaniu przy ulicy Karmelickiej zrozumiałem, dlaczego Walenty Zwierkowski jest u nas tak mało znany. Kiedy w roku 1831 opuścił kraj jako banita polityczny - nie pozostawił po sobie nic. Nie miał jak Krasieński Opinogóry przesyconej osobistą legendą właścicieli, nie miał jak Łubieński - olbrzymich zbiorów korespondencji, którą później mógłby się zainteresować rodzinny biograf. Majątek ziemski skazanego na śmierć buntownika przeszedł w obce posiadanie i nigdy już nie powrócił do rodziny. Całą

korespondencję zniszczono, żeby nie dostała się w ręce policji. Większość młodszego pokolenia rodziny razem z Walentym wywędrowała na emigrację, w kraju nie było komu dbać o zachowanie pamiątek po nieobecnych. Na emigracji Walenty Zwierkowski starał się odtworzyć na papierze swoją utraconą biografię. Poza twórczością publicystyczną i historyczną napisał również kilka prac o charakterze autobiograficznym: Wspomnienia o pułku gwardii Konnej Polskiej przy Napoleonie, Żywot własny... doprowadzony do sierpnia 1831 roku, Pamiętniki i Dzienniki z różnych okresów życia na emigracji - pisane przeważnie podczas pobytu we francuskich więzieniach. Zrekonstruował również (a może wywiózł z kraju) kopię pamiętnika swojego ojca - adiutanta Kazimierza Pułaskiego. Po śmierci Walentego Zwierkowskiego wszystkie te dokumenty znalazły się w zbiorach Raperswilskich w Szwajcarii, skąd w kilkadziesiąt lat później przeniesiono je do zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie, gdzie przepadły w pożarach drugiej wojny światowej. Spaliła się także kopia Żywota... Zwierkowskiego, sporządzona przez Leonarda Chodźkę, złożona w warszawskim Archiwum Akt Dawnych przy ulicy Jezuickiej. W mieszkaniu państwa Zwierkowskich w Krakowie, w wyniku zbiegu rozmaitych okoliczności, których z braku miejsca nie mogę tu dokładnie przedstawić - znalazły się następujące pamiątki po "szwoleżerze złej konduity". 1) Dziewiętnastowieczna szabla z pięknie wygrawerowanym na głównej tajemniczym napisem: "1844 nov. XVII (17 listopada M.B.). W. Zwierkowskiemu od braci w Anglii za wyjaśnienie zdrad z roku 1831 upominek" - dar, wiążący się z bataliami publicystycznymi, staczanymi przez eks-szwoleżera z pracowitymi przywódcami powstania na łamach pism emigracyjnych. 2) Oryginał portretu Walentego Zwierkowskiego w mundurze podpułkownika Gwardii Narodowej konnej z roku 1830-31, pędzla Józefa Szymona Kurowskiego, znanego malarza krakowskiego i kolegi Zwierkowskiego z Gwardii Narodowej (z tego właśnie portretu wykonano później znaną litografię paryską, publikowaną w różnych książkach o powstaniu listopadowym). 3) Pierwopis testamentu Walentego Zwierkowskiego z 1 stycznia 1829 roku od początku do końca napisany jego ręką. Warto zauważyć, że czterdziestoletni zaledwie Zwierkowski zdecydował się na sporządzenie testamentu w kilka miesięcy po rozmowie belwederskiej z Konstantym i na krótko przed terminem planowanego "spisku koronacyjnego". Nie był to chyba przypadkowy zbieg okoliczności. 4) Pismo szefa sztabu głównego z 4 października 1831, zawiadamiające Walentego Zwierkowskiego, majora pułku 2 Krakusów, o odznaczeniu go przez naczelnego wodza "Ozdobą Krzyża Woyskowego Złotego". 5-6) Pisma "Rady Polaków w Besancon" (1832) oraz "Naczelnego Wodza Woysk Polskich" (1834) - poświadczające stopień wojskowy oraz odznaczenia wojskowe W. Zwierkowskiego z czasów powstania. 7) Wypisy z zaginionego pamiętnika Tadeusza Konopki - administratora dóbr Ignacego Zwierkowskiego - ojca Walentego. Relacja Konopki stanowi kapitalny materiał biograficzny. Administrator ojca pana Walentego, opierając się na własnych obserwacjach i przekazywanych mu ustnie wspomnieniach chlebobdawcy, kreśli sugestywny obraz środowiska, z którego wyszedł szwoleżer-opozycjonista. Drobnolub co najwyżej średnioszlachecka rodzina Zwierkowskich wywodziła się z Litwy, ze wsi Krecze w powiecie oszmiańskim. Pierwszym Zwierkowskim, który trafił do kronik historycznych, był towarzysz pancerny chorągwi Ogińskiego, uczestniczący w

bitwie pod Chocimiem; jego potomek a dziad Walentego - Stanisław - przesiedlił się z Litwy do Korony i wziął w dzierżawę wieś Łuczyce w powiecie krakowskim. Stanisław Zwierkowski miał czterech synów, najstarszym z nich był Ignacy - ojciec Walentego. Perypetie życiowe Ignacego Zwierkowskiego, bez żadnych upiększeń i dodatków, mogłyby posłużyć jako scenariusz do sensacyjnego filmu historycznego. "Ignacy Zwierkowski, mając żal do rodziców za niesłuszne ukaranie go za rzekomy niedozór nad młodszymi braćmi podczas nieobecności rodziców - relacjonuje Tadeusz Konopka fakty zasłyszane od swego chlebodawcy - zaciągnął się do Ussarii Konfederacji (barskiej - M.B.) bez pozwolenia rodziców, chociaż był jeszcze w szkołach..." Młody ochotnik dobrze się widać spisywał w konfederacji, bo wkrótce zrobiono go adiutantem Kazimierza Pułaskiego. Ale niedługo cieszył się tym zaszczytnym stanowiskiem. Pewnego razu zdarzyło mu się przejeżdżać w kilkanaście koni przez rodzinne Łuczyce. Pamiętny krzywdy, doznanej w rodzicielskim domu, "nie pokazał się rodzicom i ich błogosławieństwa nie prosił". Ta właśnie zapamiętałość stała się, zdaniem Konopki, przyczyną wszystkich późniejszych nieszczęść pana Ignacego. "Jakby na karę boską - pisze rządca-pamiętnikarz - gdy młodzi rycerze przejeżdżali koło gaiku łuczyckiego i widząc orzech na leszczynie, posiadali z koni i zbierali orzechy, czym się zagapiwszy, nie spostrzegli przybywających Kozaków, którzy ich w koło obstąpiwszy w niewolę zabrali. Ponieważ Fryderyk Wielki kupował od Moskali jeńców konfederackich, zapędzili się przeto Kozacy na śląską granicę i po trzy talary każdego sprzedali. Prusacy odesłali ich do Kistrzynia, gdzie ich ubrali w mundury i zmusili do przysięgi. 5 lat przebył pan Zwierkowski w Kistrzyniu, a rodzice jego pomarli, nie wiedząc, gdzie się podział. Kiedy wybierano do gwardii Fryderyka Wielkiego ludzi pięknych wzrostem, urodą i dobrą konduityą, odesłano Zwierkowskiego do Poczdamu, gdzie stojąc na kwaterze u piekarza, w czasie wolnym od musztry, aby cośkolwiek zarobić, drzewo rąbał, wodę nosił i nawet w nocy bułki piekł. Po roku dopiero będąc w czynnej służbie w Berlinie, napisał do rodziców i do krewnych. Rodzice już nie żyli, ale krewni list jego odebrawszy, złożyli 100 dukatów, które posłali do Warszawy, gdzie przez różne osoby udano się do króla Stanisława Augusta..." Sprawa zwolnienia Zwierkowskiego z gwardii Fryderyka II stała się przedmiotem długich targów między dwoma dworami, prowadzonych za pośrednictwem posła pruskiego w Warszawie. "Wreszcie - pisze Konopka - za okupem 200 talarów abszyt mu dano. Za powrotem do Kraju pewien krewny jego geometra przysięgły wynauczył go geometrii praktycznej, po czym Sądowi Ziemi Krakowskiego za zdatnego przedstawiony, uzyskał posadę komornika granicznego i geometry przysięgłego w Koronie". Zawody te bardzo się wówczas opłacały i były gwardzista pruski szybko począł porastać w pierze. Najwięcej korzyści przyniosło mu rozsądzenie długotrwałego sporu granicznego między księżmi paulinami jasnogórskimi a kasztelanem bełskim. "Generał księży Paulinów ksiądz Łękowski, mnich dumny a bogaty, gwałtami i śmiercią kilkunastu ludzi usiłował wydrzeć Kasztelanowi posesyę wsi Miedzina i lasów także - referuje Konopka. - Nie mógł łakomy mnich przekupić geometry przysięgłego, bo pan Zwierkowski całą sprawę księży Jasnogórskich, jakkolwiek dowodami popartą, za niesłuszną ukazał... tak dalece, że się księża musieli zgodzić z panem Kasztelanem, któremu jeszcze ciepłą ręką pro redimenta vi

turbata tranquillitate (dla uzdrowienia siłą naruszonej spokojności) dali, za co wdzięczny Kasztelan Komornika granicznego sowicie wynagrodził. Oprócz podobnych sporów, pomiary wsiów pomnażały jego dochody. Ożeniwszy się z panną Kałuską (Marianną - M.B.) wydzierżawił Olesno od Niemojowskich, następnie wziął w dzierżawę Mokrzysz pod Częstochową od Tymowskich (tam właśnie urodził się mu syn Walenty - M.B.) i tę część wsi Białej, która graniczyła z Drochlinem (obie te wsie: Drochlin i Biała, które przeszły później na własność Ignacego Zwierkowskiego, znajdują się pod Lelowem w obecnym województwie częstochowskim - M.B.) . Po skrupulatnym opisanu, w jaki sposób komornik graniczny i geometra przysięgli przeobraził się w dzierżawcę paru wsi, pan Konopka z taką samą dokładnością pokazuje proces przekształcania się dzierżawcy w zamożnego obywatela ziemskiego. "Drochlin był przez Prusaków inkamerowany duchowieństwu (zabrany na rzecz skarbu - M.B.), a w roku 1795 król pruski darował go generałowi swemu Kalkreuthowi. Skoro się dowiedział p. Zwierkowski, że generał ów pragnie wypuścić Drochlin w 6-letnią dzierżawę, natychmiast pojechał do Berlina. Znając doskonale język i etykietę pruską, zjednał sobie generała, który mu Drochlin sprzedał za połowę wartości, tj. za 15 000 talarów. Ponieważ p. Zwierkowski takiej sumy nie posiadał, zapłacił z góry tylko 5000 talarów, a generał wyrobił mu u króla pożyczkę na 10 000 talarów z procentem amortyzacyjnym 5 i 1/2, płatnym w Kasie Obwodowej. Będąc już dziedzicem Drochlina, pan Zwierkowski zagospodarował go, osuszył i wraz z Białą, którą także nabył, doprowadził do wielkich dochodów. Wkrótce kupił jeszcze od Kaczkowskich sąsiedni Turzyn. Sprzedawał p. Zwierkowski do 1300 korcy pszenicy, do 900 korcy żyta oprócz innych zbóż i tego, co w piwnym i gorzałczanym browarze spotrzebował. Owiec miewał po 1000 sztuk i bydło wzorowe. Poważali go sąsiedzi, bo dom trzymał otwarty. Radą służył każdemu życzliwie i ze skromnością. Słowem był wielkich cnót obywatelem..." W dalszym ciągu swych gawędziarskich wspomnień pan Konopka wprowadza nas w atmosferę dworu Zwierkowskich w Drochlinie i dość szczegółowo opisuje tryb życia jego mieszkańców. Przy czytaniu tej części pamiętnika nasuwają się nieodparcie skojarzenia zarówno z domem rodziców Rafała Olbromskiego, bohaterem Popiołów, jak i z Soplicowem z Pana Tadeusza. "Oboje oni (państwo Ignacostwo Zwierkowscy - M.B.) ubierali się po polsku. On nosił się w żupanie, wzrostu dobrego, wąsów nie miał. Znał świat i etykietę, dla których gdy raz nogę złamał i krzywo się zrosła, kazał złamać, aby koniecznie prostą była. Życie domowe p. Zwierkowskiego szło takim trybem. Codziennie po pacierzach rannych i po kawie obchodził stajnie, obory, gumna, kluczy od spichlerza nie powierzał nikomu. Powróciwszy z obchodu pisał listy lub sprawdzał rachunki i raporta; potem wypiwszy mały kieliszek wódki z apteczki żony i zakąsiwszy chleba, czekał na obiad w pokoju żony. Mało który mijał dzień, żeby gości nie było i to z wyższych osób, na przykład p. Kasztelana Małgowskiego Bystrzanowskiego z Nakła [...] Tymowskich z Mokrzyszy, p. Sędziny Paczkowej z domu Kmiecianki, Marchockich z Wygiełzowa, Stojowskich z Pradeł oprócz Bełdowskich i innych domów. Wielu obywateli i księży zjeżdżało się do P. Zwierkowskiego dla informacji to prawnych, to gospodarczych, to administracyjnych. W każdą niedzielę był wielki zjazd. Goście okazywali szacunek gospodarzowi. Kuchnia niewymyślna, ale dobra. Kucharz dobry. Dostatek

wszystkiego. Chleb jak słońce. 3 lub 4 beczek wina w piwnicy... Piwa angielskie, wina zagraniczne. Apteczka samej Pani tuż przy jej pokoju się mieszcząca pełną była araków, wódek różnych, essencyi i przysmaków. Korzenie, cukier, kawę, herbatę Żyd Manela woził od kupców z Warszawy. Skupińska szafarka na wagę masło w piwnicy robiła i sery. W Drochlinie było krów 50, w Białej 38, w Turzynie tako. Jałownika i cieląt przychowanych obory objąć nie mogły. Wszystko dobrze utrzymane. Trzody po kilkadziesiąt sztuk w każdym folwarku, kur, kaczek i indyk miliony..." Dziedzic Drochlina doceniał należycie wartość swego majątku, wywalczonego ciężką pracą własnych rąk i umysłu. Lata biedowania w Prusach i bezpośrednio po powrocie do kraju nauczyły go oszczędności, graniczącej często ze skąpstwem. Gości podejmował z szerokim gestem polskiego szlachcica, ale odbijał to sobie w prowadzeniu gospodarstwa, gdzie demonstrował przykłady igraszy pruskiej oszczędności. Pamiętnikarz administrator zabawnie opisuje, w jaki sposób uzupełniać musiał wyżywienie dla drobiu, zbyt skąpo wydzielane przez dziedzica. Pani Zwierkowska, której sprawy drobiu szczególnie leżały na sercu, czyniła ciągle starania o powiększenie głodowych racji swych pupilów. Skoro tylko mąż jej wyjeżdżał na objazd sąsiednich folwarków, natychmiast przypuszczała szturm do Konopki, któremu dziedzic z konieczności musiał pozostawić klucz od spichrza. "Pani Z. nieraz mnie o to prosiła - żali się, miotany między Scyllą a Charbydą, administrator - ale nie śmiał dawać bo mi stary surowo zakazywał". Na koniec znalazł jednak sposób, "aby wilk był syty i owce całe". Po prostu, po wyjeździe dziedzica zostawiał klucz od spichlerza pod poduszką, "żeby panna służąca mogła brać poślad. Innego zboża panna brać nie śmiała, bo było tak mądrze poznaczone, że najmniejszy ubytek widać było..." Kto wie, czy ta właśnie oszczędność pana Ignacego Zwierkowskiego nie przyczyniła się w jakimś stopniu do tego, że jego pierworodnemu nie udało się zostać oficerem w pułku szwoleżerów. Każdy bez wyjątku oficer gwardii musiał się ekwipować na własny koszt (jedynie szeregowym udzielano na ten cel pożyczki, zaliczanej później w żołd). A był to koszt bardzo znaczny, bo łącznie z ceną koni sięgał sumy 500 dukatów. Wątpię, czy zapobiegliwy dziedzic Drochlina byłby skłonny do wyłożenia 1000 dukatów "gotowym pieniądzem" na wyekwipowanie dwóch synów szwoleżerów. Walenty Zwierkowski nie od razu znalazł się w pułku szwoleżerów. Wiadomości o początkach jego służby wojskowej zachowały się w dwóch wariantach. Pierwsi paryscy biografowie emigracji powstańczej: Józef Straszewicz i Germain Sarrut (a z nimi autorzy wszystkich późniejszych not biograficznych poświęconych Zwierkowskiemu) podają, że w roku 1806 Walenty Zwierkowski jako osiemnastoletni student uniwersytetu w Halle wstąpił do "dywizji generała Zajączka". Inną wersję odnajdujemy w pamiętniku Tadeusza Konopki. "Synowie Walenty i Antoni służyli w Legii Nadwiślańskiej pod Chłopickim - informuje biograf rodziny Zwierkowskich i jakby dla umocnienia wiarygodności tej informacji dodaje: - Gdy ich pułki zostały odkomenderowane do Bajonny, p. Zwierkowski ze zmartwienia zaczął zapadać na zdrowiu, cierpiał na zawroty głowy i szum w uszach. Pani Zwierkowska również chora nie opuszczała łóżka..." Sprzeczność między dwiema wersjami jest tym kłopotliwsza, że obie pochodzą ze źródeł pewnych. Biografowie paryscy uzyskiwali swe dane najprawdopodobniej od samego Zwierkowskiego. Ale i Tadeusz Konopka - doskonale wprowadzony w

sprawy rodzinne Zwierkowskich i informowany o treści każdego listu, nadchodzącego od ich synów żołnierzy - zasługuje na pełne zaufanie. Ponieważ wyświechtanie prawdy jest już dzisiaj niemożliwe, można się tylko domyślać, że jesienią 1806 student prawa Uniwersytetu im. Marcina Lutra w Halle wstąpił do Legii Północnej, która w tym czasie była formowana w Prusach przez generała Zajączka, a następnie przeniósł się do Legii Nadwiślańskiej i w jej szeregach, razem z młodszym bratem Antonim, zawędrował do Hiszpanii. W okresie organizowania nowej armii takie przeniesienia z jednego oddziału do drugiego - z własnej inicjatywy bądź z wyższego rozkazu - były na porządku dziennym. Kolejne przeniesienie - do pułku szwoleżerów nastąpiło prawdopodobnie dopiero w Bajonnie, gdyż tam przeprowadzano ostateczną reorganizację i uzupełnienie braków w oddziałach kierowanych do Hiszpanii. "W 1808 roku były listy od synów - pisze administrator Zwierkowskich - przysły z Bajonny (słowa nieczytelne - M.B.) [...] i że są w służbie pod Krasieńskim, Koziętulskim, por. Albinem Rudawskim (oczywista omyłka pamiętnikarza: w pułku szwoleżerów był tylko porucznik Ignacy Rudowski, który poległ później pod Somosierrą - M.B.), a samą baraniną z ryżem i koniną żyją. Te wiadomości pocieszyły państwa Zwierkowskich". Z materiałów biograficznych odnoszących się do służby Walentego Zwierkowskiego w polskim pułku gwardii ocalały tylko nieliczne fragmenty, utrwalone drukiem w dwóch fundamentalnych źródłach do dziejów szwoleżerów: w słynnym zbiorze dokumentów szwoleżerskich, wydanym przez historyka Aleksandra Rembowskiego, oraz we Wspomnieniach o Pułku Lekkokonnym Polskich Gwardyi Napoleona, pióra generała Józefa Załuskiego. Aleksander Rembowski cytuje urywek nie istniejących już dzisiaj wspomnień Zwierkowskiego, dotyczących Somosierry: "Cesarz stanął nad wąwozem, przez perspektywę długo się przypatrywał, nareszcie wyprawił pół szwadronu strzelców konnych ze swym adiutantem nieco naprzód w wąwóz, lecz baterie hiszpańskie odezwały się, a wkrótce widzieliśmy tylko resztki szaserów powracających z wąwozu, co widząc Cesarz odezwał się do Koziętulskiego Allez avec votre escadron, if faut prendre ces batteries. Przemówienie Cesarza było świętym rozkazem, który spełniono z ochotą. Koziętulski zakomenderował: Marsz klusem, przemówił, że Cesarz kazał wziąć baterie i że pierwszy raz w jego oczach walczymy; odgłos dał się słyszeć: Weźmiemy baterię!. Gdy tylko... trzeci szwadron wszedł w wąwóz i szef zakomenderował: W galop, nasz pułk cały ruszył za nim, zacząwszy od pierwszego szwadronu, w którym ja byłem... huk dział ciągle dał nam się słyszeć i wkrótce ruszyliśmy galopem [...] Szef Koziętulski, mając zabitego konia i kilkanaście razy przestrzelony surdut, szedł piechotą, prosił o konia, ale nikt nie chciał dać swego, każdy chciał najprędzej wąwóz przebyć, wszyscy oficerowie trzeciego szwadronu polegli już lub ranami okryci byli..." Po przeczytaniu powyższego urywka odczuwa się przede wszystkim żal, że spalone prace autobiograficzne Zwierkowskiego w ciągu stu lat swego istnienia były wykorzystywane zaledwie w paru krótkich fragmentach. Wprost trudno zrozumieć, że mogło się to zdarzyć w kraju, gdzie tak bardzo kocha się szwoleżerów, a równocześnie tak skrzętnie wygrzebuje się z przeszłości postępowych działaczy politycznych. Dla biografy najważniejszym szczegółem tego fragmentu jest informacja Zwierkowskiego, że służył w pierwszym szwadronie, a więc pod dowództwem Tomasza Łubieńskiego (z informacji Konopki wynikało, że w

Bajonnie obaj Zwierkowsky należeli do szwadronu drugiego) oraz że uczestniczył w zdobywaniu Somosierry. Generał Józef Załuski, dawny szef szwadronu i kronikarz I pułku szwoleżerów, w swoich Wspomnieniach... drukowanych w latach 1858-1860 na łamach dodatku krakowskiego "Czasu", zamieszcza krótki "nekrolog" dawnego towarzysza broni: "Walentego Zwierkowskiego poznałem w Madrycie przed d. 2-go maja r. 1808 (data wybuchu powstania w Madrycie - M.B.). - W Kampanii zimowej przeciwko Anglikom z r. 1808 na 9 w okolicy rzeki Elsa i miasta Benevente w potyczce z jazdą angielską pod wsią Servinianos Zwierkowski obok kapitana Seweryna Fredro ratował mnie z zagranicznej przewagi, i oba zostali ranni od angielskiego pałasza; następnie w walnej bitwie pod Wagram powtórnie ranny i przez zabicie konia stłuczony opuścił nasz pułk i służbę wojskową - później zasłużył się jako obywatel sprawie narodowej znakomicie, jako poseł na sejm królestwa kongresowego. W roku 1831 został majorem Krakusów, i powszechnie znany i kochany zmarł w Paryżu w grudniu 1859". Jest to najobszerniejsze świadectwo o udziale Walentego Zwierkowskiego w wojnach napoleońskich. Z resztą informacji na ten temat "załatwiła się" druga wojna światowa... O służbie wojskowej młodszego z braci szwoleżerów, Antoniego Zwierkowskiego, wiadomo jedynie to, co można wyczytać z ocalałych wypisów z pamiętnika Tadeusza Konopki (pamiętnik ten przechowywany był w zbiorach Muzeum Świętokrzyskiego w Kielcach, lecz po ostatniej wojnie - jak poinformowano rodzinę Zwierkowskich - "gdzieś się zapodział"). Konopka stwierdza, że Antoni "umarł młodo z trudów wojennych". W każdym razie nie umarł przed kampanią austriacką, gdyż w spisie szeregowych polskiego pułku gwardii - który to spis sporządzono czy też uporządkowano dopiero po bitwie pod Wagram - figurują jeszcze obaj bracia, tyle że nazwisko Antoniego wpisane jest z drobnym błędem (Zwierkowski Valentin numer książeczki żołdu 275 i Zwirkowski Antoine numer książeczki żołdu 247). W czasie kampanii austriackiej szwoleżer Antoni Zwierkowski miał najwyżej lat dwadzieścia, mógł więc "umrzeć młodo" także podczas odwrotu spod Moskwy. W każdym razie w chwili śmierci ojca nie było go już między żywymi, gdyż nie uczestniczył w działach spadkowych. Niestety, nie wiadomo dokładnie, kiedy zakończył życie "adiutant Pułaskiego". Może właśnie ze śmiercią ojca wiązały się owe "interesy familijne", o których Walenty Zwierkowski wspominał wielkiemu księciu Konstantemu, tłumacząc przyczyny swego wczesnego odejścia z gwardii Napoleona. Pozostali bracia Walentego - Wincenty i Paweł - nie brali udziału w wojnach napoleońskich, gdyż byli na to za młodzi. Ale dla dopełnienia obrazu rodziny Zwierkowskich trzeba i im kilka słów poświęcić. O Pawle Zwierkowskim wiemy tyle, że nauki średnie pobierał wraz ze starszym bratem Wincentym u księdza Rafałowskiego - wikarego w Nakle (Walenty i Antoni uczyli się u pijarów w Piotrkowie) oraz że umarł w roku 1819, u progu lat męskich, w stanie bezżennym - pozostawiając braciom Walentemu i Wincentemu odziedziczony po ojcu majątek Turzyn. W pamiętniku Tadeusza Konopki znacznie więcej miejsca od Pawła zajmuje jego starszy brat Wincenty. Ten trzeci z wieku syn dziedziców Drochlina był z pewnych względów postacią zasługującą na bliższe przedstawienie. "Wincenty po śmierci rodziców odbył nauki w Krakowie i wojaż za granicę - pisze Konopka - a powrócił ociemniały na oczy, po czym ożenił się z Marchocką (z Wygiełzowa), która również ociemniała... Wincenty ociemniał w

Londynie w teatrze, gdzie siedział naprzeciw pająka gazowego (była to jedna z owych pierwszych lamp gazowych, którymi tak zachwycił się w Paryżu w roku 1824 generał Tomasz Łubieński - M.B.). W rodzinie Marchockich ślepotą była rodzina, podobno jako kara za należenie ich przodków do zabójstwa św. Wojciecha". Od Konopki dowiadujemy się, że w rodzinie Zwierkowskich istniał zwyczaj wybierania na rodziców chrzestnych dla nowo narodzonych dzieci ubogich zagrodników wiejskich. Przyczyniało się to do powstawania niemal familinych stosunków między dziedzicami a ich poddanymi. "Wincentego do chrztu trzymali chłopci Krzyszczakowie - wspomina pamiętnikarz administrator - przez co miał dobre stosunki z chłopami i w tym zaciemnieniu bardzo mu pomagali". Niewidomy Wincenty Zwierkowski wziął po ojcu Drochlin, a żona wniosła mu w posagu równie dobrze zagospodarowany Wygiełzów - co uczyniło go najzamożniejszym w rodzinie. Był też jedynym z braci, który pozostawił po sobie męskie potomstwo, wskutek czego przypadła mu rola kontynuatora rodu i piastuna rodowych tradycji. Brygadier* (* W kawalerii francuskiej istniały trzy stopnie podoficerskie: brigadier, marechal-des-logis, marechal-des-logis chef: Brygadier był odpowiednikiem kaprała w piechocie. [W armii rosyjskiej i w armii Królestwa Polskiego "brygadierem" nazywano potocznie dowódcę brygady].) Walenty Zwierkowski swój "abszyt", z 1 pułku szwoleżerów wraz z zezwoleniem na powrót do kraju musiał otrzymać bezpośrednio po odniesieniu rany pod Wagram, gdyż później nie zdążyłby już zostać oficerem w "powstaniu krakowskim"*, (* Tym niezbyt ścisłym terminem określano w roku 1809 i później kilkumiesięczny stan prowizorium wojennego, trwający od wyzwolenia Krakowa przez wojska księcia Józefa Poniatowskiego aż do formalnego przyłączenia tzw. Nowej Galicji do Księstwa Warszawskiego.) a ów galicyjski awans - chociaż nie znajdujący potwierdzenia w dochoowanej dokumentacji szwoleżerskiej, trudno poddawać w wątpliwość, skoro Zwierkowski sam o nim wspomniał w rozmowie belwederskiej, wiedząc przecież, że wielki książę - wódz naczelny - potrafiłby w każdej chwili tę informację sprawdzić. Możliwe zresztą, że Zwierkowski, mówiąc o "powstaniu krakowskim", miał na myśli formowanie w Krakowie, w marcu 1813 roku, "detaszowanego oddziału" szwoleżerów pod dowództwem pułkownika Jana Kozietulskiego. Do oddziału tego zgłaszało się wielu miejscowych ochotników, byłoby więc rzeczą zupełnie naturalną, gdyby znalazł się też wśród nich dymisjonowany podoficer sławnego regimentu, przebywający wówczas stale na terenie województwa krakowskiego. Materiały odnoszące się do pierwszego okresu życia Zwierkowskiego w Królestwie są skąpe i fragmentaryczne. Po śmierci ojca pan Walenty odziedziczył majątek Biała Wielka w powiecie olkuskim (później - włoszczowskim) i zajął się pracą na roli. Ponieważ gospodarował dobrze, był rozsądny, wykształcony i miał po ojcu zdolności prawniczo-administracyjne, a prócz tego otaczała go sława kombatanta spod Somosierry i Wagram - zdobył sobie wkrótce powszechny mir wśród obywatelstwa ziemi kieleckiej, rozdzielonej w owym czasie między dwa województwa: krakowskie i sandomierskie (Biała Wielka należała do woj. krakowskiego). Popularność jego wyrażała się między innymi w tym, że wybierano go na różne urzędy powiatowe i wojewódzkie. Wydane w pierwszych latach emigracji noty biograficzne zgodnie informują, że Walenty Zwierkowski przed zdobyciem mandatu do sejmu pełnił kolejno funkcje: sędziego pokoju, marszałka

sejmiku powiatowego, radcy wojewódzkiego rady obywatelskiej*. (* Wybieralna rada obywatelska była reprezentacją szlachty danego województwa.) Żadna z biografii nie podaje na ten temat bliższych wyjaśnień, ale można się domyślać, że piastował tę godność w latach 1815-1825 na terenie województwa krakowskiego*. (* Województwo krakowskie w Królestwie Polskim nie obejmowało Krakowa z jego najbliższą okolicą, stanowiących autonomiczną Rzeczpospolitą Krakowską [oficjalna nazwa tego tworu kongresowego, oddanego pod nadzór trzem monarchom zaborczym, brzmiała: "Wolne, niepodległe i ściśle neutralne miasto Kraków wraz z okręgiem"].) Pierwszą niewątpliwą datą biograficzną z tych lat dotyczy powiązań eks-szwolera z masonerią. Ze źródłowej pracy Stanisława Małachowskiego-Łempickiego Wykaz polskich łóż wolnomularskich 1738-1821 można się dowiedzieć, że 24 marca roku 1816 (a według rachuby masońskiej - roku 5822) Walenty Zwierkowski, obywatel Królestwa Polskiego, przyjęty został do krakowskiej loży "Przesąd Zwyciężony" jako członek czynny IV stopnia wtajemniczenia (rytu siedmiostopniowego). Warto tu dodać, że w dwa lata później do tejże samej loży wstąpił serdeczny druh Zwierkowskiego, Józef Komornicki, podobnie jak on obywatel ziemski z Kielecczyzny, a drugi z jego najbliższych przyjaciół, były kapitan Teodor Marchocki (prawdopodobnie brat ociemniałej Wincentowej Zwierkowskiej), także był masonem i piastował wysoką godność członka kapituły w lożach: "Rycerzy Gwiazdy" i "Braci Zjednoczonych". Przy przeglądaniu Wykazu polskich łóż wolnomularskich spotyka się mnóstwo znajomych nazwisk. Ze wspomnianych już osób masonami byli m.in.: Wincenty Krasiński i Aleksander Roźniecki, Józef Krasiński i Roman Załuski, Antoni Jabłonowski i Ludwik Sobański, Wiktor Ossoliński, jego teść Aleksander Chodkiewicz i ksiądz Konstanty Dembek, Bruno Kiciński i Teodor Morawski, Walerian Łukasiński i Seweryn Krzyżanowski. W spisie wolnomularzy brak tylko ultrakatolickiego i klerykalnego Tomasza Pomian-Łubieńskiego. Ale temu trudno się dziwić. Odrodzony w Królestwie "Wielki Wschód Polski" - w którym funkcje wielkiego mistrza pełnił "libertyn" Stanisław Kostka-Potocki, późniejszy autor Podróży do Ciemnogrodu, zdecydowanie występował przeciwko przywilejom kleru i propagował poglądy laickiego racjonalizmu. Mimo to wpływy masonerii w wyższych warstwach społeczeństwa były bardzo poważne. W roku 1820 Polska miała około trzydziestu łóż wolnomularskich, skupiających cztery tysiące członków. Sama loża "Przesąd Zwyciężony" liczyła w tym czasie około trzystu pięćdziesięciu członków. Widać z tego, że w roku 1816 przynależność do wolnomularstwa nie stanowiła jeszcze żadnej określonej legitymacji ideowo-politycznej. Dopiero w parę lat później część polskiej masonerii poczęła się przekształcać z luźnego stowarzyszenia, o celach głównie towarzysko-charytatywnych, w tajną organizację patriotyczną. Jakkolwiek nie ma na to żadnych dowodów na piśmie (dokumentacja dotycząca pierwszych konspiracji zaginęła w całości) - późniejsze poglądy, działalność i reputacja eks-szwolera Zwierkowskiego pozwalają przypuszczać, iż uczestniczył on czynnie we wszystkich kolejnych fazach rozwoju ruchu niepodległościowego, który wyszedł z łona masonerii. Trzeba więc o tej ewolucji pokrótce opowiedzieć. Rozkwit wolnomularstwa w pierwszych latach Królestwa Kongresowego wiązał się niewątpliwie z promasońską orientacją liberalizującego jeszcze wówczas cesarza Aleksandra. Cesarz-król sprzyjał masonerii

polskiej i popierał jej stosunki z masonerią rosyjską, zmierzając w ten sposób - jak sponuje historyk owych czasów - "do zbliżenia obu nieprzychylnie nastawionych narodów". Ofiarując poparcie półtajnym związkom polskim, cesarz starał się równocześnie rozciągać nad nimi jak najbaczniejszą kontrolę i podporządkowywać je swojej inicjatywie. Aby to osiągnąć, czynniki rządowe Królestwa, za pomocą rozmaitych zakulisowych machinacji, wprowadziły na stanowisko namiestnika (zastępcy) wielkiego mistrza "Wschodu Polskiego" generała jazdy Aleksandra Roźnieckiego, szefa tajnej policji wojskowej. Zachęcany przez swoich mocodawców, Roźniecki zabrał się energicznie do "reformowania" "Wielkiego Wschodu Polskiego" w duchu centralistycznym, a zarazem nacjonalistycznym. "Zaczął wyjawiać w roku 1818 zdanie, iż masoneria w kształcie, w jakim była uorganizowana, nie odpowiada ani celom, ani żadnemu rozsądnemu wnioskowi [...] Myślał, iż należy skierować masonerię do celów narodowych, zapewnić pomoc braterską nie cudzoziemcom, lecz Polakom, wszystkie rytuały zmienić, zastosowując je do położenia ojczyzny..."

Pozornie patriotyczny program Roźnieckiego był w rzeczywistości podporządkowany dalekosiężnym zamierzeniom polityki cesarza-króla. Chodziło o odcięcie wolnomularstwa polskiego od wpływów zachodnich, zwłaszcza karbonarskich, oraz o stworzenie w Królestwie centralnego ośrodka dyspozycyjnego masonerii ogólnopolskiej, który by promieniował swymi wpływami także na prowincję dawnej Rzeczypospolitej, pozostawając pod władzą austriacką i pruską. Ale program reform Roźnieckiego prowadził także do skutków, których nie życzyli sobie z pewnością ani liberalizujący cesarz-król, ani szef tajnej policji Królestwa.

Reorganizowanie "Wschodu Polskiego" w myśl quasi-patriotycznych dyrektyw zastępcy wielkiego mistrza stworzyło sprzyjające warunki dla uformowania się, w ramach wolnomularstwa, tajnego związku rzeczywistych patriotów, stawiających sobie za główny cel utrzymanie jedności całego narodu polskiego - ponad granicami, wytyczonymi przez kongres wiedeński. Związek taki - obejmujący przeważnie oficerów służby czynnej oraz byłych wojskowych napoleońskich - powstał w roku 1819 pod nazwą "Wolnomularstwa Narodowego". Jego głównymi założycielami i organizatorami byli: wspomniany już w tej książce z okazji polemiki z generałem Wincentym Krasieńskim major 4 pułku piechoty liniowej, Walerian Łukasiński oraz jego dawny towarzysz broni, eks-major Kazimierz Machnicki, były sędzia trybunału w Łomży, postać uwieczniona później w III części Dziadów pod nazwiskiem Cichowskiego (tak przynajmniej utrzymuje Szymon Askenazy w swoim głośnym dziele o Łukasińskim)*. (* W autografie III części Dziadów początkowo wszędzie figurowało nazwisko "Machnicki", a dopiero później przekreślono je i napisano "Cichowski". Askenazy przypuszcza, że zmiana nastąpiła na życzenie samego Machnickiego, który słynął ze skromności. [W czasie wydawania Dziadów K. Machnicki przebywał już na emigracji].) Wielu ówczesnych pamiętnikarzy doszukiwało się u podstaw Wolnomularstwa Narodowego inspiracji generała Jana Henryka Dąbrowskiego. Zmarły w roku 1818 w swojej Winnogórze w Poznańskim twórca Legionów - najwyższy po Kościuszcze autorytet moralny dla wszystkich Polaków, bez względu na przynależność państwową - w ostatnich latach życia szerzył za pośrednictwem zaufanych oficerów idee tworzenia tajnych związków wojskowych o celach patriotycznych. Także pomysł konspiracji w ramach wolnomularstwa wynikł

podobno z przedśmiertnych wskazań Dąbrowskiego. Hipoteza ta ma pewne cechy prawdopodobieństwa, gdyż jednym z najbliższych ludzi generała (a także egzekutorem jego testamentu) był szwagier Łukasińskiego, były kapitan Karol Wierzbowicz, wicereferendarz Rady Stanu, wymieniany na jednym z czołowych miejsc wśród założycieli Wolnomularstwa Narodowego. Wolnomularstwo Narodowe rozprzestrzeniło się na cały obszar dawnej Rzeczypospolitej, zyskując loże filialne także poza granicami Królestwa, na przykład w Poznaniu czy Wilnie (głównym działaczem loży wileńskiej był podobno Tomasz Zan, przyjaciel Adama Mickiewicza). Pierwsza ogólnokrajowa konspiracja patriotyczna istniała jednak niedługo. Zaostrzająca się czujność policji warszawskiej, dwuznaczna sytuacja konspiratorów wolnomularskich wobec oficjalnych władz Wielkiego Wschodu, a wreszcie rozłam wewnątrz konspiracji - spowodowany przez niecierpliwą lożę poznańską, która samorzutnie zerwała z pozorami masońskiego lojalizmu i przekształciła się w wyraźnie już polityczny i rewolucyjny Związek Kosynierów, wzorowany na związkach węglarskich - wszystko to razem skłoniło Łukasińskiego, w rok później, do oficjalnego rozwiązania Wolnomularstwa Narodowego. Nastąpiło to jesienią 1820 roku, bezpośrednio po dramatycznym zakończeniu sejmiku i wyjeździe z Warszawy zagniewanego cesarza-króla. Ale po kilkumiesięcznej przerwie, wiosną 1821 roku - z inicjatywy ruchliwego przywódcy poznańskich kosynierów, byłego generała Jana Nepomucena Umińskiego - ogólnokrajowa konspiracja odrodziła się w zmienionym charakterze i pod zmienioną nazwą. Nowy tajny związek - nazywany początkowo krótko Towarzystwem (przez warszawiaków) bądź Kosynierami (przez poznaniaków), a od roku 1826 Towarzystwem Patriotycznym (przez wszystkich) - powstał w wyniku porozumienia między secesjonistami poznańskimi a grupą Łukasińskiego. Ukonstytuowanie się Towarzystwa nastąpiło 1 maja 1821 roku, na sekretnym zebraniu w Lasku Bielańskim pod Warszawą. W pamiętnikach generała Ignacego Prądyńskiego, jednego ze współzałożycieli nowego związku, zachował się dokładny opis tego historycznego spotkania. Konspiratorzy przybywali na Bielany, jak kto mógł: konno, powozami, najętymi dorożkami, nawet pieszo, pod pozorem sekundowania przy pojedynku między pułkownikiem Prądyńskim a podpułkownikiem Franciszkiem Kozakowskim, ponieważ wzajemna antypatia tych dwóch spiskowców była szeroko znana w sferach wojskowo-towarzyskich. W tajnej schadzce uczestniczyły osoby bardzo rozmaite. Najwięcej uwagi zwracał na siebie pyszny kosynier poznański, generał Jan Nepomucen Umiński, ongiś dowódca poznańskiej gwardii honorowej przy Napoleonie, następnie pułkownik "złotych huzarów" Księstwa Warszawskiego. Przybył on na konspiracyjne spotkanie na pięknym siwym wierzchowcu, odziany w strój półwojskowy i efektowną karmazynową konfederatkę, zdolną w najmniej domyślnych bywalcach Bielan obudzić podejrzenie, że za rzekomym pojedynkiem dwóch podpułkowników kwatermistrzostwa kryły się jakieś tajemne sprawy narodowców (jak wówczas określano patriotów). Bardzo trudno zdobyć się dzisiaj na jednoznaczny osąd generała Jana Nepomucena Umińskiego. Jego oficjalna ankieta personalna jest bez zarzutu. Uczestnik insurekcji kościuszkowskiej, potem dowódca słynnego pułku jazdy Księstwa Warszawskiego, zaszczytne wzmianki w rozkazach dziennych, szybkie awanse, liczne odznaczenia. Po stworzeniu Królestwa Kongresowego

Umiński wstąpił do nowego wojska w stopniu generała brygady, lecz wkrótce jako jeden z pierwszych wycofał się ze służby, wyemigrował do Wielkiego Księstwa Poznańskiego i tam osiedlił na stałe w rodzinnym majątku. Na terenie Wielkopolski uczestniczył w nielegalnej działalności patriotycznej i reprezentował w niej kierunek skrajnie radykalny, nawołując do wystąpienia zbrojnego, kiedy jeszcze nikomu o tym się nie śniło. W roku 1827 - w związku z warszawskim procesem Towarzystwa Patriotycznego - został oskarżony o zbrodnię stanu i skazany przez sąd poznański na 7 lat więzienia. W roku 1831 - po umożliwieniu mu ucieczki z twierdzy pruskiej (przyczynił się do tego zapewne jego szwagier Wincenty Niemojowski, minister powstańczego rządu polskiego) - Umiński przyłączył się do powstania i przez pewien czas dowodził korpusem jazdy. Blisko związany przez szwagra z partią kaliszską, w ostatnich dniach powstania został wysunięty przez sejm na stanowisko naczelnego wodza. Wszystko to razem natchnęło nawet poetę niemieckiego do napisania na jego cześć wzniosłego panegiriku. Ale jest także druga strona medalu - krańcowo odmienna: wszystko to, co o Janie Nepomucenie Umińskim piszą współcześni mu pamiętnikarze polscy, poczynając od kronikarza szwoleżerów Józefa Załuskiego, który stykał się z Umińskim w kampanii 1812 roku, a kończąc na ludziach, którzy znali go z okresu konspiracji i powstania. W świetle tych zadziwiająco zgodnych relacji, człowiek - który w roku 1806 ubiegł Wincentego Krasińskiego i zajął jako pierwszy stanowisko honorowego gwardzisty u boku Napoleona, a w roku 1821 zakładał tajne Towarzystwo Patriotyczne, rysuje się jako nienasycony karierowicz, pyszałek i bufon, pokrywający chętnie własne potknięcia hałaśliwym patriotyzmem, jako pozbawiony skrupułów krzykliwy demagog, skłonny do wywrócenia do góry nogami całego świata dla zaspokojenia swoich prywatnych ambicji i interesów. Niektórzy pamiętnikarze zarzucają mu wprost postęпки hańbiące. Znający dobrze Umińskiego generał Ignacy Prądzyński tak o nim pisał: "Był to człowiek zupełnie zły. Piękny majątek po rodzicach przejadł, przepił, przehulał; sukcesya po bracie (zawołanym pojedyńkarzu) utonęła także w tej otchłani. Gdy stracił majątek i posadę w wojsku, puścił się na przemysł. Pożyczał, gdzie co mógł wykrzyzczeć, wyłudzić i z graca, jakim był dotąd, stał się skończonym szulerem (w tym miejscu pamiętnikarz przypomina, jak to na przyjęciu u Michała Mycielskiego przyłapano Umińskiego na używaniu fałszywych kości w grze z generałem Chłopickim i księciem Antonim Jabłonowskim - M.B.). Odtąd gotów był chwycić się wszystkiego, co by mogło sprowadzić polityczne wstrząśnięcia za pomocą których mógłby znowu przyjść do intraty i znaczenia. Takie wstrząśnięcia zapowiadały tajemne związki. Umiński stał się ich najgorliwszym podżegaczem". Po przeczytaniu tej morderczej charakterystyki (nawet przy uwzględnieniu poprawki na złośliwość Prądzyńskiego trudno uwierzyć, aby tak poważne zarzuty mogły być całkowicie bezpodstawne) nasuwa się pytanie, jak tego rodzaju człowiek mógł zyskać sobie posłuch u innych współzałożycieli Towarzystwa Patriotycznego, a między innymi u tego samego Ignacego Prądzyńskiego, który później tak surowo go osądzał. Ale i na to w pamiętnikach Prądzyńskiego znajduje się odpowiedź. W pierwszych latach Królestwa Umiński - po wykryciu popełnionej przez niego malwersacji pieniędzy, przeznaczonych na organizację dywizji - musiał opuścić służbę wojskową. Działo się to w tym czasie, kiedy generał Aleksander Roźniecki obejmował dowództwo całej jazdy Królestwa. -

"Korzystając z tego zdarzenia - pisze Prądzyński - Umiński zaczął bezczelnie rozgadywać, że opuścił służbę, ponieważ nie może służyć z generałem, który tak haniebnie sobie postępował w kampanii roku 1813 i względem księcia Józefa Poniatowskiego... Opinia powszechna, która chętnie chwyciła wszystko, co było nieprzyjemne Konstantemu i Roźnieckiemu, przyjęła to zdarzenie w świetle podawanym przez Umińskiego. Przyjęła mu za dobre, że był dość odważny stawić czoło W. Księżciu i że wołał stracić bardzo mu potrzebną posadę raczej aniżeli służyć pod takim jak Roźniecki człowiekiem. Stąd poszło znowu, że opinia stała się bardzo pobłażająca względem Umińskiego, gdy go coraz lepiej poznawać zaczęto". Obok Umińskiego drugim najważniejszym uczestnikiem spotkania w Lasku Bielańskim był major Walerian Łukasiński. Ten skupiony, małomówny oficer piechoty, który przyjechał na Bielany wynajętą dorożką, a na zebraniu trzymał się z mieszczańskim adwokatem Jakubem Szrederem (Machnickiego nie zdążono już na zebranie ściągnąć z jego wsi w Łomżyńskim), musiał prezentować się bardzo nieefektywnie w zestawieniu z konnym demagogiem w karmazynowej konfederadce. Kontrast między głównymi założycielami tajnego związku miał się okazać symboliczny i wróżebny: w późniejszej historii Towarzystwa Patriotycznego często będzie się spotykało występujących obok siebie działaczy typu Łukasińskiego i działaczy typu Umińskiego. Prócz tych dwóch protagonistów w Lasku Bielańskim było jeszcze parę osób, zasługujących na wspomnienie. Pułkownik Prądzyński przywiózł tam ze sobą swego przyjaciela i dawnego towarzysza broni, Ludwika hrabiego Sobańskiego z Podola, marszałka szlachty powiatu braclawskiego i - co dla nas najważniejsze - przyszłego szwagra braci Łubieńskich. Byli także na Bielanach dwaj młodzi bohaterowie awantury teatralno-prasowej rozpętanej w roku 1819 z powodu karmelka aktorki Jenny Philis: literat Bruno hrabia Kiciński i historyk Teodor Morawski. Zupełnie nieoczekiwanie - nawet dla samego siebie - w gronie współzałożycieli Towarzystwa Patriotycznego znalazł się również eks-kapitan szwoleżerów Hermolaus Jordan, postać uwieczniona we wszystkich chyba powieściach napoleońskich Gąsiorowskiego i Przyborowskiego. Jordan, bogaty obywatel ziemski z Kieleckiego, bawiąc wtedy w stolicy w celach najzupełniej prywatnych, wybrał się na Bielany po prostu na przejażdżkę, a spotkawszy tam grupkę dawnych znajomych z wojska, najspokojniej się do nich przyłączył, nie mając pojęcia, że w konsekwencji tego naturalnego odruchu wkroczy w historię podziemnego ruchu niepodległościowego. Kulminacyjnym momentem historycznego zebrania było złożenie przysięgi organizacyjnej. Ceremonia ta, dokładnie opisana w Pamiętnikach generała Prądzyńskiego, odbyła się według nastrojowego scenariusza, przygotowanego przez poznańskich kosynierów. Na rękojeści wbitej w ziemię szpady Prądzyńskiego umieszczono żelazny medalion z popiersiem Kościuszki, po czym w "ściśniętym kole" członków-założycieli odczytano na głos przysięgę, "którą Umiński był z Poznańskiego przywiózł". Dla spotęgowania nastroju naczelnik kosynierów podczas odczytywania przysięgi trzymał w podniesionej ręce zwykły nóż kuchenny, imitujący z powodzeniem karbonarski sztylet. Tekst ślubowania brzmiał następująco: "Przysięgam w obliczu Boga i Ojczyzny i zaręczam słowem honoru, że wszystkich sił dołożę dla podźwignienia mojej nieszczęśliwej, kochanej Matki, że dla odzyskania jej wolności i niepodległości nie tylko majątek, lecz i życie poświęcę, że tajemnic

mnie powierzonych przed nikim nie wydam i nie objawię, że owszem do postępu związku ze wszystkich sił moich przykładać się będę. Przysięgam najściślej posłuszeństwo prawom związku tym, które już istnieją, i tym, które postanowione być mają. Bez żadnego względu na okoliczności przeleję krew nie tylko zdrajcy, lecz każdego ktobykolwiek szczęściu ojczyzny mojej był na przeszkodzie. Jeślibym był zdradzony lub odkryty, to raczej życie stracę, niżelibym miał odsłonić tajemnicę lub wydać członków związku. Przrzekam także nie mieć przy sobie żadnych papierów dotyczących związku albo zawierających spis imion jego członków... Jeżelibym zawinił przez złamanie tego świętego w obliczu najwyższej Istoty zaciągniętego obowiązku, to niechaj mnie jako zbrodniarza śmierć najokropniejsza ukarze, wtedy niechaj moje imię z ust do ust do późnej przechodzi potomności, a ciało moje dzikim zwierzętom na pastwę rzucone będzie... Wzywam Boga na świadka, a wy cienie szanowne Żółkiewskiego, Czarnieckiego, Poniatowskiego i Kościuszki umocnijcie mnie duchem waszym, ażebym stale wytrwał w tym przedsięwzięciu". Wieczorem tegoż dnia w mieszkaniu podpułkownika Franciszka Kozakowskiego przy ulicy Zakroczymskiej w Warszawie odbyło się pierwsze zebranie organizacyjne, na którym dokonano wyboru władz. Zebraniu przewodniczył i nadawał ton generał Umiński, ale w wybranym tego wieczora siedmioosobowym Komitecie Centralnym Towarzystwa przewagę zdobyła grupa Łukasieńskiego. Na tym samym zebraniu wyznaczono także delegatów pełnomocnych Towarzystwa na poszczególne prowincje. Wielkopolskę wziął na siebie generał Umiński, tak zwane prowincje południowe (Podole, Wołyń i Ukrainę) - Ludwik Sobański, krakowską - Hermolaus Jordan. Z trzech wymienionych tylko Sobański wywiązał się należycie z przyjętego obowiązku krzewienia na swoim terenie ideologii Towarzystwa i werbowania do niego nowych członków. Generał Umiński, widząc że nie uda mu się w nowym związku odegrać roli naczelnej, wkrótce w ogóle się z konspiracji patriotycznej wycofał i powrócił - jak pisze Prądzyński - do swoich "niejasnych interesów prywatnych" (co nie uchroniło go z resztą od późniejszego uwięzienia). Były kapitan Hermolaus Jordan, do Towarzystwa "przyczepiony trafunkiem", również nie odniósł się z należyłą powagą do powierzonych mu zadań i - jak zapewniają kronikarze Towarzystwa - "do Krakowa nie pojechał i wcale nic w związku nie działał". Pomimo tak zniechęcającej opinii chciałbym przy Jordanie na chwilę się zatrzymać. Dla biografa Walentego Zwierkowskiego podniecająca jest bowiem sama świadomość, że pierwszym delegatem Towarzystwa Patriotycznego na prowincję krakowską był eks-szwolęzer mieszkający ponadto w tej samej co Zwierkowski części województwa krakowskiego. Fakt, że Jordan "do Krakowa nie pojechał", nie wyklucza wcale ewentualności, że u siebie w Kieleckim mógł starać się o werbowanie nowych członków dla Towarzystwa. A jeśli było tak naprawdę, to wszystko przemawia za tym, że wśród zwerbowanych na jednym z pierwszych miejsc musiałby się znaleźć dawny kolega pułkowy delegata i jego współobywatel z Kieleckiego. Ale to są tylko takie sobie domysły, których sprawdzić nie można, gdyż wskutek zniszczenia archiwów Wolnomularstwa Narodowego i pierwszego Towarzystwa Patriotycznego w okresach zagrożenia policyjnego - skład osobowy ogólnokrajowej konspiracji patriotycznej z lat 1819-1825 jest do dzisiaj znany tylko częściowo. W tej sytuacji trudno ustalić, czy późniejszy wiceprezes Towarzystwa Patriotycznego był już

członkiem tej organizacji w pierwszym okresie jej istnienia. Na liście członków Towarzystwa Patriotycznego z czasów przedpowstaniowych, opublikowanej w roku 1970 przez Hannę Dylągową*, (* Hanna Dylągowa, Towarzystwo Patriotyczne i Sąd Sejmowy 1821-1829. Warszawa 1970.) Walentego Zwierkowskiego nie ma. Ale z komentarza pani Dylągowej wynika, że lista jej, jakkolwiek najpełniejsza z dotychczas ogłoszonych, obejmuje zaledwie połowę przypuszczalnego stanu liczebnego wtajemniczonych*. (* Generał Ignacy Prądzyński utrzymuje w Pamiętniku, że z Towarzystwem było związanych kilka tysięcy osób.) Nie można także lekceważyć opinii znakomitego historyka Wacława Tokarza, który w swojej fundamentalnej pracy Sprzysiężenie Wysockiego i Noc Listopadowa wymienia Zwierkowskiego parokrotnie wśród "dawnych towarzyszy Łukasińskiego" i "epigonów (pierwszego) Towarzystwa Patriotycznego". Niemniej jednak udział Zwierkowskiego w konspiracji Łukasińskiego nie jest poparty żadną dokumentacją z tamtych czasów. Natomiast wiele niewątpliwych dokumentów świadczy o bliskich stosunkach "szwoleżera złej konduity" z liberalną opozycją sejmową, zwłaszcza z braćmi Niemojowskimi. Początki znajomości Zwierkowskiego z Niemojowskimi, są tak samo trudne do ustalenia w określonym czasie, jak wszystkie inne fakty z jego wczesnej biografii. W pamiętnikach Tadeusza Konopki jest kilka wzmianek, wskazujących na to, że ojciec pana Walentego był w jakichś stosunkach z rodziną Niemojowskich. Jest także rzeczą zupełnie prawdopodobną, że Zwierkowski starszego od siebie o cztery lata Wincentego Niemojowskiego poznał jeszcze na uniwersytecie w Halle, gdzie obaj studiowali prawo. Ale są to także jedynie mgliste hipotezy, z których nie można wyprowadzać zbyt daleko idących wniosków. W dokumentach nazwisko Zwierkowskiego po raz pierwszy występuje obok nazwiska Niemojowskich dopiero w roku 1825, w związku z głośną demonstracją kaliszian przy rogate wolskiej w Warszawie. Zanim przejdę do samej sprawy, chciałbym bliżej przedstawić braci Niemojowskich. Znający ich pamiętnikarze utrzymują, że przywódcy "partii kaliskiej" w przedziwny sposób łączyli w sobie najpiękniejsze zalety oświecenia z pewnymi przywarami epoki saskiej. Ci dwaj bogaci, doskonale zagospodarowani ziemianie, ludzie bardzo postępowi i chyba jedni z najbardziej wykształconych w Polsce - przejawiali jednocześnie wyraźną skłonność do hulaszczego i awanturniczego stylu życia według najlepszych wzorów schyłkowego okresu szlacheckiej Rzeczypospolitej. W Przystani* (* we wszystkich znanych mi źródłach drukowanych i rękopiśmiennych majątek W. Niemojowskiego występuje pod nazwą Przyszań, ale dzisiaj w okolicach Kalisza nie ma takiej miejscowości, jest natomiast miejscowość Przystajnia.) - majątku Wincentego Niemojowskiego i w Marchwaczu - Bonawentury, pochłaniano mnóstwo alkoholu i oddawano się różnym kawalerskim rozrywkom. Szkodziło to ogromnie oficjalnej pozycji Niemojowskich, dostarczając przeciwko nim łatwych argumentów policji wielkiego księcia Konstantego. Natomiast zjednywało im serca szlachty i zdobywało coraz więcej adherentów na sejmikach powiatowych oraz entuzjastyczną klakę na sejmie. Opozycja kaliska zrodziła się na gruncie na poły towarzyskim. Pierwszym jej zaczątkiem było tak zwane Towarzystwo Czytelnicze, stworzone przez grupkę wykształconych ziemian z okolic Kalisza dla wymieniać między sobą trudno osiągalnych zagranicznych pism i książek. Na zjazdach sąsiedzkich członków

Towarzystwa Czytelniczego omawiano przy kieliszkach przeczytane książki i rozprawiano nad "przedmiotami politycznymi i gospodarskimi". "Dyskusje takie - pisze historyk partii kaliskiej - odbywały się dość regularnie, przeważnie w domu Niemojowskich. Starano się zachować na nich odpowiedni porządek, nadając im charakter możliwie poważny. A więc obierano przewodniczącego zebrania i udzielano kolejno każdemu głosu. Jednocześnie zebrania owe nie pozbawione były zabarwienia towarzyskiego, w ścisłym przyjacielskim gronie pozwalano sobie na wesołe dowcipy i dykteryjki polityczne, przyczem ze stołu nie schodziła butelka z winem, dodająca zwłaszcza w święta lub uroczystości narodowe animuszu zebranych politykom, wypowiadającym pod jej wpływem płomienne i długie przemówienia. Na tę stronę owych zebrań wpłynął szlachecki temperament ich uczestników oraz pewne oddziaływanie stosunków w Poznańskim, gdzie silnie wśród obywatelstwa rozwinięte życie towarzyskie opierało się głównie na hulankach, pijatyce i kartach". (Bratanek przywódców kaliskich, Jan Nepomucen Niemojowski, utrzymuje w pamiętnikach, że zebraniom w Przystani i w Marchwaczu nadawno pozór libacji dla odwrócenia uwagi policji). Głową stronnictwa opozycyjnego był starszy z braci - Wincenty. Nieprzejednany przeciwnik polityczny Niemojowskich, Kajetan Koźmian, piórem maczanym w żółci kreśli w swoich Pamiętnikach portret wodza kaliszan: "Wincenty Niemojowski, naczelnik partii Kaliskiej, zawzięty z przyjaciela nieprzyjaciel Namiestnika, że odmówienie mu, dla jego głuchoty, Prezesostwa Komisji Kaliskiej*, (* Komisje wojewódzkie były ekspozyturami w skali wojewódzkiej. Prezes komisji wojewódzkiej był kimś w rodzaju późniejszego wojewody. W. Niemojowski w roku 1816 istotnie kandydował na prezesa Komisji Wojewódzkiej Kaliskiej, ale ubiegł go kandydat rządowy, protegowany i powinowaty Zajączka: Józef Radoszewski.) którego się spodziewał i pragnął - przyjął systemat bezwzględnej przeciw rządowi opozycji. Z upornym i nieugiętym swoim charakterem liczną swoją rodzinę i przyjaciół natchnął tym samym duchem i na czele ich stanął. Podburzał więc Sejm podchwytywaniem choćby najniewinniejszych kroków rządowych, a że mu nie zbywało na rozumie i jędrnej wymowie, stał się najniebezpieczniejszym dla rządu przeciwnikiem. Głuchy, z trąbką blaszaną u ucha, postawy niekształtnej, ułomny a śmiały aż do zbytku, tem był trudniejszy do zwalczenia, że mu głuchota przeszkadzała słyszeć dokładnie obrony i przekonania się. Upór więc jego jakby pod tarczą Achillesa chodził w tej głuchocie (przypomnijmy sobie, że Tomasz Łubieński opozycyjne nastawienie Bonawentury Niemojowskiego tłumaczył złym funkcjonowaniem jego śledziony - M.B.). Prócz tego znał on dobrze indywidua Sejm składające, wiedział, jak je pociągnąć, i wojował pod chorągwią niebacznego patryotyzmu; a nadto obrał sobie za wzór Francję liberalną i niepodległą, nie zważając, że warunkiem bytu Polski była roztropna uległość, a zatem w używaniu swobód konstytucyjnych pewna miara..." Dla dopełnienia tej zgryźliwej, acz nie przynoszącej ujmy, charakterystyki Koźmiana - kilka ciepłych słów o przywódcach kaliskich z pamiętnika ich krewniaka i adherenta - Jana Nepomucena Niemojowskiego. Młody ziemianin z Wielkiego Księstwa Poznańskiego, oficer armii pruskiej, był prawdziwie zafascynowany starszymi kuzynami z Królestwa. Zaniedbywał gospodarstwo w swoim poznańskim majątku, obowiązki służbowe i najbliższą rodzinę, byle tylko móc jak najczęściej i

jak najdłużej przebywać w Przystani albo w Marchwacu - i sycić się urokami intelektualnej atmosfery, roztaczanej przez posłów Niemojowskich. "Wyjątkowi bo też to byli ludzie - zachwyca się nimi w pamiętniku - przy gruntownej nauce..., przy piastowaniu poselskich urzędników tak na serio pojętem, słowem przy poważnym zadaniu życia, ileż darów towarzyskich: wesołości, dowcipu, młodzieńczości posiadał pan Wincenty, ileż taktu i równości humoru - pan Bonawentura. Domy ich były prawdziwą szkołą dla dorastającej młodzieży..." Zwłaszcza pan Wincenty umiał oddziaływać na młodzieńczą wyobraźnię. Świadczy o tym między innymi piękne junackie hasło, jakie garbaty i głuchawy intelektualista z Przystani rozpowszechniał wśród swoich młodych stronników: "Honor nad Ojczyznę, Ojczyzna nad kochankę, kochanka nad życie!" Czy Walenty Zwierkowski bywał na zebraniach polityczno-towarzyskich w Przystani i w Marchwacu, trudno dociec. Policja wielkiego księcia zarzucała mu, że bywał, ale on sam podczas rozmowy w Belwederze uparcie temu przeczył. W każdym razie jest rzeczą pewną, że i on uległ urokowi Niemojowskich, gdyż na krótko przed śmiercią upamiętnił obu braci Niemojowskich w dłuższym szkicu biograficznym; niestety do tego utworu - podobnie jak do wielu utworów Zwierkowskiego - nie udało mi się już dotrzeć. W swej działalności politycznej Niemojowscy byli monarchistami konstytucjonalistami. Biblię ich stanowiło przetłumaczone przez Wincentego na polski dzieło francuskiego filozofa Benjamina Constanta O monarchii konstytucyjnej i rękojmiach publicznych. Nazywano ich z tego powodu beniaministami, czemu się sprzeciwiali, gdyż nie chcieli nikogo naśladować. Monarcha był dla nich źródłem wszelkiej władzy, uważali go za "nieodpowiedzialnego" i nigdy nie atakowali go bezpośrednio. Całą swą furję opozycyjną w obronie konstytucji kierowali przeciwko ministrom i urzędnikom, naruszającym prawo. W przemówieniu wygłoszonym na pierwszym sejmie Królestwa Wincenty Niemojowski w taki sposób precyzował swój program: "Biada nam, jeśli źle uznając święte obowiązki, któreśmy przyjęli, uwolnimy się lekkomyślnie od odpowiedzialności naszej, jeśli słabi i łatwi do złudzeń damy się uwieść pochlebstwu... jeśli zapomnimy, że jesteśmy posuniętymi naprzód czatami ludu, że trzymamy w ręku życie i wolność jego... Zanieśmy więc do tronu Naj. Pana czy to w formie przełożeń, czy... w formie zaskarżenia ministrów te ciężkie uchybienia przeciw konstytucji, ostańmy stale i mężnie przy nadanych nam przez N. Pana przywilejach..." Niemojowscy byli opozycjonistami niezwykle odważnymi i konsekwentnymi. Ale w wyniku narzuconych sobie ograniczeń programowych ich konsekwencja przeradzała się niekiedy w ciasne doktrynerstwo, a zuchwałą odwaga ocierała się o starszylacheckie warcholstwo. Rewolucję i podziemną walkę o niepodległość przywódcy kaliszczan zdecydowanie potępiali. "Myślę, że spiski i intrygi są smutnymi środkami obłędu i tchórzostwa" - pisał późniejszy członek rządu powstańczego Wincenty Niemojowski 15 listopada 1821, a więc już w kilka miesięcy po powstaniu Towarzystwa Patriotycznego. Mimo to wielu uczestników podziemnej konspiracji niepodległościowej (np. Teodor Morawski) zaliczało się jednocześnie do zagorzałych kaliszczan, "bo - jak słusznie pisze historyk Marceł Handelsman teoria Niemojowskiego była jedyną doktryną oporu legalnego owego czasu". Po zuchwałych wystąpieniach Niemojowskich na sejmie 1820 roku, władze Królestwa postanowiły uniemożliwić im udział w sejmach następnych, conie było rzeczą łatwą,

zważywszy, że ich mandaty poselskie wygaszały dopiero w roku 1826. Ale nalegał na to obrażony Aleksander, ten sam cesarz Aleksander, który latem 1814 roku, chcąc przygotować swe państwo do ustroju konstytucyjnego, radził się przywódcy angielskich wigów, lorda Charlesa Greya "jak by stworzyć w Rosji ognisko opozycyjne" (un. fóyer d'opposition). Praktyczną stroną zlikwidowania opozycji sejmowej zajął się wielki książę-cesarzewicz. "Dla Konstantego walka z opozycją kaliską była jednym z najbardziej istotnych obok zajęć wojskowych zagadnień - pisze historyk Ryszard Przelaskowski - walka ta bowiem wynikała z zasadniczej sprzeczności, jaka zachodziła pomiędzy jego światopoglądem politycznym, opartym na absolutnym posłuszeństwie wobec monarchy, a konstytucyjno-monarchiczną ideologią kaliszian [...] Konstanty łatwiej mógł zrozumieć, a może nawet i wybaczyć prace konspiracyjne, niż uznać prawne, lecz niezależne wystąpienia opozycji jawnej. [...] Po naradzie z członkami rady administracyjnej wezwał Konstanty Niemojowskiego (Wincentego - M.B.) do Belwederu i oznajmił mu w imieniu Aleksandra zakaz znajdowania się w miejscach pobytu monarchy, dając jednocześnie do podpisania oświadczenie o przyjęciu powyższej woli cesarza do wiadomości. Zastosowana represja miała charakter półśrodka i nie przesądzała wyraźnie sprawy, czy Niemojowskiemu wolno będzie sprawować mandat poselski na sejmie. Zaniepokojony Niemojowski interpeluje o to od razu wielkiego księcia, a później domaga się wyjaśnień na uzyskiwanych w tym celu audiencjach u Namiestnika i u niektórych ministrów; wszędzie jednak otrzymuje bądź odpowiedzi wymijające, bądź też radę czekania dalszych rozkazów cesarza". Z początkiem roku 1821, przed wyborami do Rady Obywatelskiej Kaliskiej, rząd uruchomił wszystkie swoje wpływy, aby nie dopuścić do wybrania Niemojowskich na członków tej reprezentacji szlacheckiej województwa. Ale wpływy Niemojowskich okazały się silniejsze. Obaj bracia zdobyli mandaty radców. Wielki książę Konstanty i namiestnik Zajacek nie dali jednak za wygraną. Pod ich naciskiem senat unieważnił wybór Wincentego Niemojowskiego. I to właśnie doprowadziło do głośnego na cały kraj zatargu z radą kaliską. "Senat nie zatwierdził wyboru na radcę Wincentego Niemojowskiego - odnotował w swym nie wydanym pamiętniku Leon Dembowski. - Mimo to Rada Województwa Kaliskiego wezwała Niemojowskiego do zasiadania w jej gronie jako zastępcę. Podobne Rady Kaliskiej postępowanie ściągnęło gniew Panującego, którego Radę Kaliską, w całym komplecie zawiesił..." Rozwiązanie wojewódzkiej reprezentacji szlachty musiałyby wywołać burzę na sejmie, który zgodnie z konstytucją miał być ponownie zwołany w roku 1822. Ale do zwołania sejmu nie dopuszczono. Ani w roku 1822, ani w dwóch latach następnych. Trzeci sejm Królestwa zebrał się, jak wiadomo, dopiero wiosną 1825. Sprawy Niemojowskich nie uznano jednak za przedawnioną. W roku 1825 strach przed opozycją sejmową był wcale nie mniejszy niż w roku 1822. Wincentemu Niemojowskiemu drogę do Warszawy zamykała deklaracja, wymuszona na nim przez cesarzewicza. Ale rządcy Królestwa nie byli widocznie pewni, czy daje im to pełną gwarancję bezpieczeństwa, gdyż "Konstanty wysłał pod różnymi pozorami do Kalisza Roźnieckiego i Haukego* (* Generał Maurycy Hauke - kierownik komisji rządowej wojny - zaufany wielkiego księcia.) aby podsunęli miejscowym czynnikom społecznym myśl samorzutnego zażądania od Niemojowskiego rezygnacji z mandatu poselskiego". Misje nie

powiodły się i cesarzowicz, rad nierad, musiał donieść swemu koronowanemu bratu, że "Niemojowscy, chociaż stracili dużo w oczach sfer miejscowych na skutek niełaski cesarskiej, to jednak utrzymali nadal wpływ na swych stronników i Radę Wojewódzką, tak że... nie zebrano by pod adresem żądających złożenia mandatu więcej niż 20 podpisów". Łatwiej poradzono sobie z Bonawenturą Niemojowskim. Znając jego dumę i porywczosć, posłano mu w roku 1824 do Marchwacza "umyślnie impertynencko stawającego" komornika, który bez trudu sprowokował go do "czynnej obrazy osoby urzędującej". W rezultacie na krótko przed sejmem uwikłano pana posła wieluńskiego w proces kryminalny i pod tym pretekstem wyrugowano go z Izby Poselskiej. W podobny sposób pozbyto się z sejmu innego głośnego opozycjonisty współdziałającego z kaliszczanami, posła mariampolskiego, Józefa Godlewskiego, tego samego, który na sejmie w roku 1818 wyzwiał na pojedynek Wincentego Krasieńskiego: "Wytoczono mu w związku z bójką jego ludzi z leśniczymi rządowymi na tle przewlekłego procesu o granice posiadłości proces kryminalny i aresztowano w okresie zgromadzeń politycznych, uniemożliwiając w ten sposób odnowienie wygasającego mandatu poselskiego". W tym samym mniej więcej czasie, gdy działo się to wszystko, Walenty Zwierkowski rozpoczynał swoją karierę parlamentarną jako deputowany* (* Sejm Królestwa Polskiego składał się z 77 posłów, wybieranych na sejmikach powiatowych szlachty, oraz 51 deputowanych,

wybieranych przez zgromadzenia gminne w miastach. W obu wypadkach wybierano na lat sześć. Senatorowie, mianowani przez cesarza-króla w liczbie nie przekraczającej połowy członków Izby Poselskiej, pełnili swe funkcje dożywotnio.) do sejmu z miasta Olkusza. Podkreślam specjalnie, że Zwierkowski był deputowanym miejskim, a nie posłem z powiatu, gdyż we wszystkich dotychczasowych notach biograficznych (od Straszewicza po XII tom Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN) tytułuje się go posłem olkuskim, chociaż na sejmie 1825 roku posłem z powiatu olkuskiego był ultralojalny Józef Radoszewski, przewodniczący Kaliskiej Komisji Wojewódzkiej, człowiek z najbliższego otoczenia namiestnika. Zwracam uwagę na tę pomyłkę nie tylko jako na jeszcze jeden przykład bałaganu panującego w biografii W. Zwierkowskiego. Chodzi mi także o wzgląd merytoryczny. Posłowie wybierani przez sejmiki powiatowe mieli prawo uważać się wyłącznie za reprezentantów stanu szlacheckiego. Natomiast deputowani - jakkolwiek w warunkach prawno-społecznych Królestwa nie byli jeszcze rzeczywistymi reprezentantami mieszczaństwa - musieli przecież pamiętać, że mandat swój zawdzięczają przede wszystkim inteligencji miejskiej, najliczniej uczestniczącej w gminnych zebraniach wyborczych*. (* Nie odnosiło się to oczywiście do kandydatów oficjalnych, narzuconych przez władze zgromadzeniom miejskim [jak na przykład wielki książę Konstanty].) Świadomość tego faktu miała chyba pewien wpływ na kształtowanie się poglądów politycznych i społecznych byłego szwoleżera Zwierkowskiego. Pierwsze "opozycyjne" wystąpienie deputowanego z Olkusza odnotowano 7 maja 1825 roku, czyli bezpośrednio po zweryfikowaniu jego mandatu przez kancelarię sejmową, a prawie na tydzień przed oficjalną inauguracją sejmu. Wystąpienie to wiązało się ze "sprawą Niemojowskiego". Zuchwały przywódca kaliszczan - po odbyciu u siebie w Przystani paru hucznych "konsultacji" z posłami i deputowanymi ze swojej grupy - zdecydował

się, wbrew podpisanej deklaracji, przyjechać na sejm (cesarz-król już od 27 kwietnia przebywał w Warszawie), "pragnąc zaprzeczyć rozszerzanym wieściom o łatwym uznaniu przez siebie tego bezprawnego zarządzenia". Koledzy Niemojowskiego, licząc się z tym, że policja będzie się starała przeszkodzić jego wjazdowi do stolicy, poczynili odpowiednie kroki, aby zapewnić swemu przywódcy ochronę. Sam przebieg wjazdu, a raczej jego usiłowania, podawany jest przez pamiętnikarzy, a za nimi także przez historyków - w różnych wersjach. Największe zaufanie budzi relacja jednego z bezpośrednich uczestników zajścia, posła z powiatu węgrowskiego Prota Lelewela, młodszego brata Joachima i zakonspirowanego Członka Towarzystwa Patriotycznego. Pamiętniki tego skrupulatnego kronikarza swoich czasów zostały ogłoszone dopiero w roku 1966, nie mogli ich przeto znać najwybitniejsi monografowie sejmu roku 1825: Helena Więckowska i Ryszard Przelaskowski. Według Lelewela głównym organizatorem demonstracji powitalnej był Józef Komorowski, deputowany kaliski. "Komorowski, ze szkoły Niemojowskich, pełen ich ducha, zbierał koło siebie tych, co mieli wystąpić w obronie prawa Wincentego: zamówił obecność ich przy rogatce Wolskiej przy wjeździe jego do Warszawy - pisze poseł węgrowski. - Na umówioną godzinę, wyręczając Komorowskiego, który już naprzód ruszył, szukałem Szymanowskiego Ignacego jako zapewnionego. Znalazłem go w Łazienkach, z kąpieli wychodzącego, lecz odmówił, udałem się więc wprost do rogatki, tam zastałem tylko Zwierkowskiego Walentego, deputowanego olkuskiego, i Sołtyka Romana, posła koneckiego. Czyli więcej nie było zobowiązanych, czy nie dopisało? Policja, uprzedzona, nieczynną też nie była, był już obecny wiceprezydent Lubowidzki Mateusz z żandarmami (inni pamiętnikarze wspominają także o obecności warszawskiego "majora placu", pułkownika J. Aksamitowskiego - M.B.). Komorowski w pojeździe swoim uwoził Wincentego, bryka kryta szła z tyłu. Gdy pojazd zbliżał się do rogatek, rogatka zapadła. Nastąpiła rozmowa z wiceprezydentem. Niemojowski protestował głośno, że ma obowiązek dopełnić powinności swojej i zasiadać jako poseł, że żadna moc od tego oderwać go nie ma prawa. Wszystko na próżno, zmuszony wysiadł z pojazdu, wsadzony do swej bryki, za nim dwóch żandarmów, zawrócono brykę i pędzono do jego domu, gdzie miał być więźniem. Gdyby go wpuszczono do Warszawy, mielibyśmy ponowioną w Izbie scenę Reytana. Ze ściśnionym sercem wracaliśmy do miasta, układając plany do manifestacji i opozycji, nie tając tego sobie, że usiłowania nasze będą próżne, bo zanadto było machinacji i postrachu, aby umysły wielu wytrzymać miały". Inni pamiętnikarze, związani z aresztowanym przywódcą opozycji, jak Jan Nepomucen czy Teodor Morawski, podają w zasadzie ten sam stan faktyczny, choć w niektórych szczegółach poszerzają opis Prota Lelewela. Z relacji ich (a także z raportów policyjnych) wynika, że w zajściu przy rogatkach wolskich uczestniczyło więcej osób, niż podaje Lelewel. Wiadomo na przykład, że w związku z tą demonstracją wielki książę Konstanty kazał aresztować na Woli dwóch wybitnych kaliszan: Adama Gurowskiego i Teodora Morawskiego - i przetrzymał ich w więzieniu u karmelitów aż do zakończenia sejmu. Jan Nepomucen Niemojowski stwierdza w swoich Wspomnieniach, że świadkiem aresztowania Wincentego był również jego brat Bonawentura. Nie ulega wątpliwości, że Bonawentura Niemojowski znajdował się wtedy w Warszawie, ponieważ w dniach 8 i 9 maja senat w jego obecności

rozpatrywał wytoczoną mu sprawę o obrazę komornika. Intryga przeciwko drugiemu przywódcy opozycji sejmowej zakończyła się tak, jak z góry ukartowano. Senat, "zastanowiwszy się nad podanymi sobie przeciw Bonawenturze Niemojowskiemu przez Komisję Spraw Wewnętrznych i Sprawiedliwości zarzutami, powodowany niemi niemniej jak i przez wzgląd na... nader ważne okoliczności, jednomyślnie postanowił, iż Bonawentura Niemojowski na posiedzeniu teraźniejszym sejmowem zasiadać nie ma" (cytuję wg źródłowej pracy H. Więckowskiej Opozycja liberalna w Królestwie Kongresowym 1815-1830). Po wykreśleniu B. Niemojowskiego z listy posłów policja kazała mu w dwadzieścia cztery godziny opuścić Warszawę, co też bez oporu uczynił. "Wywieziono Bonawenturę do własnego domu w Marchwaczu, gdzie dozorowany był przez oddział żandarmów - czytamy u Więckowskiej. - Po odbytych sejmie 1825 roku oczywiście sąd uniewinnił go z zarzutu, był to bowiem tylko wybieg, z którego zresztą Niemojowski zdawał sobie sprawę, wybieg jednak udał się, gdyż skutek swój osiągnął - nie dopuścił Niemojowskiego do sejmu". Inauguracji obrad sejmowych nie towarzyszyły dobre nastroje. "Zaniepokojenie rządu i społeczeństwa co do wyniku sejmów, ujemna ocena przez większość reprezentantów sytuacji politycznej, zniechęcenie kraju spowodowane artykułem dodatkowym* (* Wydany przez cesarza Aleksandra, na krótko przed sejmem tak zwany artykuł dodatkowy do konstytucji uchylał jawność obrad sejmowych.) - oto czynniki stwarzające przygnębioną atmosferę, w jakiej rozpoczynał swe prace sejm - pisze historyk Przelaskowski. - Warty wystawione przed zamkiem (gdzie się odbywały obrady) i wewnątrz, działalność policji tajnej, stenografowie w sali obrad, aresztowanie Niemojowskiego - to wszystko wzmacniało jedynie niemiły nastrój. Nie ma śladu tego entuzjazmu, z którym społeczeństwo witało sejm 1818 roku, tej wiary w siebie i pewności swych kompetencji, którymi się odznaczał sejm następny. Pod znakiem niepokoju i troski o dzień jutrzejszy, zdając sobie sprawę z ciężkiej sytuacji politycznej, szukając możliwych dróg wyjścia, rozpoczyna obrady sejm trzeci Królestwa". (Jakże inaczej przedstawia się opis tego sejmów w listach generała Tomasza Łubieńskiego). 13 maja, w pierwszym dniu obrad Izby Poselskiej, deputowany olkuski Walenty Zwierkowski oraz deputowany kaliski Józef Komorowski złożyli do łaski marszałkowskiej "manifestację... o gwałt zadany Izbie w osobie posła kaliskiego Wincentego Niemojowskiego". Komorowski okazał pismo, nadesłane przez Niemojowskiego z Błonia dla doręczenia sejmowi, i domagał się jego odczytania. Poparli go wszyscy członkowie opozycji. Marszałek Izby, Stanisław Piwnicki - również deputowany z Kalisza, ale znany ze swej niechęci do kaliszan - odniósł się do wniosku negatywnie. "Gdy jednak Piwnicki... głosu nikomu nie udzielił - pisze P. Lelewel - zbliżył się Komorowski pośród zamieszania do stolika marszałka i pismo Niemojowskiego na nim pozostawił..." O głośne odczytanie skargi aresztowanego posła opozycjoniści sejmowi - a wśród nich deputowany Walenty Zwierkowski - walczyć będą do samego końca obrad. Następnego dnia odbyły się wybory do komisji sejmowych. Walenty Zwierkowski razem z Protym Lelewelem wybrani zostali do komisji administracyjnej. Były szwoleżer spotkał się tam ze swoim dawnym szefem szwadronu i towarzyszem broni spod Somosierry, Servinianos i Wagram - Tomaszem hrabią Łubieńskim. Do zbyt serdecznych i poufanych powitań z pewnością między nimi nie doszło. Za wielką przepaść dzieliła

jeszcze wtedy "wielmożnych" od "jaśnie wielmożnych". Bo kimże byli antenaci pana Walentego: ów towarzysz pancerny Zwierkowski spod Chocimia i jego prawnuk, geometra przysięgły sądu ziemskiego krakowskiego, wobec długiego szeregu arcybiskupów, biskupów i dygnitarzy dworskich z rodu Pomian-Łubieńskich. I co znaczyła owa Biała Wielka pod Lwowem, oszacowana w testamencie z 1829 roku na 150 000 złotych polskich, wobec milionowej fortuny generała Tomasza i jego braci. Trzeba poza tym pamiętać, że dwaj pogromcy kawalerii hanowersko-angielskiej spod Servinianos nie spotykali się na trzecim sejmie Królestwa jako sprzymierzeńcy polityczni. W dokumentacji sejmowej roku 1825 nie zachował się żaden ślad bezpośrednich kontrowersji między dawnym szefem I szwadronu lekkokonnycy a jego dawnym brygadierem, można natomiast odnaleźć tam sporo wzmianek świadczących o ostrych starciach polemicznych Walentego Zwierkowskiego z bratem generała - Henrykiem Łubieńskim. "Prawdziwie dystyngowany członek reprezentacji narodowej" (jak określał brata w listach pisanych w tym czasie do ojca generała Tomasz Łubieński), oglądany w świetle źródeł bardziej obiektywnych, rysuje się nieco inaczej niż w korespondencji rodzinnej. Zwłaszcza w zderzeniach z opozycją sejmową. Na pierwszych posiedzeniach izby "najczynniejszy z Łubieńskich" reprezentował na sejmie stanowisko obiektywne i w niektórych wypadkach odnosił się do wniosków rządowych z umiarkowanym krytycyzmem, wchodząc nawet niekiedy w koniunkturalne sojusze z opozycją. W miarę jednak zaostrzania się wniosków kaliszczan przestawiał się zdecydowanie na pozycje lojalizmu i kompromisu. Prot Leleweł w swoich pamiętnikach słusznie chyba rozszyfrowuje przyczynę tej zmiany. Łubieńskiemu ogromnie zależało na zatwierdzeniu przez Aleksandra projektu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego i innych planów gospodarczych Lubeckiego, robił więc wszystko, aby "łaskawie przyświecające Słońce" (powtarzam poetycką metaforę z listu generała Tomasza) nie odmówiło sejmowi swych cesarsko-królewskich dobrodziejstw. Ponieważ nie sposób tu wyliczyć wszystkich starć Łubieńskiego z opozycją, ograniczę się tylko do paru, skierowanych imiennie przeciwko Zwierkowskiemu. Do bezpośredniego starcia Łubieńskiego z deputowanym Zwierkowskim doszło podczas dyskusji nad budżetem Królestwa. Walenty Zwierkowski i poseł konecki Roman Sołtyk bronili wyłącznie praw sejmu do uchwalania zmian w budżecie, Henryk Łubieński upierał się, że należy to do przywilejów monarchy. Dalsze ostre kontrowersje wybuchały przy odczytywaniu petycji, dotyczących komisji wojny; zwłaszcza że te najdrażliwsze sprawy - wbrew protokolarnej kolejności - przesunął marszałek izby na sam koniec obrad. Kiedy przyszło do odczytania petycji deputowanego Zwierkowskiego, żądającej opracowania nowego kodeksu wojskowego (m.in. chodziło mu o zniesienie kar cielesnych), zdecydowanie przeciwko niej wystąpił poseł Henryk Łubieński, "podnosząc niestosowność podać w sprawach armii, którą się monarcha osobiście opiekuje". Druga petycja Zwierkowskiego o "niepowoływanie osób cywilnych do badań śledczych w sądach wojskowych i o nierozciąganie tego sądownictwa na osoby dymisjonowane" (kryła się w tej petycji niewątpliwa aluzja do zakończonego przed rokiem procesu Łukasińskiego i innych założycieli Wolnomularstwa Narodowego) nie doczekała się pełnego rozpatrzenia pośrednio z winy Henryka Łubieńskiego. Rozpoczęta dyskusja nad tą sprawą niesłychanie drażliwą ze względu

na osobę wielkiego księcia Konstantego i jego obecność w izbie, "została przerwana o północy oświadczeniem marszałka, że przewidziany przez prawo 30-dniowy termin sejmowania upłynął i że wobec tego sesję zamyka. Czynił to Piwnicki w myśl wyraźnych dyrektyw rządu..." Autor utraconej petycji mógł mieć słuszną pretensję do brata swego dawnego dowódcy. Destrukcyjna działalność Henryka Łubieńskiego w ostatnich dniach sesji została przez wszystkich zauważona, a nawet publicznie napiętnowana. Prot Lelewel twierdzi, że działanie Łubieńskiego na zwłokę było niewątpliwie uzgodnione z marszałkiem Piwnickim i miało na celu uniemożliwienie dyskusji nad najważniejszymi petycjami opozycyjnymi. "Żądano - pisze Prot Lelewel - aby petycje przechodziły kolejno, jak są do łaski podawane, ale zręczny marszałek ważne drażliwe umiał na spód usuwać, a do odczytania sekretarzowi najmniej potrzebne podawał. Bez miary ich było, małego znaczenia, a często niewłaściwych. Izba widząc, że stronnicy rządu, chcąc zyskać na czasie, aby tego nie starczyło do przejścia wszystkich, przedsięwzięła bez dyskusji, bez kreskowania zgodnie przyjmować. Ale umyślnie występowali rządowi z dyskusjami długimi nad niczym, żądali głosowań i kreskowano pomimo opozycji znakomitej większości. Szczególnie odznaczył się gorliwością Łubieński Henryk: jeżeli nikt dyskusji nie podnosił, on ją podniósł, a każdą prowadził jak mógł najdłużej. Zniecierpliwieni w kilku ruszyliśmy z ławek do niego z pochwaleniem gorliwości jego dla publicznego dobra. Bezcelny, z ironicznym uśmiechem dziękował, kłaniał się i dalej potem swoje robił. Wiszniewski, poseł kalwaryjski, powiedział mu, że... może za to spodziewać się prezydować w banku". W ostatnim dniu sesji około godziny jedenastej wieczorem deputowany Walenty Zwierkowski z posłem Szczepanem Swinarskim - raz jeszcze zażądali odczytania protestacji Wincentego Niemojowskiego. Marszałek Piwnicki - wykorzystując formalne niedopatrzenie Niemojowskiego - oświadczył, że protest jest adresowany tylko do niego, a nie do sejmu, wobec czego odmówił jego odczytania i "obu posłów przywołał do porządku". Ciekawe uzupełnienie tego epizodu podaje historyk sejmu 1825 roku Ryszard Przelaskowski: "List (W. Niemojowskiego) przekazał Piwnicki do akt sejmowych nie rozpieczętowany, prawdopodobnie celem niejątrzenia sfer rządowych. Pieczęć Niemojowskiego, wzmocniona pieczęcią senatu, stwierdza, iż nie był on w archiwum naruszony. Pismo to, dziwnym zbiegiem okoliczności, w setną rocznicę dopiero swego istnienia (w maju 1925 r.) zostało rozpieczętowane". Rygorystyczne zamknięcie sejmu przez marszałka Piwnickiego w trakcie rozpatrywania petycji Zwierkowskiego na temat sądów wojskowych wywołało burzę wśród opozycji. Przy akompaniamencie ogólnej wrzawy protestował przeciw zamknięciu Roman Sołtyk, wołając do Piwnickiego, że "łaska cała, mimo że Marszałek przed sejmem zaręczył, iż ją potrzaska, wprzód nim się podłości dopuści". Kiedy deputowany Zwierkowski wykazywał nielegalność zamknięcia tak raptownego, marszałek miał oświadczyć, "iż oddaje Mu łaskę, aby Prezydował", na co Zwierkowski odpowiedział, iż gdyby w-two krakowskie miało te prerogatywy jak dawniej, nie prosiłby go o łaskę, tylko by ją sam wziął". Po zakończeniu obrad członkowie sejmu wydawali tradycyjny bal składkowy na cześć cesarza-króla. Zwierkowski na znak protestu odmówił zapłacenia składki balowej, uzasadniając obszernie swój krok w oświadczeniu pisemnym, złożonym na ręce marszałka izby. "W chwili gdy świątynia prawodawcza bezprawnym wygnaniem jednego z członków

zgwałconą została - pisał w tym oświadczeniu - gdy wobec zgromadzonych izb rząd ośmiela się więzić spokojnych obywateli, gdy wszystkie inne swobody naruszone lub zupełnie z konstytucji wydarte, nie widzę bynajmniej powodu do igrzysk, które zdawałyby się urąganiem z nędzy publicznej..." Pomimo odważnych i solidarnych wystąpień deputowanego Walentego Zwierkowskiego i jego towarzyszy, przebieg sesji sejmowej wykazał całkowitą bezsilność opozycji kaliskiej. Cesarz-król miał wszelkie powody, aby być zadowolonym z trzeciego sejmiku Królestwa. Dał temu wyraz w pożegnalnej mowie tronowej, wygłoszonej 13 czerwca w połączonych Izbach. "Reprezentanci Królestwa Polskiego - powiedział w zakończeniu tej mowy - oddałam się od was z żalem, ale oraz i z zadowoleniem, iż widziałem, jak do waszego szczęścia, wedle waszego dobra i wedle życzeń moich, przyłożyliście się. Dzielcie to uczucie, roznieście pomiędzy współobywateli waszych; i wiercie, że będę umiał oddać sprawiedliwość temu zaufaniu, którego dowody naznaczyły terażniejsze wasze zgromadzenie. Nie będą one straconemi. Zachowuję głębokie ich wrażenie, które zawsze łączyć się będzie z upragnieniem, iżbym was przekonał, jak szczerym jest przywiązanie moje ku wam i jaki wpływ postępowanie wasze mieć będzie na waszą przyszłość". Następnego dnia rano opuścił Aleksander stolicę swego Królestwa, aby nie powrócić już do niej nigdy. Prot Lelewel w swoich wspomnieniach z sejmiku roku 1825 podaje charakterystyczną anegdotę, którą warto tu przytoczyć. Rzuca ona ciekawe światło na ówczesne plany i zamiary wielkiego księcia Konstantego. Brat cesarza-króla oraz następca tronu rosyjskiego miał prawo, jako "polski książę krwi", zasiadać z urzędu w warszawskim senacie. Nie skorzystał jednak z tego zaszczytu. Natomiast od razu w roku 1818 "pozwolił się obrać" deputowanym do sejmiku z przedmieścia Pragi i zachował ten mandat na wszystkich następnych sejmikach. Jako deputowany zachowywał się nadzwyczaj skromnie. Pilnie uczęszczał na zebrania, ale w głosowaniach udziału nie brał i do dyskusji się nie mieszał. Przemówił raz tylko, prosząc pierwszy sejmik o pomoc dla ludności Pragi w odbudowie zniszczeń wojennych z 1794 roku. Symboliczna wymowa tej demonstracji była dla wszystkich jasna. "Nie byłoby to dziwnym zjawiskiem - entuzjazmował się Kajetan Koźmian - widzieć tego księcia na ostatniej ławce poselskiej, przemawiającego przez pismo za ludnością, której krwią za babki jego Rosyanie się z takim okrucieństwem zboczyli?" W związku z uczestnictwem wielkorządcy w sejmikach utarł się zwyczaj, że posłowie i deputowani przed rozpoczęciem obrad składali dostojnemu koledze oficjalne wizyty w miejscu urzędowania, w pałacu Brühlowskim. Taką właśnie wizytę z roku 1825, w której uczestniczył również Walenty Zwierkowski, opisuje Prot Lelewel. "Mając w gronie naszego deputowanego z Pragi w. ks. Konstantego, wypadało go wizytować - wspomina pan poseł Węgrowski. - Tym końcem województwo mazowieckie z deputowanymi Warszawy złożyli mu uszanowanie w pałacu Brühlowskim. Nazajutrz posłowie i deputowani z innych województw razem. Postawiono nas w małym pokoju przylegającym do sali audiencjonalnej. Długo oczekiwaliśmy w tej ciasninie na przybycie w. księcia. Przybył nareszcie z Belwederu, przeszedł szybko salę, wszedł do nas. Otoczyliśmy go i mocno nacisnęliśmy, bo mało było miejsca. Chropowatym ucinkowym swym głosem dziękował, do niektórych zwracał zapytania, zwłaszcza do tych, co ich ze służby swej nie znał, a widział na nich krzyże

wojskowe. Nie mógł on zrozumieć, jak to ci, co doszli stopni, orderów wojskowych, dobrowolnie usuwają się z tej drogi szczęścia. Zabrakło mu do mówienia, niepokoił się, wyglądał, widzieliśmy, że na coś oczekiwał. Zniecierpliwiony ruszył z koła ku drzwiom salonu, przez drzwi chropowatym swym głosem wołał: Majewski Skorochód!*. (* Walenty Skorochód-Majewski [1764-1835] - znany warszawski notariusz i archiwista.)

Ktoś z obecnych odrzekł, że Majewski wczoraj z mazowieckimi był już prezentowany. Znalazł się usłużny generał Wincenty Krasiński, który pędem puścił się przez salę i przyprowadził Majewskiego..." I oto wydarzyło się coś, czego pełnego sensu nie mogli pojąć ani Zwierkowski, ani Leleweł, bo nikt jeszcze wtedy nie wiedział, że już w roku 1822 na życzenie cesarza Aleksandra Konstanty złożył był sekretną rezygnację z praw do tronu rosyjskiego na rzecz młodszego brata Mikołaja - i w związku z tym coraz częściej nawiedzały go myśli o zdobyciu dla siebie tronu polskiego. "Majewski, deputowany cyrkułu miasta Warszawy, w kontuszu, żupanie, pasie, czapka w rękę, teka pod pachą - kontynuuje Leleweł - wszedł i rozpoczął do w. księcia perorę, że przynosi dowody, jako dawniej Polacy za panowania Katarzyny II, życzliwi domowi panującemu, powoływali w. księcia na tron polski. Wielki książę nie dawał mówić dalej, dziękował Majewskiemu. Na tym komedia skończyła się, nadto niezgrabnie improwizowana, ażeby miała zrobić jakie wrażenie, prócz utwierdzenia w przekonaniu, że zawsze z nami komedie odgrywano". W takich okolicznościach deputowany Walenty Zwierkowski spotkał się po raz pierwszy z wielkim księciem-cesarzewiczem. Drugie spotkanie, z którego przytoczyłem już fragment na początku tego rozdziału, znacznie bardziej kameralne, odbędzie się w trzy lata później, z zupełnie innych powodów i w zupełnie odmiennej atmosferze.